

BERNARD CORNWELL

ŁOTR

Tytuł oryginału

SCOUNDREL

Przełożyła

Agnieszka Wyszogrodzka-Gaik

BELLONA

Warszawa 2012

Książkę dedykuje
Jackie i Jimmowi Lynchom

CZEŚĆ PIERWSZA

1 sierpnia 1990 był dniem moich czterdziestych urodzin. Sophie, kochanka, z którą spędziłem trzy lata, porzuciła mnie dla młodszego mężczyzny, kot się rozchorował, a następnego ranka Saddam Husajn zaatakował Kuwejt. Witajcie w najlepszym okresie mojego życia. Trzy tygodnie później Shafiq zapytał, czy mógłbym przeprowadzić łódź z Morza Śródziemnego do Ameryki. Hanna, pracująca dla mnie dorywczo sekretarka, odebrała telefon od niego i późnym popołudniem tego dnia przyszła do portu rybackiego, żeby przekazać mi wieści.

– Kto dzwonił? – W pierwszej chwili uznałem, że się chyba przesłyszałem. Pracowałem w maszynowni trawlera przy włączonym silniku. – Kto dzwonił? – krzyknąłem przez otwarty luk.

– Shafiq. – Hanna wzruszyła ramionami. – Nie dodał nic więcej. Powiedział tylko: Shafiq. Twierdzi, że go znasz.

Znałem go, owszem, i to na tyle dobrze, by się zastanawiać, co jeszcze usłyszę. Shafiq! Na Boga!

– Czego chciał?

– Żebyś przeprowadził łódź.

– Kiedy?

– Nie wie.

– A skąd dokładnie? Z Francji? Hiszpanii? Włoch? Cypru? Grecji?

– Powiedział tylko, że z Morza Śródziemnego. Nie mógł podać konkre-
tów

– A dokąd mam ją dostarczyć?

– Po prostu do Ameryki. – Hanna uśmiechnęła się.

Wyłączyłem silnik. Sprawdziłem pompy hydrauliczne, czy jakaś kanalia nie zmniejszyła ciśnienia o pół tony, żeby ukryć wadliwy zawór lub przewód. Poczekalem, aż hałas ustał i wtedy spojrzałem na Hannę.

– Jaka to łódź?

– Tego nie wie. – Hanna zaśmiała się. Miała ładny śmiech, ale od kiedy Sophie ode mnie odeszła, wydawało mi się, że każda kobieta miała ładny śmiech. – Odmówię mu – rzuciła. – Czy tak?

– Powiedz mu „tak”.

– Słucham?

– Powiedz mu „tak”.

Hanna przybrała spokojny wyraz twarzy, który miała zawsze wtedy, gdy usiłowała uratować mnie przede mną samym.

– Tak?

– Tak, *oui, ja, sí*. Przecież tym się zajmujemy.

A przynajmniej tak głosił napis na szyldzie: „Nordsee. Przeprowadzanie jachtów, Naprawy i Rzeczoznawstwo, Paul Shanahan, Nieuwpoort, Belgia”. W ciągu minionych lat naprawy i rzeczoznawstwo zdecydowanie przeważały.

– Ależ Paul! Przecież nie wiesz, kiedy, jak, co i dokąd! Jak możesz zobowiązać się do czegoś tak głupiego?

– Gdy zadzwoni, powiedz mu, że moja odpowiedź brzmi „tak”.

Hanna wyrzuciła z siebie jakiś flamandzki bełkot, swego rodzaju gardłowy pomruk, o którym wiedziałem, że jest naganą udzielaną niepraktycznemu idiotcie przez osobę praktyczną. Odwróciła kartkę w notesie.

– Dzwoniła też kobieta. Niejaka Kathleen Donovan. Amerykanka. Chce się z tobą zobaczyć.

Brzmiała sympatycznie.

Chryste, pomyślałem, co to jest? Człowiek kończy czterdziestkę i nagle jego przeszłość zaczyna go prześladować. Mignął mi przed oczami widok krwi Roisin na żółtym kamieniu, przez głowę przemknęła myśl o zdradzie, nieszczęściu i miłości. Miałem nadzieję, że jeśli siostra Roisin mnie szuka, to nigdy, przenigdy mnie nie znajdzie.

– Powiedz jej: „nie” – rzuciłem.

– Ale ona...

– Nie obchodzi mnie, co mówi. Nigdy o niej nie słyszałem i nie chcę jej widzieć. – Nie mogłem wyjaśnić niczego Hannie, która była taka praktyczna i na dodatek była żoną pulchnego policjanta. – Powiedz Shafiqowi, że chcę wiedzieć, dlaczego.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego? – Zmarszczyła brwi.

– Ale co: „dlaczego”?

– Zapytaj go dlaczego.

– Ale...

– Po prostu: „dlaczego”!

– Dobra, zapytam! – Uniosła ręce ku niebu, odwróciła się i ruszyła nabrzeżem. – Zdaje się, że kot ma robaki! – krzyknęła do mnie.

– Daj mu tabletkę!

– To twój kot!

– Proszę, daj mu tabletkę.

– Dobra!

Pokazała środkowy palec, nie mnie, tylko jednemu z rybaków, który na nią gwizdnął. Pomachała mi i zniknęła z widoku.

Wróciłem do pracy i kontynuowałem przegląd trawlera, który miał trafić za Morze Północne do Szkocji, w głowie jednak nie miałem miejsca na myśli o kadłubie, silniku czy hydraulice; zastanawiałem się, dlaczego tak znikąd i na dodatek jednego dnia zaatakowały mnie duchy przeszłości i emocjonalnej zdrady.

Jeśli mam być szczery, czułem się podekscytowany.

Moje życie zrobiło się nudne, przewidywalne, spokojne; duchy wreszcie się obudziły.

Czekałem cztery lata na to, żeby Shafiq sobie o mnie przypomniał i żeby wezwał mnie znowu na mroczne ścieżki. Cztery lata. Byłem gotowy.

– Minęły cztery lata, Paul! Cztery lata!

Shafiq, leniwy, chudy, miły, szchwany lis w średnim wieku siedział na głębokiej, wykładanej poduszkami kanapie. Wynajął apartament w hotelu Georges V w Paryżu i chciał, bym podziwiał jego bogactwo. Tryskał energią, co mnie nie dziwiło, bo przecież uwielbiał Paryż, Francję, a im bardziej Francuzi nie znosili Arabów, tym bardziej Shafiq pochwalał dobry francuski gust. Shafiq był Palestyńczykiem, który mieszkał w Libii, gdzie pracował dla założonego przez pułkownika Kadafiego Centrum do Walki z Imperializmem, Rasizmem, Zacołaniem i Faszyzmem. Początkowo nie przyjmowałem do wiadomości, że taka organizacja istnieje, ale było to

prawdą i Shafiq był jednym z jej pracowników; niewątpliwie tłumaczyło to jego upodobanie do europejskiej dekadencji.

– Czego chcesz? – spytałem go kwaśno.

– Jeszcze nigdy nie byłem w tak upalnym Paryżu!

Bogu niech będą dzięki za wynalezienie klimatyzacji. – Jak zwykle rozmawialiśmy po francusku. – Poczęstuj się ciastem. Te *mille-feuille* są wyborne.

– Czego chcesz? – powtórzyłem.

Shafiq zignorował pytanie i zamiast odpowiadać, otworzył małe, kolorowe pudełeczko z cukierczkami odświeżającymi oddech; wsunął jeden pod język.

– Udaję Greka. Mam nawet dyplomatyczny paszport. Spójrz!

Zlekceważyłem zarówno jego fałszywy paszport, jak i zachwyty związane z posiadaniem go. Udział Shafiq'a w walce z imperializmem, rasizmem, zacofaniem i faszyzmem polegał na byciu kurierem między Libią i grupami terrorystycznymi, które w danym miesiącu przypadły do gustu pułkownikowi Kadafiemu. Na pierwszy rzut oka wydawało się mało prawdopodobne, by ten człowiek mógł być szpiegiem, bo za bardzo przypominał dziecko, był zbyt energiczny i sympatyczny, ale być może to właśnie były cechy, które pozwalały mu utrzymać się tak długo, bo nie sposób było sobie wyobrazić, żeby osoba tak zabawna jak on mogła mieć związek z wylegarnią politycznego zła.

– Czego ode mnie chcesz? – wróciłem do pytania.

Zapewne dam mu to, czego chce, ale po czterech latach musiałem udawać, że mam opory.

– Masz ochotę na gauloise'a? Proszę. Weź całą paczkę, Paul. – Rzucił mi papierosy.

– Nie palę. Czego, u diabła, chcesz?

– Rzuciłeś palenie? Wspaniale, Paul, naprawdę doskonale! Lekarze mówią, że też powinienem rzucić, ale co oni wiedzą? Mój szwagier jest lekarzem. Mówiłem ci kiedyś o tym? Pali po czterdzieści sztuk dziennie, czasem pięćdziesiąt i jest zdrowy jak... Jak wy to mówicie? Jak byk! Napijesz się herbaty?

– Czego ty do cholery chcesz, Shafiq?

– Chcę, żebyś dostarczył łódź do Ameryki, naturalnie. Tak jak mówiłem twojej sekretarce. Czy jest piękna?

– Jak róża w porannej rosie, jak kwiat brzoskwini, jak cheerleaderka Dallas Cowboy. Co to za łódź? Skąd?

Dokąd? Kiedy?

– Nie jestem pewien.

– No, świetnie. Bardzo mi pomogłeś, Shafiq. – Rozsiadłem się wygodniej w przesadnie wypchanym fotelu. – To twoja łódź?

– Nie, nie moja. – Przypalił papierosa i machnął nim od niechcienia, jakby sugerując, że wspomniana łódź należała do kogoś nie mającego znaczenia. – Jak tam twoje życie uczuciowe?

– W ogóle go nie ma. Zostałem porzucony dla żonatego francuskiego farmaceuty. Powierzono mi opiekę nad kotem. Czyja to łódź?

– Straciłeś dziewczynę? – Shafiq z miejsca się przejął.

– Czyja to łódź, Shafiq?

– Należy do przyjaciół. – Znowu machnął papierosem, żeby pokazać, że to naprawdę jest nieistotne. – Ile czasu ci to zajmie?

– Ile czasu co mi zajmie?

– Dostarczenie łodzi do Ameryki, naturalnie.

– To zależy od tego, jaka to jest łódź, jaki dystans ma przepłynąć i o jakiej porze roku.

– To łódź żaglowa – oznajmił. – Myślę, że niebawem.

– Jak duża jest ta łajba?

– Ma duży ołowiany kil. – Uśmiechnął się, jakby ten szczegół stanowił odpowiedź na moje pytanie.

– Jak jest duża? – napierałem.

Zaciągnął się papierosem, zmarszczył brwi.

– Nie znam jej rozmiarów, więc, jak wy to mawiacie? Strzelaj? Tak, strzelaj.

Rzuciłem błagalne spojrzenie w kierunku gipsowej płaskorzeźby zdobiącej sufit.

– Trzy miesiące? Cztery? Skąd u diabła mam wiedzieć? Im większa łódź, tym szybciej. Być może.

– Trzy miesiące? Cztery? – Ton jego głosu nie sugerował ani zadowolenia, ani jego braku. – Jest blondynką?

– Co takiego?

– Twoja sekretarka.

– Ma brązowe włosy.

– Wszędzie?

– Nie wiem.

– Aha. – Zasmuciła go moja niewiedza. – Dlaczego kochanka cię opuściła?

– Bo chcę pewnego dnia osiąść na starość w Ameryce, a ona nie; bo jestem według niej zbyt zamknięty w sobie; bo życie w Nieuwpoort jest nudne; no i jej Francuzik dał jej mercedesa.

– Chcesz mieszkać w Ameryce? – Shafiq zapytał zszokowany.

– Tak. To mój dom.

– Nic dziwnego, że jesteś nieszczęśliwy. – Pokręcił głową. Ja jednak sądzę, że Sophie odeszła ode mnie z powodu mnie jako takiego, a nie dlatego, że jestem Amerykaninem.

– Jeśli cokolwiek mnie unieszczęśliwia – zapewniłem go – to nasze spotkanie. Na Boga, Shafiq, ignorujesz mnie przez cztery lata, a potem ściągasz mnie do Paryża, żeby mi powiedzieć, że mam dostarczyć łódź, ale nie możesz mi podać ani jednego cholernego szczegółu!

– To jest interes – rzucił błagalnym tonem.

– Po czterech latach? – W moim głosie było słychać, że czułem się rozżalony.

Wzruszył ramionami, stracił popiół do kryształowej misy i znowu wzruszył ramionami.

– Przecież wiesz, dlaczego, Paul. Wiesz, dlaczego.

Nie patrzył na mnie.

– Nie podobał ci się zapach mojego dezodorantu? kpiłem z niego.

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie. Nie chciał powtarzać starego zarzutu, ale właśnie przepuszczałem go przez wyżymaczkę i wiedział, że będzie musiał znieść te męki.

– Mówili, że pracujesz dla CIA, Paul.

– Gówno prawda.

Rozparłem się w fotelu. W moim głosie pobrzmiwało obrzydzenie.

– Wiemy, rzecz jasna, że to nieprawda – Shafiq usiłował mnie uspokajać.

– Potrzebowaliście czterech lat, by do tego dojść?

– Ostrożności nigdy za wiele, wiesz o tym. – Zaciągnął się papierosem, aż jego koniec zajaśniał jaskrawo. – Nasza branża jest jak nowoczesny seks.

Uprawia się ją bezpiecznie albo w ogóle. Zgodzisz się, Paul? – Zaśmiał się, zapraszając mnie do współudziału w tej wesołości; moja twarz nie zmieniła wyrazu, więc pokręcił ze smutkiem głową. – To nie nasza strona cię oskarżyła, Paul. To ta dziewczyna. Twoja dziewczyna!

Jak miała na imię. Roisin? – Nawet wymówił je prawidłowo, „rłaze”, udowadniając, że dobrze ją pamiętał.

– To była twoja dziewczyna, Paul.

– Moja dziewczyna? Była jak firmowy rower, Shafiq. Każdy mógł na niej jeździć.

– Dobrze, Paul! Podoba mi się. „Firmowy rower”! – Zachichotał, po czym machnął lekceważąco. – A więc rozumiesz, co? Już wiesz, czemu nie mogliśmy ci ufać?

Nie chodzi o mnie, oczywiście. Nigdy nie wierzyłem, że robisz dla CIA! Bronilem cię! Mówiłem im, że to idiotyczny pomysł. Kretyński. Ale oni chcieli mieć pewność. Powtarzali, że trzeba czekać i sprawdzić, czy wrócisz do Ameryki. Nie uciekłeś do domu. – Uśmiechnął się do mnie. – Miło cię znowu widzieć, Paul. Minęło dużo czasu.

– Wróćmy do tej zagłówek – odezwałem się lodowatym głosem. – Co to za interes?

– Po prostu interes.

– Ma związek z Irakiem?

– Z Irakiem? – Shafiq rozłożył swoje wielkie jak łopaty ręce w geście sugerującym, że nie wie nic o Iraku i jego inwazji na Kuwejt.

– Czy to ma związek z Irakiem? – ponowiłem pytanie.

Wyszczrzył żółte zęby w uśmiechu.

– To tylko interes.

– Jakiś przemyt? – dociekałem.

– Może. – Uśmiechnął się do mnie konspiracyjnie.

– A zatem odpowiedź brzmi: „nie”. – W rzeczywistości było inaczej, naturalnie, ale jeśli ustąpiłbym zbyt szybko, stawka byłaby za niska, a ja chciałem, żeby była bardzo wysoka, więc dalej się opierałem.

– Nic nie szmugluję, chyba że wiem, co to jest i jak jest ukryte oraz dlaczego jest przemywane; dokąd i do kogo trafi; ile tego jest, kiedy to ma się stać, kto na tym skorzysta i kto może próbować mi przeszkodzić. No i ile mi za to proponują?

– Mówiłem im, że tak powiesz! – Shafiq rzucił tryumfalnie.

– Im? – zainteresowałem się.

– Ludziom, którzy chcą, żebyś poleciał jutro do Miami – odpowiedział z fałszywą skromnością, licząc na to, że wzmianka o Miami odwróci moją uwagę od tego, o co pytałem.

– Co za „oni”? – dociekałem.

– Twoi starzy przyjaciele – odparł, potwierdzając to, co podejrzewałem.

– I są w Miami? – To mnie rzeczywiście zaskoczyło.

– Chcą, żebyś tam jutro był. – Wsunął sobie w usta kawałek migdałowego ciasta i wybełkotał: – Czekają na ciebie. Mam tu bilet. Pierwsza klasa!

Powiedział to tak, jakby to była rewelacja; jakbym miał wejść po czerwonym dywanie do jaskini lwa. Nie trzeba było mnie aż tak wabić. Czekałem cztery lata na to, by ktoś mnie uratował od układów hydraulicznych, walki z osmozą na kadłubach z włókna szklanego i przegniłych mocowań kila.

Zadzwoiłem więc do domu Hanny w Nieuwpoort.

Było niedzielne popołudnie i jej głos był jeszcze ciepło zaspany. Zastanawiałem się, czy nie przerwałem igraszek pulchnemu policjantowi.

– Odwołaj wszystkie spotkania na ten tydzień – poleciłem jej.

– Ale Paul...

– Wszystkie – powtórzyłem – trzeba odwołać.

– Dlaczego?

– Bo lecę do Miami – powiedziałem tak, jakby to było coś, co robię co miesiąc i dlatego nie powinno być to dla niej zaskoczeniem.

Hanna westchnęła.

– Kathleen Donovan znowu dzwoniła. Wybiera się do Europy. Obiecała, że nie potrzebuje dużo czasu na rozmowę z tobą. Powiedziałam jej, że będziesz...

– Hanno! Hanno! Hanno! – przerwałem jej.

– Tak, Paul?

– Pamiętaj o tych cholernych tabletkach dla kota, dobrze? – poprosiłem, po czym odłożyłem delikatnie słuchawkę.

Następnego ranka poleciałem do Miami.

Na lotnisku międzynarodowym czekał na mnie mały Marty Doyle. Pomimo gorąca podskakiwał jak podekscytowany pudelek.

– Jak dobrze cię widzieć, Paulie! Super! Kopę lat, no nie? Całe wieki! Właśnie coś takiego powiedziałem wczoraj Michaelowi. Całe wieki!

Marty jest nikiem, wazelinierzem, chłopcem na posyłki. Oficjalnie pracuje dla Boston School Committee, nieoficjalnie zaś jest gońcem i szoferem Michaela Herlihy'ego. Herlihy nigdy nie nauczył się prowadzić samochodu, ponieważ ma chorobę lokomocyjną i jego matka wiecznie obstawiała przy tym, żeby siedział na tylnym siedzeniu rodzinnego auta. Od tego czasu jest wożony jak jakiś lord. Teraz to Marty jest jego chłopcem na posyłki i kierowcą.

– Co u licha robisz w Miami? – zapytałem go.

– Opiekuję się Michaelem. Źle się czuje w takim upale. Nigdy nie lubił gorąca. Wszystko go od tego swędzi. To cały twój bagaż? – Wskazał na mój worek marynarski.

– A ile miałbym go mieć?

– Wezmę go.

Zabrałem worek, żeby nie mógł go dosięgnąć.

– Zamknij się i prowadź.

– Nie widziałem cię kopę lat, Paulie! Całe lata! Nie wyglądasz nawet o dzień starzej! Do twarzy ci w tej brodzie. Też próbowałem kiedyś zapuścić ją sobie, ale kiepsko rosła. Wyglądałem jak jakiś Chińczyk z filmu.

Jak Fu-Manchu. Wiesz, o kim mówię? Jak się miewasz, Paulie? Samochód jest tam. Słyszałeś wieści? – Skakał wokół mnie jak nakręcony pętał.

– Wojna się zaczęła? – domyśliłem się.

– Wojna? – Marty zdawał się nie wiedzieć nic o gromadzących się w Arabii Saudyjskiej siłach pod przewodnictwem Amerykanów. – Chodzi o Larry’ego – rzekł w końcu. – Wychodzi na to, że mu się w końcu zagoiła. Będzie się czuł jak nowonarodzony.

– Co mu się zagoiło?

– Jego pięta. Miał operację. – Marty zachichotał na myśl o czymś. – Nie będzie już musiał gonić w piętę.

Zatrzymałem się na środku terminalu i spojrzałem na jego łysą głowę. Odczuwałem zmęczenie, było mi gorąco, a Marty w dalszym ciągu obskakiwał mnie jak napalony pudel.

– Kim do diabła jest Larry? – zapytałem. – I o czym ty do cholery mówisz?

– Larry Bird! – Marty był zdumiony moją tępotą. – Stracił końcówkę ubiegłego sezonu z powodu swojej pięty. Zrobiła mu się jakaś narośl na kości czy coś takiego.

– Chryste!

Znowu ruszyłem. Mogłem się domyślić, że najważniejszą rzeczą w życiu Marty’ego są Boston Celtics. W Bostonie otaczano Celtów religijną czcią, ale z jakiegoś powodu, być może dlatego, że obecnie mieszkałem w portowym miasteczku na belgijskim wybrzeżu, moje zaangażowanie w religię rodzinnego miasta osłabło.

Niemniej miło było wrócić na amerykańską ziemię, nawet w czasie potwornego upału. Nie byłem w kraju od siedmiu lat. Nigdy nie chciałem, żeby ten okres był tak długi, ale zawsze znajdowałem jakąś przyczynę, żeby nie pokonywać Atlantyku. Swego czasu nawet kupiłem bilety, aczkolwiek pozwoliłem na to, by lukratywna okazja dostarczenia nowiutkiej łodzi z Finlandii do Monako zmieniła moje plany. Nie miałem też powodów rodzinnych do powrotu, ponieważ moi rodzice nie żyli, a siostra wyszła za

maż za bufona, którego nie byłem w stanie strawić. Dlatego też ostatnimi laty pracowałem w Nieuwpoort i podsycałem marzenia o tym, że pewnego dnia wrócę do ojczyzny i będę długo i z przyjemnością spędzał emeryturę w domku na Cape Cod, który odziedziczyłem po ojcu. Odkładałem pieniądze na tę emeryturę i właśnie to oszczędzanie było kolejną przyczyną, dla której nie chciałem wydawać pieniędzy na kosztowne transatlantyckie przeloty.

– Michael na nas czeka. – Marty otworzył przede mną tylne drzwi limuzyny. – Przyleciał też jakiś gość z Irlandii, żeby się z tobą spotkać. Ma na imię Brendan.

Brendan Flynn. Przyleciał wczoraj.

– Brendan Flynn?

To mnie zaskoczyło i zmroziło. Brendan był jednym z ważniejszych ludzi w Provisional IRA, być może trzecim lub czwartym w hierarchii ruchu. Tacy ludzie nie wybierają się za granicę z błahych powodów. W przypadku tej dziwnej umowy nic nie wydawało się błahe i trywialne; kupowano bilety na przeloty transatlantyckie, wynajmowano apartamenty w Georges V, przed lotniskiem w Miami czekała na mnie biała limuzyna. Chętnie się w to wszystko zaangażowałem, ale wspomnienie postaci Brendana nadało całej sprawie krwawą woń niebezpieczeństwa.

– To musi być coś dużego, Paulie, skoro ten gość przyleciał tu aż z Irlandii. Ty też masz za sobą niezły kawałek drogi. – Marty był zgłodniały jakichś wieści. – O co może chodzić? – zapytał, gdy już wyrwaliśmy się ze sznura aut wyjeżdżających z lotniska.

– A skąd, u diaska, miałbym wiedzieć?

– Musisz się czegoś domyślać?

– Zamknij się, Marty.

On jednak nie potrafił milczeć i gdy jechaliśmy dalej na północ, opowiedział mi o tym, jak to tydzień wcześniej widział moją siostrę i że Maureen wygląda dobrze, jej synkowie rosna, ale przecież tak to już jest z chłopcami, prawda? A czy słyszałem o New England Patriots? Wykupił ich jakiś koleś od golarek elektrycznych, ale mimo to nadal grają w futbol jak amatorzy. To już drużyna zakonnice grałaby lepiej. Na pewno. A kto według mnie wygra w tym sezonie w Super Bowl? Znowu Forty-Niners z San Francisco?

Marty przerwał swój słowotok, gdy zbliżaliśmy się do toru wyścigowego Hialeah. Szukał zjazdu pomiędzy magazynami i małymi warsztatami samochodowymi.

– Jesteśmy na miejscu – oświadczył i auto z miękkim zawieszeniem rozbujało się na nierównej drodze.

Wjechał w zardzewiałą bramę prowadzącą za ogrodzenie z siatki zwieńczone drutem kolczastym. Zatrzymał się w cieniu pomalowanego na biało magazynu, na którego anonimowej fasadzie nie było żadnego szyldu ani numeru. Mężczyzna z kamiennym wyrazem twarzy siedzący w stróżówce obok głównego wejścia do magazynu rozpoznał Marty'ego, ponieważ przepuścił mnie bez żadnych pytań.

– Ty masz tam wejść – Marty zawołał za mną – a ja mam tu poczekać.

Wszedłem do mrocznej, dużej hali. Wewnątrz stały dwa wózki widłowe, ale oprócz nich i stert kartonów nie widziałem nic więcej. W powietrzu unosiła się woń oleju maszynowego i świeżo pociętego drewna, z którego zrobiono palety. A może był to zapach oleju do broni maszynowej i drewna na trumny? Denerwowałem się. Każdy człowiek wezwany przez Brendana Flynna miał podstawy, by się denerwować.

– To ty, Shanahan? – dobiegł do mnie głos Michaela Herlihy'ego z ciemnego końca hali.

– To ja.

– Dołącz do nas! – To była komenda.

Michael Herlihy nie miał czasu na uprzejmości, a jedynie na rozdzielanie pracy i obowiązków. Był wychudzonym człowieczkiem składającym się wyłącznie ze ścięgien i determinacji, a jego pomysłem na dobrą zabawę było rywalizowanie w bostońskim maratonie. Z wykształcenia był adwokatem i podobnie jak ja pochodził z zamożnej irlandzkiej rodziny, jednej z tych, które miały domy w dzielnicy Fort Point oraz letnie domy na południowym wybrzeżu lub na Cape Cod. Nie nazwałbym Michaela adwokatem z prawdziwego zdarzenia, jakim był jego ojciec – zakonserwowany bourbonem i tytoniem człowiek, który potrafiłby przekonać ławę przysięgłych składającą się z prezbiteriańskich starych panien do uniewinnienia babilońskiej nierządnicy. Starego Joe jednak od dawna już nie było, a jego jedyny syn był prawnikiem z Massachusetts, który uczestniczył w negocjacjach władz miasta i przewoźników odpadów. W wolnym czasie był przewodniczącym Komitetu Wyborczego Kongresmana O'Shaughnessy'ego

oraz prezesem Sekcji Nowej Anglii Przyjaciół Wolnej Irlandii. Michael wolał nazywać się dowódcą Bostońskiej Brygady Provisional IRA, co było lekkim nadużyciem, bo przecież oficjalnie taka brygada nie istniała, niemniej Michaelowi podobała się rola bojownika o wolność; trzymał parę czarnych rękawiczek i czarny beret zawinięte w bibułę, aby można je było położyć na jego trumnie. Nigdy nie był żonaty; twierdził zawsze, że tego nie chciał.

A teraz, w tym męczącym upale Miami, czekał na mnie z trzema innymi mężczyznami. Dwóch z nich nie znałem, a trzecim, który wyszedł mi na powitanie z otwartymi ramionami, był sam Brendan Flynn.

– Czy to ty, Paulie? Mój Boże, w rzeczy samej! Wspaniale cię widzieć. Wspaniale! Minęło tyle czasu. – Jego akcent z Belfastu był ostry jak chilli.
– Świetnie wyglądasz. To pewnie przez to belgijskie piwo. A może dziewczyny? Cieszę się, że żyjesz!

Prawie mnie zmiążdżył w swoim powitalnym uścisku, po czym odsunął się i dał mi w bark przyjacielskiego szturchańca, który mógłby powalić byka. Krażyły niegdyś pogłoski, że Brendan zabił swego czasu informatora IRA pojedynczym uderzeniem otwartą dłonią w czaszkę i byłem skłonny w to uwierzyć. Był wysokim mężczyzną postury wołu. Miał szczeciniastą brodę i głos, który wydobywał się z głębi jego piwnego brzuszyska.

– Co u ciebie, Paulie? Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

– Tak, w porządku. – Miałem nagrodzić ich za cztery lata milczenia chłodną rezerwą, ale zacząłem podzielać entuzjazm Brendana. – A co u ciebie?

– Broda mi posiwiała! Widzisz? Starzeję się, Paulie, starzeję się. Niedługo zacznę sikać do łóżka i pielęgniarki będą mi dawały klapsy za to, że jestem niegrzeczny. Boże, jak dobrze cię widzieć!

– Trzeba było częściej się ze mną spotykać.

– Nie wracajmy do tego! Jesteśmy przyjaciółmi. – Otoczył mnie ramieniem i ścisnął, a ja poczułem się, jakby prasa hydrauliczna zaciskała mi się wokół klatki piersiowej.

– Ależ tu gorąco! Jak, u diabła, człowiek może żyć w takiej temperaturze? Matko święta, toż tu jest jak w chlebowym piecu!

Nic dziwnego, że Brendanowi doskwierał upał – był ubrany w tweedową marynarkę i kamizelkę założoną na flanelową koszulę, zupełnie jakby w Miami panował klimat rodem z Dublina. Brendan mieszkał w Dublinie od czasu, gdy zaplanował o jeden zamach bombowy za dużo w Belfaście. Ciągnął mnie teraz z entuzjazmem w kierunku otwartej skrzyni.

– Zobacz, jakie zabawki Michael dla nas znalazł.

Michael Herlihy podszedł do mnie.

– Paul?

To było jego powitanie. Znamy się od drugiej klasy, ale on nadal nie był w stanie zdobyć się na „cześć”.

– Jak się miewasz, Michaelu? – zapytałem go.

Nikt nigdy nie wołał do niego: Mick, Micky czy Mike. Był tylko i wyłącznie Michael. Gdy byliśmy dziećmi, każdy chłopak w okolicy miał jakieś przydomkowanie: Wół, Król, Wołek, Czterooki, Dropszot, Kanciarz. Każdy, z wyjątkiem Michaela X. Herlihy’ego, który zawsze był wyłącznie Michael. X było pierwszą literą jego drugiego imienia: Xavier.

– Wszystko w porządku, Paul, dziękuję – odpowiedział poważnie, jakby moje pytanie było istotne. – Nie miałeś problemów z dotarciem do nas?

– Dlaczego miałbym mieć problemy? Policja mnie nie obserwuje. – Ta uwaga była skierowana do Brendana, który był głośnym i znanym stworzeniem, nie znającym umiaru, i jeśli przybył tu z typową dla siebie wrzawą, to byłoby istnym cudem, gdyby FBI i policja Miami nie obserwowali nas w tym momencie.

– Uspokój się, Paulie – Brendan oddalił moją krytykę. – Gadasz jak stara baba. Irlandzka policja myśli, że jestem na jednej z tych holenderskich konferencji na temat przyszłości Irlandii. – Ostatnie słowa wypowiedział z ironią, po czym przystąpił do wyciągania zwojów falistej tektury i folii bąbelkowej ze skrzyni. – Poleciałem do Holandii, potem wsiadłem do pociągu do Szwajcarii, następnie do samolotu do Rio i dopiero potem do samolotu lecącego tutaj. Te dranie zgubiły mój trop wiele dni temu. – Jego dudniący głos wypełnił wielką przestrzeń zakurzonego magazynu oświetlonego wyłącznie przez niewielką ilość światła dziennego wpadającego do środka przez wentylatory w dachu. – Poza tym warto ryzykować dla czegoś takiego, nie?

Odwrócił się i wyciągnął ze skrzyni coś owiniętego w folię, co traktował z nabożną czcią, niczym ksiądz podnoszący hostię. Nawet Michael Herlihy, który rzadko okazywał entuzjazm, wyglądał na podnieconego.

– Proszę! – Brendan położył owinięty przedmiot na skrzyni i ściągnął z niego folię. – Na Boga, czy zechcesz, Paulie, rzucić okiem na to cudeńko?

– Stinger – stwierdziłem, nie będąc w stanie ukryć szacunku w swoim głosie.

– Tak, to jest stinger – Michael potwierdził łagodnie.

– Jeden z pięćdziesięciu trzech stingerów – Brendan poinformował – z których każdy jest w świetnym stanie, zapakowany fabrycznie. Do każdego jest dołączony pas i pełna instrukcja. Nie najgorzej, co nie?

Teraz rozumiesz, dlaczego ryzykowałem i tujechałem?

Rozumiałem dokładnie, dlaczego ryzykowałem, bo wiedziałem, jak wysoko IRA ceniła tę broń i na jakie ryzyko ruch by się naraził, by zdobyć sporą liczbę tych przenośnych pocisków. Stingery to produkowane przez Amerykanów ręcznie odpalane pociski typu ziemia-powietrze uzbrojone w głowicę kierowaną za pomocą termolokacji. Pocisk wraz z wyrzutnią waży zaledwie trzynaście i pół kilograma, a sam pocisk jest szybki, precyzyjny i zabójczy dla każdego samolotu w zasięgu sześciu i pół kilometra od miejsca wystrzelenia.

Brendan wpatrywał się w rozpakowaną broń z rozmarzonym wyrazem twarzy i wiedziałem, że oczami wyobraźni widział już brytyjskie śmigłowce spadające w płomieniach z nieba nad okupowaną Irlandią.

– Słodki Boże – rzekł łagodnie, wzruszony pięknem tej wizji.

Provisional IRA wypróbowała już inne ręcznie odpalane pociski przeciwlotnicze. Wykorzystywała przeciwlotnicze zestawy raketowe blowpipe ukradzione z fabryki Short Brothers w Belfaście, rosyjskiej produkcji Czerwone Gwiazdy otrzymane z Libii, ale ani jedno, ani drugie nie mogły się równać ze stingerami. Wielka różnica, jak mi to niegdyś zdradził Brendan, polegała na tym, że stingery się sprawdzały. Wystarczy odpalić pocisk, a wart wiele milionów funtów brytyjski śmigłowiec zamienia się w jednej chwili w kawałki metalu.

Wystarczy odpalić pocisk i Brytole nie są w stanie zaopatrzyć swoich garnizonów w Armagh. Wystarczy odpalić pocisk i muszą wycofać swoje zwiadowcze śmigłowce znad Creggan lub Ballymurphy. Wystarczy odpalić stingera i każda gazeta w Brytanii, Irlandii i Ameryce wspomina o IRA. Michael Herlihy wierzył, że wystarczy odpalić odpowiednią liczbę stingerów, żeby odlany w brązie pomnik wychudzonego bostońskiego prawnika pośredniczącego w umowach zawieranych z przewoźnikami śmieci trafił do parku St Stephen's Green w Dublinie.

– To będzie najważniejsza dostawa broni w historii irlandzkich walk – oznajmił cicho, wpatrując się w rozpakowaną broń i nawet jeśli w jego słowach była przesada, należało mu ją wybaczyć.

Libijczycy wysłali dla IRA tony materiałów wybuchowych i mnóstwo skrzyń z bronią, ale żadne bomby czy pociski, nawet zielone cmentarze niewinnie zabitych ludzi, nie przegnały Brytyjczyków choćby o centymetr z ziemi Ulsteru. Herlihy i Brendan wierzyli głęboko, że stingery będą cięży niebo wroga i do tego stopnia zaszokują siły okupanta, że tak jak po najczarniejszej nocy następuje dzień, tak Irlandia zostanie wreszcie wyzwolona.

Dostrzegalem jednak pewien szkopuł. A w zasadzie dwa, w postaci szczupłych, wysokich, odzianych w jasne lniane garnitury ludzi o śniadych twarzach. Michael Herlihy przedstawił mi ich.

– Juan Alvarez i Miguel Carlos.

Nie należało traktować tych nazwisk poważnie; to były wyłącznie wygodne etykiety na potrzeby tego spotkania w anonimowym magazynie, odbywającego się przy dźwiękach rozklekotanych wentylatorów i drobinach kurzu wirujących w sącących się z góry słabych promieniach słońca.

– Panowie Alvarez i Carlos reprezentują konsorcjum, które nabyło pociski – Michael rzucił radośnie.

– Konsorcjum? – spytałem.

Odpowiedział ten, którego zwano Alvarezem.

– Pięćdziesiąt trzy pociski znajdują się obecnie na liście własności amerykańskiego rządu – powiedział bez ironii, jakbym miał być wdzięczny za tę informację.

– Boże, ale one są śliczne – mamrotał Brendan.

Głaskał stingera; pieścił oliwkowozieloną wyrzutnię. Sam pocisk był niewidoczny, ukryty za membraną zabezpieczającą wylot.

– A jaka jest cena konsorcjum? – zapytałem Alvareza.

– Pięćdziesiąt trzy pociski, *señor*, za pięć milionów dolarów.

– Jezu Chryste!

Nie potrafiłem powstrzymać się przed tym bluźnierstwem, bo cena z pewnością była wygórowana. Nie miałem kontaktu z nielegalnym obrotem bronią od czterech lat, ale nie mogłem uwierzyć, że wartość stingerów podskoczyła tak wysoko; skoro Stany Zjednoczone wysyłały te pociski afgańskim mudżahedinom, oznaczało to, że stingery na pewno były dostępne na czarnym rynku. A mimo to ci ludzie żądali pięciu milionów dolarów za pięćdziesiąt trzy pociski?

Alvarez wzruszył ramionami.

– Naturalnie, *señor*, jeśli uda się panu kupić taką samą liczbę za mniejsze pieniądze, zrozumiemy to. Nasza cena wynosi pięć milionów. – Zamilkł, wiedząc, jak bardzo Provisional IRA pragnęła tej broni. – Ta kwota ma zostać wypłacona tutaj, w Miami, złotymi monetami.

– To się rozumie – rzuciłem kpiąco.

– Naturalnie – Alvarez ciągnął gładko – w tej chwili niezbędny będzie mały depozyt.

– Ach! Mały depozyt, powiada pan? – powtórzyłem z szyderczym uśmiechem.

– Koszty to nie twój interes, Paul, więc się zamknij – warknął do mnie Brendan. Był zakochany w tych pociskach i uważał, że są warte każdej ceny. Wziął mnie za ramię i odciągnął na bok, żeby Kubańcy nas nie słyszeli. – Rzecz w tym, Paul, że my mamy już to złoto.

Wszystko jest ustalone. Musimy tylko dostarczyć je tutaj.

Wreszcie zrozumiałem.

– Łodzią? Z Morza Śródziemnego?

– Zgadza się.

– Arabowie dają wam złoto?

– A czemu nie? Przecież dranie są bogaci. Mają całą ropę, a biedna Irlandia ma tylko torfowiska. Czym jest dla nich złoto? – Brendan ścisnął mnie boleśnie za ramię. – Sprowadziliśmy cię tutaj, żebyś mógł zobaczyć te stingery na własne oczy. Shafiq powiedział, że byś nam nie pomógł, nie wiedząc, o co chodzi, więc pokazujemy ci. Zawsze byłeś ostrożnym człowiekiem, prawda?

– Z wyjątkiem kobiet, co, Brendan? – zapytałem sarkastycznie, drażniąc ranę sprzed czterech lat.

– Sprawiała więcej kłopotów, niż była warta. – Mówił o Roisin, ale lekki ton wypowiedzi nie tuszował w pełni dawnego urazu. Rozluźnił swój miazdzący kości uścisk i poklepał mnie po plecach. – Przeprowadzisz tę łajbę? Zrobisz to teraz? Będzie jak za dawnych czasów! Jak za dawnych, dobrych czasów.

– Jasne – odparłem. – Jasne.

No bo będzie jak za dawnych czasów. Za dawnych czasów byłem łącznikiem Provisional IRA z Bliskim Wschodem. To ja byłem gościem,

który dogadywał się z Palestyńczykami i wysłuchiwał godzinami planów Muammara Kadafiego dotyczących światowej rewolucji. Byłem maskotką organizacji, sprowadzającą dla niej milionowe kwoty, broń i bomby, aż nagle uznali, że nie mogą mi ufać. Szeptano, że jestem z CIA i te pogłoski mnie wykończyły, ale przynajmniej pozwolili mi żyć, w przeciwieństwie do Roisin, którą stracono na żółtym zboczu w pałącym słońcu Libanu.

Władze Provisional IRA doszły do wniosku, że Roisin zdradziła człowieka. Starła się zrzucić winę na mnie i ta odrobina podejrzania wystarczyła, by mnie pozbawić zaufania organizacji. Przez minione cztery lata dawali mi jakieś dorywcze, mało znaczące zadania, raz czy dwa razy wykorzystali moje mieszkanie jako kryjówkę dla ściganych ludzi, ale nie obdarzali mnie swoim dawnym zaufaniem. Aż do tej pory, gdy niespodziewanie zapragnęli, żebym dostarczył łódź. Okazałem się jedynym człowiekiem związanym z ruchem, który rozumiał zawilóści przeprowadzenia łajby przez Atlantyk.

– Moglibyśmy poprosić Michaela – wyjaśniał Brendan – ale robi mu się niedobrze na sam widok morza! – Zaśmiał się, a Herlihy rzucił mu błady, wymuszony uśmiech.

Michael nie lubił, kiedy ktoś naigrawał się z jego choroby morskiej, która wydawała się niestosowną przypadłością w przypadku żołnierza w czarnych rękawiczkach.

Brendan nalał mi whisky. Byliśmy w jego pokoju w hotelu nad brzegiem oceanu, gdzie rozkoszując się dobrodziejstwem klimatyzacji i widokiem butelki Jameson Whiskey stojącej na stoliku kawowym, Brendan tłumaczył mi, dlaczego przeprowadzenie jachtu z Europy do Ameryki było niezbędne.

– Ci cholerni Kubańczycy upierają się przy złocie, a Michael mi powiedział, że tutaj zdobycie złota jest prawie niemożliwe.

– Regulacje ministerstwa finansów – objaśnił Herlihy. Nie pił whisky i miał przed sobą butelkę wody. – Wszystkie transakcje na kwotę powyżej dziesięciu tysięcy dolarów trzeba zgłaszać do ministerstwa. Te przepisy wprowadzono w celu walki z dealerami narkotyków.

– Pomogli nam twoi starzy kumple, Libijczycy – Brendan ciągnął swój wywód. Stał przy oknie, palił papierosa i przypatrywał się pelikanom siedzącym na barierkach bulwaru widocznego poniżej. – Widziałem takie same w ogrodzie zoologicznym w Phoenix. Ale chyba to nie te?

– Libijczycy dali wam złoto? – Chciałem mieć pewność, że to Libia, a nie Irak.

– Nie mamy takich zaskórniaków – odparł Brendan wesoło – ale udało nam się zebrać depozyt. A w zasadzie udało się to Michaelowi.

– Zgromadziłeś pół miliona dolców? – zapytałem go ze zdumieniem.

Ludzie z Bostonu, Nowego Jorku, Filadelfii i innych miast, w których mieszkali Amerykanie pochodzenia irlandzkiego, mogli być nie wiem jak hojni, ale zwykle nie byli zamożni i ich datki były raczej niewielkie. A i one kurczyły się dzięki politykom z Republiki Irlandii, którzy krażyli po Ameryce i rozpowiadali, że IRA jest w takim samym stopniu wrogiem Południa, co Brytanii.

A tu nagle Michael Herlihy zdołał zebrać pół miliona dolarów?

– Jak ci się to udało?

– Nie twoja sprawa – rzucił kwaśno.

– Ty, Paulie – dodał Brendan – masz się zająć pięcioma milionami w złocie. Libijczycy nam je dają, niech Bóg ich błogosławi, ale naciskają, abyśmy w zamian zorganizowali dostarczenie złota tutaj. Dlatego pomyśleliśmy o tobie. – Uśmiechnął się do mnie wesoło. – Zrobisz to?

Jego głos brzmiał sympatycznie, ale zawsze tak brzmiał. Wielu ludzi zginęło, mylnie interpretując jego otwartą, wesołą twarz i bezpośredni, jowialny sposób bycia. Za tą powłoką krył się nieustępliwy człowiek przeżarty przez nienawiść, który każdą chwilę życia poświęcił sprawie. Gdybym odrzucił tę propozycję, prawdopodobnie by mnie zabił, do ostatniej chwili uśmiechając się do mnie i stwarzając pozory, że mi ufa; nadal by mnie nazywał „Pauliem”, obejmował mnie, aż wreszcie by mnie zamordował.

Pociągnąłem łyk whisky.

– Czy ktokolwiek zorientował się, ile waży pięć milionów dolarów w złocie?

– Z grubsza czterysta pięćdziesiąt kilogramów – uściślił Brendan i czekał na moją reakcję. – Powiedzmy, że to jakieś trzy duże walizki.

Nie martwiłem się objętością tego złota, ile raczej tym, jak jego ciężar odbije się na sprawności łodzi.

Jednakże niecałe pół tony dodatkowego balastu nie będzie miało większego znaczenia dla porządnego rozmiarów łajby.

– A więc? – ponaglał mnie Brendan.

– Mogę przetransportować te czterysta pięćdziesiąt kilogramów złota – odparłem.

– Jak? – burknął Herlihy.

– Nie twoja sprawa.

Nasza wrogość rozbawiła Brendana.

– Naturalnie, Paulie, zostaniesz za to sownie wynagrodzony.

– Ile?

– Dostaniesz ten półmilionowy depozyt, który nam oddadzą, gdy złoto już tu będzie. Czy ci to odpowiada?

Brendan zerknął na Herlihy'ego, jakby szukając potwierdzenia i wy-
czułem, że nie uzgodnili wcześniej tej kwestii. Dostrzegłem też, że Michael
Herlihy zbladł, słysząc tę kwotę i przez sekundę myślałem, że zaprotestu-
je, on jednak niechętnie potaknął.

– Rzecz w tym, że wiem – Brendan posłał mi swój promienny
uśmiech – że taka łajba wypełniona złotem może stanowić cholerną poku-
sę nawet dla kogoś tak uczciwego jak ty, Paulie, ale powiem ci, jak na to
patrzę: jeśli spróbujesz ukraść złoto, będziesz miał we mnie wroga, ale ja
pewnego dnia cię znajdę i uczynię twoją śmierć powolniejszą i trudniejszą,
niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić w swoich najgorszych koszmarach.
Możesz też dotrzymać słowa i odejść po skończonej robocie z połówką mi-
liona dolarów. Uważam, że pół miliona wystarczy, by podtrzymać czyjąś
uczciwość. – Uśmiechnął się do mnie, zadowolony ze swojego wyводу, na-
stępnie odwrócił się w stronę odbijającego słońce morza falującego za
przyciemnionymi szybami. – Spójrz, jakie wielkie są te ptaki.

Mógłbyś któregoś zjeść?

– Pół miliona to dobra oferta – powiedziałem tak spokojnie, jak tylko
potrafiłem.

– Nie jesteśmy kompletnymi głupcami, Paulie. – Brendan nadal przy-
glądał się pelikanom. – Na czas tej podróży dostaniesz towarzystwo. Po-
mocnika, że tak powiem.

– Chciałeś powiedzieć: „stróża”? – zapytałem z goryczą.

– Członka załogi. – Brendan odwrócił się do mnie.

Podtrzymywał lekki ton rozmowy, ale tylko dlatego, że wiedział, iż nie
mógłbym mu odmówić. Już tylko przyjeżdżając do Miami zgodziłem się na

wszystko, czegokolwiek by ode mnie chciał. – Powiedzmy, że dostaniesz dwóch moich ludzi, co? – ciągnął. – Daj im w kość, dobrze?

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku.

Zastanawiałem się, dlaczego jako pierwszy zwrócił się do mnie Sha-fiq, skoro to Libijczycy upierali się przy tym, żeby Provisional IRA zorganizowała transport złota? Dlaczego Brendan i Michael nie ustalili mojej gaży przed spotkaniem ze mną? A może ustalili, tylko Brendan, z typowym dla niego entuzjazmem, nagle postanowił podać znacznie wyższą kwotę, bo chciał mnie skusić. To sugerowało, że nie zamierzał pozwolić mi żyć dość długo, abym zdołał odebrać pieniądze.

Podejrzewałem, że te pół miliona dolarów było wyłącznie przynętą, która miała skłonić mnie do przyjęcia zlecenia, jak też to, że Brendan i jego dwóch ochroniarzy posiekają mnie na kawałki, jak tylko dotrzemy do celu.

Cała ta sprawa wydawała mi się dziwnie niedopracowana. Provisional IRA wyciągnęła naukę ze zbyt wielu błędów w przeszłości i teraz nie przystępowała do realizacji nieprzemyślanych do końca planów, a już na pewno nie w przypadku takich szczegółów, jak ustalenie wysokości wynagrodzenia, co sugerowało, że tę akcję zaplanowano w pośpiechu; być może w ciągu zaledwie miesiąca, jaki upłynął od chwili, gdy iracka armia pokonała szturmem niezabezpieczoną granicę Kuwejtu.

– Teraz ważne jest – Brendan ciągnął beztrósco – wybranie właściwej łodzi. Ty nadajesz się do tego najlepiej.

– Jeśli to ja mam pokonać ocean – zgodziłem się z nim – to chciałbym dokonać wyboru.

– Czy możesz lecieć od razu do Europy? – spytał Brendan. – Libijczykom spieszy się z wysyłką tego złota.

– To nam się spieszy – Michael Herlihy zmodyfikował wytłumaczenie, po czym podał powód pośpiechu: – W kwietniu przyszłego roku jest siedemdziesiąta piąta rocznica Powstania Wielkanocnego i chcielibyśmy urządzać Brytyjczykom krwawe przypomnienie tego faktu, by uczcić tę okazję. Nie będziemy mogli wysłać stingerów do Irlandii do czasu, gdy dostarczysz fu złoto.

– Mam lecieć jutro? – zapytałem Brendana zaskoczony.

Liczyłem na okazję udania się na północ i odwiedzenia domu w Cape Cod, którego nie widziałem od siedmiu lat; może udałbym się też na grób rodziców w Bostonie. Jednak Michaelowi i Brendanowi za bardzo się spieszyło. Spieszyło im się znacznie bardziej, niż podejrzewałem.

– Nie jutro – odpowiedział mi Brendan – tylko dzisiaj wieczorem. – Niczym magik wyciągnął z kieszeni tweedowej marynarki bilet. – Do Paryża, potem do Tunezji. Pierwsza klasa, Paul!

Pomyślałem sobie, że za bardzo się starali. Nie musieli mnie kusić biletami pierwszej klasy. To mi śmierdziało; wyglądało na to, że starali się przekonać mnie do zrobienia czegoś, czego nie chciałem, a przecież powinni traktować mnie jak ochotnika. Ta rozbieżność była kolejnym czynnikiem wzmagającym moje zaniepokojenie, ale też i zaciekawienie. Wielu ludzi zadawało sobie mnóstwo trudu, żebym zechciał przyjąć to zlecenie i cały ten wysiłek sugerował, że pośród tych wszystkich szczegółów może być ukryta jakaś wielka nagroda. Zgodziłem się więc na wylot tamtego wieczoru.

Brendan pojechał ze mną na lotnisko w Miami.

– Wspaniale, że znowu razem pracujemy, Paulie. Wspaniale!

Zignorowałem ten jego bajer.

– Nie mogłeś znaleźć nikogo innego, kto miałby odpowiednie kwalifikacje, czy tak?

Przez kilka sekund miał skonsternowaną minę, po czym się roześmiał.

– No cóż, taka jest prawda.

– Więc jesteś zmuszony znowu mi ufać?

Nie mogłem ukryć rozgoryczenia w swoim głosie.

Wiózł nas mały Marty Doyle i widziałem, jak nadstawał uszu, zainteresowany naszą rozmową.

– Znasz zasady, Paul – Brendan odezwał się z zakłopotaniem. – Wystarczy odrobina podejrzenia, żeby wzbudzić naszą czujność.

– Czujność? – zaprotestowałem. – Cztery lata milczenia, bo jakaś dziewczka oskarżyła mnie o współpracę z CIA? Daruj sobie, Brendan. Roisin wymyślała przeróżne historie tak, jak inne kobiety wymyślają ból głowy.

– Wiemy, że dziewczyna skłamała na twój temat – przyznał posępnie. – Dowiodłeś tego. Mogłeś nas zdradzić w każdej chwili w ciągu tych czte-

rech lat, ale tego nie zrobiłeś. Poza tym Herlihy pogadał z ludźmi z Bostonu. Powiedzieli, że dziewczyna fantazjowała.

Jankesi nie byliby w stanie przeprowadzić takiej operacji jak ta, o której opowiadała. To wszystko były brednie. Ale historyjka była jednak niezła. Ta lala umiała opowiadać niezgorsze historyjki. Był z niej lepszy numerek.

Zastanawiałem się, kim byli ludzie Herlihy'ego.

Podejrzewałem, że mogli to być bostońscy policjanci, którzy mieli kontakty w FBI, a ci z kolei mogli prosić o przysługę gości z Central Intelligence Agency. A więc ktoś zweryfikował zarzuty Roisin i okazałem się czysty jak łąza.

– Czy ludzie Herlihy'ego sprawdzili też Roisin?

– Był z niej lepszy numerek! – powtórzył Brendan z podziwem, ostrożnie omijając odpowiedź na moje pytanie. – Jezu, ależ to była bajerantka! Młóciła tym swoim jęzorem jak jakimś pieprzonym cepem. Byłby z niej niezły pożytek w jakiejś zapadłej dziurze!

– Ale czy była w CIA? – spytałem.

– Przysparzała niestety problemów, to wszystko. – Milczał przez kilka sekund. – Ale niezła była z niej lala, nie?

Zawsze byłem zdania, że Roisin i Brendan byli kochankami i tęsknota przebijająca z jego ostatnich słów na nowo obudziła we mnie zazdrość. Roisin była panienką uzbrojonych bandytów, wielbicielką śmierci.

Poszłaby do łóżka z samym diabłem, a i tak bym ją nadal kochał. Byłem w niej zadurzony po uszy. Wydawało mi się, że świat się wokół niej kręcił, że przyćmiewała słońce, gasiła księżyc i gwiazdy. I oto ona nie żyła.

Wsiadłem do lecącego nocą samolotu.

Shafiq czekał na mnie na lotnisku Skanes-Monastyr.

Miał na sobie garnitur ze srebrnoszarego lnu z wpiętą w butonierkę różową różą, która przy bliższym spojrzeniu okazała się być zrobiona z plastiku. Wyglądałem przy nim jak obdartus w swoim pogniecionym w ciągu tych kilku podróży ubraniu.

– Jak było w Miami? – zainteresował się.

– Gorąco.

– A dziewczyny?

– Wspaniałe. Zachwycające. Śliczne.

To była odpowiedź, jaką chciał usłyszeć. Biedak marzył o zachodnich dziewczynach, zwłaszcza Francuzkach. W dawnych czasach upierał się, by nasze letnie spotkania odbywały się zawsze na Riwierze, żeby mógł przechadzać się deptakiem i gapić na rzędy obnażonych francuskich biustów na plaży. Nigdy go ten widok nie nudził. Mógł się tak gapić całymi godzinami.

Ta swobodna nagość karmiła jego fantazje i pewnego razu, gdy siedzieliśmy w kawiarni w hotelu Negresco, nieśmiało mi wyznał, że jego ambicją było znalezienie francuskiej żony. „Nie jakiejs tam dziwki. Rozumiesz, Paul? Nie dziwki. Mam już dość dziwek”. Przerwał, żeby odkroić kawałek napoleonki i ostrożnie nabrać na łyżeczkę kremu wyciekającego pomiędzy warstw ciasta. Shafiq uwielbiał słodczyce, a i tak był chudy jak szkielet. „Mam dość dziwek”, ciągnął, gdy oblizwał łyżeczkę. „Pragnę jakiejs wrażliwej paryżanki z białą skórą i drobnymi kośćmi, krótkimi złocistymi włosami, która by się uśmiechała, gdy będę się pojawiał w drzwiach. Będzie grała dla mnie na pianinie i będziemy chodzili z psem na spacerzy nad Sekwaną”. Później dowiedziałem się, że Shafiq miał grubą ciemnoskórą żonę i trzy zażywe córki, które gnieździły się w małym mieszkanku w Trypolisie.

Teraz prowadził mnie na parking, gdzie czekał jego biały wynajęty peugeot. Z nawyku żeglarza zwróciłem uwagę na pogodę. Niebo było bezchmurne, a wiatr wiał od północy i był na tyle zimny, że ucieszyłem się z zabrania ze sobą swetra.

– Dokąd jedziemy?

– Do portu w Monastyrze.

Otworzył samochód.

– Są tam zachodnie łodzie na sprzedaż. Powinieneś je obejrzeć, Paul. Wpływają do portu, gdzie kobiety chodzą w bikini tak skąpych, że równie dobrze mogłyby na siebie nic nie wkładać. Chodzą, jak wyto mówicie?

W stroju Ewy?

Rozpierała go nieokiełznana energia, jak kochanka na początku namiętnego romansu. Widywałem innych mężczyzn równie ożywionych, mężczyzn wyruszających w pierwszą misję zamachu bombowego, by stworzyć nową Irlandię z martwych ciał; nie mogłem jednak pojąć, dlaczego Shafiq, człowiek, który osiągnął wiek średni służąc przemocy, tak bardzo się ekscytował zakupem jachtu. Wyskoczył z parkingu, obrzucił stekiem

arabskich przekleństw taksówkarza, który ośmielił się zatrąbić, wyrażając dezaprobatę dla peugeota wdzierającego się w sznur samochodów.

– Jedziemy się z kimś spotkać – oznajmił mi, jakby przygotował jakąś wspaniałą ucztę.

– Myślałem, że jedziemy kupić łódź.

– Ależ jedziemy, jedziemy, ale najpierw kogoś poznasz. To niejaki Halil!

– Halil – powtórzyłem imię bez entuzjazmu, z jakim Shafiq wypowiedział dwie tworzące je sylaby. – Kto to jest ten Halil?

– Zawiaduje tą całą operacją z tej strony. Tak jak pan Herlihy z drugiej.

A więc to Herlihy dowodził akcją? Nie Brendan Flynn? Odsunąłem tę informację na bok jako kolejną niezgodność, która czyniła całą tę sprawę dość osobliwą.

– Kim jest Halil? – ponowiłem pytanie.

To imię było najwyraźniej pseudonimem. W przeszłości, gdy go tylko lekko nacisnąłem, Shafiq był gotów zdradzić mi tego typu poufne dane. Jednak nie tym razem.

– Jest po prostu Halilem! – Zaśmiał się, po czym wyprzedził ciężarówkę załadowaną skrzynkami z gdaczącymi kurczakami. – To wielki człowiek. Powinieneś to wiedzieć, zanim go poznasz. – Słowa Shafiq'a, choć przyjacielskie, były też ostrzeżeniem.

– Złoto jest przygotowane? – zapytałem.

– Nie wiem. Może tak, a może nie. Nie mam pojęcia.

Pod wycieraczki peugeota dostały się pióra kurczaków. Shafiq próbował się ich pozbyć i uruchomił urządzenie, ale uparte pióra trzymały się wycieraczek, wobec tego zrezygnował ze starań, przypalił papierosa i uśmiechnął się do mnie konspiracyjnie.

– Widziałeś stingery?

– Widziałem jedną wyrzutnię.

– Co za broń! Teraz już rozumiesz, o co chodzi z tą łodzią?

– Nie.

– Paul! Chyba nie chcesz, żeby bohaterscy bojownicy irlandzcy dostali te stingery?

– Chciałbym, żeby mieli czołgi bojowe i rakiety, ale nie wydaje mi się, żeby płacenie za broń złotem przewożonym przez Atlantyka jachtem było sensownym rozwiązaniem. Czy twoi ludzie nie słyszeli o czekach?

Przekazach bankowych?

Zaśmiał się.

– Paul! Paul!

Powiedział to tak, jakby mnie łajał za urocze przekomarzenie się. Zamilkł, a peugeot lawirował między samochodami w pobliżu portu. Nad nami górowały wieżycy i mury ufortyfikowanego ribatu. Z głośników zainstalowanych w znajdującym się obok klasztoru minarecie meczetu głos z taśmy nawoływał wiernych do modlitwy. Skręciliśmy za rogiem i ujrzeliśmy rozciągający się przed nami port skąpany w październikowym słońcu. Sezon na Morzu Śródziemnym jeszcze się nie skończył, więc przy pontonach gęsto cumowały łodzie. Na wielu z nich powiewały wielkie flagi wyścigowe, toteż ten starożytny port wyglądał tak, jakby zgromadziła się w nim flota średniowiecznych okrętów bojowych.

– Halil czeka na łodzi – poinformował mnie Shafiq, nagle zdenerwowany.

– Na łodzi? Myślałem, że to ja mam wybrać łódź?

– Halil znalazł coś, co wydaje mu się odpowiednie.

Lepiej chyba będzie, jeśli się z nim zgodzisz.

Shafiq wyraźnie czegoś się bał. Najwidoczniej ten Halil, kimkolwiek był, miał prawo decydować o czyimś życiu i śmierci, i Shafiq starał się uwrażliwić mnie na ten fakt. Postanowiłem, że nie będzie to na mnie robiło wrażenia.

– Halil jest ekspertem w dziedzinie pływania po Atlantyku? – spytałem sarkastycznie.

– Jest ekspertem w każdej dziedzinie, w której zechce – Shafiq mnie zgasił. – Chodźmy.

Minęliśmy ochroniarzy i kroczyliśmy po długim, kołyszącym się na wodzie pontonie. Shafiq był tak przejęty, że nawet okiem nie rzucił na opalone kobiety w kokpitach przycumowanych łajb. Prowadził mnie w kierunku dalekiego końca pontonu, gdzie stał elegancki słup.

– To dopiero łódź! – Zatrzymał się, żeby przypalić papierosa. – Podoba ci się?

– Skąd mam wiedzieć? – odparłem zirytowany.

Prawdę powiedziawszy ten biały „Corsaire” podobał mi się. Nazwę jachtu wymalowano na platformie pływackiej umieszczonej na wklęsłej rufie; poniżej figurowała nazwa jego rodzinnego portu Vendres – położonego najbliżej granicy z Hiszpanią francuskiego portu nad Morzem Śródziemnym. „Corsaire” prezentował się okazale i kosztownie; wydawał się dobrze wyposażony i bez trudu dominował nad mniejszymi i nieco niechlujnymi jachtami zacumowanymi przy pontonie. Tej łodzi nie wykonano w żadnym znanym mi warsztacie szkutniczym i podejrzewałem, że została specjalnie zaprojektowana i zrobiona dla zamożnego właściciela, który miał własne pomysły na temat tego, co jest dobrą łodzią. Ten człowiek zapragnął mieć takielunek ułamkowy, umieszczony centralnie kokpit oraz długą, niską wolną burłę na łajbie długości około trzynastu i pół metra. Niechętnie przyznałem przed samym sobą, że ta konstrukcja nie wydawała się kiepskim wyborem na transatlantycką podróż. Pod warunkiem, że była w dobrym stanie.

– Dlaczego jest na sprzedaż? ~ zapytałem Shafiqą.

– Właściciel zostawił ją tu ubiegłej zimy. Tutaj opłaty za przechowywanie jachtów są niższe niż we Francji. Człowiek ten zachorował i już nie potrzebuje tej łajby.

Shafiq podniósł rękę, żeby powitać dwóch młodych ludzi siedzących w kokpicie „Corsaire” pod białą markizą przymocowaną do bomu. Powiedział do nich coś po arabsku, wskazując na mnie; w odpowiedzi wydali krótkie pomruki. Widywałem już takich ludzi: zbirów wyrwanych z obozów palestyńskich uchodźców.

Przećwiczo ich w zabijaniu, dano im broń, dziewczynki i licencje na paradowanie wśród ich wygnanego ludu w roli bohaterów.

– Czy któryś z nich to Halil? – wyszeptałem.

– To jego ochroniarze – odparł Shafiq przyciszonym głosem i uśmiechnął się służalczo, gdy dwaj młodzieńcy zaprosili nas na pokład.

Jeden z nich stał na straży, a drugi szybkim gestem przeszukał nas, by mieć pewność, że nie wnosimy broni. Jeżeli ktokolwiek na zachodnich jachtach zauważył tę dokładną rewizję, to zignorował ten fakt; Tunezja, choć znajdowała się pod wpływami Zachodu, nadal była krajem muzułmańskim i arabskim, i dobrze było nie komentować tu pewnych zwyczajów i barbarzyńskich zachowań. Jeden z ochroniarzy odebrał ode mnie worek marynarski i wskazał mi zejściówkę.

– Okazuj szacunek, Paul! – Shafiq syknął mi do ucha. – Proszę!

Pochyliłem się, schodząc po stromych schodkach.

Po prawej stronie znajdowały się stół nawigacyjny i szereg przyrządów, a po lewej kambuz. Przed sobą miałem przestronny salon z wygodnymi kanapami i półkami z zabezpieczeniem. W salonie wydawał się panować mrok, w porównaniu z ostrym światłem słonecznym na zewnątrz, udało mi się jednak zauważyć młodego mężczyznę rozpartego na stojącej najgłębiej kanapie. Na pierwszy rzut oka nie wydawał się bardziej ujmujący od dwóch brutali siedzących w kokpicie i założyłem, że to pewnie trzeci ochroniarz, pilnujący swojego pana znajdującego się w kabinie sypialnej; mężczyzna jednak zdjął okulary przeciwsłoneczne i oparł łokcie o stół.

– Halil.

– Shanahan.

– Siadaj.

To był rozkaz, a nie zaproszenie. Za nami z trzaskiem zamknięto sztorckłapy i zasunięto zasuwę; byłem uwięziony w brzuchu „Corsaire’a” z jakimś Halilem.

W środku było duszno i parno, i coś w tym zamkniętym kadłubie śmierdziało rozkładem.

Usiadłem na ławie po prawej stronie. Oczy przyzwyczajają się powoli do mroku, niemniej nadal nie dostrzegałem w mężczyźnie budzącym tak silny strach u Shafiq’a niczego, co byłoby warte uwagi. Halil wyglądał na gościa po trzydziestce i miał ciemną, nijaką twarz. Ciemne włosy miał gęste, zaczesane do tyłu i jedyną jego specyficzną cechą był cienki wąsik w stylu szefa zespołu z lat czterdziestych. Miał na sobie białą koszulę bez krawata i czarny garnitur. Wyglądał na dobrze zbudowanego wieśniaka. Jego lewą dłoń, jedyną widoczną, wieńczyły krótkie, kanciaste palce. Tłący się papieros leżał na stojącej na stoliku popielniczce, obok której leżały paczka cameli i złota zapalniczka.

– Właściciel chce za tę łódź sześćset pięćdziesiąt tysięcy francuskich franków – Halil rzucił bezceremonialnie. – Czy to dobra cena?

– Jeżeli łajba jest w dobrym stanie, to jest to okazja.

– Jest frywolna.

Halil pokazał prawą dłoń, gdy sięgał po papierosa.

Zaciągnął się głęboko i odłożył papierosa na popielniczkę. Zwróciłem uwagę na to, że jego prawa ręka trzęsła się, aż dym unoszący się nad papierosem falował.

– Frywolna? – zdziwiłem się.

Ciemne oczy strzeliły w moim kierunku i zacząłem rozumieć nerwowość Shafiqa – w czerni oczu tego mężczyzny było coś niemal gadziego.

– Łodzie, Shanahan – pouczał mnie – powinny służyć szlachetnym celom. Mogą dostarczać ryby z morza albo przewozić towary; mogą być platformami dla broni w czasie walki, ale tylko frywolni ludzie budują łodzie dla przyjemności. – Mówił po angielsku głębokim głosem, który przydawał jego słowom autorytetu. – Czy według ciebie taka frywolna łódź jest warta sześćset pięćdziesiąt tysięcy franków?

– Według mnie jest warta więcej.

– Zaproponuję sześćset tysięcy – oznajmił beznamiętnie.

Zastanawiałem się, dlaczego to on składał ofertę, a nie Provisional IRA. Brendan Flynn podkreślał, że to Irlandczycy byli odpowiedzialni za przewiezienie złota, a jednak to ten człowiek o ponurym głosie miał coś do powiedzenia w kwestii ceny za „Corsaire”, jakby pieniądze pochodziły z jego budżetu, a nie IRA.

– Lepiej nie składać żadnej oferty do czasu, gdy przyjrę się łodzi – powiedziałem. – Chciałbym, żeby wyciągnięto ją z wody, abym mógł obejrzeć kadłub.

Równie dobrze mógłbym przemawiać do ściany, zważywszy na uwagę, jaką Halil mi poświęcał.

– Została już obejrzana – oświadczył. – Stwierdzono, że się nadaje. Ma trzynaście i pół metra długości, cztery i ćwierć metra szerokości; część znajdująca się pod wodą ma trzy metry i ćwierć długości. W kilu znajdują się trzy i pół tony ołowiu. Co jeszcze musisz wiedzieć?

– Dużo – odparłem, zauważając, jak duży był balast „Corsaire’a”, co sugerowało, że właściciel łodzi był przezornym człowiekiem.

– Nie ma czasu na bycie drobiazgowym.

Halil mówił bardzo spokojnie, ale w jego głosie brzmiała wyraźna groźba. Chciałem się z nim spierać, ale o dziwo zastopowało mnie przecucie, że wszelki sprzeciw wobec tego człowieka może spowodować natchmiastowy i przygniatający fizyczny kontratak.

Wydawał się tak pewny siebie i mimo że jego słownictwo zdradzało, że nie wiedział o łodziach nic, to wypowiadał się o „Corsaire” w taki sposób, jakby jego opinia była ostateczna. Kolejne pytanie zdradziło jednak, jak bardzo potrzebował mojej wiedzy.

– Ile czasu zajmie przepłynięcie tą łodzią Atlantyku?

– Zaczynając stąd?

Milczał, jakby nie chciał niczego zdradzać.

– Niedaleko stąd.

– A dokąd?

Znowu milczenie.

– Popłynie do Miami.

Gdzie, pomyślałem, jej kapitan zostanie zamordowany. To będzie kolejne anonimowe ciało, które zostanie uznane za ofiarę handlu narkotykami.

– Kiedy odbędzie się ta podróż?

– To bez znaczenia – Halil stwierdził lekceważąco, podczas gdy to było ważne jak cholera.

Wszelka podróż przez Atlantyk rozpoczynająca się przed tym, jak ustali się pasat, będzie trwała dłużej niż wtedy, gdybym zaczekał do nowego roku, niemniej wyczułem, że ten człowiek nie zwraca uwagi na szczegóły, więc oszacowałem z grubsza:

– Trzy miesiące.

– Tak długo? – Wydawał się przerażony, a gdy nie skorygowałem odpowiedzi, zmarszczył brwi. – Nie można użyć silnika? Nie można by załadować więcej paliwa i przepłynąć na silniku?

– Tego rodzaju łódź może rozwinać taką prędkość, na jaką pozwala linia wodna. – Znowu oszczędziłem mu szczegółów, a zamiast tego podsunąłem pomocną sugestię. – A może by tak kupić dużą łódź motorowo-żaglową? Taka popłynęłaby szybciej.

Nie odpowiedział, tylko podniósł papierosa do ust.

Tym razem zauważyłem, że palce prawej dłoni wydawały się wygięte, jakby jego ręka była kiedyś ranna i nie wyleczyła się dobrze. Trzęsła się tak bardzo, że miał problem z wsunięciem papierosa w usta. Woda ude-

rzała o kadłub łodzi i odbijała promienie słońca, które wpadały do środka, rzucając falisty wzór na sufit salonu.

Byłem zlany potem, podczas gdy Halil wydawał się odporny na duchotę panującą wewnątrz łodzi. Trzęsącą się dłonią odłożył papierosa. Myślałem, że zastanawiał się nad moją propozycją skorzystania z łodzi motorowo-żaglowej, on jednak zmienił temat. Zapytał, czy wierzę w to, że Ameryka będzie walczyła o wyzwolenie Kuwejtu. W tym kontekście było to dziwne pytanie, ale potaknąłem i stwierdziłem, że Ameryka będzie walczyć.

– Taką mam nadzieję – rzucił Halil. – Mam nadzieję.

Mówił cicho, ale widziałem, jak bardzo ten człowiek pragnął ujrzeć wielką wygraną Arabów na pustyni. Czy dlatego zadał mi to pytanie? Tylko po to, by zaspokoić swoją ciekawość? A może jego dociekliwość miała jakiś związek z łodzią, ze zwerbowaniem mnie i stingerami w magazynie w Miami? Nie ośmieliłem się zadać tych pytań. Prawda stojąca za tą operacją, jeśli w ogóle kiedykolwiek wyjdzie na jaw, to na pewno z oporami.

Halil nadal się martwił, że Ameryka nie da Irakowi szansy na odniesienie wiekopomnego zwycięstwa, bo nagle wyjął z kieszeni marynarki złożony wycinek z gazety.

– Wasi politycy już teraz usiłują uciec przed koszmarem porażki – oznajmił. – Sam zobacz!

Rzucił kawałek papieru na stolik. Artykuł pochodził z „New York Timesa” i opowiadał o tym, jak parlamentarzysta Thomas O’Shaughnessy Trzeci przedłożył w Kongresie propozycję ustawy, która, jeśli zostanie przyjęta, na cały rok zabroni amerykańskim siłom wojskowym angażować się w działania w Zatoce.

O’Shaughnessy rzekomo pragnął w ten sposób zdobyć czas na to, by zadziałały sankcje gospodarcze. Nie chciał stosować od razu siły.

– Widzisz! – Halil odezwał się kpiarskim tonem. – Nawet twoi ustawodawcy chcą pokoju. Brak im odwagi, Shanahan.

Pokręciłem głową.

– Wie pan, jak mówią na O’Shaughnessy’ego w Bostonie? Nazywają go Tommym Balasem. Mówią, że jest za głupi, aby udało mu się odnieść sukces, ale też jest zbyt bogaty, by ponieść porażkę. To kłown! Jest w Kongresie, bo ma bogatego tatuśka.

Thomas O'Shaughnessy Trzeci nie miał jeszcze trzydziestu lat, a mimo to odbywał drugą kadencję w Kongresie. Michael Herlihy był jednym z jego pracowników i pomagał kongresmanowi schlebiać sympatykom IRA w bostońskim okręgu wyborczym. Podejrzywałem, że to Michael stał za jedną z pierwszych krucjat Tommy'ego, w ramach której żądał, aby brytyjski rząd traktował więzionych członków IRA zgodnie z konwencją genewską. Kampanię przerwano i ośmieszono Thomasa, gdy się okazało, że konwencja genewska zezwala walczącym rządowi przeprowadzać egzekucje na żołnierzach wroga pojmanych w strojach cywilnych, co oznaczało, że ustawa Tommy'ego stanowiłaby amerykańskie przyzwolenie na zabijanie każdego żołnierza IRA, jakiego Brytyjczycy by uwięzili. Tej propozycji jednak nigdy nie traktowano poważnie; miała jedynie pokazać wyborcom, że Tommy miał serce we właściwym miejscu, nawet jeśli umysł wydawał się błądzić w przestrzeni kosmicznej.

Podąłem wycinek z gazety Halilowi.

– Kongresmani tacy jak O'Shaughnessy robią wiele szumu, ale naród amerykański posłucha prezydenta.

Jeżeli Saddam Husajn nie opuści Kuwejtu, będziecie mieli swoją wojnę.

– Boże spraw, żebyś się nie mylił – stwierdził Halil.

– Pragnę tego, żeby ciała amerykańskich żołnierzy były pożywieniem pustynnych szakali przez wiele lat. Na piaskach Kuwejtu, Shanahan, ujrzemy pogńębienie Ameryki i glorię islamu.

Nie odezwałem się. Trzymałem nad stołem wycinek, aż Halil pochylił się i go ode mnie odebrał. Sięgnął po niego zdrową lewą ręką i w tym momencie dowiedziałem się, kim był i dlaczego Shafiq tak bardzo się go obawiał. Poczulem takie samo przerażenie, ponieważ ten człowiek, ten niepozorny mężczyzna, ten uparty ignorant nienawidzący Ameryki i samozwańczy znawca łodzi, miał na nadgarstku kobiecy zegarek marki Blancpain.

To był il Hayaween.

Zegarek Blancpain jest kosztownym mechanizmem oprawionym w cudownie cienką kopertę ze złota i platyny. Oprócz tego, że jest niewielkich rozmiarów, nie jest jakoś wyjątkowo kobiecy. Prezentował to, czym był: delikatnym i nadzwyczaj eleganckim zegarkiem.

Był bardzo kosztowny. Wiedziałem to, bo sam go kupiłem. Nabyłem go pięć lat wcześniej w Wiedniu, gdzie spotkałem się z Shafiqiem w kawiarni hotelu Sacher.

Było to wczesnym wiosennym popołudniem, które Shafiq spędzał nad *sachertorte* do chwili, gdy musiał się udać na lotnisko. Zapewne rozmawialiśmy na jego ulubiony temat, czyli o kobietach, gdy nagle upuścił widelec i zaklął po arabsku. Następnie spanikowanym głosem zaczął mówić po francusku.

– Miałem kupić prezent! Boże, zupełnie zapomniałem. Paul, pomóż mi. Proszę!

Twarz mu pobladła.

Przez kolejne godziny gorączkowo szukaliśmy w Wiedniu jubilera, który ma w ofercie zegarki marki Blancpain. Naśmiewałem się z jego zaniepokojenia do czasu, gdy wyjaśnił mi, że zegarka zażyczył sobie legendarny il Hayaween, a ofiarodawcą miał być sam pułkownik Kadafi. Wtedy zrozumiałem, jaką cenę Shafiq może zapłacić za niezrealizowanie zadania.

Nasze poszukiwania wydawały się skazane na porażkę.

Okazy marki Blancpain nie są takie jak inne zegarki – są staromodnymi, mechanicznymi, ręcznie wykonanymi precjozami szwajcarskimi, w których nie ma ani grama szkodliwego kwarcu lub kwasu z baterii i takie wyjątkowe cacka trzeba było zamawiać. Sklepy już zamykano i Shafiq był bliski rozpacz, gdy w jednej z uliczek w pobliżu katedry św. Stefana znaleźliśmy taki zegarek. To był rzadki okaz, drogi i przepiękny, ale niestety damski.

– Myślisz, że się zorientuje? – zaniepokoił się Shafiq.

– Nie wygląda na szczególnie kobiecy – odparłem.

– Jest tylko dosyć mały.

– Słodki Jezu! – Shafiq lubił chrześcijańskie bluźnierstwa, które wydawały mu się bardziej eleganckie od islamskich przekleństw. – Jeśli zegarek okaże się zły, on mnie zabije, Paul!

– A jeśli nie przywieziesz żadnego zegarka?

– Kadafi osobiście urznie mi jaja!

– Weźmiemy ten zegarek – odezwałem się do sprzedawcy i podałem mu kartę kredytową.

A teraz ten sam zegarek widziałem na nadgarstku Halila i wiedziałem, kim był ten człowiek. To il Hayaween. To nie było jego prawdziwe imię, podobnie jak Halil ani Daoud Malif, jak nazywano go w zachodniej prasie, jeżeli nie posługiwano się jego przydomkiem. Il Hayaween to arab-

ska obelga oznaczająca „zwierzę”; pierwszą sylabę wypowiada się z mocnym wydechem, ale nikt nie odważyłby się rzucić tego słowa w twarz Haliłowi, bo w mrocznym świątku terroryzmu uchodził on za najślawniejszego, najgroźniejszego i najśmielszego ze strasznych ludzi wywodzących się z obozów dla palestyńskich uchodźców. W panteonie bóstw śmierci il Hayaween był najważniejszym bożkiem, bezwzględny zabójcą, który dał nadzieję swojemu wywłaszczonemu narodowi. Wśród ryszotków Gazy i w gettach Hebronu uchodził za tego, który zaprowadzał sprawiedliwość; był człowiekiem, którego bali się Izraelczycy i Amerykanie. Dzieci w obozach dla uchodźców uczyły się historyjek wysławiających postać il Hayaweena; o tym, jak zastrzelił izraelskiego ambasadora w ogrodzie herbacianym w Genewie, jak podłożył bomby w nocnym klubie we Frankfurcie, w którym gościli amerykańscy żołnierze, jak porwał izraelski szkolny autobus i zaszlachtował pasażerów, i o tym, jak uwalniał palestyńskich więźniów w Omanie.

Gdy wroga Palestyny spotykało jakieś nieszczęście, jemu przypisywano autorstwo, dlatego też gdy płonący samolot spadł z nieba nad Szkocją, Palestyńczycy chichotali, twierdząc, że il Hayaween znowu działa. Niektórzy zachodni dziennikarze wątpili w jego istnienie, twierdząc, że osoba tak wszechpotężna jak on musi być mitem stworzonym z pragnień sfrustrowanego narodu, ale on żył naprawdę i to właśnie z nim rozmawiałem w salonie francuskiego jachtu w porcie w Monastyrze.

Nie myślałem jasno; jeszcze nie. Terroryści żyją w wypaczonym świecie. Ich pole widzenia jest zdominowane i zaciemnione przez cele, i wszystko, co chodzi lub pełza po tej ziemi, jest postrzegane w relacji do celu; nic nie jest zbyt odległe, zbyt trywialne czy niewinne, by uciec od tego odniesienia do sprawy. Dlatego też dla człowieka takiego jak il Hayaween gra w baseball nie jest formą spędzania wolnego czasu, ale dowodem na to, że Amerykanie nie przejmują się potworną zbrodnią wyrządzoną narodowi palestyńskiemu; co gorsza, jest to dowód, że Amerykanie celowo nie chcą się zająć tą zbrodnią i wolą oglądać mecz rozgrywany za pomocą piłki i pałek. Z tego też powodu zabicie widzów oglądających rozgrywki jest czynem usprawiedliwionym, ponieważ może skłonić resztę Amerykanów do zrozumienia prawdy. Terroryści wierzą, że spłynęła na nich łaska poznania owej prawdy i patrzą na wszystko na tym świecie przez zniekształcające rzeczywistość okulary.

Być może w takim wypaczonym świecie płacenie za broń łodzią wypełnioną złotem wydaje się sensowne.

I ryzykowanie tym złotem w czasie podróży przez Atlantyk ma sens.

I pozwolenie palestyńskiemu terroryście na wybranie jachtu ma sens.

Jak też zaangażowanie najślawniejszego palestyńskiego zabójcy w tę transakcję zakupu stingerów dla Irlandii Północnej ma sens.

A może nie ma?

Halil wsunął złożony wycinek z gazety do kieszeni.

Jego papieros wypalił się, więc przypalił następnego, zanim znowu spojrzął mi w oczy.

– Shanahan – odezwał się z nutką obrzydzenia. – Przeniosłeś się do Irlandii, gdy miałeś dwadzieścia siedem lat, tak?

– Tak.

– Przez rok mieszkałeś w Dublinie, a potem dwa lata w Belfaście.

– Tak.

– Wstąpiłeś do Provisional IRA?

– Po to pojechałem do Irlandii.

– Provisional IRA kazała ci mieszkać w Europie kontynentalnej?

– Dlatego, że łatwiej tam mieć kontakt z zagranicznymi grupami.

– Sześć lat później organizacja przestała korzystać z twoich usług. Dlaczego?

Domyśliłem się, że ten człowiek znał już wszystkie odpowiedzi i że to przesłuchanie nie służyło zdobyciu przez niego informacji, ale spowodowaniu, bym się poczuł niezręcznie.

– Z powodu kobiety – odpowiedziałem.

– Roisin Donovan. – Pozwolił, by to imię zawisło w gęstniejącej atmosferze. – Amerykańskiej agentki.

– Tak mówią – odparłem, starając się, by zabrzmiało to neutralnie.

– Wierzysz w to, że była w CIA?

Pokręciłem głową.

– Nie.

– Dlaczego?

– Przypuszczam, że CIA ostrożniej dobiera swoich pracowników. Roisin była osobą impulsywną i pełną zapiekłej złości, o isticie wybuchowym temperamencie. Raczej nie nadawała się na powierniczkę tajemnic.

– A ty?

Zaśmiałem się.

– Żaden rząd nie powierzyłby mi tajemnicy. Jestem draniem. Urzędnicy państwowi wybierają ludzi takich, jak oni sami: nudnych, przewidywalnych i bezpiecznych.

Halil podniósł do ust drżącego papierosa. Jego dłoń trzęsła się, gdy wciągał dym i gdy odkładał papierosa na popielniczkę.

– Ci agenci, o których mówiła, byli inni. Wcale niebyli przewidywalni.

Milczałem.

Obserwował mnie. Słyszałem, jak fały uderzały o metalowy maszt; słyszałem nawet cichy dźwięk tykania sekundnika chronometru umieszczonego nad stołem nawigacyjnym za moimi plecami.

– Ci agenci – Halil przerwał długą ciszę – byli przysyłani z Ameryki i nie mieli żadnych więzi z domem. Spędzali z dala od kraju wiele lat, nie kontaktując się z kwaterą główną, nie meldując się w ambasadzie, nie zachowując się ani trochę jak agenci. Tylko obserwowali i słuchali, aż pewnego dnia znikali. – Wykonał dłonią gwałtowny gest. – Wracali do domu ze swoimi tajemnicami i nikt ich nigdy więcej nie widział.

– To były wymysły Roisin.

– Wymysły? – To słowo zabrzmiało w jego ustach złowrogo.

– Ona wymyślała różne historie. Była w tym dobra.

– Oskarżyła cię o to, że byłeś takim agentem... – Zamilkł, szukając w myślach definicji. – Agentem, który nie istnieje – dokończył wreszcie.

– Powiedziałem już, że to zmyśliła.

Roisin rzeczywiście oskarżyła mnie o to, że byłem takim supertajnym agentem. To był sprytny pomysł, nie do odparcia. Twierdziła, że CIA wysyła za granicę agentów, których nic nie łączy z domem. Nie istniały żadne więzi prowadzące z powrotem do Ameryki, żadne tropy; nie było nawet kryptonimów. To byli agenci specjalni, niewykrywalni, tajni i tacy, którzy nie istnieli.

– Zmyśliła to – powtórzyłem. – Wymyśliła całą tę historię.

Halil przyglądał mi się i mnie oceniał. Zdawałem sobie sprawę, jakie przerażenie tego rodzaju pomysł mógł budzić w terroryście. Terroryzm funkcjonuje dzięki temu, że łamie zasady, lecz gdy władze gwałcą reguły, terroryści odczuwają wówczas przemożny strach. Gdy Brytyjczycy zastrzelili na Gibraltarze trzech członków IRA, cały ruch zadrżał, ponieważ Brytole z reguły nie powinni najpierw strzelać, a potem zadawać pytania; zgodnie z określonymi procedurami powinni wpierw dokonać aresztowań i wyznaczyć adwokatów z urzędu. Oni zaś zachowali się jak terroryści, co przeraziło IRA; tak samo Halil obawiał się, że w jego organizacji mogą istnieć zdrajcy, których nie uda się złapać, ponieważ nigdy nie nawiązują kontaktu ze swoimi prawdziwymi mocodawcami. Tacy agenci, którzy nie istnieją, zachowywaliby się jak terroryści, myśleliby jak terroryści, wyglądałoby, pachnieli i byłiby jak prawdziwi terroryści, do czasu owego fatalnego dnia, w którym by po prostu znikali, zabierając ze sobą wszystkie tajemnice.

Il Hayaweenowi te dawne oskarżenia spędzały sen z powiek.

– Twoja kobieta twierdziła, że CIA wprowadziła do Provisional IRA długoterminowego agenta, którego zadaniem specjalnym było wykrycie związków organizacji z innymi grupami terrorystycznymi. – Zawiesił głos. – To mogłeś być ty.

– Była zdesperowana, gotowa oskarżyć wszystkich o wszystko. To była zasłona dymna służąca zatuszowaniu oskarżeń padających pod jej adresem. Skąd, u diabła, mogłaby wiedzieć takie rzeczy? – Zauważyłem, że to pytanie zrobiło na Halilu wrażenie, więc ciągnąłem wątek. – Myśli pan, że CIA powiedziało jej o agentach, którzy nie istnieją? A może przeczytała o tym w „Newsweeku”?

– Może też ty powiedziałeś jej o tym w łóżku?

Zaśmiałem się. Nie miałem nic do powiedzenia.

Zastanawiał się przez kilka chwil nad moją reakcją.

Śmianie się z Halila nie było z mojej strony zbyt mądre, bo bardzo łatwo urazić dumę tego człowieka, a wówczas płaciło się za to życiem, tym razem jednak uszło mi to płazem.

– Oskarżyła cię o to, że zdradziłeś człowieka.

To był zarzut łatwy do odparcia.

– Nie wiedziałem, gdzie przebywał Seamus Geoghegan, więc nie mogłem go zdradzić. Gdy to się stało, byłem w Libanie, a jego złapano w Belfaście.

Seamus był gwiazdą Provisional IRA, irlandzkim odpowiednikiem il Hayaweena i to Roisin wydała go Brytyjczykom. A przynajmniej Brytole tak twierdzili i właśnie to ich stwierdzenie wykończyło Roisin. W odpowiedzi obwiniła mnie, ale to ona zginęła.

To jej oskarżenie odbijało się echem po tylu latach.

Ci ludzie mnie jednak potrzebowali, a raczej moich umiejętności żeglarza, niemniej cały czas niepokoił się, że mogę nie być tym, kim się wydaje. Próbowałem uspokoić Halila.

– Utrzymałem swoje tajemnice przez cztery lata, choć nie miałem przed sobą perspektyw, że odzyskam zaufanie. Gdybym był agentem CIA, czy nie zrezygnowałbym dawno temu i nie wrócił do domu?

– Dziewczyna kłamała?

Halil chciał wierzyć w moje zaprzeczenie. Gdyby na poważnie brał tę dawną historię, nie pozwoliłby mi się zbliżyć do siebie na odległość piętnastu kilometrów, ale mimo wszystko wolał się upewnić.

– Roisin wszędzie widziała spisek. Była kobietą bardzo destrukcyjną i z tego właśnie powodu zdradziła Seamusa Geoghegana.

Zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

Dobry Boże, pomyślałem. Jak miałem rozmawiać z terrorystą o psychologii?

– Seamus boi się kobiet. Jest najodważniejszym człowiekiem, jaki urodził się w Irlandii, ale nie ma odwagi zaprosić dziewczyny na potańcówkę, ponieważ jest zdania, że wszystkie kobiety są idealne, a niemal każda to Dziewica Maryja. Podejrzewam, że Roisin próbowała go uwieść. Nie udało jej się to, więc go ukarała.

Nie potrafiłem znaleźć innego wytłumaczenia. Seamus był jednym z moich najbliższych przyjaciół – być może nadal nim był, choć minęły cztery lata, odkąd widziałem go po raz ostatni. Przebywał w Ameryce, gdzie ukrywał się przed zemstą Brytyjczyków. Został zdradzony, aresztowany, oskarżony i skazany, ale rok później w ramach genialnie zaplanowanego zamachu IRA, zdołał uciec z obozu w Long Kesh. Roisin wtedy już nie żyła; dostała kulę w tył czaszki za zdradzenie Seamusa.

– Widziałeś jej śmierć? – zapytał Halil.

– Tak.

Zginęła w Libanie, gdzie brała udział w szkoleniu terrorystów w obozie Hasbaya. Roisin bardzo zabiegała o to, żeby IRA wysłała ją na ten kurs i właśnie to jej silne dążenie zrodziło podejrzenia, że planowała zdradzić obóz tak samo, jak Seamusa. Dlatego też, wyświadczając przysługę irlandzkim sojusznikom oraz sobie, Palestyńczycy zorganizowali jej egzekucję.

– Nie próbowałeś w tym przeszkodzić?

– Dlaczego miałbym to robić? – Zdobyłem się nawet na słaby bezduszny śmiech.

– Bo ją przecież kochałeś?

– Zdradziła mojego przyjaciela – odparłem.

Powróciło do mnie nagle, trujące wspomnienie owego ułamka sekundy, kiedy to jaskrawa krew z przestrzelonej czaszki Roisin spłynęła na żółte kamienie. Miałem czerwono-białą arafatkę, którą obwiązałem sobie twarz, ponieważ gorący wiatr zwiewał ze wzgórza tumany drobnego piachu. Dzięki tej arafatce Roisin mnie nie poznała, co stanowiło niewielką łaskę. Przez krótką chwilę, gdy muchy zebrały się na krawędzi śmiertelnej rany, podejrzewałem, że ja również zostanę stracony za ohydny zbrodniczy bój Amerykaninem; zamiast tego dostałem szorstkie polecenie pochowania ciała. Później Palestyńczycy wypytali mnie o Roisin, starając się wykryć, jak dużo wiedziała i co mogła przekazać swoim zwierzchnikom w Waszyngtonie.

Uspokajałem ich jak mogłem i oczyszczony ze stawianych przez nią zarzutów, ale pozbawiony pełnego zaufania, zostałem odsunięty na mroczną bocznice i dostawałem tylko błahę zadania.

Tak było do tej chwili, gdy Halil miał zdecydować o mojej winie lub jej braku w cieniu dawnego podejrzenia. I gdy mi się przyglądał, zastanawiałem się ponownie, dlaczego człowiek o takiej reputacji zajął się sprawą tak w końcu błahą jak sześć okupowanych hrabstw Irlandii Północnej. Śmierć kilku Brytoli na tej grząskiej wyspie nie mogła mieć wielkiego znaczenia w rzeczywistości il Hayaweena, a już z pewnością nie w czasie, gdy świat Arabów znalazł nowego czempiona, który mógł wymachiwać sztandarem islamu przed oczami znienawidzonych Amerykanów.

Być może Halil wyczuł, że jego zainteresowanie budzi we mnie niezdrową ciekawość, ponieważ nagle machnął lekceważąco dłonią.

– Przyjrzyj się łodzi – rzucił bezceremonialnie – i wypowiedz się na jej temat.

Wyglądało na to, że moja sugestia wykorzystania łodzi motorowej nie spotkała się z jego aprobatą, tak więc pod okiem milczącego Shafiqa, Halila i jego dwóch ochroniarzy zwiedzałem „Corsaire”. Nie miałem dość czasu, by zrobić porządny przegląd, uznałem jednak, że łajbę wykonano solidnie i była dobrze utrzymana. Grotzagiel był zwinięty wewnątrz aluminiowego masztu, a duża genua leżała pod pokładem, chroniona przed ostrym słońcem. Kadłub wykonano z włókna szklanego, a pokład z drewna tekowego. Porządny, nadmuchiwany ponton leżał zwinięty w schowku na rufie, razem z elektryczną pompką służącą do napełniania go powietrzem. To była rozsądnie skonstruowana łódź i jedyną jej cechą, która mi się niezbyt podobała, był silnik – choć miał moc sześćdziesięciu koni mechanicznych, to był benzynowy – ale odpalił bez problemu, jak tylko podłączyłem akumulator i przekręciłem kluczyk.

Szperałem w pomieszczeniach pod pokładem. Wiele rzeczy francuskiego właściciela nadal się tam znajdowało; w kabinie rufowej znalazłem jego sweter, pod księgami locji były schowane: opróżniona do połowy butelka brandy, egzemplarz „Playboya”, dwie puszki sardynek, puszka z cukrem, śpiwór, biustonosz od bikini i zepsute okulary przeciwsłoneczne. Podniosłem podłogę w kabinie głównej i w zębie zobaczyłem upchane elastyczne zbiorniki na wodę, pomiędzy którymi leżała rozkładająca się padlina szczura – źródło smrodu na jachcie. Białe kawałki trutki leżały na błyszczących śrubach mocujących kil. Wyciągnąłem cuchnące szczątki i ku obrzydzeniu Shafiqa wyniosłem je na pokład, skąd wrzuciłem do wody.

– Podoba ci się łódź? – zapytał Halil.

– Wolałbym silnik Diesla.

– Dlaczego?

– Opary benzyny wybuchają. Ropa jest bezpieczniejsza. Ale damy radę.

Komora silnikowa była dobrze wentylowana i wyposażona w automatycznie uruchamiane gaśnice podłączone do systemu wykrywania gazu, tak więc nawet w przypadku mało prawdopodobnego pożaru, „Corsaire” pewnie by przetrwała.

– To nie jest zła łajba – stwierdziłem nie całkiem szczerze.

Przecież była o wiele lepsza; to była elegancka, ładnie wykonana konstrukcja, a sądząc po jej szerokości i wysokich kabinach, była też przypuszczalnie stabilna.

Wyposażono ją z myślą o długich wyprawach, bo obok drogich instrumentów nad stołem nawigacyjnym zamontowano także radio jednopa-smowe.

– Można nią popłynąć do Ameryki? – spytał mnie Halil.

Siedział w centralnym kokpicie, w pobliżu wielkiego koła sterowego.

– Jasne – odpowiedziałem wesoło. – O ile zostanie właściwie przygo-towana.

– To znaczy? – Halil był podejrzliwy.

– Zaczniemy od tego, że muszę ją wyciągnąć z wody i wyszorować ka-dłub. Przyda się też kilka warstw dobrej farby antyporostowej. Następnie trzeba zgromadzić zapasy i prowiant na trzy miesiące podróży. Podobno ma ze mną płynąć dwóch Irlandczyków, więc będę potrzebował jedzenia dla nich i...

– Zrób listę – przerwał mi Halil.

– Potrzebna jest tratwa ratunkowa, mapy...

– Zrób listę – powtórzył niecierpliwie.

– No i dokumenty! – ostrzegłem go. – Muszę mieć potwierdzenie za-kupu, tunezyjskie zezwolenie na odprawę celną, papiery ubezpieczenio-we...

– Zrób listę! – warknął znowu.

Shafiq położył mi trzęsącą się dłoń na ramieniu.

– Paul, chyba będzie mądrze, jeśli sporządzisz listę.

I przyślemy po ciebie, gdy łódź będzie gotowa.

– Dlaczego ja nie mogę jej przygotować? – zapytałem. – Przecież będę nią płynął.

– My ją przygotujemy – Halil odpowiedział beznamiętnie i twardo. – Proszę zrobić listę, panie Shanahan.

Tej nocy spałem na pokładzie „Corsaire”, a rano wziąłem się za spi-sywanie listy. Była bardzo długa i obejmowała nie tylko wiktuały potrzeb-ne trzem ludziom w czasie podróży przez Atlantyk, ale także sprzęt ratun-kowy oraz artykuły żeglarskie. Halil pojawił się o zmierzchu i przejrzał mo-je ręcznie sporządzone notatki.

Większość pozycji na liście była oczywista: jedzenie, woda, paliwo, śpiwory i sprzęt nawigacyjny. Na widok innych zmarszczył brwi.

- Maty z włókna szklanego? Żywica? Biała farba?
- Pomogą ukryć złoto. Położymy nową podłogę w zęzie.
- Zbiorniki na wodę? Trzycalowe elastyczne rury?

– Ukryjemy złoto tam, gdzie w tej chwili są zbiorniki na wodę, więc potrzebujemy nowych, dopasowanych kształtem do miejsc, w których je umieścimy.

Chyba nie chcemy, żeby celnik zastanawiał się, dlaczego wsadziliśmy podłużne zbiorniki do sześciennych szafek? Potrzebuję rur, żeby doprowadzić wodę na rufę.

- Ołowiane ciężary?
- Zmieniamy przegłębienie jachtu, więc trzeba będzie to zrównoważyć.

Gładko łączyłem kłamstwa z prawdą, ale przecież miałem w tej grze taką samą praktykę, jak il Hayaween, a może nawet większą. Wszyscy mamy swoje tajemnice i dlatego właśnie zaufanie jest taką rzadkością.

- Wszystko będzie przygotowane – oznajmił beztrósco.

Przespałem na pokładzie jachtu także kolejną noc.

Rankiem ponownie zaproponowałem, że mogę zostać i pomóc szykować łódź, ale Halil był nieugięty i twierdził, że moja obecność w Monasterze mogłaby wzbudzić podejrzenia. Obstawał przy tym, że będzie lepiej, jeśli poczekam w swoim domu w Belgii.

- Ile to potrwa?
- Zebranie monet może zająć miesiąc. Może więcej, może mniej.

Mówił z taką swobodą, a pamiętałem przecież, jak Brendan Flynn zapewniał mnie, że złoto jest już przygotowane, Michael Herlihy zaś popędzał mnie, żeby udało się dostarczyć stingerów do Irlandii jako prezent wielkanocny dla Brytoli. Beztróskie słowa Halila tylko nasiliły jeszcze bardziej dysonans i kakofonię dźwięków otaczającą sprawę stingerów.

W tym nerwowym świecie było już mnóstwo niewspółgrających ze sobą dźwięków. W Iraku i Arabii Saudyjskiej brzęczały miecze, na Zachodnim Wybrzeżu i w Jordanii Palestyńczycy zawodzili już na temat zbliżającego się zwycięstwa pod sztandarami islamu, w Irlandii Północnej zaś zgniłozielone śmigłowce warczały na szarym niebie. Miało się wrażenie, że świat szykuje się do wojny. Poleciałem do domu w Nieuwpoort.

Po powrocie do Belgii odespałem zmęczenie po dwóch przelotach nad Atlantykiem, następnie poinformowałem Hannę, że zamykam Nordseem, Przeprowadzanie jachtów, Naprawy i Rzeczoznawstwo.

– Co robisz? – zapytała Hanna.

– Jestem zmęczony pracą, Hanno. Potrzebuję wypoczynku. Postanowiłem kupić żaglówkę i zostać morskim cyganem.

– To sprawka Sophie, tak? – Hanna nigdy jej nie zaakceptowała i była przekonana, że przez moją byłą kochankę pomieszało mi się w głowie. – A co ze zleceniami z Rotterdamu? – Jej flamandzki umysł nie był w stanie ogarnąć takiego braku odpowiedzialności; porzucić pracę dla przyjemności?

– Zajmę się tymi trawlerami.

To były dwie łodzie z Rotterdamu, które zgodziłem się przejrzeć. Takie zajęcie było mi potrzebne w okresie oczekiwania na wezwanie od Haliła. Jednak chciałem być gotów do natychmiastowego wyjazdu, gdy już ono przyjdzie.

– A co z tym panem Shafiqiem? – Hanna spytała podejrzliwie.

– Chodzi ci o to, czy podejmę się zlecenia? Tak.

– Mam mu wysłać szacunek kosztów? Zapisać jakieś daty w kalendarzu?

Czekała z przygotowanym ołówkiem, aczkolwiek wiedziałem, że jej profesjonalizm był zasłoną dla zainteresowania. Umierała z ciekawości i pragnęła wiedzieć, kim był Shafiq i dlaczego latałem z nim po świecie; nie mogłem jej tego wyjaśnić. Nie wiedziała absolutnie nic o moim starym świecie z IRA, Libijczykami, nocnymi morskimi dostawami i strzelaninami w wyschniętych dolinach, i chciałem, żeby tak pozostało. Zamierzałem też zarobić w nadchodzących tygodniach fortunę, ale to również musiałem przed Hanną ukryć. Naprawdę wycofywałem się z interesów, lecz nie mogłem jej o tym powiedzieć.

Zamiast tego obarczyłem Hannę opieką nad kotem, zamknąłem konta bankowe i zacząłem szukać łodzi.

Szukałem czegoś bardzo konkretnego: mierzącego trzynaście i pół metra jachtu zarejestrowanego w Ameryce, ale wystawionego na sprzedaż w Europie.

Aby go zdobyć, wysłałem faksy do jacht-brokerów w sześciu krajach i przeglądałem ogłoszenia zamieszczone na ostatnich stronach wszystkich

europijskich czasopism o tematyce żeglarskiej. Nie ośmieliłem się zapytać wprost o to, czy właściciel jest Amerykaninem, bo obawiałem się, że mogłoby to obudzić niezdrową ciekawość co do moich motywów, lecz pytając o port macierzysty, byłem w stanie odsiać wszystkie łodzie nie pochodzące ze Stanów. Wydawało mi się, że znalazłem to, czego szukałem w niemieckim porcie Langeoog, ale łajba, choć należała do Amerykanina, nie miała certyfikatu rejestracyjnego ani dokumentacji od straży przybrzeżnej.

– Czy to naprawdę jest ważne? – zapytał broker, korpulentny Fryz. – Nie jesteśmy tu tak drobiazgowi.

Ja jednak byłem, więc szukałem dalej i wreszcie, tuż przed Halloween, biuro z Cork w Irlandii przysłało mi dane amerykańskiego kutra cumującego w porcie Ardroom przy ujściu rzeki Kenmare.

Wręczyłem Hannie klucze od swojego mieszkania i kazałem jej przysiąc, że będzie każdego dnia sprawdzała faks i automatyczną sekretarkę, następnie poleciałem do Cork, gdzie wynająłem samochód i pojechałem do portu Ardroom. Pożyczyłem łódkę od rybaka i dopłynąłem do jachtu.

To była niejaka „Rebel Lady”^{*} i prawie nie śmiałem jej oglądać, na wypadek, gdyby moje pierwsze wrażenie okazało się błędne. A było takie, że wydawała mi się idealna.

„Rebel Lady” skonstruowano w Ameryce. Łódź należała do Amerykanina, miała trzysta i pół metra długości i ostrą rufę; było widać, że zmagająca się już ze wzburzonym morzem. Zaprojektowano ją z myślą o długich wyprawach, ponieważ przy rufie kręcił się wiatrak generatora wiatrowego umieszczonego obok skomplikowanego samosteru. Mewy upstrzyły ją swoimi odchodami, a czarny pas linii wodnej porastały chwasty, ale choć była taka brudna, wyglądała na prawie nową. Do want na prawej burcie przywiązano ręcznie nabazgrany szyld „na sprzedaż”. Nazwę portu macierzystego, podobnie jak wyzywającą nazwę jachtu, wymalowano eleganckimi czarno-złotymi literami – tym portem był Boston. „Rebel Lady” miała nawet numery rejestracyjne stanu Massachusetts wymalowane na dziobie, co oznaczało, że jeżeli papiery były w porządku, łódź będzie się doskonale nadawała do moich celów.

Znalazłem kluczyki w szafce, w której broker kazał mi szukać i wszedłem do salonu, w którym pachniało stęchlizną, zbutwiałymi ubraniami i solą. Łódź wyglądała tak, jakby załoga opuściła ją nagle, bo na kuchence stał czajnik, a w do połowy napełnionym wodą zlewie leżały dwa plastikowe talerze. Przy koi na lewej burcie leżał przewrócony na bok trampek, a

^{*} Zbuntowana Dama (przyp. tłum.).

na stole w kabinie walała się bluza reklamowa restauracji w Scituate, w stanie Massachusetts. Na belce pod daszkiem kabiny były zawieszane eleganckie mosiężne instrumenty: posłusznie tykający chronometr, który, rzecz jasna, nie pokazywał dokładnego czasu z Greenwich oraz barometr, termometr i higrometr mierzący wilgotność powietrza, co miało być pomocne w przewidywaniu pojawienia się mgły. Nad stołem nawigacyjnym znajdowała się sonda mechaniczna, radio VHF, dziennik pokładowy, wskaźnik prędkości i kierunku wiatru, kompas oraz drogi odbiornik sygnału Loran. Również nad stołem, w rzędzie pośród innych książek, dostrzegłem tradycyjnie żółty grzbiet *Eldridge's Tide and Pilot Book* i na ten widok poczułem przejmujące ukłucie tęsknoty za domem. Nie mogłem się oprzeć i wziąłem do rąk często używaną książkę, przewracając znane mi strony z tabelami dotyczącymi przyływów i odpływów w Bostonie, z tabelą prądów w kanale Cape Cod oraz mapami prądów pływowych w Buzzards Bay i Nantucket Sound. Ta książka przypomniła mi, że już zbyt długo jestem z dala od rodzinnych wód; siedem lat to za długo.

Usiadłem na obrotowym krześle przy stole nawigacyjnym „Rebel Lady” i pomyślałem o tym, jak wspaniale by się nią żeglowało po wodach Cape Cod; dobrze by było popłynąć nią na wschód do Maine lub daleko na południe do Chesapeake Bay. Zamknąłem oczy i słuchałem plusku wody uderzającej o burty i ten dźwięk przypomni mi, że pływanie tą łodzią będzie się wiązało z samotnością. Niech diabli wezmą Roisin, pomyślałem, za wszystkie zrujnowane marzenia. Trzynastoipółmetrowa łódź była za długa dla samotnika. Wystarczyłby mi mały catboat, żebym mógł pływać samotnie w rejonie Nantucket Sound, ale to „Rebel Lady” kupię i to ona pewnego dnia będzie moją łajbą na czas emerytury, moim samotnym domem z dala od domu w Cape Cod.

Zadzwoiłem do brokera z automatu w barze w Ardroom i dowiedziałem się, że „Rebel Lady” należała do amerykańskiego lekarza, który wziął urlop naukowy i wraz z trzema synami przyплыł szukać rodzinnych korzeni w Irlandii. Odkrył jednak, że letniego pływania po zalanych słońcem wodach w pobliżu Bostonu nie da się tak łatwo przełożyć na zmaganie się na Atlantyku z wichurą o sile dziewięciu stopni w skali Beauforta. Cierpiąc na chorobę morską, roztrzęsiony i przerażony doktorek z pękniętym nadgarstkiem i złamanym żebrem zdołał jakoś dobić do irlandzkiego brzegu, gdzie przysiągł, że już nigdy więcej nie postawi nogi na małej łodzi. Razem z synami poleciał do domu komfortowym Boeingiem 747 linii Aer Lingus i porzucił „Rebel Lady”, która kołysała się zacumowana w porcie Ardroom.

– Weźmie za nią tyle, ile pan da – broker poinformował mnie z po-
krzepiającą szczerością. – Niemniej wstyd by było zapłacić za nią mniej niż
siedemdziesiąt pięć tysięcy irlandzkich funtów. To przecież porządna łaj-
ba. Szkoda tylko, że zielona – biadolił, bo w Irlandii zieleń uchodzi za nie-
szczęśliwy kolor dla łodzi.

Mało mnie obchodziły irlandzkie przesady. Interesowały mnie amery-
kańskie dokumenty.

– Na pewno ma wszystkie papiery?

– Jak już mówiłem, mam je u siebie. Ci Amerykanie lubią biurokra-
cję. Mam nawet oryginalny dowód sprzedaży. Łódź ma niespełna dwa lata
i miała tylko jednego właściciela.

– Jak się nazywa właściciel?

– O’Neill. Doktor James O’Neill. Wspaniały z niego człowiek, ale chy-
ba lepszy lekarz niż żeglarz. Tak myślę.

To była delikatna krytyka, bardzo irlandzka w tym połączeniu jej z
komplementem.

– Zapłacę gotówką – poinformowałem. – Jeśli to panu odpowiada.

– Może być – odpowiedział ostrożnie.

Boże, jasne, że mu to odpowiadało. Unikanie płacenia podatków jest
w Irlandii sportem narodowym, a ja właśnie zagwarantowałem mu rekor-
dowy rok.

– Powiedzmy, siedemdziesiąt tysięcy? – Musiałem zabrać mu trochę
radości.

Milczał przez sekundę.

– Stoi, panie Stanley.

Przedstawiłem się jako Henry Stanley.

Wróciłem do portu, gdzie wiatr zmienił się nagle na zachodni i bił
pianę na powierzchni szarej wody, zsyłając nad port ostry deszcz znad
oceanu. Popłynąłem na „Rebel Lady”, wyrzuciłem za burtę żaloszny szyld z
napisem „na sprzedaż” i nożem do takielunku oderwałem plakietkę pro-
ducenta z boku daszku kabiny. Spisałem numer identyfikacyjny kadłuba
z pawęży oraz numer seryjny silnika. Następnie, ociekając wodą z powodu
nagłej ulewy, wróciłem do Cork, gdzie w mrocznym barze uraczyłem bro-
kera kuflem stouta i zapłaciłem mu za łódź siedemdziesiąt tysięcy irlandz-
kich funtów. To była kradzież w biały dzień, ale doktor James O’Neill i tak

będzie zadowolony, że pozbył się przyczyny tak wielu jego cierpień. Historia stara jak świat: ludzie kupują sobie łajby w ramach realizacji marzeń, ale po jednokrotnym przepłynięciu przez ocean ich marzenia zamieniają się w koszmar. Wyspy na Atlantyku, takie jak Azory czy Wyspy Kanaryjskie słyną z tego, że można tam znaleźć świetne okazje: jachty porzucone po przepłynięciu pierwszego etapu zaplanowanej podróży.

Broker, który bez wątpienia miał zgarnąć sporą prowizję, z radością liczył banknoty.

– Kupił pan dobrą łódź, panie Stanley – stwierdził, gdy wpychał plik banknotów do kieszeni marynarki i patrzył z nadzieją na moje dłonie, kiedy odliczyłem kolejne funty irlandzkie i położyłem je na stole. – A to za co, jeśli wolno spytać, panie Stanley?

– Płacę panu za opiekowanie się łajbą. Proszę zdemontować maszt, następnie wyciągnąć ją na brzeg i wyszorować. Potem proszę ją przykryć brezentem.

Dam panu znać, kiedy trzeba będzie znowu zamontować takielunek i wodować łódź. Być może dopiero w przyszłe lato.

– Nie ma sprawy. – Broker zlustrował plik funtów.

– I proszę wymalować na rufie nową nazwę – dorzuciłem.

– Chce pan zmienić nazwę? – Pociągnął łyk piwa i grzbietem dłoni otarł pianę z wąsów. – To przynosi pecha, panie Stanley.

– Nie tam, skąd pochodzę. – Sięgnąłem po podkładkę pod kufel i wypisałem na marginesie nową nazwę wielkimi literami: „Roisin”. Wypowiedziałem nazwę na głos. – Trzeba też zmienić nazwę portu macierzystego. To będzie Stage Harbor. „Harbor” bez „u”*. Może pan to załatwić? Pismem gaelickim, litery mają być czarno-złote.

– Nie powinno być z tym problemu. – Przesunął kciuk po brzegu pliku funtów. – Jeśli pojawią się jakieś kłopoty, jak się z panem skontaktować?

– Te pieniądze to gwarancja, że nie powinno być trudności.

– Owszem. Zgadza się. – Banknoty zniknęły w jego kieszeni.

Wychodząc z baru, zbeształem się za bycie sentymentalnym głupcem – kazałem wymalować imię nieżyjącej dziewczyny na rufie zielonej łodzi. Kątem oka zobaczyłem odbicie swojej brodatej twarzy w lustrze w holu baru i tym razem nie odwróciłem szybko głowy.

* Harbor: „port”. W pisowni amerykańskiej bez „u”, w brytyjskiej zaś: „Harbour” (przyp. tłum.).

Zmarszczyłem brwi na ten widok, jakbym patrzył na nieznanego. Nie spodobało mi się to, co widziałem, jak zawsze zresztą. Twarz wyglądała na udręczoną, znękaną nadmiarem wyrzutów sumienia. Przypomniało mi się, jak pewnego mokrego świtu siedziałem w samochodzie z Seamusem Geogheganem; po długim milczeniu mój przyjaciel westchnął i oznajmił, że myślenie jeszcze nigdy nie uszczęśliwiło człowieka. Miał rację, a lustra skłaniały mnie do zastanawiania się nad sobą, dlatego też ich nie miałem. Lepiej było nie myśleć, nie pamiętać i nie dumać nad tym, co zrobiłem ze swoimi czterdziestoma latami życia.

Tego wieczoru zadzwoniłem do Namur w Belgii i zostawiłem wiadomość dla starego przyjaciela Teodora.

Następnego ranka, z papierami „Rebel Lady” w moim worku marynarskim, poleciałem do Barcelony. Na załatwienie tam spraw poświęciłem dwa dni. Zadzwoniłem do Hanny, jak każdego wieczoru w czasie mojej wędrówki, żeby się dowiedzieć, czy przyszły jakieś wieści z Tunezji. Nie było stamtąd żadnych wiadomości.

– Tylko ta Amerykanka ciągle próbuje się z tobą skontaktować – poinformowała mnie Hanna.

– Kathleen Donovan? Przecież mówiłem, że nie chcę się z nią spotkać.

Hanna prychnęła z dezaprobatą.

– To kiedy wracasz?

– Jutro, późnym wieczorem. Naprawdę późno.

Zobaczymy się w czwartek.

Rano poleciałem do Brukseli, odebrałem samochód z parkingu i pojechałem do Namur, gdzie czekał na mnie Teodor. Musiał zrobić zdjęcia; jedno do fałszywego prawa jazdy wystawionego w stanie Massachusetts, a drugie, w innym ubraniu i przy nieco innym oświetleniu, do fałszywego amerykańskiego paszportu.

Teodor był najlepszym fałszerzem dokumentów w Niderlandach i dostarczał mi papiery od ponad dziesięciu lat. Twierdził, że pracował tylko dla ludzi, których lubił, co odbierałem jako komplement. Był już starszym człowiekiem i gdy pracował pod jasno świecącą lampą ze szkłem powiększającym, zauważyłem, że na przedramieniu miał wytatuowany numer z obozu koncentracyjnego. Rozmawiał na wszystkie tematy, z wyjątkiem przeżyć z okresu wojny, aczkolwiek raz wyznał mi, że obóz śni mu się co najmniej trzy razy w tygodniu.

– Wybierasz się w podróż, Paul? – zapytał.

– Tak.

Sięgnął po pincetę i klej w sprayu. – Dlaczego mam wrażenie, że widzę cię po raz ostatni?

– Bo jesteś tkliwym starym głupcem.

Zachichotał i wstrzymał oddech, gdy nanosił cienką warstwę kleju na jedno ze zdjęć.

– Siwizna przyprószyła ci brodę. Starzejesz się, Paul. Zupełnie, jak ja. Dobrze! – Docisnął fotografię. – Wracasz do domu, co?

– Tak?

– Widzę, że masz już dość. Przypominasz lekkoatletę, który ma przed sobą ostatni, ale i najważniejszy wyścig. Chcesz wygrać, ale jeszcze bardziej chcesz przestać brać udział w wyścigach. Chodzi o kobietę?

– Właśnie mnie zostawiła. Rzuciła mnie dla bogatego, żonatego żabojada, który obiecał jej mieszkanie w Antibes.

– Potrzebujesz kobiety, Paul. Jesteś bardzo skrytym człowiekiem, ale nie możesz się aż tak bardzo różnić od reszty z nas. Co planujesz zrobić? Osiąść w Ameryce i nauczyć się grać w golfa?

– Jestem za młody, żeby grać w golfa.

Roześmiał się.

– Poza tym – ciągnąłem – kto powiedział, że odchodzę na emeryturę?

– Ja. Znam się na tym.

Pochylił się nad swoją pracą. Kiedyś powiedział mi, że w młodości był dobrym graczem w piłkę nożną, ale teraz miał uschniętą prawą stopę, garb i sporządzony ołówkiem szkic przedstawiający jego żonę. Zginęła w Treblince i wszystkie jej fotografie zostały zniszczone przez Niemców. Teodor wiele lat po wojnie udał się do policyjnego artysty sporządzającego portrety pamięciowe i cierpliwie współtworzył portret swojej ukochanej Ruth. Oprawione w ramki dzieło wisiało teraz nad jego biurkiem. Swego czasu wyznał mi: „Naturalnie nie była taka piękna, ale ja ją pamiętam jako jeszcze piękniejszą”.

Teraz rzucił mi spojrzenie spod gęstych, białych brwi.

– Jesteś w Europie od jak dawna? Od blisko dziesięciu lat? Niewielu ludzi wytrzymuje dziesięć lat. Nie w twojej profesji.

– Nie wiesz, czym się zajmuję, Teodorze.

Zaśmiał się cicho.

– Wpadłem na to, że nie jesteś księgowym. Nie jesteś też jednym z tych biurokratycznych bubków żyjących z podatków, od których płacenia skrupulatnie się migam. I poza tym, co napisano w tym paszporcie, nie sądzę, żebyś był lekarzem. Nie. Jesteś człowiekiem, który zbiera tajemnice, a to może być bardzo wyczerpującym zajęciem. Oczywiście, to nie moja sprawa. – Wyprostował się. – Chodź tutaj. Potrzebny mi podpis doktora O’Neilla. Trzy podpisy. Za każdym razem innym długopisem. Zrobiłem ci nawet kartę Visy jako prezent na pożegnanie.

Oglądałem kartę pod świecą jaskrawo lampą Teodora.

– Jak, u licha, podrobiłeś hologram? – zapytałem ze szczerym podziwem.

– Jestem genialny, ot co. To wszystko na nic się nie zda, jeśli nie zgromadzisz kilku przedmiotów potwierdzających fikcję. Kup jakieś medyczne czasopisma i wyślij sobie kilka listów adresowanych do doktora O’Neilla. – Podniósł rękę w pojednawczym geście. – Wiem, wiem. Uczę ojca dzieci robić. Pozwól, że dam ci jeszcze to. – Szperał w szufladzie w poszukiwaniu wizytówki z telefonem grupy anonimowych alkoholików. – To się zawsze sprawdza w przypadku podszywania się pod lekarza. Anonimowi alkoholicy przydają się u medyków i policjantów. Gdybyś udawał prawnika, wyposażyłbym cię w wizytówki salonów masażu. Takie szczegóły są istotne. Jesteś lekarzem, więc pamiętaj, że bazgrzesz, a nie piszesz. Dobrze. Jeszcze raz. Jeszcze raz. Lepiej! Jeszcze raz. – Teodor był perfekcjonistą. – Mogę ci sprzedać prawdziwą kartę kredytową, która będzie ważna przez dziewięć miesięcy – zaproponował.

– Właściciel siedzi we francuskim więzieniu i chce za to piętnaście tysięcy franków.

Wyszedłem od niego dwie godziny później z nową tożsamością schowaną bezpiecznie w kieszeni. W deszczu i mroku pojechałem do Nieuwpoort. Jesienny wiatr zmienił kierunek na północno-wschodni i sprowadził do Niderlandów przedsmak zimy. Jechałem szybko, ale mimo to dotarłem do domu blisko północy.

Zaparkowałem opla w uliczce naprzeciwko bloku. Gdy wyłączyłem silnik, słyszałem stukot metalowych fałów uderzających o maszty jachtów zacumowanych w Basenie Południowym. Znałem ten dźwięk bardzo dobrze i będzie mi go brakowało, gdy opuszczę Nieuwpoort.

Wiatr hulał po ulicy, przynosząc ze sobą woń morza i skorupiaków. Zamknąłem samochód, przebiegłem przez ulicę i pchnąłem drzwi wejściowe na klatkę.

– Pan Shanahan?

– Chryste Panie!

Odskokczyłem od cienia, który nagle wyłonił się ze spowitego w ciemności holu. Ktoś na mnie czekał; ktoś, kto znał moje nazwisko, kto mówił po angielsku i kto pamiętał moje dawne nauki, że zanim się kogoś zabije, roztropnie jest poprosić ofiarę, by się przedstawiła, aby mieć pewność, że zginie właściwa osoba.

– Pan Shanahan?

Głos był dziewczęcy. Należał do Amerykanki i nie brzmiał groźnie, ale nie oznaczało to wcale, że dziewczyna nie trzymała w dłoni pistoletu z tłumikiem.

– Kim pani jest?

Przykucnąłem w wiatrołapie, zasłoniwszy klatkę piersiową workiem marynarskim, chroniąc się tym samym przed potencjalną kulą.

– Przepraszam. Nie chciałam pana przestraszyć.

Żarówka się przepaliła i musiałam tu czekać w ciemnościach.

– Kim pani jest?

Wyprostowałem się, czując, że nie sądzono mi być zastrzelonym.

– Pańska sekretarka powiedziała mi, że wróci pan dzisiaj. Jest naprawdę miła. Rany! Przepraszam pana. Naprawdę. Musiałam się z panem spotkać, bo mam już wykupiony bilet, a nie stać mnie na to, by opłacić zmianę terminu, więc już jutro muszę wracać do Stanów. To była moja ostatnia okazja. Nie chciałam pana przestraszyć. Przepraszam.

Dziewczyna wydawała się bardziej zdenerwowana ode mnie. Podeszła do drzwi, żeby światło ulicznej latarni oświetliło jej twarz. Zorientowałem się, kim była. Boże, wiedziałem, kim była i jadowite wspomnienia przesączyły się do mojej świadomości. Była tak bardzo podobna do Roisin, tak boleśnie podobna do zmarłej Roisin.

– Kim pani jest? – powtórzyłem pytanie.

– Mam na imię Kathleen – powiedziała i niepewnie podała mi rękę. – Kathleen Donovan. – Nawet głos dziewczyny był podobny do głosu jej siostry, co wystarczyło, by duch przekory przysłonił deszczowy mrok. Nie

uścisnąłem jej dłoni. – Chciałam się z panem zobaczyć – wyjaśniła słabo i cofnęła rękę.

– O co chodzi? – zapytałem surowo i choć znałem odpowiedź, musiałem udawać, że jest inaczej. – Chryste!

Czy pani wie, która jest godzina?

– Wiem, że jest późno. Przepraszam. Ja tylko...

– Ma pani bilet powrotny na jutro – dokończyłem za nią i przepchnąłem się obok niej, żeby wejść na klatkę. – Jeśli chce pani ze mną rozmawiać, panno...

Może pani powtórzyć nazwisko?

– Donovan. Kathleen Donovan.

– Panno Donovan. Jeśli chce pani ze mną rozmawiać, to chodźmy gdzieś, gdzie jest ciepło.

Nie chciałem z nią rozmawiać, ale była tak podobna do Roisin, że nie potrafiłem odmówić. Postanowiłem obmacać starą ranę. Jezu, pomyślałem, dlaczego to się stało? Jak to możliwe, że kobieta wypuściła z mężczyzny całą krew i uczyniła go nieszczęśliwym na wieki?

Kathleen Donovan poszła za mną po schodach i weszła nerwowo do mieszkania. Rozejrzała się lękliwie wokół, jakby oceniając moją duszę na podstawie umeblowania, obdrapanego linoleum i częściowo zapełnionych półek.

– Kawy? – zaproponowałem. – A może czegoś mocniejszego?

– Ma pan bezkofeinową?

– Nie.

– To poproszę szklanek wody.

Nalałem jej szklanek wody, a sobie whisky. Nie spieszyłem się w kuchni, bo potrzebowałem chwili, żeby się pozbierać. Cholera! Dlaczego właśnie teraz?

Zaniósłem obie szklanki do salonu. Podąłem Kathleen wodę, odstaawiłem swoją whisky i zaciągnąłem zasłony, żeby odgrodzić nas od zimnej belgijskiej nocy.

Włączyłem też gazowy piecyk.

– Proszę usiąść – powiedziałem bardziej zachęcająco niż zamierzałem, ale nie chciałem, żeby się zorientowała, jak bardzo mnie wytrąciła z równowagi.

Zdjęła płaszcz i odłożyła go na podłokietnik kanapy; usiadła nerwowo na krawędzi. Była chyba przed trzydziestką. Miała na sobie prosty tweedowy kostium, wysoko zabudowaną bluzkę i sznur niebieskich koralii.

Nie miała żadnej innej biżuterii i przypomniało mi się, jak Roisin nie lubiła błyskotek. Kathleen miała takie same ciemnorude włosy, długą szczękę i niepewne spojrzenie, które sugerowało, że była bez przerwy zdumiona światem. Była tak upiornie podobna do swojej siostry, że przebywanie z nią w jednym pokoju było dla mnie bolesne.

– Jeżeli mam zrobić przegląd łodzi – odezwałem się beztrąsko – to się pani spóźniła. Zamykam firmę.

– Nie. – Energicznie pokręciła głową. – Nie przychodzę w sprawie łodzi. – Zawahała się. – Moje nazwisko z niczym się panu nie kojarzy?

– Donovan? – Pokręciłem głową. – Przykro mi, ale nie. Jedyne Donovan, jakiego znałem, był księdzem w Fort Lauderdale. Whisky zabiła go dwanaście lat temu.

Wydawała się wstrząśnięta, zupełnie jakbym ją mocno spoliczkował.

– Miałam starszą siostrę – wyjaśniła, następnie poprawiła swoją wypowiedź. – Mam starszą siostrę. Ma na imię Roisin. Myślę, że pan ją znał. Jestem nawet tego pewna.

Znałem ją? Boże, nie ma słów, by to opisać. Gdy tylko ujrzałem Roisin w pubie w Dublinie, wiedziałem, że nie będę szczęśliwy, dopóki jej nie pokocham, a gdy ją kochałem, podejrzewałem, że już nigdy nie będę szczęśliwy. Gdy mnie zostawiła, przyjaciel mi powiedział, że każdy mężczyzna ma taką kobietę, tylko że większość ma szczęście nigdy jej nie poznać. Ja jednak poznałem Roisin i kochałem się w niej z płomienną żądzą do czasu, gdy nagle odeszła do innego mężczyzny. Wiele miesięcy później patrzyłem na jej śmierć i od tamtej pory jej duch mnie nawiedzał. A teraz jej młodsza siostra pytała, czy ją znałem.

– Przykro mi – powiedziałem spokojnie – ale nigdy o niej nie słyszałem. Jak miała na imię? Rosheen? Jak to się pisze?

Kathleen Donovan zignorowała moje pytania.

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby starała się ocenić niewinność w moim głosie, a potem spróbowała wspomóc moją pamięć.

– Przez jakiś czas mieszkała w Irlandii. W Belfaście. Niedaleko Malone Road.

– Była studentką? – spytałem. Przy Malone Road mieszkało wielu studentów.

– Niezupełnie.

Kathleen zaczęła szukać czegoś w torebce. Obserwowałem ją, dziwiąc się temu podobieństwu. Roisin była szczuplejsza od niej i kipiała energią, która mogła przerażać swoją intensywnością. Obie siostry miały takie same irlandzkie zielone oczy i bladą, delikatną skórę. Kathleen wydawała się o wiele spokojniejsza, bardziej pogodzona ze sobą. W jej oczach błyszczała mądrość, w oczach zaś Roisin można było dostrzec wyłącznie nieprzewidywalną dzikość. Z przerażeniem stwierdziłem, że Kathleen była osobą, jaką miałem nadzieję, że Roisin się stanie. Bezgłośnie pomodliłem się do miłosiernego Boga, by uchronił mnie przed zakochaniem się w niej. Zwłaszcza teraz, gdy musiałem być jak Michael Herlihy: bezpłciowym mnichem oddanym sprawie na śmierć i życie. Znałem jednak swoją słabość i nikt nie potrafił odsłonić jej bardziej, niż Roisin Donovan.

– To jest jej zdjęcie. – Kathleen podsunęła mi fotografię.

Zerknąłem na nią, zmusiłem się, by odwrócić wzrok i pociągnąłem łyk whisky.

– Przykro mi – starałem się mówić beztrosko – ale nigdy jej nie widziałem.

– Mieszkał pan w Belfaście, prawda?

– Tak, dziesięć lat temu.

– Przy Malone Avenue?

– Dość blisko – odparłem ogólnikowo. – Co z tego?

Ludzie pojawiają się w tamtej okolicy i znikają. To było miejsce studentów, pielęgniarek, wędrownych aktorów.

Nie mieszkałem tam długo, ale zapewniam, że mieszkałem sam. – Zmusiłem się do tego, by wziąć fotografię do ręki. Przedstawiała Roisin młodszą, niż ją pamiętałem, ale fotograf zdołał uchwycić blask oczu tej łowczyni. – Przykro mi – powtórzyłem i odrzuciłem zdjęcie. Zauważyłem, że wypilem swoją whisky, więc nalałem kolejną porcję.

Kathleen na chwilę zamknęła oczy, jakby to, co miała powiedzieć, było bardzo trudne i potrzebowała najwyższego skupienia, by to właściwie wyrazić.

– Panie Shanahan – odezwała się wreszcie. – Wiem, że to jest trudne, ponieważ wiem, kim była Roisin, kim jest, a to oznacza, że nie może mi pan powiedzieć wszystkiego. Ale proszę zrozumieć, że nasza matka umiera i chce wiedzieć, czy Roisin żyje. – Wpatrywała się we mnie wielkimi zielonymi oczami, w których iskrzyły się łzy. – Czy proszę o tak wiele?

Przełknąłem whisky. Jakiś samochód przejechał szybko za oknem; jego opony mlaskały na mokrym asfalcie. Poczuję się koszmarnie niezręcznie i pożałowałem, że rzuciłem palenie.

– Proszę mi opowiedzieć o pani siostrze – odezwałem się. – Może coś mi się skojarzy.

Wiedziałem, że powinienem odprawić tę dziewczynę, odesłać ją niešťęśliwą i niezadowoloną na deszcz, ale druga część mnie, ta pozornie niewinna, chciała ją tu zatrzymać, abym się torturował obecnością tego ducha Roisin.

Kathleen zagryzła wargę, odetchnęła głęboko i zaczęła:

– Wychowywałyśmy się w Baltimore, ale rodzice urodzili się w Irlandii. W hrabstwie Kerry. Emigrowali w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku. Ojciec jest tynkarzem, bardzo dobrym, ale nie było dla niego pracy w ojczyźnie. – Zawahała się, jakby wiedząc, że odchodzi od tematu. – Rodzice nigdy nie żalowali tego, że się przenieśli do Stanów. Chcieli zapomnieć o Irlandii, ale Roisin miała na jej punkcie po prostu obsesję. Naprawdę. Nie wiem, kiedy to się zaczęło, chyba w liceum. Była wściekła na rodziców o to, że zamieszkali w Ameryce. Chciała być Irlandką.

– Znam ten syndrom.

– Nauczyła się języka gaelickiego, poznała historię Irlandii i nasiąknęła irlandzką nienawiścią. Potem wyjechała do Irlandii. – Kathleen zawahała się i spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami. W kąćku jej oka pokazała się łza. – Przecież pan to wszystko wie, prawda?

Pokręciłem głową.

– Powiedziałem już pani, że nic nie wiem.

Kathleen zaczęła cichutko płakać. Bezgłośnie. Łzy po prostu ciurkiem lały się jej z oczu i spływały po policzkach. Sięgnęła do kieszeni

płaszcz, wyciągnęła skrawek chusteczki higienicznej i ze złością osuszyła twarz.

– Jestem już taka zmęczona – wyznała. – Chcę po prostu wiedzieć, co się z nią stało. Chcę wiedzieć, czy żyje.

Staralem się, by zabrzmiało to współczująco:

– Przykro mi, że nie mogę pani pomóc.

– Może mi pan pomóc! – upierała się Kathleen. – Wspominała o panu w swoich listach! Pisała, że ma pan dom w Cape Cod! I że jest żeglarzem! – Zaszlochała i otarła łzy. – Przepraszam. Jestem zmęczona.

– Paul Shanahan nie jest znowu tak rzadkim połączeniem imienia i nazwiska – zauważyłem mimochodem.

Odrzuciła moją słabą obronę gwałtownym ruchem głowy.

– Spędziłam w Irlandii trzy tygodnie i rozmawiałam z ludźmi, którzy znali Roisin. Wspominali o panu.

Mówili... – przerwała.

– Co mówili? – zachęciłem ją.

– Że może pan mieć związki z IRA – powiedziała wyzywająco, sprawdzając, jakie to zrobi na mnie wrażenie. – Twierdzili, że to dlatego Roisin chciała z panem być, żeby wprowadził ją pan do IRA.

– Ja?! – Udałem totalne zdziwienie.

– Jeden z moich rozmówców – napierała Kathleen pomimo mojego uporu – powiedział, że z całą pewnością był pan w IRA. Podobno był pan jednym z ich najlepiej zakamuflowanych tajnych pracowników.

– Dobry Boże, litości! – Odwróciłem się, by odsłonić okno i wyjrzeć na mokrą ulicę. – Irlandczycy lubią swoje opowieści. Kochają plotki, panno Donovan i nie ma na świecie lepszych plotkarzy od nich, lecz Amerykanie są bohaterami IRA tylko w dublińskich barach i kiepskich powieściach. Pojechałem do Irlandii, żeby poznać tradycyjne umiejętności skutnicze, a zostałem tam, bo spodobał mi się ten kraj. Przeniosłem się tutaj, ponieważ w Irlandii nie mogłem zarobić na życie. – Puściłem zasłony i zwróciłem się do Kathleen.

– Jestem mechanikiem okrętowym i robię przeglądy.

Nic mnie nie wiąże z IRA, nigdy nie wiązało i nigdy nie znałem pani siostry.

Kathleen wpatrywała się we mnie wielkimi oczami.

Chciałem przejść przez pokój i mocno ją przytulić, powiedzieć jej całą prawdę, błagać o wybaczenie, ale nadal stałem w miejscu. Jej twarz zdradzała, że wewnątrz niej toczyła się walka wiary z niedowierzaniem.

Z jednej strony mówiłem bardzo przekonująco, ale miała przeciwko mnie całą masę przeczących moim słowom dowodów.

– Słyszałam inną historię – oświadczyła nagle.

– Proszę mówić – rzuciłem beztrąsko, sugerując, że wszystkie zmyślone historie nie odświeżą mi pamięci.

– Dotarły do mnie pogłoski, że Roisin nie żyje.

Została stracona za zdradę IRA. Rozmawiałam z pewnym policjantem w Dublinie i powiedział mi, że Roisin pracowała dla amerykańskiego wywiadu i wysłano ją do Irlandii, żeby dowiedziała się, kto ze Stanów sprzedawał organizacji broń. Policjant słyszał, że dostała strzał w tył głowy i pochowano ją w lesie Ravensdale.

Wzruszyłem ramionami.

– Przykro mi. Z niczym mi się to nie kojarzy.

Moje zaprzeczenie nie odniosło skutku.

– Policjant powiedział mi, że to Roisin zdradziła Seamusa Geoghegana. O nim pan chyba słyszał?

– To ten gość, o którego ekstradycję zabiegają Brytyjczycy?

– To pański przyjaciel – rzuciła Kathleen oskarżycielko.

Zaśmiałem się.

– Bądźmy poważni. Ja się zajmuję przeglądami łodzi.

– Poznałam brata Seamusa Geoghegana, panie Shanahan. W Derry. To on mi powiedział o panu i IRA.

To nie były żadne barowe plotki. Powiedział mi też, że jego brat zatrzymał się raz w pańskim mieszkaniu w Belfaście i właśnie tam poznał Roisin. To on mi to powiedział! – Ostatnie słowa stanowiły protest wobec mojego uporu.

Ze znużeniem pokręciłem głową.

– Przepraszam, ale nie znam Seamusa Geoghegana, nigdy nie poznałem jego brata i nie znam pani siostry.

Naprawdę mi przykro.

Kathleen zlekceważyła moje zaprzeczenie gwałtownym gestem.

– Może to wszystko prawda, panie Shanahan! Może ona pracowała dla amerykańskiego wywiadu i wydała Geoghegana. Ale czy to czyni z pana współpracownika amerykańskiego wywiadu? Czy dlatego nie może pan ze mną rozmawiać? – Przerwała; z roziskrzonymi oczami czekała na odpowiedź. – Na Boga! – wykrzyknęła. – Mojej matce został rok życia, a może nawet mniej! Ona chce tylko poznać prawdę, to wszystko!

Chce mieć pewność. Czy pan wie, jak to jest opłakiwać swoje dziecko, nie wiedząc nawet, czy należy je opłakiwać? Mama myśli, że Roisin wróci do domu, że żyje.

Na miłość Boską, panie Shanahan, nie zagrażam panu!

Tylko chcę wiedzieć, ot co! Nie musi mi pan nic mówić! Wystarczy, że pan skinie głową!

Gaz w piecyku zasyczał. Kathleen wpatrywała się we mnie. Wzięłam głęboki oddech.

– Naprawdę nie mogę pani pomóc – oznajmiłem.

– Ty draniu! – zmęczonym głosem podsumowała mnie Kathleen Donovan.

– Powinna pani wyjść – zauważyłem łagodnie. – Dokąd mogę panią podwieźć?

– Niech się pan smaży w piekle!

Chwyciła swój płaszcz i wstała. Przez moment myślałem, że mnie opluje, ale odwróciła się i wybiegła z mieszkania. Drzwi trzasnęły, a chwilę później posłyszałem szybko oddalające się kroki na chodniku przed domem.

Dobry Jezu. Usiadłem na kanapie, odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy. Roisin, Roisin, Roisin. Niech to szlag! Pamiętałem jej uśmiech, śmiech, chwilę słabości, ale ona nie żyła, a ja byłem draniem. Mogłem powiedzieć Kathleen prawdę, całą prawdę, ale dawno już oduczyłem się to robić. Prawda czyni człowieka bezbronnym. Prowadzi do zdrady. Kłamstwa są tarczą, mgłą, labiryntem, w którym gubią się ciekawscy.

Wmówiłem sobie, że Kathleen Donovan mogła działać dla brytyjskiego wywiadu, a być może dla Provisional IRA. Może to Brendan Flynn ją nasłał, żeby sprawdzić, czy przyznam się do przynależności do IRA, poka-

zując tym samym, że jestem niepewny i nie można mi powierzyć libijskiego złota. A gdybym zdradził siebie, Brendan nie ośmieliłby się zostawić mnie przy życiu, skoro wiedziałem o pociskach w magazynie w Miami; niebawem oddział specjalny Provisional IRA przyjechałby do Nieuwpoort, żeby wrzucić moje podziurawione kulami ciało do rzeki Yser.

Uspokoilem się, że postąpiłem słusznie, nic Kathleen nie mówiąc; pierwsza zasada głosiła, by nikomu nie ufać, a druga, by nie mówić prawdy, nigdy, bo prawda jest jak złoto. To były dobre zasady, nawet jeśli oznaczały odesłanie zapłakanej dziewczyny z kwitkiem w zimną, deszczową noc; nawet jeśli oznaczały opróżnienie butelki Jamesona do dna, żeby zatrzeć wspomnienie zranionej twarzy Kathleen; nawet jeśli oznaczały dodanie kolejnego grzechu do całej masy innych.

Dobry Boże, pomyślałem, pozwól tym wspomnieniom odejść.

W listopadzie nie dostałem żadnych wieści z Tunezji. Nadszedł grudzień i na ulicach Nieuwpoort bożonarodzeniowe światełka usiłowały świecić pomimo zimowych opadów deszczu. Żyłem skromnie i zastanawiałem się, czy cały plan nie runął. Być może Kubańczycy znaleźli innych nabywców na swoje stingery lub może Halil znalazł innego żeglarza, który dostarczy „Corsaire” do Miami. Gdy Shafiq skontaktował się ze mną po raz pierwszy, akcja wydawała się pilna i ekscytująca, natomiast teraz rozwijała się w żółtym tempie, jeśli w ogóle. Może to kolejna operacja, z której w rezultacie zrezygnowano. Większość przedsięwzięć tak się właśnie kończyła. Rozpoczęły się od gejzeru entuzjazmu, zżeranego powoli przez rzeczywistość. Nie naruszyłem jednak zasad bezpieczeństwa i nie skontaktowałem się z Dublinem, by się dowiedzieć, co i jak.

Czekałem cierpliwie i miałem nadzieję, że nie zniszczyłem swojej firmy na darmo.

Kathleen Donovan nie usiłowała się ze mną ponownie kontaktować. W niektóre noce, gdy leżałem sam w zimnym mieszkaniu, żałowałem, że jej nie wyjawilem prawdy, ale pocieszałem się przypuszczeniem, że skierowano ją do mnie, aby nakłoniła mnie do niedyskrecji. Powtarzałem sobie, że być może nasłali ją Brytyjczycy, a może w ogóle nie była siostrą Roisin, tylko bardzo do niej podobną dziewczyną zwerbowaną przez Brytoli. Ci dranie byli bezlitośni. Zbyt wielu członków IRA zniknęło po prostu bez śladu ze swoich domów po obydwu stronach irlandzkiej granicy. Zacząłem się przekonywać, że to wywiad brytyjski z czteroletnim opóźnieniem wpadł na mój trop i wysłał dziewczynę, żeby wyciągnęła ze mnie wyznanie.

Wspomnienie Seamusa Geoghegana było mądrym posunięciem. Czy Seamus miał brata? Nigdy o nim nie wspominał, ale nawet jeśli go miał, to czy taki brat powiedziałby komuś, że byłem w IRA? Powtarzałem sobie, że historia Kathleen Donovan śmierdziała na odległość jak zepsuta ryba, ale potem przypominało mi się jej skrzywdzone spojrzenie i moje przekonanie co do jej fałszywości pierzchało. Była w niej niewinność, która wydawała się bardzo prawdziwa, ale wtlaczałem sobie do głowy, że w świecie tajemnic fałsz zawsze wydaje się prawdą.

Zimowe noce jeszcze się wydłużały, a ja nadal nie miałem wieści z Tunezji lub z Dublina. Jeżeli Michael Herlihy wpłacił depozyt za stingery, to sprawa wyglądała beznadziejnie, chyba że Libijczycy znaleźli inny sposób dostarczenia pięciu milionów dolarów. To mi się wydawało najbardziej prawdopodobne – zdrowy rozsądek dopadł wreszcie wszystkich zaangażowanych i przekonał ich, jak głupim pomysłem było przewożenie pięciu milionów dolarów małą łodzią przez ocean.

Wydałem już prawie wszystkie pieniądze. Nadal zarabiałem co nieco, robiąc przeglądy łodzi, ale to oczekiwanie i brak aktywności uszczuplały moje oszczędności i gdy zbliżała się gwiazdka, zacząłem się zastanawiać nad sprzedażą „Rebel Lady”. Kupiłem ją za bezcen i jeżeli sprowadziłbym ją z Irlandii na mocniejszy rynek Europy kontynentalnej, mógłbym na niej zarobić całkiem nieźle, nawet pomimo recesji.

I wtedy, tuż przed świętami, w środku zimowej nocy obudziły mnie dźwięki faksu. Wkroczyłem nagi do salonu, włączyłem światło i zobaczyłem wiadomość.

Proszono mnie o zrobienie przeglądu jachtu cumującego obecnie w Marsylii. Czy mógłbym przesłać szacunkowy koszt podróży oraz cenę usługi panu M. Jeanowi Piguetowi? To nazwisko było kluczem, zaszyfrowaną wiadomością, która oznaczała, że „Corsaire” był gotowy i że podróż z transportem złota dojdzie jednak do skutku.

Poczułem uderzenie fali ekscytacji. Od lat nie miałem takiego przyływu adrenaliny. Było to kuszące poczucie niebezpieczeństwa i oczekiwanie ryzyka.

Nadszedł czas, by zniknąć.

Tej nocy już nie spałem. Spakowałem do worka marynarskiego rzeczy, które chciałem zabrać ze sobą do nowego życia i czekałem na zimowy świt. O dziewiątej rano udałem się do jednej z kawiarni w porcie rybackim i z automatu zadzwoniłem do Barcelony, a potem odbyłem długą rozmowę z Brukselą. Jak by nie było, kości zostały rzucone. Cisnąłem worek na

tylne siedzenie samochodu i, zgodnie z podejrzeniami Teodora, opuściłem Belgię na dobre.

Shafiq znowu czekał na mnie na lotnisku Skanes-Monastyr. Drżał z podniecenia i starał się wypatrzeć mnie spośród innych pasażerów.

– Myślałeś, że o tobie zapomnieliśmy, co? – zapytał figlarnie.

– Uznałem, że znaleźliście kogoś innego – odpowiedziałem.

– Paul! Paul! – zbeształ mnie. – Po prostu potrzebowaliśmy trochę więcej czasu na zgromadzenie złota.

To cały twój bagaż?

– Więcej nie potrzebuję.

– Jeden mały worek na podróż na drugi koniec świata?

Shafiq zaśmiał się i szybko wyprowadził mnie z terminalu. Był rześki dzień z północnym wiatrem; chmury płynęły wysoko po niebie. Shafiq był w nastroju dopasowanym do pogody: kapryśny i nerwowy.

Bez wątpienia poczuł ulgę, że operacja dochodzi wreszcie do skutku, ale to budziło w nim potężne obawy, że coś może się jeszcze nie powieść.

– Co myślisz o Halilu, Paul? – zapytał.

– To niebezpieczny człowiek – odparłem z ostrożną neutralnością.

– Niebezpieczny człowiek! Tylko niebezpieczny! – Shafiq wrzucił mój worek i ciężki żółty sztormiak do bagażnika wynajętego samochodu. – Niebezpieczny jak tygrys? Czy jastrząb zabija? Ha! Niebezpieczny. – Wyśmiewał nieadekwatność mojego stwierdzenia i włączył się w ruch przy lotnisku. – Pewnego dnia w Palestynie powstanie miasto nazwane jego imieniem.

Wielkie miasto! Wzniesione na kościach Żydów.

– Co mu się stało w prawą rękę?

Shafiq wykonał gest, jakby strzelał z rewolweru.

– Przestrzelono mu nadgarstek. Kula uszkodziła niektóre nerwy i ścięgna. Nadal może poruszać dłonią, ale dość niezdarnie. To się stało w Libanie, niedaleko granicy z Izraelem.

– Dzięki Allachowi, że to był prawy nadgarstek – rzuciłem rzeczowym tonem. – Gdyby to była lewa ręka, straciłby ten piękny zegarek. Szkoda by było.

Shafiq zerknął na mnie, uśmiechnął się, po czym ryknął śmiechem.

– Dobrze, Paul! Bardzo dobre! Nie jesteś ślepy, co? Ale nic nie będziesz o tym nadmieniał. Rozumiesz? Nic! Halil ma dalekie wpływy i zabójczy uścisk.

Zwróciłem uwagę, że Shafiq nadal używał pseudonimu Halil, a nie il Hayaween. Obaj mogliśmy znać jego tożsamość, ale otwarte przyznanie się do tego, nawet przed sobą nawzajem, mogłoby być ryzykowne.

– Spotkam się dzisiaj z Halilem? – zapytałem.

– Nie w Monastyrze. Dostarczy ci złoto.

– Dokąd?

– Do Ghar-el-Melh, na północnym wybrzeżu i jest tam o wiele bezpieczniejsze. Nie ma tylu ciekawskich oczu.

– Moja załoga też tam będzie?

– Nie. Przyjechali wczoraj. – Shafiq westchnął, chyba zadowolony z tego, że zabieram ludzi Brendana spod jego opieki.

– Jacy oni są? – spytałem.

– Młodzi – odpowiedział podniosłym tonem, jakby ta cecha pozwalała wybaczyć im wszelkie grzechy. – Szkoda – ciągnął – że nie mogliśmy wysłać ci do pomocy Palestyńczyków, ale tacy ludzie z pewnością wzbudziłiby podejrzenia w Ameryce.

– Myślę, że postępujecie słusznie – zauważyłem oschle.

– Tych dwóch wystarczy – stwierdził bez przekonania.

– Spotkałeś ich już kiedyś?

– Nigdy. – Wyglądał smutniej niż kiedykolwiek wcześniej; pokręcił krótko głową. – Już nie jest jak za dawnych czasów, Paul. Nie zajmuję się już Irlandią i nie mam żadnych wieści. Teraz pracuję w centrum i dostaję raz na jakiś czas polecenia. Jeżdżę niekiedy do Marsylii, ale nigdy dalej na Północ.

Nastrój mu się znacznie pogorszył, gdy wygłosił to smutne wyznanie. Podejrzywałem, że biedny Shafiq ucierpiał na tym, że Roisin oskarżyła

mnie o bycie tajnym agentem CIA, takim, jakiego Halil określił mianem „nieistniejących”. Jakże genialna to była historia!

Skoro agent nie istniał, nie można go było wykryć, a to oznaczało, że każdy mógł być agentem, nawet Shafiq, tak więc biedaczysko został przeniesiony do gorszej ligi: siał niezadowolenie wśród arabskich imigrantów we Francji, przekazując wiadomości kapłanom o obłąkanym spojrzeniu w meczetach przy bocznych uliczkach Marsylii. Gdy postanowiono, że nadaje się doskonale do przewiezienia złota Halila przez Atlantyk, ponownie powołano Shafiqą, bo był osobą, która z największym prawdopodobieństwem zdoła mnie zwerbować. Nic dziwnego, że był taki zadowolony z pobytu w Paryżu; pewnie po raz pierwszy od czterech lat odwiedził swoje miasto marzeń.

– Nic tylko polecenia – powtórzył, użalając się nad sobą.

– Na pewno jesteś kimś ważnym – pocieszałem go – skoro pozwolili ci pracować z Halilem.

– A, tak! Ufajami. – Starał się mówić pewnym siebie głosem, ale nie udało mu się to. Wzruszył ramionami i przypalił papierosa. – Wszystko się zmienia, Paul. Wiecznie się zmienia.

– Nie rozumiem tylko – odezwałem się, odwracając wzrok od niego i zerkając na monotonicznie migający za oknem sad pomarańczowy – dlaczego tak ważny człowiek jak Halil i osoba tak doświadczona, jak ty – dorzuciłem to pochlebstwo, by go mile polechtać – zajmujecie się sprawą tak trywialną, jak Irlandia. Żadne z działań Brendana Flynna nie przyczyni się do zniszczenia Izraela, a jednak twój ruch poświęca swoich najlepszych ludzi dla jego ambicji! To wszystko jest takie... – przerwałem, jakbym szukał słów, po czym wyrzuciłem je z siebie jak zabójczy cios – nieskomplikowane, Shafiq!

Wiedziałem, że to oskarżenie go ubodzie i rzeczywiście, pokręcił ze złością głową.

– To, czym się zajmujemy, to tylko drobna część olbrzymich działań, Paul. Widzisz tylko – jak wy to mówicie? – maleńki trybik! Widzisz tylko trybik, podczas gdy wokół nas obracają się ogromne koła młyńskie. – Był zadowolony z tej metafory i podkreślił ją, odrywając obie dłonie od kierownicy i wymachując nimi energicznie. – Halil dowodzi operacją ukarania wrogów islamu na całym świecie! Wrogowie Iraku są wrogami Palestyny! I wszędzie tam, gdzie ci wrogowie żyją, ujrzymy dzieło Halila! Tonie jest nieskomplikowane!

Przyglądałem mu się w milczeniu, wiedząc, że nie ośmielę się zadać oczywistego pytania, ale chciałem dowiedzieć się jeszcze czegoś więcej.

– Stingery? W Irlandii?

Shafiq machnął lekceważąco dłonią.

– Wszyscy wiemy, że Wielka Brytania wykonuje polecenia Ameryki i że Ameryka jest panem Izraela, dlatego też Brytania musi ucierpieć. Wasze pociski przeciwlotnicze dowalały jej, ale są tylko drobną częścią bólu, jaki Zachód poczuje w ramach kary za sprzeciwianie się uzasadnionym żądaniom Iraku i Palestyny. – Zrobił się zły, gdy wyrzucał z siebie wyświechtane hasła propagandowe.

– Teraz rozumiem! – rzuciłem tonem sugerującym, że byłem karygodnie ograniczony. – Musieliśmy czekać, aż złoto dotrze z Iraku! Co to jest? Zdobycze z Kuwejtu?

Shafiq machnął ręką, co mogłem zrozumieć jako potwierdzenie, ale ten gest zdradzał również, że się zorientował, iż wyjawiał za dużo.

– Jednak nadal nie rozumiem – naciskałem dalej, starając się nakłonić Shafiqą do dalszej niedyskrecji – dlaczego Halil wysyła pieniądze łodzią, skoro równie dobrze mógłby to zrobić drogą elektroniczną.

– Ha! – Shafiq podkreślił ten okrzyk, po raz kolejny wymachując rękami. Nasz peugeot zbaczał w kierunku samochodów jadących z naprzeciwka i rozległy się klaksony. – Wszyscy wiedzą – Shafiq odezwał się, gdy już zapanował nad autem – że Amerykanie potrafią monitorować każdy elektroniczny przekaz pieniędzy na świecie! Robi to komputer! Dlatego musimy być staroświeccy. Przemycimy złoto jak piraci! Myślałem, że będziesz z tego zadowolony, Paul. Nie cieszysz się?

– Cieszę się – odpowiedziałem. – I to bardzo.

Jeszcze bardziej uradowało mnie to, że wreszcie ujrzałem rąbek prawdy, prawdy il Hayaweena – stingery nie miały służyć tylko zalaniu Brytanii smutkiem, ale były częścią zakrojonej na światową skalę kampanii, jaką Saddam Husajn poprzysiągł prowadzić przeciwko swoim wrogom. Il Hayaween koordynował tę całą zapowiadaną rzeź, co skłoniło rządy na całym świecie do pilnowania lotnisk, portów i obiektów wojskowych.

Pojałem, że Brendan Flynn nie kontaktował się z Trypolisem, tylko z Bagdadem, a pilne potrzeby Bagdadu mogły wyjaśnić, dlaczego ceny stingerów tak wysoko podskoczyły – światowa kampania terrorystów zwiększy znacząco zapotrzebowanie na broń, a ten popyt będzie się przejawiał w

windowaniu cen na czarnym rynku. To wszystko miało sens i to tak wyraźny, że aż się zdumiałem, iż wcześniej nie dostrzegłem tych związków.

Shafiq nagle się przeraził, że był zanadto niedyskretny.

– Nie powiedziałem nic, co mógłbyś powtórzyć, Paul! Nic!

– Shafiq! – rzuciłem gorliwie i z urazą w głosie.

– Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Wiele razem przeszliśmy. Ryzykowaliśmy dla siebie nawzajem i chroniliśmy się. Ufaliśmy sobie. – Wykładałem mu to wszystko na złotym talerzu, bo wiedziałem, że to będzie muzyka dla jego uszu. I rzeczywiście, w jego oku błysnęła łza, gdy ciągnąłem: – Byliśmy towarzyszami broni. Myślisz, że mógłbym zdradzić dawnego towarzysza? Mój drogi przyjacielu, nic dzisiaj nie słyszałem i niczego się nie domyśliłem. Nie słyszałem nic, co mógłbym komukolwiek powtórzyć. Niech moją matkę pożrą robaki, jeśli cię okłamałem.

– Dziękuję, Paul. Dziękuję. – Shafiq odetchnął głęboko, by dać upust emocjom.

Skręciliśmy w kierunku portu w Monastyrze. Była zima i pontony wyglądały ponuro. Cumowało przy nich mnóstwo jachtów, ale większość była zasłonięta płachtami brezentu; żagle były zwinięte i czekały, aż wiosenne miesiące sprowadzą właścicieli łodzi z powrotem na południe. W porcie znajdowała się garstka ludzi mieszkających na łodziach, ale nie tak wielu, jak zwykle, ponieważ perspektywa wojny w Zatoce wypłoszyła ich z krajów arabskich. Tylko „Corsaire” wyglądał na jacht w pełni gotowy do wypłynięcia w morze; w kokpicie nawet siedziało wygodnie dwóch ludzi.

– To moi strażnicy? – zapytałem Shafiqą.

– Twoja załoga. – Wydawał się urażony moim brakiem zaufania. – Mam nadzieję, że ich polubisz.

– Na pewno.

Wyjąłem sztormiak i worek marynarski z bagażnika i ruszyłem na spotkanie z ludźmi, których Brendan przysłał, żeby mnie pilnowali i, jak podejrzewałem, zabili, gdy już nie będę potrzebny.

Mój Boże, pomyślałem, wchodząc na pokład „Corsaire”, czy to jest najlepsze, na co stać Provisional IRA?

Nic dziwnego, że Shafiq nie kipiał entuzjazmem, gdy opowiadał o Liamie i Gerrym – doprawdy nie wyglądali na bohaterów legend.

Liam był chudym młodzieńcem o zagłodzonej bladej twarzy, rudych włosach i odstających uszach. Miał nieśmiałe, podejrzliwe oczka, co sugerowało, że zawsze żył w otoczeniu silniejszych od siebie, przez co był spięty, pełen urazy i „szczurowaty”.

Natomiast jedyną szczerzą cechą jego towarzysza był warkoczyk zdołbiący mu gruby kark. Gerry był człowiekiem o rumianym obliczu, muskularnym, odzianym w tanią koszulę napiętą na barkach i pękatym brzuchu. Miał potężny podbródek, małe oczy i krótko ostrzyżone, z wyjątkiem warkoczyka, czarne włosy.

Powitał mnie niemal protekcyjnym skinieniem głowy, jakby próbując ustalić hierarchię już podczas pierwszego spotkania.

Wrzuciłem worek marynarski do kabiny rufowej i kazałem im się przedstawić.

– Nieznajomi nie mogą tworzyć załogi – oznajmiłem wesoło – więc opowiedzcie mi o sobie. Zacznijmy od tego, ile macie lat.

Obaj byli dwudziestotrzylatkami, urodzili się i wychowali w Belfaście, a teraz mieszkali w Dublinie.

Udawali zaprawionych w boju weteranów okresu niepokoju w Irlandii, ale ich przechwałki nie brzmiały zbyt przekonująco. Mieli ograniczony zasób słownictwa, płuca palaczy pochłaniających jednego papierosa za drugim i umysły ignorantów. Liam i Gerry stanowili typowe mięso armatnie zamieszek i rewolucji, narybek gnijących miast przemysłowych i mieli być moimi towarzyszami przez najbliższe trzy miesiące. Zapytałem, czy któryś z nich kiedyś pływał. Liam pokręcił głową, ale Garry twierdził, że spędził trochę czasu na kutrze poławiaczy homarów należącym do jego wuja.

Nie wdawał się w szczegóły, ale zachnął się z oburzeniem, gdy zapytałem go, czy potrafi utrzymać prosty kurs.

– Potrafię sobie radzić, proszę pana!

Liam był znacznie bardziej zaniepokojony.

– Mamy przepłynąć Atlantyk tą łódeczką?

– Tak.

– Ja pierdolę! – zachnął się poblądły.

– Dobrze ci to robi – stwierdziłem. – Zaróżowią ci się policzki. Gdy dotrzemy do Miami, będziecie obaj wyrobionymi żeglarzami.

– Ale ja mam, kurwa, chorobę morską, proszę pana! – oznajmił.

– Co takiego? – zapytałem zaskoczony. Flynn przysłał mi załoganta z chorobą morską?

– Mówiłem o tym panu Flynnowi, ale on stwierdził, że to bez znaczenia, że to będzie rodzaj pieprzonej wycieczki.

– W samolocie było w porządku – Gerry rzucił oskarżycielsko, jakby zakwaterowanie na „Corsaire” było prawdziwym rozczarowaniem po locie z Dublina.

Obaj chłopcy lecieli samolotem po raz pierwszy, ale żaden z nich nie podchodził do podróży jachtem z równie dużym entuzjazmem.

Shafiq, zadowolony z tego, że przejąłem opiekę nad Liamem i Gerrym, podał mi pisemne instrukcje od Halila. Były dość proste. Miałem zaprowadzić „Corsaire” do położonego na północy Tunezji portu Ghar-el-Melh, gdzie mieliśmy czekać na złoto. Gdy już monety zostaną ukryte pod pokładem, mieliśmy płynąć do Miami.

– Z kim mam się skontaktować po dotarciu do Miami? – zapytałem Shafiqą. Nie mogłem uwierzyć, że miałem tak po prostu zadzwonić do biura Michaela Herlihy’ego w Bostonie, ryzykując, że będzie nas podsłuchiwać FBI.

– Oni wiedzą, z kim się skontaktować. – Shafiq wskazał na dwóch irlandzkich młokosów.

– Wiecie? – upewniłem się.

– Tak, proszę pana – odpowiedział Gerry.

– Niezły sposób na rewolucję – stwierdziłem niezadowolony. – Do roboty.

Rozpakowałem swoje nieliczne rzeczy, włożyłem swój sekstans do szuflady przy stole nawigacyjnym, następnie zacząłem szperać wśród tego, co il Hayaween dostarczył na pokład. Przegląd łodzi zajął mi dwie godziny. Wydawało się, że wszystko jest, nawet dziewięć metrów plastikowych elastycznych rur, które umieściłem w szafce w kokpicie. Nic już nas nie trzymało w Monastyrze, więc uruchomiłem silnik „Corsaire” i zwinąłem cumy. Dzięki palestyńskim wpływom nie doświadczyliśmy żadnych czasochłonnych procedur biurokratycznych, które zazwyczaj towarzyszą opuszczeniu Tunezji. Pożegnałem się z Shafiqiem, krzyknąłem do Liama i Gerry’ego, żeby na siebie uważali, odbiłem od pontonu i ruszyłem w stronę otwartego morza.

Gdy tylko poczuliśmy pierwsze fale, Liam beknął i chwycił się za brzuch, a policzki zrobiły mu się kredowobiałe. Kazałem mu zostać na pokładzie, bo nie miałem ochoty, żeby wewnątrz łodzi cuchnęło jego wymiocinami. Leżał płasko, jęczał i wydawał się nieszczęśliwy, gdy my walczyliśmy z uporczywym północnym wiatrem.

– Słyszałeś kiedyś o Michaelu Herlihym? – zapytałem go; żałośnie pokręcił głową. – Ma jeszcze gorzej, niż ty. Robi mu się niedobrze na sam widok łodzi.

– Jezu.

Chyba nie czuł się aż tak źle, bo zdołał przypalić sobie papierosa.

– Kiedy dotrzemy tam, dokąd płyniemy? – zapytał głosem nabrzmiałym rozpaczą.

– Do Ghar-el-Melh za dwa dni – odparłem wesoło.

– A potem spędzimy na Atlantyku dwa do trzech miesięcy.

– Miesiące? – Liam gapił się na mnie; dotarło do niego, że nie żartuję, więc się zdenerwował. – Chryste, dopomóż!

Ranek zrobił się zimny, gdy płynęliśmy na północ w kierunku zatoki Hammamet. Liam nie czuł się lepiej, ale uparł się, że zje razem z Gerrym chleb obtaczany w jajku, smażony na smalcu i popił to słodką coca-cola, którą kupili sobie w Monastyrze. Zwrócił ten posiłek kilka sekund później. Gerry zmarszczył brwi widząc, że postawiłem wiadro na kolanach jego przyjaciela.

– Marnuje się dobre jedzenie – zauważyłem.

Poprosiłem ich, żeby opowiedzieli mi o sobie coś więcej i usłyszałem nazbyt dobrze mi znaną historię dzieciaków z Belfastu, urodzonych w ponurych blokowiskach i dorastających w beznadziejnej atmosferze chronicznego bezrobocia. W innym społeczeństwie mogliby znaleźć jakąś niewdzięczną robotę, ale w Ulsterze nie mogli nawet zamiatać podłóg. Brak celu w życiu obudził w ich duszach nienawiść, którą ukoić mogły jedynie dwie przyjemności: alkohol i sprowadzanie innych do ich poziomu niedoli. Niewykształceni, nieposiadający żadnych umiejętności i zgorzkniali, nie nadawali się do niczego, z wyjątkiem bycia szeregowymi żołnierzami w irlandzkiej walce, ale nawet i tu doświadczyli rozczarowania. Nie mieli pojęcia, jak to się mogło stać, ale ktoś podał ich nazwiska służbom bezpieczeństwa. Wydano polecenie aresztowania ich, dlatego Liam i Gerry musieli uciekać przez niestrzeżoną granicę na południe, do Republiki Irlandii.

Tam, w, jak mówili, Wolnym Państwie, znaleźli schronienie w dublińskim blokowisku, równie ponurym jak getto w Belfaście, skąd uciekli.

– Jak wam się podobał Dublin? – zapytałem Gerry'ego.

Liam był wciąż otepiały, Gerry'emu zaś popołudnie przypadło chyba do gustu. Płynęliśmy pod żaglami na północny wschód, rozbijając wysokie fale i wzniecając fontanny słonej wody. Oszczędzałem benzynę i planowałem skręcić po zmroku w kierunku Cap Bon.

Wciąż jeszcze nie zgrałem się z łodzią, która wydawała się bardziej niezdarna, niżby to sugerowała jej konstrukcja. Miała spore zanurzenie i ciężko przechodziła przez fale, które łajba tej długości powinna przeskakiwać. Jej poprzedni właściciel przesadził z balastem, być może ze strachu i osiągnął to, na czym mu zależało: to była bezpieczna, niemrawa łódź, wygodna w pogodny letni dzień, ale zupełnie nieprzystosowana do pływania po wzburzonym morzu i przy ostrym wietrze. Przerazała mnie myśl, jak będzie się nią płynąć, gdy umieścimy w jej brzuchu dodatkowe czterysta pięćdziesiąt kilogramów. Nie mogąc wyciągnąć jej na brzeg i odciąć kawałka kilu, nie byłem w stanie nic zmienić; poza tym lepiej mieć łódź wlokącą się po falach, niż lekką wydmuszkę, która na nich tańczy.

– Dublin jest kurewsko okropny – stwierdził Gerry w odpowiedzi na moje pytanie, jak mu się żyło w stolicy Irlandii.

Liam jęknął potakująco.

– Dlaczego okropny?

– Bo w tym pieprzonym Dublinie nikt się nami nie przejmuje – wyjaśnił Gerry urażony.

Podobnie jak Liam, używał przekleństw jako znaków przestankowych, emfazy i zastępstwa w miejsce słów, które chwilowo wypadły mu z głowy.

– Ich tam wszystko gównem obchodzi! – ciągnął. – Jezu! Ryzykowaliśmy swoim pieprzonym życiem dla Irlandii, a te fiuty gównem się przejmowały tym, co zrobiliśmy! Przyszła do nas pieprzona policja, co nie? Powiedzieli, że wiedzą, kim jesteśmy i dlaczego przyjechaliśmy do Dublina i jeśli małym palcem kiwniemy, zamkną nas i spuszczą nam wpierdol. Nie o taką, kurwa, Irlandię walczyłem! Powiedziałem to temu policjantowi. I że powinien mi być, kurwa, wdzięczny. Kazał mi się pierdolić.

– Jest ciężko – zauważyłem z niefrasobliwym współczuciem.

W latach, które spędziłem w Dublinie, na własne oczy widziałem aktywistów IRA uciekających przed więzieniem na północy, którzy spodziewali się, że będą traktowani jak bohaterowie, a spotykali się z obojętnością, a nawet niechęcią względem ich działań. Pewien dublińczyk, po tym, jak przez cały wieczór słuchał gościa z północy, znużony powiedział do mnie, że największą zemstą Brytanii byłoby oddanie Ulsteru Irlandczykom.

Wołowaty „Corsaire” potrzebował trzech dni, żeby dotrzeć do Ghar-el-Melh, czyli małego portu otoczonego przez starożytne fortyfikacje. Wejście do portu było zamulone, więc byłem zmuszony szorować brzuchem po płyciźnie w czasie czegoś, co na Morzu Śródziemnym uchodziło za przypyływ. Locja informowała, że w tym wymarłym porcie swoje schronienie mieli niegdyś maghrebscy piraci, ale Liam i Gerry chcieli wyłącznie wiedzieć, czy w wiosce otaczającej opuszczony zamek znajduje się pub.

– Raczej nie – stwierdziłem.

– Nie mają, kurwa, alku? – zapytał strwożonym głosem Liam, który wy dobrzał, jak tylko zacumowaliśmy bezpiecznie w porcie.

– Ani kropli.

– To jak długo tu będziemy?

– Aż przywiozą złoto – wyjaśniłem.

– A jest, kurwa, coś do picia na pokładzie? – dopytywał się Gerry.

– Ani kropli – skłamałem.

Ukryłem dwie butelki whisky Jameson, które chciałem zostawić na Boże Narodzenie. Miałem nadzieję, że spędzimy ten dzień na morzu, ale gwiazdka przeszła, a złota nie było, więc czekaliśmy w opustoszałym porcie.

Kolacja wigilijna składała się ze smażonej konserwy wołowej, groszku z puszki i frytek. Po jedzeniu wniosłem niespodziankę w postaci whisky. Usiedliśmy we trzech w salonie i gdy trunek rozwiązał Liamowi i Gerry’emu języki, opowiedzieli mi stare i dobrze znane historyjki z Belfastu. Najpierw, usiłując zrobić na mnie wrażenie, opowiadali o swoich bohaterских czynach: o bombach rozrywających brytyjskich policjantów na strzepy lub równających z ziemią całe połacie centrum miasta, ale ich opowieści były pozbawione życia i ostrego humoru rodem z Belfastu, co sugerowało, że prawda była nieco mniej barwna. Wreszcie obróciłem ich patos w pył, gdy im powiedziałem, że też mieszkałem w Belfaście i że w

tamtych latach ukrywał się u mnie Seamus Geoghegan, gdy uciekał z Derry.

– Zna pan Seamusa? – zapytał Liam z niedowierzaniem.

– Jasne. Bardzo dobrze.

Widziałem, jak moja reputacja rośnie w ich oczach.

Liam i Gerry i tak się mnie bali, bo wydawałem im się dość dziwnym stworzeniem. Byłem cudzoziemcem, brodatym, wysokim, kompetentnym i małomównym.

Teraz, gdy odkryli, że znałem Seamusa, jawiłem im się niemal takim samym bożyszczem, jak on.

– Naprawdę go pan zna? – dopytywał się Gerry.

Przyłożyłem dłoń do serca.

– Słowo.

– Jezu...

Uśmiechnął się do mnie lekko, po czym zmarszczył brwi. Zastanawiałem się, czy właśnie rozmyślał o tym, jak trudno mu będzie mnie zabić. Nieznajomego zabija się dość łatwo w porównaniu z zabiciem człowieka, którego się zna, a ani Gerry, ani Liam, pomimo ich całej buty, nie wyglądali mi na ludzi, którzy mogliby z łatwością zabić kogoś z zimną krwią. Być może mieli mnie tylko eskortować do Miami, gdzie moja śmierć, jeśli rzeczywiście ją zlecono, miała przyjść z rąk kogoś innego.

Wraz z upływem wieczoru miejsce opowieści o wyczynach Gerry'ego i Liama zajęły ciekawsze i weselsze historie. Liam opowiedział najlepszą historię wieczoru: o młodym chłopaku, który rzucił bombę z gwoździami.

– To był dzieciak. – Liam zdusił papierosa w mieszaninie sosu, niedopałków i zimnego groszku na swoim talerzu. – Nie mógł mieć więcej, jak dziesięć, jedenaście lat. To się stało w Turf Lodge. Pewnego wieczoru były tam zamieszki, nic specjalnego, coś dla zabicia czasu, ale ci pieprzeni Brytole wysłali tam pierdolony patrol, żeby rozbić kilka głów. Kolesie wzięli srajtka na bok i zapytali, czy chciałby rzucić bombę. – Liam przerwał, żeby przypalić kolejnego papierosa. – Jasne, że chciał, bo przecież wszystkie chłopaki czekają tylko na taką szansę. Wie pan, co to jest bomba z gwoździami?

– Jasne, kurwa, że wie! – zachnął się Gerry. – Przecież mieszkał w Belfaście, co nie?

– Wiem, co to jest – zapewniłem Liama.

Bomba z gwoździami to kawałek metalowej rury wypełnionej materiałem wybuchowym i dziesięciocentymetrowej długości gwoździami wepchniętymi z obu końców. Rzucało się tym jak granatem z trzonkiem, a w chwili wybuchu na wroga spadał deszcz gwoździ.

– Prowadzą dzieciaka za dom i pokazują mu bombę. Powiedzieli mu, że jak się sprawdzi, to dostanie też inne roboty, bardziej odpowiedzialne, rozumie pan? – Liam opowiadał tę historię z przyjemnością.

– No więc dali chłopakowi bombę, zapalili lont i każą mu zapierdalać. Biegnij, mówią, biegnij! Więc mały zapierdziela i rzuca bombą w Brytoli, zawraca i spieprza jak szatan, żeby ratować tyłek. Ale zapomniało jednej rzeczy – Liam zawiesił głos, żeby podnieść napięcie.

Udawałem, że nie słyszałem tej opowiadki.

– Zapomniał o czymś? – zapytałem niewinnym głosem.

– O swoim pieprzonym psie! – Gerry nie mógł się powstrzymać i musiał się wtrącić. – Zapomniał o pieprzonym psie.

– Kto tu opowiada? – Uraza pokonała nieśmiałość Liama.

– Nie gorączkuj się!

– O psie? – spytałem.

– No! – Liam spojrzał na mnie. – Srajtek miał psa, rozumie pan i ten pies go ubóstwiał. Pies zobaczył, jak bomba leciała w stronę Brytoli. Myślał, że to patyk i że ma go złapać! Rzucił się za bombą, bo myślał, że to zabawa. To nie była zabawa. To nie był kij, tylko pierdolona bomba! Lont się palił i nawet Brytole się śmiali. Ludziska krzyczeli na psa, żeby spieprzał, ale ten trzymał bombę w pysku i biegł z nią do pana.

Wszyscy uciekali, a pies machał ogonem jak wściekły.

Mały pędził co sił i matka krzyczała do niego, żeby uciekał, zanim go bomba rozerwie. A im szybciej biegł, tym szybciej zapieprzał jego pies. – Liam przerwał, żeby otrzeć rękawem łzy, które ronił ze śmiechu. Śmiał się tak bardzo, że prawie nie mógł dokończyć opowieści. – I wtedy bomba zrobiła bum!

– Matko święta, ale pierdolnęło! – wtrącił Gerry.

– Kawałki psa walały się wszędzie! – Liam nadal zanosił się śmiechem. – Były na dachach! Wszędzie było psie mięcho!

– Ależ się śmialiśmy! – Gerry uderzał dłonią w stół, bijąc brawo kumpłowi.

– Nikomu nic się nie stało – powiedział Liam.

– Z wyjątkiem psa – dodał Gerry i znowu zaczął się śmiać.

– Chłopak zapomniał o psie, rozumie pan? – Liam chciał mieć pewność, że zrozumiałem historię.

Nad nami wiatr wył między linami i bujał białym, długim kadłubem; fały uderzały żałośnie o aluminiowy maszt. Kłapa zejściówki była otwarta, dzięki czemu widziałem gwiazdy i pojedynczą długą smugę oświetlonej przez księżyc chmury.

Gerry pociągnął długi łyk whisky i napełnił sobie kubek.

– To zabawne, że jest pan Amerykaninem – zauważył w końcu.

– Tak?

– Jasne – odpowiedział gorliwie. – Zamieszkał pan w Irlandii. Jezu! Gdybym miał szansę, nie wyjeżdżałbym z Ameryki, nie do Belfastu! Za nic! Zostałbym tam. Dorwałbym jakąś robotę, zarobił trochę kasy.

– Chyba rozumiał, że zniszczył wszelkie nadzieje na normalne życie, na pracę, żonę, dzieci, na to małe szczęście, które kręciło światem.

– Miałem kuzyna, który przeniósł się do Ameryki – Liam, ośmielony powodzeniem poprzedniej historii, odezwał się tonem człowieka opowiadającego dowcip.

– Wylądował na lotnisku w Nowym Jorku, a jakże, gdzie odebrał go jego wuj. Wyszli przed lotnisko, a tam na chodniku leży studolarowy banknot. Leżał tak po prostu! „Podnieś go”, mówi do kuzyna jego wuj. „No, chłopaku, podnieś go”. Kuzyn spojrzał mu prosto w oczy i pyta: „Dopiero przyleciałem i już każesz mi pracować”? – Liam czekał, aż się zaśmieje i uśmiechnął się z dumą, gdy to zrobiłem.

Gerry też się uśmiechnął, ale myślami był w Ameryce i przygnębiła go świadomość tych wszystkich nadziei będących poza jego zasięgiem.

– Sporo kasy zarabialiśmy na jankesach – powiedział smutno. – Sprzedawaliśmy im gumowe kule. Płacili mnóstwo kasy za gumowe kule, które mogli położyć sobie nad kominkiem.

Gumowe kule, grube pociski o fallicznym kształcie, które służyły raczej obezwładnianiu, a nie zabijaniu, a którymi Brytyjczycy strzelali w czasie zamieszek, stały się cennym podarunkiem od Irlandczyków. Pamię-

tam pewnego szczerwanego gościa z Derry, który kręcił w swojej ogrodowej szopie niezły biznes, wycinając podrabiane kule ze starych opon. Twierdził, że sprzedał kilkaset tych fałszywek, zanim ludzie z Provisional IRA zorientowali się, że tracą na tym i zagrozili mu, że strzelą mu prawdziwymi kulami w kolana, jeśli nie zwinie interesu.

– Jest też taka gra, w którą bawiliśmy się z jankesami – Gerry odezwał się po chwili.

– Gra? – spytałem.

– Z tymi, co przyjeżdżali do Belfastu, żeby na własne oczy zobaczyć walkę. To byli dobrzy ludzie.

Dawali nam pieniądze, no ale chcieli też zobaczyć jakąś akcję, co nie? Mieli lecieć aż do Irlandii Północnej i nie widzieć, kurwa, ani trochę zamieszek?

– Jaka to była gra?

Znałem odpowiedź, ale oni tak świetnie się bawili, opowiadając te historie, że byłbym draniem, zabierając im tę przyjemność.

Liam, jako bardziej wygadany z tej dwójki, podjął temat.

– Podchodziliśmy do nich w barze i pytaliśmy, czy chcieliby poznać kogoś z IRA. Nie wiedzieli, że my byliśmy z IRA, no nie? Skąd mogli wiedzieć?

Gdybyśmy mówili każdemu obcemu jankesowi, że jesteśmy w organizacji, to równie dobrze moglibyśmy o tym mówić pieprzonym Brytolom. Jankesi oczywiście zawsze mówili „tak”. No bo niby po co tam przyjechali?

Robili szmat drogi z Chicago lub Bostonu, żeby nas kapkę wesprzeć, poklepać po plecach i dać nam dolara lub dwa. To jasne, że chcieli poznać jakichś żołnierzy z Provisional IRA. Kazaliśmy im iść następnego dnia o dziesiątej rano pod wskazany adres. To zawsze był jakiś porzucony dom, jeden z tych do połowy spalonych.

Mówiliśmy im, że chłopaki zbierają się tam, zanim podłożą bombę albo zastrzelą żołnierza.

– Jankesom można było wcisnąć wszystko – wtrącił Gerry. – Wierzyli zawsze.

– Bo chcieli wierzyć – wyjaśnił Liam, który nie chciał mnie urazić.

– Co się działo potem? – zapytałem, jakby Seamus Geoghegan nie opowiedział mi tej samej historii dziesięć lat wcześniej.

– Oczywiście szli tam. Czasami brali ze sobą żony, bo kobiety są dokładnie takie same. Byli tacy podekscytowani. Mieli się spotkać z bohaterami! Nie wiedzieli jednak, że dzwoniłszy do Brytoli na alarmową linię.

Wie pan, co to alarmowa linia?

– Kurwa! Jasne, że wie! – warknął Gerry.

Alarmowa linia to był numer telefonu, z którego mógł korzystać każdy, kto chciał przekazać informację o terrorystach. Zgłaszała się tam automatyczna sekretarka i nie trzeba było podawać nazwiska, dzięki czemu za pośrednictwem służb bezpieczeństwa wyrównywano całkiem sporo osobistych porachunków. Liam uśmiechnął się szeroko.

– No więc dzwoniłszy do tych pieprzonych Brytoli i mówiliśmy, że goście z IRA mają w tym a tym domu spotkanie o dziesiątej piętnaście następnego dnia.

Może się pan domyślić, co się działo.

– Mów.

– Jankesi tam przychodzili – Liam cieszył się z pomysłowości dowcipu – i czekali. A tu nagle pojawiał się pieprzony patrol skurkowanych Brytoli, przerażonych jak cholera, bo myśleli, że to może być zasadzka. No i ci Brytole wpadali do domu, jakby to był dzień „D” i znajdowali w środku jankesów! Nie od razu wiedzieli, że to Amerykance. Myśleli najpierw, że to nasi ludzie, więc trochę ich sponiewierali, sprzedali im kilka porządnych kopów! – Liam śmiał się i kręcił głową. – To zawsze działało! Brytole dawali się wkręcić za każdym razem. Jankesi wracali do domu i opowiadali, jacy brutalni są ci Brytyjczycy. Nigdy się nie dowiedzieli, że to IRA organizowała im ten wycisk!

I gdy już byli w domu, przysyłali nam jeszcze więcej kasy! Zwłaszcza, gdy jakaś ich babka dostała wpierdol!

Jezu! Czuliśmy się, jakbyśmy kradli dzieciakowi cukierki. – Zachichotał, a potem posmutniał. – To były dobre czasy. Najlepsze.

Gerry mieszał whisky w swoim kubku. Mimo że kłapa zejściówki była otwarta, w kabinie cuchnęło dymem papierosów, brudnymi ciałami, whisky i starym jedzeniem. Gerry oparł się o poduszki.

– IRA zarabiała pewnie tysiące funtów na tym, że jankesi dostawali porządny wycisk. Innym też się dostawało. Holendrzy zawsze się pchali do akcji. Zwłaszcza protestanczy pastorzy, bo chcieli pokazać, jak bardzo Kochają katolików. Ale najczęściej byli to Amerykanie. – Zamilkł, wyraźnie

wspominając dobre czasy w domu i bandytyzm. Nagle jakaś myśl przyszła mu do głowy, bo spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem. – Naprawdę czekamy na pięć milionów dolarów? Potaknąłem.

– Naprawdę.

– W złocie?

– W złocie – potwierdziłem.

– Ja pierdołę – Gerry rzucił ze zdumieniem.

Wiedziałem, że przez krótką chwilę zastanawiał się, czy by nie ukraść tych pieniędzy, ale poczucie obowiązku zmusiło go do tego, by pokręcił głową z dezaprobatą dla samego siebie.

– Brendan mówił, że to będzie najważniejsza misja, w jakiej weźmiemy kiedykolwiek udział. Jako organizacja.

– Na pewno – przyznałem. – Na pewno.

A następnego ranka, gdy wiał zimny północny wiatr, przybyło złoto.

Najpierw pojawił się il Hayaween. Przyjechał mercedesem z czarnymi szybami i w towarzystwie dwóch ochroniarzy w ciemnych garniturach, którzy kazali jakiemuś rybakowi przewieźć całą trójkę na „Corsaire”.

Il Hayaween ostrym tonem nakazał Gerry’emu i Liamowi zostać pod pokładem i wysłał swoich ochroniarzy, żeby czekali na przednim pokładzie. Spojrzał na swój zegarek marki Blancpain.

– Trawler powinien tu dotrzeć do południa.

– To dobrze.

Usiadł na ławce w kokpicie po wytarciu jej szybko lnianą chusteczką. Wydawał się niezdarzy, ale kładłem to na karb braku obeznania z łodziami.

– Jest odpowiednia? – Lewą dłonią wskazał „Corsaire”.

– To muł.

– Muł?

– Rusza się jak ciężarna mulica. Ten jacht jest ciężki. Ale dotrze do Ameryki, jeśli o to pan pytał.

– I to szybko – dorzucił oschle.

Wzruszyłem ramionami.

– Mamy szansę dostarczyć stingery do Irlandii do dwudziestego czwartego kwietnia, ale nie ręczę za to.

Chyba że ktoś zorganizuje wysłanie ich, zanim dostarczę złoto do Miami.

– Dwudziestego czwartego kwietnia? – Il Hayaween zmarszczył brwi.

– Na siedemdziesiątą piątą rocznicę Powstania Wielkanocnego. Czy nie na tym zależało Flynnowi i Herlihy’emu? Chcieli sprawić Brytolom świąteczny prezent.

Mrugał oczami, jakby nie do końca rozumiał, co do niego mówię, po czym pokręcił głową.

– Wojna zacznie się wcześniej.

– W Kuwejcie? – spytałem.

– Oczywiście. – Zamilkł, przyglądając się wierzbowym gałązkom, które zamiast boi zaznaczały wejście do portu. – Liczymy na wsparcie pańskiej organizacji w obronie Iraku przed agresją imperialistów.

Zastanawiałem się, co do cholery miałem na to powiedzieć. Był taki czas, w którym byłem głównym łącznikiem przekazującym tego rodzaju wiadomości Radzie Wojennej Provisional IRA, ale Roisin pozbawiła mnie tych obowiązków. Niemniej Il Hayaween oczekiwał jakiejś reakcji, dlatego też przytaknąłem i obiecałem, że przekażę tę informację.

Ze złością pokręcił głową, jakby nie potrzebował mojej pomocy w kontaktach z Radą, po czym z wysiłkiem podniósł uszkodzoną dłoń, żeby przypalić papierosa.

– Dostaliśmy już obietnicę wsparcia z Irlandii. Ale czy oni dotrzymają słowa? – Patrzył na mnie, jakby zadawał pytanie.

– Jestem pewien, że tak – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Nie byłem zaskoczony tym, że Provisional IRA obiecała wspierać Irak w kampanii przemocy, ponieważ przez wiele lat to głównie Arabowie zaspokajali potrzeby IRA i Rada nie mogła odrzucić takiego żądania ze strony hojnego dobroczyńcy. Dziwiło mnie natomiast to, że il Hayaween mówił mi o tej obietnicy złożonej przez Radę. Jego kolejne słowa pozwoliły mi co nieco wyjaśnić.

– Siły reakcjonistów w Damaszku i Teheranie zasugerowały, że powinniśmy poczekać i sprawdzić, na ile skuteczne będą siły zbrojne Iraku, zanim rozpoczniemy światową kampanię terrorystyczną. Nie zgodziliśmy

się na taką płochliwość. – Zaciągnął się papierosem, jakby z jego dymu czerpał siłę. – Spodziewamy się działania, panie Shanahan.

– Jestem pewien, że nastąpi – zapewniłem go, ale zwróciłem uwagę na prawdziwe znaczenie przesłania il Hayaweena.

Jeżeli Damaszek i Teheran nawoływały do ostrożności, oznaczało to, że w szeregach Palestyńczyków istniał głęboki rozdźwięk. Część wojowników opowiadała się pewnie po stronie Syrii, inni po stronie neutralnego Iraku, a trzecia frakcja kierowana przez il Hayaweena trwała przy Sadda-mie Husajnie. Brak jednomyślności zagrażał powodzeniu jego planów globalnej kampanii terrorystycznej, a skoro te plany runęły, il Hayaween usi-łował utrzymać swoich żołnierzy w ryzach. Był do tego stopnia zdesperowany, że pytał mnie o opinię, czy Provisional IRA dotrzyma obietnicy, ale wątpiłem, by naprawdę musiał się o to martwić. IRA była najbardziej związana z Libią a ten kraj nadal był w pełni oddany sprawie Saddama Husajna.

– Irlandczycy urządzają wielki wybuch – zapewniłem go.

– Chcę czegoś więcej niż bomby.

Milczał. Podmuch wiatru zawirował w porcie i skierował dym jego papierosa w stronę brzegu.

– Co dolega rosyjskim pociskom ziemia-powietrze dostarczonym IRA przez Libię? – zapytał nagle.

– O ile dobrze rozumiem, za wolno przyspieszają przez co brytyjskie śmigłowce zdążają odpalić flary.

Nie mają też zbyt dużego zasięgu, a ich wyrzutnie są bardzo ciężkie, przez co trudno się je przenosi. Bywają też zawodne. Zdarza się, że w ogóle nie odpalają.

– Ale nawet taki niezadowolający pocisk, jeśli odpali, może zniszczyć jumbo jeta startującego z londyńskiego lotniska?

Chryste Panie, pomyślałem, ale nie ośmieliłem się okazać swojego przerażenia. Przytaknąłem.

– Oczywiście.

– Jeżeli wystrzelono by go z odpowiednio małej odległości? Może z pobliskiego domu? Albo zaparkowanej ciężarówki? Czy istnieje dogodne miejsce na wystrzelenie takiego pocisku? Na pewno był pan na londyńskim lotnisku.

Pytania il Hayaweena wydawały się takie banalne, ale zło często się takie wydaje.

– To na pewno jest do zrobienia – stwierdziłem i starałem się wykrzesać z siebie entuzjazm.

– Mówi pan, że jest takie miejsce? – naciskał.

– Owszem, jest.

Myślałem o budynkach przemysłowych niedaleko pasów startowych Heathrow i wyobrażałem sobie raketę wylatującą z odkrytej naczepy ciężarówki, która rozrywa silnik na skrzydle odrzutowca i strąca maszynę na ziemię, gdzie ta roztrzaskuje się i wybucha.

– Jest mnóstwo takich miejsc – powiedziałem spokojnie.

– A więc powiem pańskiemu szefowi Sztabu, że jakiś żydowski lub brytyjski jumbo jet będzie wystarczającym prezentem w zamian za całą broń, jaką przekazaliśmy na cele waszej rewolucji. Mogę też powiedzieć, że ekspert potwierdził, że taki atak jest możliwy. Czy tak?

– Oczywiście – potwierdziłem żarliwie, aczkolwiek wątpilem w to, że Rada Wojskowa Provisional IRA będzie się liczyła z moją opinią.

Nie chodziło o to, że w tych ludziach śmierć cywilów budziła lęk; przecież wizja nowej Irlandii była budowana na grobach tego rodzaju ofiar, ale osoby takie jak Brendan Flynn były bardzo wrażliwe na siłę oddziaływania złej prasy w Stanach Zjednoczonych.

Wiedzieli nazbyt dobrze, że nawet garstka zabitych amerykańskich pasażerów może wnieść zabójczą dawkę realizmu do umysłów Amerykanów o irlandzkich korzeniach. W ciągu minionych lat ilość dolarów otrzymywanych od amerykańskich sympatyków zmalała, aczkolwiek nie do tak śmiesznego poziomu, żeby Belfast lub Dublin chciały z nich zrezygnować.

– Bardzo mi pan pomógł – il Hayaweena oświadczył z niezdarną i chyba obcą mu grzecznością.

Zastanawiałem się, dlaczego człowiek o tak szatańskiej reputacji zadawał sobie trud, by mnie dobrze traktować i uznałem, że jest to skutek widma prawdziwego zagrożenia dla globalnych planów terrorystycznych. Reputacja il Hayaweena była w niebezpieczeństwie z powodu tarć z Syrią i Iranem; być może nawet Libia analizowała ponownie szanse Iraku na zwycięstwo, ale il Hayaweena nie poddawał się. Będzie walczył aż do końca, marząc o wysadzeniu samolotów i niezasługujących na swój los ludziach, których śmierć ma być zadośćuczynieniem za niesprawiedliwość historii.

Chwilę później nad łaczą u wejścia do portu przepłynął trawler i zacumował tuż za nią. Nie miał żadnej flagi ani numeru identyfikacyjnego na dziobie, ale il Hayaween potwierdził, że to był statek, na którym znajdowało się złoto. Wyciągnąłem kotwicę „Corsaire” i ustawiłem jacht przy burcie starej łodzi rybackiej.

Gerry i Liam przenosili ciężkie worki z monetami z jednej łajby na drugą. Gdy przynieśli pierwszy worek, oczyściłem podłogę w kabinie jachtu i podniosłem deski, odsłaniając pustą zęzę; wyglądała jak wielka, podłużna misa z włókna szklanego nabijana śrubami mocującymi wypełniony ołowiem kil. Do tego „koryta” wsypywaliśmy złote monety, które sprawiały, że „Corsaire” zanurzał się jeszcze głębiej, w miarę gdy jego brzuch wypełniło dodatkowych czterysta pięćdziesiąt kilogramów balastu.

Przerzucenie złota zajęło dwie godziny. Nie musieliśmy zachowywać specjalnych środków ostrożności i ukrywać swojej czynności, bo nie było ryzyka interwencji tunezyjskich władz, lecz mimo to załoga trawlera niewątpliwie odczuła ulgę, gdy wypełniła swoje zadanie. Być może ich nerwowość była skutkiem złowrogiej obecności il Hayaweena, a może pistoletów maszynowych uzi, z którymi paradowali jego ochroniarze. W każdym razie kapitan trawlera wyprowadził łódź z powrotem na morze najszybciej jak mógł.

Il Hayaween był wyraźnie zadowolony z tego, że monety znajdowały się już w zęzie.

– Będą dobrze ukryte?

– Już kilkakrotnie przemyślałem takie ładunki – zapewnilem go. – Zakryję złoto warstwą włókna szklanego i nikt nie będzie w stanie odróżnić nowej warstwy od starej.

– Daje pan słowo?

– Słowo. Czy nie dlatego korzystacie z moich usług, że jestem dobry w tych sprawach? Proszę się przestać martwić.

– Za to mi płacą – odparł, po czym pstryknął palcami, wzywając ochroniarzy. Gdy zbliżyli się do kokpitu, wyciągnął ręce po ich broń.

– To dla pańskiej załogi. – Położył pistolety na ławce.

– A nie dla mnie? – spytałem na poły żartobliwie.

– Pańskim zadaniem jest ukryć złoto i przewieźć je do Ameryki. A oni mają go strzec. – Znaczyło to, że do nich należy pilnowanie mnie. – Wy-

rzucicie broń za pokład, zanim wpłyniecie do Miami – rzucił polecenie Gerry'emu i Liamowi.

– Dobrze, proszę pana.

Choć w wyglądzie i sposobie bycia il Hayaweena nie było nic nadzwyczajnego, Gerry zdawał się pojmować, że ten Palestyńczyk był Archaniołem Szatana, on sam zaś, jak i jego przyjaciel Liam byli co najwyżej półdiablętami.

– Jeśli mnie zawiedziecie – il Hayaween zwrócił się do nas trzech – będę was szukał aż na końcu świata, a gdy znaję, zabiję, ale bynajmniej nie szybko. O nie.

Wykrzywił twarz, co być może miało uchodzić za uśmiech, następnie odwrócił się w stronę łodzi rybaka, którą wezwano od brzegu. Żaden z nas się nie poruszył, gdy przechodził przez nadburcie. Pomyślałem o tym, ileż to mężczyzn, kobiet i dzieci il Hayaween zdołał już zabić. Uniósł swoją okaleczoną rękę w geście pożegnania, gdy rybak płynął swoją drewnianą łodzią do brzegu.

Znów zagoniłem Gerry'ego i Liama do pracy. Nadmuchałem ponton i wysłałem Gerry'ego na brzeg po drobny piasek, którym wypełniłem przestrzenie między monetami. Gdy piach i złoto zostały dobrze ubite i wygładzone tak, że zewnętrzna powierzchnia odzwierciedlała oryginalny kształt żęzy, pokryłem je matami z włókna szklanego i podartych szmat. Liam mi wprawdzie pomagał, ale jego możliwości nawet w przypadku tak prostego zadania były ograniczone.

– To jest kurewsko nudne – stwierdził i wycofał się do kokpitu, gdzie przypalił papierosa i wpatrywał się z nienawiścią w szarozieloną wodę w porcie.

Pracę dokończyłem sam. Najpierw zmieszałem żywicę z cuchnącym utwardzaczem, po czym rozprowadziłem miksturę po matach z włókna szklanego. Przeniosłem się do kokpitu, gdzie czekałem, aż włókno szklane stwardnieje i wyschnie. Rozmawiałem o wszystkim i niczym z Liamem i Gerrym, ale myślami byłem gdzie indziej. Byłem zdumiony amatorszczyzną całej tej operacji. Jak to możliwe, że dysponując możliwościami Iraku i Palestyny, jak też sprytem i praktyką IRA, byliśmy nadal zdani na tak pracochłonne przemykanie złota? I czy ci dwaj zepsuci chłopcy byli najlepszymi strażnikami, jakich IRA mogła znaleźć? Czy „Corsaire” był najlepszym środkiem transportu, do jakiego Irak miał dostęp?

– O czym pan myśli? – Gerry cisnął niedopałek papierosa do wody.

– O tym, że żywica powinna być niebawem sucha – skłamałem.

Gdy zapadł mrok, zmieszałem biały żelkot z utwardzaczem i pomalowałem nim wnętrze żęzy. Kolejna warstwa wyschła do północy i w ten sposób złoto zostało ukryte pod podłogą. Nowa powierzchnia nie miała takiego samego odcienia bieli, jak reszta włókna szklanego wewnątrz „Corsaire”, ale można ją było schować pod deskami podłogowymi. Każdy, kto by przeszukiwał jacht, uznałby, że płytką żęzę celowo wykończono szorstkim i bezbarwnym materiałem, bo nie było jej widać. Położyłem deski, przykryłem je dywanem i wyciągnąłem kotwicę. Użyłem reflektora, gdy przepływałem ostrożnie nad płyciznami przy wyjściu z portu i wreszcie, minawszy ostatnią łachę, z brzuchem pełnym złota, a przez to jeszcze bardziej mułowaty „Corsaire” przeciął dziobem pierwszą niską falę. Liam rzucił się w kierunku prawego nadburcia.

Jego pistolet uderzał o drewniany greting w kokpicie, gdy wymiotował do morza.

Wciągnąłem żagle, wyłączyłem silnik i wyprowadziłem łajbę w morze.

Żeglowaliśmy po zimowym Morzu Śródziemnym, morzu niskich szarych fal, złośliwego wiatru i ruchliwych szlaków morskich. Odpłynąłem daleko od afrykańskiego brzegu, jak najdalej od najbardziej uczęszczanej części, gdzie ogromne statki na oślep pędziły po linii wschód-zachód między Cieśniną Gibraltarską i Kanałem Sueskim, ale nawet tutaj w wodzie unosiły się śmieci różnego rodzaju. Pamiętam, jak przyjaciel stwierdził, że po Morzu Śródziemnym da się pływać, gdy się zna prądy morskie i potrafi odczytać nazwy miast na plastikowych torebkach dryfujących przy brzegach.

Do moich dwóch strażników dotarło, że ich zadanie wymaga czujności, dlatego ustalili system zmian.

Pierwszego popołudnia po opuszczeniu Tunezji Gerry próbował spać w przedniej kabinie, a chory Liam siedział skulony w kokpicie i trzymając uzi na kolanach, starał się nie pokazywać po sobie swojego skrajnego cierpienia.

– Gdybyś jadł mniej tłuszczu – odezwałem się do niego – nie byłoby ci tak źle.

– Smażone jedzenie jest bardzo dobre – twierdził z uporem. – Zabezpiecza żołądek.

– Czym? Olejem z miski olejowej? Powinieneś też rzucić palenie.

– Proszę pana! Co ci pioruńscy doktorzy wiedzą?

– Zależy ci na tym, żeby młodo umrzeć?

– Mój dziadek palił jak stary komin i codziennie rano jadł smażone jedzenie. Kaszanke, smażony chleb, bekon, jaja, ziemniaki, kiełbasę, pomidory. A wszystko to smażył na tłuszczu z bekonu. Żył siedemdziesiąt trzy lata!

– Nie był stary.

– W tym pieprzonym świecie był.

Liam zaciągnął się mocno papierosem i zakrztusił się, gdy poczuł skurcz w gardle. Odwrócił się, żeby wymiotować, a wtedy uzi uderzał o podłogę w kokpicie.

– Mam nadzieję, że ta broń jest zabezpieczona – rzuciłem, gdy już skończył wymiotować.

– Nie jestem pieprzonym amatorem! – jęknął urażony nieszczęśnik, po czym wznosił przekrwione oczy w stronę trójkąta grotzągla. – Mógłbym teraz zabić za kawałek chleba sodowego – oznajmił i na samą myśl o tym przysmaku kolejny skurcz wywołał bulgotanie w jego przełyku.

Znowu się zakrztusił, wyrzucił papierosa i przechylił się przez nadburcie, żeby rzygać do spienionego morza.

– Mogę cię wyleczyć – powiedziałem, gdy miał już atak nudności za sobą.

– Jak, na Boga? – Chował się przed wiatrem, żeby przypalić kolejnego papierosa.

– Butelką zimnego oleju z wątroby dorsza i butelką whisky. Trzeba je wypić do dna, po czym spędza się trzydzieści sześć godzin w najgorszej agonii, ale daję ci słowo, że potem już nigdy nie ma się choroby morskiej.

– O Jezu! Ja pierdołę!

Znowu się odwrócił. Swego czasu złożyłem taką samą propozycję Michaelowi Herlihy'emu, który odrzucił ją podobny sposób. Byliśmy wtedy nastolatkami i z pełną świadomością okrucieństwa wsadziłem go do małej łódki. Wróciliśmy na brzeg po dwóch godzinach; wyglądał jak martwa mokra wiewiórka. Wątpię, by mi to kiedykolwiek wybaczył.

Liam opadł z powrotem na ławkę i przyglądał się, jak otworzyłem luk silnikowy i za pomocą klucza francuskiego wyciągnąłem rurę wydechową z tłumika.

Płynęliśmy pod żaglami, więc silnik był zimny i milczał. Wyjąłem następnie dziewięć metrów plastikowej rury i przymocowałem ją do tłumika cybantem. Wolny koniec rury przepchnąłem przez komorę silnika w kierunku grodzi, a tym samym do szafek po prawej stronie salonu. Liam doszedł do siebie po ostatnim skurczu, zmarszczył brwi na widok zwojów rury, które wypełniały komorę silnika i podłogę kokpitu.

– Co pan robi?

– Nadmuchi, żeby osuszyć żelkot, którym pokryliśmy złoto.

– Bardzo mądrze – pochwalił, jakby wiedział, o czym mówię. – Bardzo mądrze.

Przełączyłem ster na automatycznego pilota i zszedłem do salonu, gdzie otworzyłem szafki, wyciągnąłem z nich rurę i wsunąłem ją do łazienki, gdzie pod brodzikiem znajdowała się pompa zęzowa. Kratka w drzwiach pozwalała na cyrkulację powietrza między łazienką i salonem, co miało ograniczyć wzrost pleśni w łazience. Ta kratka idealnie odpowiadała moim potrzebom. Odciałem nadmiar rury, którą wyniosłem do kokpitu i wyrzuciłem za burtę, żeby mieć swój udział w zanieczyszczeniu Morza Śródziemnego.

– Wszystko gotowe – zwróciłem się pocieszająco do Liama.

– Dzięki temu w łodzi nie będzie tak śmierdziało? – zainteresował się.
– Potwornie tam śmierdzi.

– To żywica utwardzająca. Wywietrzeje.

– Śmierdzi jak dziwce spod pachy.

– Chodzisz do złych dziwek, Liam.

Zrobił skwaszoną minę, słysząc tę krytykę, ale rozpogodził się, gdy przypomniało mu się, jakie nagrody czekały na nas u celu.

– Podobno Amerykanki są naprawdę ładne.

– Dbają o czystość! – przyznałem zachęcająco. – I lubią czystych mężczyzn. Zwracają na to uwagę.

– Myłem się przed wyjazdem z domu! – odparł z urazą.

– Rzucisz panie na kolana – zapewniłem go. – Zwłaszcza w Bostonie. Uwielbiają tam irlandzkich bohaterów. Zostaniesz Wielkim Marszałkiem w czasie parady z okazji dnia Św. Patryka, a kongresman O'Shaughnessy będzie chciał zrobić sobie z tobą zdjęcie. Nie będzie jak w Dublinie, daje słowo.

– Będzie wspaniale, na pewno. – Błady jak ściana Liam patrzył, jak rozkładałem mapę. – Gdzie my, kurwa, jesteście?

– Tutaj. – Wskazałem miejsce oddalone od tunezyjskiego wybrzeża. Rozejrzał się po horyzoncie, wypatrując lądu.

– Nic, kurwa, nie widzę.

– Brzeg jest poza zasięgiem wzroku – wyjaśniłem.

Tak naprawdę znajdowaliśmy się znacznie dalej na północ, ale Liama to nie obchodziło. Mógłbym wprowadzić „Corsaire” w gardło piekieł, a jemu byłoby zbyt niedobrze, by mógł to zauważyć.

Moi strażnicy zjedli tego wieczoru kanapki, popili je lepką tunezyjską colą i tanią rozpuszczalną kawą. Dałem Liamowi cztery mocne tabletki nasenne, aby senność pomogła mu pokonać smród utwardzacza, po czym wysłałem go na jego koję w przedniej kabinie.

Gerry posiedział ze mną jakiś czas w kokpicie, ale niebawem się znudził otaczającą nas ciemnością i brakiem aktywności, więc zabrał swój cenny pistolet uzi pod pokład. Uwielbiał tę małą broń. Gładził ją i zawsze trzymał blisko siebie. Przydawała mu ważności. Obserwowałem go z kokpitu i widziałem, jak przesuwiał palcami po krzywiznach pistoletu.

– Będę musiał zamknąć zejściówkę – krzyknąłem w stronę salonu jakiś czas później.

– Potrzebuję świeżego powietrza.

– Światło mi przeszkadza. Więc albo je zgaś, albo zamknij klapę.

Postanowił zamknąć klapę. Czekałem, aż oczy przyzwyczyły mi się do mroku, następnie przeszedłem na przedni pokład i zamknąłem cicho uchyloną klapę przedniego luku. Słyszałem rytmiczne chrapanie Liama. Wróciłem do kokpitu i czekałem.

Płynąłem północno-zachodnim kursem, wyprowadzając „Corsaire” na wody między Sycylią i Balearami. To była zimna noc i ciemna. Ciężka łódź była mułowata, a dodatkowy balast sprawiał, że kołysała się na niewielkich falach i ten dziwny, falujący ruch odzwierciedlał mój nastrój. Byłem zdenerwowany. Serce mnie bolało i ścisnęło – podejrzewałem, że te fizyczne doznania w klatce piersiowej odzwierciedlały stan mojego sumienia. Zastanawiałem się, czy z upływem lat stałem się obojętny na śmierć. Poczucie wypaczonej, zmarnowanej przeszłości sprawiało, że przyszłość jawiła mi się ponura i mroczna, jak morze przede mną.

Krótkie fale uderzały o stewę dziobową jachtu, przerzucając nad dziobem pianę. Woda odpływała z bulgotem ściekiem pokładowym. Tuż po dwudziestej drugiej dostrzegłem kontenerowiec płynący na wschód – był oświetlony jasno niczym biurowiec. Gdy zniknął za horyzontem, znowu byliśmy sami w srogich ciemnościach.

O północy, z sercem łomoczącym jak uszkodzona śruba, uruchomiłem silnik. Rozrusznik zakręcił, załapał i silnik zaczął pracować miarowo i cicho. Zostawiłem go na jałowym biegu, jakbym włączył go tylko po to, żeby doładować akumulator. Napędzały nas żagle. Z salonu nie dobiegały żadne dźwięki i przypuszczałem, że Gerry spał, podobnie jak naszprycowany tabletkami Liam. Trochę później pompa zęzowa pod brodzikiem uruchomiła się i przez jakiś czas wypompowywała wodę za burzę. Nikt się nie obudził.

Silnik pracował, gdy „Corsaire” płynął w śródziemnomorską noc. Dziób jachtu ciął wodę i wzniecał pianę, która utrzymywała się przez chwilę i zniknęła za nami. Gwiazdy kryły się za chmurami. Znajdowaliśmy się daleko poza silnym światłem latarni morskiej na przylądku Spartivento, tak więc korzystałem z kompasu i co godzinę zapisywałem w dzienniku szacunkową liczbę przebytych mil. Sześć, pięć i pół, znowu sześć. Z każdą kolejną milą „Corsaire” i jego konający ładunek zmierzali na północny zachód ku Europie. Powinienem płynąć wzdłuż mużułmańskiego, północnoafrykańskiego wybrzeża w kierunku Cieśniny Gibraltarskiej, a stamtąd na południowy wschód ku Wyspom Kanaryjskim, skąd powinniśmy pozwolić, by pasat pchał nas i nasze złoto przez Atlantyk, ja jednak popełniałem morderstwo pod osłoną nocy. Podłączyłem rurę do wydechu silnika i spaliny wypełniały teraz wnętrze łodzi. Woda chłodząca wydech zbierała się w brodziku i była wypompowywana na zewnątrz, a trujący gaz zostawał w środku.

O czwartej nad ranem, gdy nadal było jeszcze ciemno, wyłączyłem silnik. Nagle zrobiło się bardzo cicho.

Zebrałem się w sobie i otworzyłem kłapę zejściówki.

Powitała mnie fala śmierdzącego, nagrzanego, zagazowanego powietrza. Zachłysnąłem się, zakasłałem i zrobiłem krok do tyłu. Spaliny, wirując, wydobywały się na zewnątrz, podświetlane przez słabe światło.

Widziałem Gerry’ego leżącego na stole. Zwinięte dłonie leżały po obu stronach głowy z kręconymi włosami i śmiesznym warkoczykiem. Nie ruszał się.

Wciągnąłem sporą porcję świeżego powietrza i zszedłem do salonu. Przyłożyłem palec do szyi chłopaka. Nadal był ciepły. Nie czułem pulsu. Poszedłem do przedniej kabiny, gdzie Liam leżał z otwartymi ustami na plecach. Miał otwarte oczy i patrzył pusto w zamknięty luk. Jego śpiwór śmierdział uryną. Błada, piegowata skóra zaczerwieniła się wskutek oddziaływania tlenu węgla. Ślady wymiocin zaschły na jego policzku i poduszce. Przyłożyłem mu palec do szyi i stwierdziłem, że nie żył, podobnie jak Gerry. Otworzyłem klapę luku, żeby wpuścić jakże potrzebne świeże powietrze do cuchnącego wnętrza łodzi.

Próbowałem przeciągnąć Liama do salonu, ale martwe ciało i ruchy łajby uniemożliwiły mi wykonanie tego zadania. Przez godzinę konstruowałem system składający się z kół pasowych i lin, za pomocą którego wyciągnąłem obydwu martwych ludzi ze śmierdzącego wnętrza. Wykorzystując zapasowy fał kliwra powiesiłem ciała przy maszcie; wyglądały jak tusze w rzeźni.

Podtrzymywały je liny przeciągnięte pod pachami. Teraz już naciągnięcie na nie śpiworów nie było trudnym zadaniem. Pracowałem przy świetle lamp nawigacyjnych. Do śpiworów wrzuciłem ołowiane obciążniki, które il Hayaween był uprzejmy mi dostarczyć, po czym zaciągnąłem śpiwory mocno wokół szyj ofiar. W niezadowolonych oczach Liama odbijały się zielone światła sterburty, gdy usiłowałem zawiązać mocno sznur. Obwijałem śpiwory kolejnymi sznurami od dołu, żeby wydusić z nich jak najwięcej powietrza, następnie opuściłem fał i ułożyłem zwłoki wzdłuż relingu na prawej burcie. Odwizałem sznury mocujące ciała, zabezpieczyłem fał i z trudem przerzuciłem zwłoki za burkę. Usłyszałem plusk, zobaczyłem spienioną wodę, a potem nie działo się nic. Światło zbliżającego się świtu pozwoliło mi stwierdzić, że obydwa ciała natychmiast poszły na dno.

Poszedłem po dwa pistolety maszynowe i wyrzuciłem je do morza, następnie odłączyłem elastyczną rurę i również cisnąłem za burkę. Wyczerpany tą pracą, zaparzyłem sobie kawy i zjadłem kanapkę z chleba z cienkim plastrem szynki konserwowej. Po śniadaniu zrobiło mi się niedobrze.

Podłączyłem rurę wydechową. Potem, w świetle słońca przebijającego się między pasmami rozwiewających się chmur, zacząłem pozbywać się zapasów. Do morza trafiło jedzenie na trzy miesiące, a wraz z nim materiały, które wykorzystałem do ukrycia złota: reszta żywicy, utwardzacz, maty i pędzle. Zatrzymałem tylko dwa pędzle i zapieczętowaną puszkę białej farby; całą resztę wyrzuciłem. Za jachtem ciągnął się pas śmieci, a mewy walczyły o chleb i herbatniki.

Usunąłem osady spalin z brodzika, następnie przeszukałem łódź pod kątem jakichkolwiek śladów po Gerrym i Liamie. Wyrzuciłem za burtę ich tandetne plastikowe torby podręczne i tanie ubrania, jak też nowiutkie szczoteczki do zębów, których żaden z nich nie używał. Pozbyłem się też ich żalonych zapasów czekolad Cadbury i pustej puszki po piwie, którą Gerry zostawił sobie na pamiątkę po pierwszej podróży samolotem. Cisnąłem za burtę ich nowiutkie irlandzkie paszporty i pocztówki z Monastynu, których żaden z nich nie pofatygował się wysłać do rodziny; Liam zadał sobie dość trudu i napisał na odwrocie jednej z nich rojącą się od błędów ortograficznych wiadomość:

„Kohana mamó, narazie jest super. Jecenie jest paskóдне. Ucałój Donnę i Babcie”.

Przed wyrzuceniem tych żalonych przedmiotów dokładnie wszystko obejrzałem i znalazłem to, czego szukałem na kawałku tektury schowanej w kieszeni na piersiach marynarki Gerry'ego. Był to numer telefonu, pod który Gerry niewątpliwie miał zadzwonić po dotarciu do Ameryki. Numer prawdopodobnie należał do jakiegoś amerykańskiego sympatyka IRA. Organizacja nigdy wcześniej go nie wykorzystywała, co minimalizowało ryzyko, że Garda Síochána, irlandzka policja, będzie podsłuchiwała rozmowę. Zapamiętałem numer, następnie dorzuciłem kartonik do pływających w morzu śmieci. Potem, gdy już wyszorowałem łajbę, patrzyłem za siebie i starałem się sformułować jakąś modlitwę, która pomogłaby mi odpokutować nocne czyny, ale żadna nie przychodziła mi do głowy. Powiedziałem sobie, że Liam i Gerry zginęli w służbie nowej Irlandii.

Żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy, że Irlandia stworzona przez takich jak oni nie byłaby warta tego, żeby w niej żyć. Znali wyłącznie Irlandię, jakiej nie mogli znieść, z tego też powodu w nieudolny sposób próbowali ją zmienić. Teraz ich spętane ciała leżały na dnie oceanu, a ja wraz ze złotem Saddama Husajna, żeglowałem dalej.

Zamordowałem dwóch ludzi. Zrobiłem to z zimną krwią, wcześniej wszystko zaplanowawszy i uczyniłem to dla swojej wyłącznie korzyści. Nie zabiłem ich, żeby zapobiec rzezi niewinnych ludzi, których śmierć zapowiadały pytania il Hayaweena o samoloty i pociski ziemia-powietrze. Pozbawiłem Liama i Gerry'ego życia dla pięciu milionów dolarów. Rzeczywiście planowałem nie dopuścić do rzezi, ale też knułem kradzież monet od chwili, gdy w Miami usłyszałem o złocie po raz pierwszy. Trudność sprawiało nie to, jak ukraść złoto, lecz jak przeżyć, by je wydać. Moja historia będzie bardzo prosta: przeładowana łódź przewróciła się w czasie sztormu. Zatonęła. Na próżno próbowałem ratować Liama i Gerry'ego. Straciliśmy

złoto razem z jachtem. Udało mi się przeżyć dzięki tratwie ratunkowej. Gdy dotrę do Ameryki, będę się przez kilka tygodni ukrywał, a potem, gdy IRA mnie znajdzie, wcisnę im bezwstydnie tę historię. Liam i Gerry przeszkodziliby mi w tym kłamstwie, więc musiałem ich zamordować.

Usiłowałem usprawiedliwić to zabójstwo, tłumacząc sobie, że przecież oni by mnie zabili pod koniec podróży. A nawet jeśli to nie oni mieli być moimi oprawcami, ktoś inny wykończyłby nas trzech. Powtarzałem sobie, że jeśli jada się kolacje z diabłem, trzeba mieć bardzo długą łyżkę, a Gerry i Liam powinni wiedzieć, przy jakim stole siadali. Staralem się uzasadnić ich śmierć, ale to jednak było zabójstwo, które nękało moje sumienie w drodze do Barcelony. Też było częścią planu.

To była piekielna podróż. Płynąłem samotnie przez uczeszczane morze, toteż nie ośmieliłem się opuścić kokpitu. Drzemałem przy sterze i wrywałem godzinę snu, gdy tylko wydawało się to bezpieczne lub gdy pokonywało mnie zmęczenie. Pewnej nocy obudziłem się przerażony na dźwięk łoskotu silnika parowca przepływającego w nocy nieopodal i gdy się odwróciłem spanikowany, ujrzałem światła wielkiego statku niecałe sto metrów ode mnie.

Następnego dnia, w czasie krótkiego odpoczynku od zimowego wiatru wiejącego od strony francuskiego wybrzeża, przypiąłem się do liny ratowniczej i, włączywszy uprzednio samoster, przykucnąłem na platformie pływackiej umieszczonej przy wklęsłej rufie i za pomocą białej farby, którą umieściłem na liście rzeczy niezbędnych do wykonania fałszywej podłogi, zamazałem nazwę „Corsaire” oraz francuskiego portu macierzystego w Vendres. Podarłem papiery jachtu i wyrzuciłem je za burtę.

Następnego dnia, gdy druga warstwa farby wyschła, zakrywając dokładnie stare napisy, rozwinąłem szablony z nowymi nazwami, które zamówiłem drogą pocztową w Belgii. Ostrożnie, cały czas balansując na przeciążonej łodzi, umieściłem nowe nazwy na świeżej farbie. W ten sposób przechrzciłem „Corsaire” na „Rebel Lady”, a portem macierzystym łodzi był teraz Boston w Massachusetts, a nie Vendres. Za pomocą żywicy epoksydowej przymocowałem tabliczkę konstruktora „Rebel Lady” z boku dachu kabiny i, wychylając się niebezpiecznie pod relingiem, wykorzystując gotowe foliowe cyfry i litery, nabyte w Nieuwpoort, nakleiłem po obu stronach dziobu numery rejestracyjne „Rebel Lady”. Wreszcie wymieniłem trójkolorową flagę Francji na paski i gwiazdy. Tym sposobem „Corsaire” odszedł w niebyt, a jego miejsce zajął się mierzący trzynaście i pół metra jacht doktora O’Neilla zwany „Rebel Lady”, gotowy do powrotu do domu.

Dwa dni później wprowadziłem łódź do portu komercyjnego w Barcelonie. Spędziłem pracowity dzień na zdejmowaniu takielunku: zwijaniu żagli, kładzeniu masztu. Potem, gdy drzewce zostały bezpiecznie przymocowane do pokładu, wyciągnięto ją z wody.

Operator żurawia otworzył okno kabiny i krzyknął coś przez drobny, brudny deszcz. Wzruszyłem ramionami, żeby pokazać, że nic nie rozumiem, ale brygadzysta przetłumaczył jego wypowiedź na francuski:

– Mówi, że waży tyle, co osiemnastometrowa!

– Wolę ciężkie łodzie!

– I kobiety, co? – Zaśmiał się i powtórzył dowcip po katalońsku operatorowi, który z wyjątkową umiejętnością opuszczał „Rebel Lady” do kontenera z otwartym dachem.

Gdy jacht został podparty, pożyczyłem wiertarkę i wykorzystując szablony, które kupiłem w Nieuwpoort, przymocowałem numer identyfikacyjny na rufie, jak również, zgodnie z wymogami amerykańskiego prawa, w niewidocznym miejscu pod pokładem. Wykorzystałem nową, fałszywą podłogę i wykonawszy ostatnie zadanie, zamknąłem luki i przekazałem łajbę towarzystwu żeglugowemu, spłaciłem debet na swoim rachunku bankowym i wyszedłem z portu szukać taksówki. Za dzień lub dwa „Rebel Lady” zostanie załadowana na kontenerowiec i następnie jako ładunek popłynie na zachód przez zimowy Atlantyk, do Ameryki.

Ja też zmierzałem do Ameryki, ale nie przez Atlantyk. Strach przed il Hayaweenem kazał mi być ostrożnym, dlatego też pojechałem pociągiem do Nicei, potem do Paryża, gdzie metrem udałem się na lotnisko.

Znowu zadzwoniłem do Brukseli, skłamałem i złapałem samolot do Singapuru. Znikałem, jechałem na wschód dookoła świata, ale zmierzałem, jak nowa „Rebel Lady”, do bezpiecznego domu.

Spędziłem jedną noc w hotelu przy singapurskim lotnisku Changi, a potem w upalny i wilgotny poranek, nadal nieprzytomny z powodu braku snu i zmęczenia związanego z przelotem, poleciałem na północ do Hongkongu, gdzie przez dwie godziny czekałem na lot do San Francisco. I tak, posługując się fałszywym paszportem, targając ze sobą brudny worek marynarski i żółty sztormiak, wróciłem do domu.

Mój lot do Bostonu był opóźniony, więc kupiłem sobie kilka gazet. Irakijczycy nadal odmawiali wycofania się z Kuwejtu, mimo że siły koalicjantów zbierały się w Arabii Saudyjskiej. Saddam Husajn wciąż obiecywał swoim wrogom najgorszą wojnę. Wydawał się tak pewny siebie, że aż się

zastanawiałem, czy być może plany il Hayaweena nie zostały jednak bardzo pokrzyżowane. Być może sabotażyści byli już rozmieszczeni na całym świecie i szykowali się do rzezi i siania zniszczenia w imię Allacha, Saddama i Palestyny. Pomyślałem o pięćdziesięciu trzech stingerach i człowieku z okaleczoną ręką, który pytał o możliwość zestrzelenia samolotów pasażerskich. Poczulem strach na myśl o kolejnym locie, ale wytłumaczyłem sobie, że nie powinienem być taki głupi. Jakikolwiek zło planowali Irakijczycy, nie dojdzie do niczego, zanim nie rozpocznie się strzelanina na pustyni.

Samolot do Bostonu powinien był wylecieć z San Francisco o trzynastej trzydzieści, ale wystartował prawie o osiemnastej. Leciał na wschód nad Sierra Nevada, co oznaczało, że na lotnisku Logana wylądowaliśmy dopiero we wczesnych godzinach rannych.

Padał śnieg i było kilka stopni poniżej zera. Po raz ostatni spałem gdzieś nad zachodnim Pacyfikiem i gdybym był rozsądny, spędziłbym resztę nocy w hotelu w Bostonie, ale zmęczenie związane z podróżami i zastrzyk adrenaliny pozwalały mi nie spać, a ja nade wszystko chciałem dotrzeć do domu w Cape Cod, tak więc wynająłem samochód i ruszyłem w drogę między zaspami ciągnącymi się wzdłuż dróg Massachusetts.

Jechałem tylko nieco ponad dwie godziny. Czułem wręcz bolesne zmęczenie, ale myśl o czekającym na mnie domu napełniała mnie gorączkowym oczekiwaniem i niczym szukające schronienia osaczone zwierzę, chciałem ukryć się w bezpiecznym kącie. Istniało ryzyko, bardzo niewielkie, że moi wrogowie mogli obserwować dom w Cape Cod, ale wątpiłem w to, ponieważ nie odwiedzałem tego miejsca od siedmiu lat, a Shafiq i jego kumple nie wiedzieli nawet o jego istnieniu. Gdy przejeżdżałem nad kanałem, chmury na niebie rozeszły się i odsłoniły czysty jak lza księżyc, lśniący jasno na tle lodowato połyskujących gwiazd. W świetle księżycy dostrzegłem żółte wstążki przywiązane do drzew, skrzynek pocztowych i ogrodzeń. Na dużym podświetlanym szyldzie przed sklepem z artykułami żelaznymi umieszczono prośbę do Boga, by błogosławił naszym żołnierzom. W radiu nawet o czwartej rano mówiono dużo o groźbie wojny, a potem odtworzono amerykański hymn. Poczulem, jak do oczu napływały mi łzy. Tak wiele czasu upłynęło, odkąd opuściłem dom. To było tak dawno.

O godzinie czwartej dziesiąt w tę rozgwieżdżoną noc skręciłem na gruntową drogę, która prowadziła na wschód w kierunku oceanu. Gdy wjechałem na szczyt porośniętej sosnami wydmy na krawędzi bagna, nagle mogłem widzieć wszystko na dystansie wielu kilometrów; wydawało się, że każde oszronione źdźbło trawy było ostre jak igła w tym mroźnym

powietrzu. Daleki Atlantyk był srebrzysto-szary, a znajdująca się bliżej woda w zatoce lśniła niczym polerowana stal. Śnieg nie utrzymywał się na słonych błotach, ale było go na tyle dużo, by rozświetlić ciemne cienie pasmami bieli. Zatrzymałem samochód na grani i wyłączyłem radio oraz reflektory. Wpatrywałem się w krajobraz skąpany w świetle księżyca, na którego tle odcinał się mój dom, czarny jak atrament. Ten dom i błyski latarni rozmieszczonych wzdłuż przylądka były jedyną zmianą, jaka zaszła tu od czasów, gdy na tej grani stanęli ojcowie założyciele, a być może nawet od okresu jeszcze wcześniejszego, kiedy to wędrownie plemiona Indian poszukiwały małą na łachach tego piaszczystego cypla wrzynającego się tak głęboko w Atlantyk.

Opuściłem szybę, żeby do środka wraz z mroźnym powietrzem wpadł dźwięk oceanicznych grzywaczy.

Ten dźwięk obudził we mnie nagłą falę miłości do tego miejsca. To był dom, bezpieczeństwo, coś mojego.

Ojciec kupił go pięćdziesiąt lat wcześniej, uciekając przed dziwkami, alfonsami i prawnikami nękającymi jego branżę; teraz miał się stać moim schronieniem.

Pomyślałem sobie, że tutaj będę mógł wreszcie żyć uczciwie. Już nigdy więcej tajemnic. Wróciłem do domu.

Dom. Siedziałem tak dość długo, oddając się zadumie, pozwalając, by chłód wypełnił samochód. Rozmyślałem i patrzyłem. Na słonych błotach nie było żadnego ruchu. Nie spodziewałem się tu swoich wrogów, ale stare nawyki pozwalają człowiekowi przeżyć, dlatego też patrzyłem i czekałem.

Wpatrywałem się w dom i wsłuchiwałem się w morze. Nie czułem strachu. To miejsce było zbyt oddalone od nienawiści panującej na Bliskim Wschodzie lub goryczy Ulsteru, by mogło być niebezpieczne. To tutaj się schronię do czasu, gdy „Rebel Lady” dotrze do Ameryki. Wtedy oddam się do dyspozycji rządu. Gdy dzwoniłem do Brukseli, poinformowałem wyłącznie o stingerach, il Hayaweenie i moim przekonaniu, że planowano potworną serię ataków na samoloty, które miały być zemstą za to, że Amerykanie psuli szyki Saddamowi Husajnowi. Przekazałem CIA tyle danych, ile było trzeba, żeby zapobiec wysyłce stingerów, ale przecież agencja będzie chciała usłyszeć więcej. Będzie chciała znać wszystkie szczegóły, jakie zebrałem i pamiętałem odkąd dwanaście lat wcześniej wysłała mnie z misją agenta bez powiązań i korzeni.

Roisin miała rację. Byłem jednym z tych agentów, którzy nie istnieli. Byłem jedną z tajemnic CIA. Wysłano mnie w świat i kazano mi tam być do czasu, gdy wpadnę na coś, z czym warto wrócić do domu. Byłem jednym z tych agentów, którzy nie zostawiali za sobą śladów. Nic mi nie płacono, nie proponowano; moje nazwisko nie widniało na żadnej rządowej liście, w żadnej komputerowej bazie danych, w żadnych aktach.

Nie istniałem. Simon van Stryker, który zwerbował mnie do programu, nazywał nas „agentami bez sznurków”; nie istniały żadne sznurki, za które pociągałby ktoś w Langley w Wirginii, które mogłyby być wskazówką dla wroga. Wracalem z własnej woli, w swoim czasie i nie zamierzałem wyjawic wszystkiego. „Rebel Lady” i jej ładunek należały do mnie. Złoto Saddama Husajna nie przyczyni się do spłacenia amerykańskiego deficytu, ale zapewni mi spokojną starość.

Jaką starość? Siedziałem w lodowatym, nieoświetlonym samochodzie i wpatrywałem się w zalane światłem księżyca słone błota, wspominając, jak swego czasu marzyłem, by przywieźć do tego domu Roisin; marzyłem nawet, Boże dopomóż, o tym, jak będziemy wychowywać jej dzieci, ale ona wyśmiała to marzenie, nazywając je sentymentalnymi mrzonkami tępego i pozbawionego wyobraźni głupca. Przypomniały mi się jej oczy po egzekucji – znikła z nich cała wojowniczość. Potem pomyślałem o oczach Liama, które patrzyły tak oskarżycielsko w świetle zielonej lampy.

Biedny Liam. Po tym, jak już wcisnąłem go do śpiwora, zauważyłem na swoich dłoniach jego zaschnięte wymiociny i spanikowałem, zupełnie jakbym miał kontakt z zarazą. Wspominałem swoje dzieciństwo i to, jak ojciec Sifflard mówił nam o jednym z grzechów przeciwko Duchowi Świętemu, który nigdy nie spotka się z rozgrzeszeniem; nikt nie był w stanie zdefiniować tego grzechu. Zastanawiałem się, czy każdy z nas definiuje ten grzech sam dla siebie i czy go już popełniłem, skazując się na potępienie i koszmar wiecznej kary.

Podniosłem szybę, wcisnąłem sprzęgło i ruszyłem w stronę domu, wzniesionego 150 lat wcześniej przez kapitana Alexandra Starbucka, który porzuciwszy intratne połowy wielorybów na Oceanie Południowym i pokłóciwszy się z rodziną w Nantucket, przyjechał na Cape Cod i osobiście wybudował dom będący schronieniem przed wiejącym od Atlantyku wiatrem. Ojciec odkupił dom od prawnuczki kapitana i marzył o spędzeniu w nim emerytury, ale jego marzenie nigdy się nie ziściło. Teraz to miał być mój dom. Jechałem powoli podjazdem wysypanym pokruszonymi muszlami małż, które chrzęściły głośno pod kołami. Zatrzymałem się przy dużym rondzie przed domem. Światło reflektorów odbijało się ostro od srebrzysto-

szarego cedrowego gontu. To był klasyczny dom w stylu Cape Cod: prosty, niski budynek z dwoma oknami po obu stronach wejścia, stromymi schodami w holu i przytulnymi lukarnami na piętrze, które pewnie kojarzyły się kapitanowi Starbuckowi z kabinami na kutrze wielorybniczym. Jediną dobudówką od 1840 był garaż kryty takim samym gontem jak dom, dzięki czemu wydawał się równie stary, jak reszta budynku. Dom wyglądał jak na dziecięcym rysunku; współgrał ze swoim otoczeniem i był mój – ta myśl pokrzepiła mnie cudownie, gdy zgasilem światła i wysiadłem z samochodu. Wyjąłem worek marynarski z bagażnika, znalazłem klucze od domu, o które dbałem przez te siedem lat, po czym podszedłem do drzwi wejściowych.

Klucz chrzęścił w zamku. W domu nigdy nie było elektryczności, a ja nie miałem latarki, ale księżyc świecił tak jasno, że oświetlał hol. Moja siostra Maureen, która korzystała z domu w wakacje, zostawiła żółte płaszcze przeciwdeszczowe na kołkach przy drzwiach; poza tym otulony mrokiem hol wyglądał tak, jak go zostawiłem siedem lat wcześniej. Stary drewniany kufer ze sznurowymi uchwytami, który kupiłem w Provincetown nadal stał przy stromych schodach, a na jego malowanym wieku stała świeca w cynowym lichtarzyku. Obmacałem jego podstawę i znalazłem zapalki.

W tym momencie błysnęło elektryczne światło, które mnie oślepiło. Odskokczyłem do tyłu, ale zanim zdołałem uciec, coś strasznego uderzyło mnie w twarz i przestałem widzieć. Miałem ochotę krzyknąć z bólu, ale nie mogłem nawet odetchnąć i z trudem łapałem powietrze. Dłońmi z zakrzywionymi palcami zasłaniałem piekące oczy. Upadłem.

CZEŚĆ DRUGA

Policja przyjechała pięć minut później. Ich dwa wozy trzęsły się i wyły, jadąc żużlową drogą, po czym zatrzymały się z piskiem, hamując na podłożu z tłuczonych muszli. Młody podekscytowany policjant z bronią w ręku wpadł przez otwarte drzwi i wrzasnął, żebym się nie ruszał.

– Dorośnij pan – powiedziałem znękany głosem. Czy wyglądam na kogoś, kto mógłby uciekać?

Odyskałem częściowo wzrok i choć oczy wciąż mi łzawiły, widziałem, że dziewczyna, która mnie zaatakowała, siedziała teraz na schodach i trzymała stary harpun wielorybiczny, który zazwyczaj wisiał na ścianie w mojej sypialni. Nie obezwładniła mnie jednak za pomocą harpuna, tylko zawartością plastikowej butelki stojącej obok niej na schodach.

– Włamał się – wyjaśniła lakonicznie trzem policjantom, którzy tłoczyli się podnieceni w holu. – Twierdzi, że nazywa się O'Neill. Doktor O'Neill – rzuciła pogardliwie.

W ciągu minionych kilku chwil zorientowałem się, że to bardzo twar-
da kobieta.

– Mam wezwać ekipę ratunkową? – spytał pierwszy policjant, a starszy ukląkł przy mnie i delikatnie odciągnął moje ręce od oczu.

– Co pani mu zrobiła? – zapytał dziewczynę.

– Amoniak.

– Jezu! Rozpuściła go pani?

– No co pan?

– Jezu Chryste! Daj trochę wody, Ted. Możemy skorzystać z kuchni?

– Jest tam.

– Mówi pani, że to amoniak? – zapytał z niedowierzaniem pierwszy policjant.

– Nieźle go zlałam. – Pokazała policjantom butelkę po mydle w płynie, co pomogło jej obalić mnie na ziemię. – Kiedyś znałam policjanta z Los

Angeles – wyjaśniła. – Nauczył mnie, żeby nigdy nie wkurzać psychopaty, tylko szybko drania obezwładnić. Amoniak świetnie się do tego nadaje i jest legalny – ostatnie słowa wypowiedziała obronnym tonem.

– Zgadza się.

Jeden z policjantów przyniósł w rondlu wodę z kuchni. Oddychałem już mniej więcej normalnie, ale oczy bolały mnie potwornie. Policjant polewał mi twarz wodą, a na zewnątrz komunikaty radiowe brzmiały nienaturalnie głośno w zimowej ciszy.

– Zaraz go zabierzemy, proszę pani – zapewnił starszy policjant w stopniu sierżanta.

– A potem łotra zakopcie – dziewczyna rzuciła mściwie.

– Jak się pan nazywa? – zapytał sierżant.

– Jestem – odezwałem się tak dumnie, jak tylko mogłem – doktor James O’Neill. – Sięgnąłem do kieszeni, żeby wyciągnąć z niej podrobiony paszport.

– Ostrożnie! – Sierżant wykonał ruch, jakby chciał mnie obezwładnić, ale rozluźnił się, gdy zobaczył, że nie wyciągnąłem broni. – Znam pana! – wykrzyknął nagle.

Zamrugąłem oczami. Obraz nadal mi się rozmazywał, ale rozpoznałem sierżanta Teda Nickersona, gościa, którego po raz ostatni widziałem w dwunastej klasie. Cholera, pomyślałem. Nie tak to sobie planowałem. Chciałem zniknąć na Cape Cod na kilka tygodni, z dala od wścibskich oczu i czekać na przybicie statku. Wcale nie potrzebowałem, aby rozniosła się wieść, że wróciłem do domu i dotarła do uszu Michaela Herlihy’ego lub il Hayaweena.

– Toż to Paul Shanahan! – Oświadczył Ted. – Co znaczy...

– To znaczy, że to jest mój dom – potwierdziłem.

– To nie jest jego dom! – sprzeciwiła się dziewczyna. – Wynajęłam ten dom! Mam umowę na pięć lat!

Trzęsła się w koszuli nocnej i starym wełnianym szlafroku. Moim wełnianym szlafroku. Miała bosc stopy, długie czarne włosy i orientálną urodę.

– To jest dom Shanahana – Ted Nickerson potwierdził, że jestem właścicielem posesji. Nadal patrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Jesteś Paul, prawda?

– Taa.

– Bzdura! – dziewczyna rzuciła z oburzeniem. – Dom należy do faceta z Bostonu, niejakiego Patricka McPhee.

– McPhee to mój szwagier – poinformowałem ją. – Jest mężem mojej siostry Maureen. Maureen ma klucze, gdy mnie nie ma. To wszystko! Korzysta z domu w wakacje i długie weekendy.

Dziewczyna gapiała się na mnie. Domyśliłem się, że wymieniając imię Maureen, przekonałem ją, że nie jestem zwykłym włamywaczem i gwałciicielem, ale mogę mówić prawdę. Ted Nickerson nadal marszczył brwi, być może zastanawiając się nad moim fałszywym nazwiskiem.

– Jak tam twarz, Paul?

– Piecze jak diabli.

– Amoniak to paskudztwo – stwierdził ze współczuciem. – Naprawdę.

– Skąd miałam wiedzieć? – broniła się dziewczyna. – Facet nie puka, tylko wchodzi do domu jakby...

– Był u siebie? – dokończyłem za nią.

– Cholera! – zaklęła ze złością. – To czemu przedstawia się pan jako doktor O'Neill?

– Nie pani sprawa – uciałem.

Wstałem z trudem. Z oczu nadal lały mi się łzy i miałem wrażenie, że do gardła ktoś mi wlał nierozcieńczony kwas siarkowy, ale dochodziłem do siebie.

– Kto tu doprowadził elektryczność?

– Ja – dziewczyna odpowiedziała wyzywająco.

– Jestem malarką. Potrzebuję porządnego oświetlenia do pracy.

– Zainstalowała też pani telefon? – zapytał ją Ted Nickerson.

– Jasne.

– Mogę skorzystać?

– Bardzo proszę. Jest w kuchni.

Dziewczyna zeszła niepewnie po schodach, które kapitan Starbuck skonstruował tak strome, jak schodki zejściówki na starym kutrze wielorybniczym. Jeden z policjantów był na zewnątrz w samochodzie, a pozostali dwaj kręcili się nerwowo przy otwartych drzwiach wejściowych.

– Możemy zamknąć drzwi? – poprosiła dziewczyna. – Jest mi zimno.

– Jasne, proszę pani.

Przeszedłem do salonu, skąd mogłem słyszeć, co sierżant Nickerson burczał do telefonu w kuchni. Znalazłem włącznik światła. W blasku lampy zauważyłem na stole pudełko chusteczek. Wziąłem garść i wytarłem nimi oczy. To pomogło, chociaż resztki amoniaku nadal pioruńsko piekły.

Z wyjątkiem oświetlenia i obrazów, w pokoju niewiele się zmieniło. Ściany były wyłożone starą, wyburzała boazerią dębową, a sosnowe belki na niskim suficie były legarami, na których opierała się podłoga piętra. To był dom wzniesiony przez okrętowego cieślę.

Dębową podłogę dziewczyna wspaniałomyślnie zabezpieczyła przed farbami płachtą malarską. Szeroki kamienny kominek był pełen popiołu, do którego dorzuciłem zmięte chusteczki.

– Jest pan naprawdę właścicielem tego domu?

Dziewczyna weszła za mną do salonu.

– Tak.

– Jasny gwint! – rzuciła ze złością i z rękami skrzyżowanymi na pierśsiach podeszła do jednego z małych okien z widokiem na wschód, na ocean.

– Listonosz mówił, że według niego Patrie McPhee nie jest właścicielem, ale myślałam, że to plotkarz.

– McPhee to worek gówna – oświadczyłem wściekle. – Poślubienie go było najgorszą rzeczą, jaką Maureen mogła zrobić. Od jak dawna pani tu mieszka?

– Trzy lata, ale nie przez cały czas. Przyjeżdżam tu, gdy tego potrzebuję. Mam własne mieszkanie w Nowym Jorku.

– Na Manhattanie?

– A gdzieżby indziej? – Spojrzała na mnie, jakbym był sprawcą jej niepowodzeń. – Przepraszam za oczy – dodała niechętnie.

– To wina Patricka – odparłem; doprawdy nie znosiłem swojego szwagra.

– Zainwestowałam w to miejsce! Podłączyłam prąd i telefon! – mówiła oskarżycielskim tonem. – Zrobiłam nawet kosztorys założenia centralnego ogrzewania, ale Maureen powiedziała, że nie powinnam marnować pieniędzy. Uznałam, że to dziwne, lecz nie zadawałam pytań. Głupia byłam,

prawda? Tak bardzo lubię to miejsce. To światło... – Machnęła ręką w stronę okna, by się wytłumaczyć.

– Rozumiem – odpowiedziałem.

Naprawdę rozumiałem. Jesienią i zimą światło na Cape Cod jest tak czyste i ostre, że człowiek ma wrażenie, jakby świat stworzono od nowa. To światło przyciągnęło tu już tysiące artystów, choć większość z nich tylko marnowała dobre farby i płótno, próbując je uchwycić. Nie mogłem stwierdzić, czy dziewczyna była dobrą malarką, ponieważ nadal widziałem zamazany obraz. W kiepskim sztucznym świetle jej dzieła wydawały się pełne złości i rozdarcia, ale na ich odbiór mógł wpływać mój nastrój.

– Jestem Sara – odezwała się pojednawczym tonem. – Sara Sing Tennyson.

– Paul Shanahan. – Prawie dorzuciłem, że miło mi ją poznać, ale ten zwrot wydawał się raczej nieodpowiedni, więc go pomiąłem. – Sing? – zapytałem. – Cóż za dziwne imię?

– Moja mama była Chinką.

Sara Sing Tennyson była dziewczyną wysoką, a jej wąską, trochę dziką twarz okalały bardzo proste i bardzo czarne włosy. Miała ciemne, skośne oczy i wysokie kości policzkowe. Zauważyłem z goryczą, że była całkiem ładnym intruzem, jeżeli rzeczywiście była intruzem, bo Bóg jeden wie, jak oceniliby tę sytuację prawnicy.

– Kiedy doprowadziła pani prąd? – zapytałem mimochodem, bo przyszło mi na myśl, że powinienem zwrócić jej koszty.

– Dwa lata temu.

– Nie widziałem na zewnątrz przewodów.

– Musiałam je zakopać, bo to jest krajowa linia brzegowa, więc nie wolno tu stawiać słupów elektrycznych. To samo dotyczy linii telefonicznej. – Spojrzała na mnie bardzo wrogo. – To było kosztowne.

Tym głupiej zrobiłaś, pomyślałem. – Ajaki czynsz płaci pani Patriczkowi?

– Czy to pański interes? – zachnęła się.

– To jest mój cholerny dom – odpowiedziałem. – Jeśli mój cholerny szwagier wynajmuje go jakiejś cholernej dziewczynie, to jest to mój cholerny interes!

– Nie jestem „dziewczyzną”! – Sara Sing Tennyson z miejsca zapalała do mnie wrogością. Tłumaczyłem sobie jej irytację tym, że została zbudzona w środku nocy, ale mimo to wydawała się mieć nadzwyczaj wybuchowy temperament. – Jestem kobieta, panie Shanahan, chyba że mogę się do pana zwracać per „chłopcze”.

Słodki Jezu, dzięki, że w starej Europie nie byłem narażony na taki obłąd. Od dalszych językowych przepychanek uratował mnie Ted Nickerson. Nadal trzymał w dłoni słuchawkę.

– Paul?

– Słucham, Ted.

– Rozmawiam z niejakim Gillespiem. Peterem Gillespiem. Czy to nazwisko ci coś mówi?

– Absolutnie nic – odparłem zgodnie z prawdą.

Nickerson przyglądał mi się uporczywie od chwili, gdy mnie rozpoznał, a teraz jego zdziwienie chyba się jeszcze pogłębiło.

– Mówi, że spodziewał się z tobą spotkać w Europie. Czy to ma sens?

Chryste Panie, ci z CIA byli szybsi, niż się spodziewałem. Na moje telefoniczne ostrzeżenia zareagowali alarmem.

– Mieliśmy cię wypatrywać dwa dni temu, Paul – wyjaśnił Ted Nickerson.

– Powiedz temu Gillespiemu, że zadzwonię do niego za kilka tygodni.

Ted pokręcił głową.

– Mam rozkaz, żeby cię zatrzymać. To jest areszt prewencyjny.

Przesunął dłoń w kierunku kabury. Sara Sing Tennyson krzyknęła cicho. Uniosłem ręce w geście kapitulacji.

– W porządku, Ted. Nie potrzebujemy tu scen.

– Nie jesteś aresztowany – sprostował Ted ostrożnie. – Jesteś pod ochroną policji.

Zaczął mówić do telefonu i poinformował tego kogoś po drugiej stronie linii, ktokolwiek to był, że jestem bezpieczny.

To znaczyło, że schrzaniłem sprawę.

Poznałem Petera Gillespiego następnego ranka.

Przyjechał na komisariat policji z agentem, niejakim Stuartem Callaghanem, który miał być moim ochroniarzem.

– Pomyśleliśmy, że ktoś mógłby nie chcieć, żeby pan z nami rozmawiał – Gillespie wytłumaczył obecność ochroniarza. – Ci od pocisków, jak sądzę.

– Oni również – stwierdziłem, bo podejrzewałem, że ludzie, którzy by mnie chcieli uciszyć, bardziej się martwili o pięć milionów dolarów w złocie, które miały być zapłatą za stingery.

– Jadł pan śniadanie, panie Shanahan? – zapytał Gillespie i bardzo skrupulatnie pokazał mi swoją odznakę.

– Jasne.

– Więc jeśli jest pan gotów... – Najwyraźniej nie mógł się doczekać, aż zacznę składać raport. Jak by nie było, przez ponad dekadę zbierałem informacje, które uzupełnią bazę danych agencji. – Na lotnisku Hyannis czeka na nas samolot.

– Chwileczkę! – zaprotestowałem. Nie było jeszcze ósmej rano, udało mi się przespać dwie godziny w celi i czułem się jak odgrzany truposz. – Muszę się z kimś spotkać przed wyjazdem. Chciałbym skorzystać z telefonu, a potem wrócić do domu.

– Jeśli potrzebuje pan maszynki do golenia lub szczoteczki... – Gillespie zaczął.

– Muszę wykonać telefon – przerwałem mu – a potem pojechać do domu.

Był wyraźnie niezadowolony, ale nie wiedział, jak powinien mnie traktować. Nie byłem więźniem, mimo że spędziłem noc w areszcie. Zdecydowanie byłem kimś egzotycznym. Mogłem sobie należeć do CIA, ale wywodziłem się z nieznanego i mrocznego światka międzynarodowego terroryzmu, a to czyniło mnie tajemniczym. Być może uważali, że zostałem czymś zarażony przez pragnące zemsty istoty wywodzące się ze slumsów i obozów dla uchodźców na starym kontynencie, które chciały sprowadzić na nasz świat najgorsze koszmary. Gillespie jako taki był porządnym człowiekiem: wysokim mężczyzną, sprawnym fizycznie, idealnie uprzejmym i profesjonalnym; wyraźnie nie chciał, żebym skorzystał z telefonu, ale chyba dostrzegł moją determinację, ponieważ machnął ręką w stronę biurka.

Musiałem pogadać ze starym przyjacielem. Wolałbym porozmawiać z nim na osobności, ponieważ moja rozmowa z Johnnym Riordanem miała

stricte prywatny charakter, a wątpilem w to, że CIA zgodzi się z takim poglądem, niemniej pod obecność Gillespiego nie miałem wyboru. Musiałem zaryzykować i pozwolić CIA dowiedzieć się o Johnnym.

Przyjaźniliśmy się od dzieciństwa, odkąd jego ojciec opiekował się domem na Cape Cod. Stary Eamonn Riordan był rybakiem, całkiem dobrym, ale jego syn był jeszcze lepszy. Johnny miał wrodzony talent do zajmowania się łodziami, morzem i życiem. Był wspaniałym człowiekiem, surową siłą natury, świetnie umięśnioną, a przy tym chodzącą dobrocią i rozsądkiem, ale też kimś, kogo nie chciałem wciągać w jakiegokolwiek kłopoty, bo był ojcem i mężem. Nie było w nim ani krztyny złośliwości, no może tylko względem polityków, którzy ciągle utrudniali mu wykonywanie pracy. Johnny starał się zarobić na życie, poławiając homary i przegrzebki lub łowiąc ryby takłami w okolicy przylądka, ale w chude miesiące, a w większości było ich dwanaście w roku, był zmuszony utrzymywać rodzinę, podejmując się wszelkich zajęć, na przykład wykładania towaru na półki w sklepie spożywczym.

Według Johnny'ego warto było się tak poświęcać, o ile tylko mógł nadal łowić ryby, bo uwielbiał morze i był chyba najlepszym żeglarzem, jakiego znam. Nie kontaktowałem się z nim od siedmiu lat, ale wiedziałem, że jeśli tylko będzie w domu, nie mrugnie powieką, jeśli usłyszy mnie w telefonie. Rzeczywiście tak było.

– Wróciłeś wreszcie? – zaśmiał się. – To znaczy, że będziesz chciał coś zjeść.

– Nie. Chcę się z tobą spotkać u mnie. Teraz. Możesz przyjechać?

– Jasne, że mogę. Politycy nie pozwalają nam wypływać w morze, na wypadek, gdybyśmy mieli coś jednak złowić. Mówię ci, Paulie, ci kongresmani nie byliby w stanie złapać własnych tyłków gołymi rękami, nawet gdyby je pomalować na czerwono. Słyszałeś o nowych ograniczeniach połowów, które zawdzięczamy Waszyngtonowi?

– Po prostu przyjeźdź! – przerwałem mu. – Proszę, Johnny. Teraz!

Furgonetka Johnny'ego była już zaparkowana na podjeździe, gdy Gillespie i Callaghan przywieźli mnie do domu. Dwa golden retrievery merdały ogonami z tyłu samochodu, bo przecież żadna furgonetka na Cape Cod nie byłaby kompletna bez przynajmniej jednego psa. Myślałem, że Johnny będzie na mnie czekał w kabinie, ale znalazłem go rozpartego przed kominkiem, gdzie zarzucał Sarę Sing Tennyson opowieściami z okresu prohibicji: o tym, jak mieszkańcy przylądka mieli przewagę nad agentami federalnymi i jak wśród żurawin i w wilczych dołach można nadal znaleźć

zapomniane skrzynki z kanadyjską whisky. Sara Sing Tennyson, jak wszyscy zresztą, była urzeczona Johnnym, którego entuzjazm był naturalny i zaraźliwy.

– Patrzcie, kto przyszedł! – Johnny powitał mnie żywiołowo.

Był to postawny mężczyzna z burzą czarnych włosów, wielką czarną brodą w otwartej, wesołej twarzy.

– Poznałeś już moją lokatorkę? – Wskazałem na Sarę.

Sara Sing Tennyson uśmiechnęła się lekko.

– Nie puka pan przed wejściem do czyjegoś domu?

– To jest mój dom – zauważyłem.

– Jakie to miłe, że mieszka tu artystka, prawda?

– Johnny starał się rozluźnić atmosferę. Machnął ręką w kierunku obrazów, które w większości przedstawiały latarnię Nauset, ale ukazaną w tak ponury sposób, że mogłaby uchodzić za wieżę strażniczą w piekle. – Opowiadałem właśnie, jak w szkole nauczyciele usiłowali uczyć mnie plastyki. Strata czasu! Nie potrafiłem narysować pudełka, nawet z pomocą linijki. Dzień dobry! – Powitanie było skierowane do Gillespiego, który wszedł za mną do domu.

Przegoniłem Johnny'ego do kuchni, zanim zdążył nawiązać rozmowę o pogodzie, rybołówstwie i plażach.

– Proszę się czuć swobodnie w moim domu, Shanahan! – Sara Sing Tennyson krzyknęła za mną.

– Panie Shanahan! – Gillespie przestraszył się, że mógłbym spróbować uciec tylnymi drzwiami.

– To sprawy rodzinne – oświadczyłem stanowczo, wciągnąłem przyjaciela do kuchni i zatrzasnąłem za nami drzwi.

– Co jest? – zapytał Johnny. – Powiedziała mi, że wynajmuje dom! Wiedziałem, że tu się od czasu do czasu pojawiała, ale myślałem, że pożyczka od Maureen klucze na weekendy. Nie widziałem Maureen od kilku miesięcy, więc nie mogłem jej o to zapytać. Wiem, że mąż Maureen bywa tu, ale...

– To nieistotne – przerwałem mu. Miałem świadomość, że podarują mi tylko kilka minut, zanim Gillespie nam przeszkodzi; nie chciałem tracić ani chwili.

– Posłuchaj – zwróciłem się do Johnny’ego. – Dostaniesz łódź. Zostanie dostarczona z Hiszpanii. Wysłałem ją do ciebie. Przybędzie na pokładzie statku z Barcelony. Zadzwoń do ciebie celnik z Bostonu. Nie wiem, kiedy łajba tu dotrze. Domyślam się, że za sześć lub siedem tygodni. Raczej nie będziesz musiał płacić za nią cła, bo jest zarejestrowana w Massachusetts. To są jej papiery. – Wyciągnąłem dokumenty oryginalnej „Rebel Lady” z kieszeni sztormiaka i wcisnąłem je w ręce zdumionego Johnny’ego. – Jeśli będą jakieś problemy, to powinno pomóc. – Zacząłem odliczać studolarowe banknoty z pliku, który odebrałem z banku po zamknięciu kont w Belgii. – Zapłaciłem za transport aż na przylądek, ale będziesz musiał wynająć żurawia, żeby ją ściągnąć z ciężarówki. – Odliczyłem kolejne banknoty. – Waży blisko osiemnaście ton. Nie pytaj mnie, dlaczego jest taka ciężka. Jej poprzedni właściciel chyba się bał, że mógłby ją przewrócić silniejszy wiatr.

Nazwisko nowego właściciela jest w tych papierach.

Poprosił cię, żebyś się zajął odebraniem łajby, rozumiesz? Zgodziłeś się ją przetrzymać przez zimę.

Johnny przyjrzał się studolarówkom, następnie rzucił mi pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Chyba nie chodzi o narkotyki, co Paulie? Bo jeśli tak, to ci nie pomogę. Nawet mnie o to nie proś. – Wyciągnął dłoń z pieniędzmi w moją stronę.

Odsunąłem jego rękę.

– Przysięgam na Boga, Johnny, że to nie ma nic wspólnego z narkotykami. Klnę się na grób matki, że w łajbie nie ma nic nielegalnego.

– Nic? – Nadal był podejrzliwy.

– Na pokładzie jest złoto – odpowiedziałem niechętnie. – Dlatego nie chcę, by ktokolwiek o niej wiedział. Jeśli ktoś cię zapyta, o czym tu rozmawialiśmy, masz powiedzieć, że prosiłem cię o opiekę nad domem pod moją nieobecność. Rozumiesz, Johnny? Ta łódź to tajemnica.

– Złoto? Na pokładzie? – Johnny wydawał się tym uradowany.

Przyglądał się ze zdumieniem, jak wsuwam resztę studolarówek do fałszywego paszportu, dołączam do tego pozostałe dokumenty autorstwa Teodora i sięgam w kierunku jednej z desek tworzących podłogę w sypialni i sufit w kuchni. Podniosłem ją, a Johnny ją podtrzymał, podczas gdy ja obmacywałem jedną ze starych czarnych belek sufitowych. Wreszcie udało

mi się znaleźć zagłębienie, które wyźłobiłem w belce dawno temu. Wsunąłem do niego paszport, dokumenty i pieniądze.

– Z łodzią nie powinno być żadnego problemu – poinformowałem Johnny’ego. – Papiery są w porządku, a ja pewnie zdołam wrócić, zanim ona tu dotrze.

– Znowu wyjeżdżasz? – Johnny wydawał się zawiedziony, co mi schlebiało po tylu latach.

– Nie będzie mnie co najwyżej przez kilka tygodni.

Ale posłuchaj! – Dźgnąłem go palcem w klatkę piersiową, żeby podkreślić swoje słowa. – Tej łajby mogą szukać straszne dranie. Dość dobrze ukryłem trop, ale jeśli ktokolwiek zacznie się o nią kłócić, wycofaj się.

Oddaj im to, czego chcą i pozwól odejść. To są paskudni goście, Johnny, naprawdę paskudni. To kumple Michaela Herlihy’ego i jeszcze gorsi. Jeśli Michael zacznie o coś pytać, powiedz mu, że prosiłem cię o zapiekanie się łodzią i nic więcej o niej nie wiesz.

Jeśli Michael albo ktokolwiek inny będzie żądał wydania łodzi, daj mu ją! Rozumiesz? Nie chcę, by cokolwiek się stało tobie lub twojej rodzinie!

Wspomnienie o Michaelu Herlihim bardzo zasmuciło Johnny’ego.

– To ma związek z IRA?

Johnny, podobnie jak reszta Amerykanów irlandzkiego pochodzenia, był zdania, że najlepiej by było, aby sprawy irlandzkiego konfliktu pozostały po drugiej stronie Atlantyku. Jego ojciec, podobnie jak mój, dostawał białej gorączki, gdy mówił o niesprawiedliwościach w historii Irlandii, ale Johnny nie potrafił nikogo nie lubić, nawet Brytoli.

– Jak się miewa twój tata? – zapytałem go, zamiast odpowiadać na pytanie o IRA.

– Zmarł w ubiegłym roku, niech Bóg ma go w opiece.

– Mój Boże. – Zasmuciłem się. – Biedny Eammon.

– Po śmierci mamy stracił zainteresowanie czymkolwiek – wyznał z żalem Johnny. – Nie byłem w stanie wyciągnąć go nawet na łódź! Mieszkał z nami. Julie starała się go czymś zainteresować, prosiła, żeby zabrał dzieciaki na plażę i tak dalej, ale on chciał, żeby dać mu spokój. Ojciec Murphy powiedział, że niektórzy ludzie wiedzą, kiedy przychodzi na nich czas. Tata chyba uznał, że jego czas dobiegł końca.

– Nie wiedziałem o śmierci twojej mamy – wyznałem. – Przykro mi.

– Powinieneś był się odzywać, Paulie – Johnny mnie złajał, ale delikatnie, a potem ponowił swoje pytanie o to, czy złoto na pokładzie łodzi ma coś wspólnego z IRA.

Przed koniecznością udzielenia odpowiedzi uratował mnie pełen podejrzliwości Gillespie, który gwałtownie otworzył drzwi.

– Co tu się dzieje?

– Paulie mi mówił, co trzeba zrobić w domu, gdy go nie będzie. – Johnny, niech Bóg go błogosławi, skłamał z siłą przekonywania prostolinijnego człowieka. – Jesteś pewien, że nie chcesz aluminiowego sidingu? – zwrócił się do mnie. – Sól strasznie niszczy gont. Powinieneś o tym pomyśleć.

– Wykluczone! Żadnego aluminium. Ma zostać cedr. – Moje słowa wytrawnego łgarza brzmiały znacznie mniej przekonująco, ale Gillespie wydawał się uspokojony.

– Skończyliście? – zaprosił mnie do wyjścia.

– I, na Boga, Johnny! – ciągnąłem dość głośno, żeby Sara Sing Tennyson mogła mnie usłyszeć.

– Postaraj się pozbyć tej dziewczyny.

Sara Sing Tennyson z miejsca zapaliła się tak, że mogłaby stopić stal.

– Nie waż się tu nigdy więcej przyjeżdżać, Shanahan! – krzyknęła nad ramieniem Gillespiego. – Rozmawiałam już ze swoimi prawnikami. Twierdzą, że podpisałam umowę w dobrej wierze i płacę czynsz na czas, więc to miejsce jest teraz moje. – Johnny, który zawsze starał się łagodzić spory, próbował ją uspokoić, ale ona tylko przesunęła tego postawnego mężczyznę. – Słyszysz, Shanahan? Na czas trwania umowy to jest mój dom i jeśli jeszcze raz się tu włamiesz, jak Boga kocham, pozwę cię i zabiorę ten dom w ramach zadośćuczynienia. Wtedy już nigdy twoja noga tu nie postanie! Nigdy! Rozumiesz, Shanahan?

– Jezu! – Gillespie wymamrotał z podziwem i nic dziwnego, bo Sara Sing Tennyson w ataku furii miała dużą klasę.

– Rozumiem – odparłem – że pani prawnik będzie mógł poboksować się z prawnikiem mojego szwagra. Ja nie mam z tym nic wspólnego i nie chcę mieć. Proszę odzyskać pieniądze od Patricka McPhee, a mnie prze-

słać rachunki za podłączenie prądu i telefonu. Wtedy będzie pani mogła zabrać swoje obrazki, oddać mi klucze i się ulotnić.

Wskazała drzwi wejściowe.

– Wynoście się z mojego domu, wszyscy! – Jej gest dotyczył Johny’ego, Gillespiego i mnie. – Wynocha!

– Niech raczej pani się pakuje i stąd wynosi! – odkrzyknąłem, gdy wyrzucano mnie z mojego domu.

To nie była może najskuteczniejsza riposta, ale nie było mnie stać na nic lepszego i w tych okolicznościach Sara Sing Tennyson odniosła niezaprzeczalne zwycięstwo w tej rundzie.

– Zróbmy, co nam każe – wymamrotał Gillespie.

Upokorzeni przeszliśmy pospiesznie przez podjazd, gdzie Stuart Callaghan czekał w samochodzie. Stało tam też auto, które wynająłem na lotnisku Logana, ale nie przejmowałem się tym. Zapłaciłem za wynajem kartą kredytową francuskiego więźnia i domyśliłem się, że właściciele pojazdu w końcu dostaną go z powrotem.

Odwróciłem się za siebie, gdy oddalaliśmy się szybko wysypanym pośluzczonymi muszlami podjazdem i ujrzałem Sarę Tennyson. Jej wykrzywiona twarz była maską wzburzenia i wściekłości. Patrzyła za nami, upewniając się, że naprawdę opuszczam swoją posiadłość. Posłałem jej buziaczka, na co ona pokazała mi środkowy palec. Chwilę później przejechaliśmy przez wydnię i zniknęliśmy.

– Nie lubię Sary Tennyson – odezwałem się do Gillespiego – ale ktoś powinien jej powiedzieć, że będzie narażona na niebezpieczeństwo, jeżeli zostanie w tym domu.

– Zajmę się tym.

Gillespie sporządził notatkę w małym kajecie i wyjrzał przez okno samolotu na monotony krajobraz z chmur rozciągający się pod nami. Dojechaliśmy do małego miejskiego lotniska w Hyannis, skąd nasz sześćoosobowy samolot wystartował w czasie gwałtownej śnieżycy. Gillespie zdążył mi już powiedzieć, że agencja zamierzała opiekować się mną przez tyle tygodni, ile będzie trzeba, żeby pozyskać wszystkie tajemnice, jakie w sobie nosiłem.

– Jesteśmy podekscytowani pańskim powrotem wyznał mi z fałszywą skromnością, gdy samolot wybił się ponad chmury. – Nie wszyscy wierzyli, że Program Bez Sznurków się sprawdzi.

– Nadal go tak nazywacie? Bez sznurków?

Gillespie zerknął na pilota w obawie, że ten mógłby podsłuchiwać naszą rozmowę, ale ten miał na uszach ciężkie słuchawki.

– Nadal.

– I jesteście zdania, że będziecie potrzebowali kilku tygodni?

– Na pewno ma pan mnóstwo do powiedzenia.

Pomyślałem o „Rebel Lady” i modliłem się, żeby Johnny nie miał z nią żadnych trudności. Gillespie wrócił do swojego notatnika, Callaghan drzemał, a samolot warkotał, przelatując przez zimowe niebo nad szarymi chmurami. Na lotnisku w Hyannis kupiłem gazetę, w której przeczytałem o przygotowaniach do wojny po obu stronach granicy Kuwejtu. Gazeta informowała także o czynionych w ostatniej chwili próbach zapobieżenia walkom. Ustawa kongresmana O’Shaughnessy’ego zabraniająca działań amerykańskich żołnierzy przez rok została odrzucona, ale kongresman nadal głosił swoje wizje nieszczęść. Twierdził, że Pentagon wysłał do Zatoki pięćdziesiąt tysięcy worków na ciała, a kolejne zamówiono. Zwracał się też po raz ostatni do prezydenta, by dał szansę zadziałać sankcjom gospodarczym. Na dalszych stronach gazety znajdował się artykuł o środkach bezpieczeństwa podejmowanych na całym świecie w odpowiedzi na zapowiadane ataki terrorystyczne. Wozy opancerzone patrolowały europejskie lotniska, liczba pasażerów korzystających z przelotów samolotem drastycznie spadła, a ambasady krajów zachodnich na całym świecie zatrudniały specjalnych strażników. Saddam Husajn był zadowolony z tego, że znalazł się w centrum uwagi i przysięgał, że nigdy się nie podda, jak też zaleje siły koalicji i ich ojczyzny krwią niewinnych.

– Proszę zapiąć pasy! – pilot zawołał do nas, gdy samolot nagle przechylił się i obniżył lot.

Okna po prawej stronie zalewał deszcz, gdy przecięliśmy chmury. Samolot zadrżał, wpadł gwałtownie w kieszeń powietrzną, po czym zwolnił z powodu ostrego prądu wstępującego. Rozległ się alarm i jęk serwomotorów, gdy pilot wypuścił klapy.

– Trochę rzuca! – odezwał się. – Przepraszam!

Kolejne szarpnięcie, dzwonek alarmowy i wyszliśmy z chmur. Lecieliśmy jakieś trzydzieści centymetrów nad burą ziemią rozjaśnioną pasmami śniegu.

Przez sekundę myślałem, że się rozbijemy, ale ujrzałem pod nami czarny pas startowy. Koła uderzyły w niego, zadymiły i zapiszczały. Wylądowaliśmy.

– Witam w Wilkes-Barre Scranton – rzucił pilot żartobliwym tonem. – Piekielny dzień do latania.

Samolot nie podjechał do małego terminalu, tylko zatrzymał się przy dwóch czekających samochodach.

Jednym była limuzyna z czarnymi szybami, a drugim wóz policyjny. Przy limuzynie stało dwóch policjantów stanowych w kapeluszach i czarnych płaszczach przeciwdeszczowych. Obaj trzymali broń. CIA najwyraźniej była przekonana, że il Hayaween ma długie ręce.

Wjechaliśmy na 84 autostradę międzystanową. Jechaliśmy na wschód, ku pobielonym śniegiem lasom gór Pocono. Nagie drzewa były płamane przez burze powodujące gołoledź, a ze skalistych zboczy ciągnących się wzdłuż drogi zwisały grube sople. Jechaliśmy szybko, bo prowadziła nas policja stanowa. Już w górach zjechaliśmy z autostrady i skręciliśmy na wąskie drogi. Dojechaliśmy do wielkiego szyldu: „Amerykański Departament Rolnictwa, Stacja Badań Wścieklizny. Osobom nieupoważnionym wstęp KATEGORYCZNIE wzbroniony”. Policjanci, którzy wreszcie wyłączyli syrenę, zjechali na pobocze i przepuścili limuzynę.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Jestem waszym wściekłym psem?

Gillespie wzruszył ramionami.

– To obrona przed wścibskimi.

Limuzyna zatrzymała się przy wartowni z umundurowanymi strażnikami. Wysoki, kamienny mur zwieńczony zwojami drutu kolczastego wniikał w las po obu stronach bramy. Strażnicy przyjrzeni mi się i sprawdzili dokumenty Gillespiego. Stalowa brama została mechanicznie otwarta i limuzyna wjechała na przestronny parking wysadzany pokrytymi śniegiem rododendronami. Przejechaliśmy między zaspami przez kamienny most przerzucony nad skutym lodem strumieniem i ujrzeliśmy duży dom ze spadzistym dachem, który wyglądał jak francuska rezydencja przeniesiona z niewyjaśnionych przyczyn w północnoamerykańską dzicz.

Najwyraźniej miał to być mój dom przez jakiś czas.

To tutaj, pod tym spadzistym dachem, wyjawię wszystkie zgromadzone tajemnice. Nie było to najgorsze miejsce. Portyk prowadził do pała-

cowego holu, w którym stał masywny rzeźbiony stół, skórzane fotele i znajdował się kominek. Trzy wypchane łby łosi spozierały z pokrytych ciemną boazerią ścian. Drewniane schody wiły się wzdłuż trzech ścian holu, okalając mosiężny żyrandol. Podejrzywałem, że ten dom był darem dla rządu od jakiegoś wasatego magnata, którego portret oprawiony w złotą ramę wisiał nad kominkiem.

To był najwyraźniej dom wyzyskiwacza z dziewiętnastego wieku; wystawny, wygodny i przejmująco zimny.

– Tylko mi nie mów, że znowu wysiadło centralne ogrzewanie – Gillespie rzucił z rozdrażnieniem, gdy zamknął za nami ciężkie drzwi.

– Zorientuję się – odparł na to Callaghan i otworzył boczne drzwi.

Z holu przechodziło się do biblioteki, której półki, jak później odkryłem, były wypełnione dziełami ojców założycieli – to była niewątpliwie obowiązkowa, aczkolwiek nieznośna kolekcja, jakiej należało się spodziewać po milionerze-patriocie. W domu znajdowała się też jadalnia, kuchnia i siłownia. Pozostałe pokoje rezydencji były zamknięte. W tym domu prowadzono także inną aktywność, bo w czasie swojego tam pobytu spotykałem niekiedy nieznanym na terenie posesji, a swego czasu słyszałem nawet kobiecy śmiech dobiegający zza drzwi naszej jadalni, aczkolwiek moje przesłuchania odbywały się w izolacji na przestrzeni kilku pokoi, z wyjściem do głównego holu i przed dom. Na piętrze miałem swój apartament składający się z prywatnej łazienki, małego aneksu kuchennego i pełnej przepychu sypialni z wielkim łóżem, kanapą, biurkiem, dywanami i biblioteczką pełną thrillerów, reprodukcją ponurego krajobrazu Corota i telewizorem. Tutaj, w przeciwieństwie do parteru, ogrzewanie działało aż nazbyt dobrze. Kaloryfer w mojej sypialni syczał i strzykał pod oknem, którego nie dało się jednak otworzyć. Zatrzymałem się przy półkach z książkami.

– Ładna kolekcja – zauważyłem.

– Raczej nie będzie pan miał czasu na lekturę – odparł Gillespie. – Spodziewamy się, że przez większość dni i przez wiele godzin będziemy z panem rozmawiać, aczkolwiek będzie pan miał kilka wolnych wieczorów. Lodówka jest zaopatrzona, lecz proszę nas poinformować, zachowując naturalnie rozsądek, czy są jakieś produkty, które chciałby pan dodać. Jest piwo, ale nie ma mocniejszych trunków. Telewizor działa.

– A telefon? – Wskazałem aparat stojący przy łóżku.

– Naturalnie.

– I nie ma podsłuchu? – droczyłem się z nim.

– Nie potrafię udzielić wiarygodnej odpowiedzi, jakakolwiek by nie była. – Gillespie zarumienił się, bo w pewnym sensie przyznał, że będę pod nadzorem, ale przecież tylko głupiec mógłby zakładać, że będzie inaczej. Wskazał mi drzwi. – Mamy mnóstwo roboty, panie Shanahan. Możemy zejść na dół i zaczynać?

Wyjawiać przeszłość. Snuć opowieść o ludziach z bombami i karabinami, dziewczynach i chłopcach, bohaterach i kochankach. Nadeszła pora spowiedzi.

Byłem zmęczony jak zdechły pies.

– Dzisiaj to nie potrwa długo – obiecał mi Gillespie – ale pańskie wiadomości przekazane naszym ludziom w Brukseli są bardzo intrygujące. – Był bardzo taktowny i nie pytał, dlaczego pojawiłem się w Ameryce, skoro obiecałem udać się do ambasady w Brukseli; nie pytał też o moją fałszywą tożsamość. – Mówił pan o stingerach. O spotkaniu w Miami. Sugerował pan związku z Saddamem Husajnem. Z il Hayaweenem.

Ta potrzeba była najpilniejsza: odkryć, jakie zło planowali Irakijczycy. Opowiedziałem mu wszystko o spotkaniu na Florydzie, gdzie Michael Herlihy i Brendan Flynn przedstawili mi dwóch Kubańczyków, niejakiego Alvareza i Carlosa, choć podejrzewałem, że równie dobrze mogliby się zwać Tweedle Dum i Tweedle Dee z wszelkimi konotacjami tych imion*.

Opisałem, jak Provisional IRA negocjowała warunki nabycia pięćdziesięciu trzech stingerów za półtora miliona dolarów.

Gillespie zapisał tę kwotę. Byłem przekonany, że w bibliotece jest podsłuch i że umieszczony gdzieś w rezydencji magnetofon nagrywał każde moje słowo, niemniej Gillespie był człowiekiem, który lubił sporządzać notatki.

– A dlaczego zaproszono pana na spotkanie?

– Bo byłem łącznikiem Provisional IRA z zewnętrznymi grupami terrorystycznymi. To ja załatwiałem dla nich towar. Byłem ich finansistą.

Gillespie spojrział na mnie znad swojego notesu i przez sekundę miałem wrażenie, że zagwiżdże z wrażenia, ale udało mu się powstrzymać. Skoro mogłem poprzeć swoje stwierdzenia szczegółami, to znaczyło, że program CIA „Bez sznurków” mógł okazać się wielkim sukcesem.

– Miał pan kontakt ze wszystkimi zewnętrznymi organizacjami terrorystycznymi?

* Bliźniacy z *Alicji w krainie czarów*. W języku angielskim określenia tego używa się względem osób i rzeczy podobnych do siebie jak dwie krople wody [przyp. tłum.].

– Z tego, co wiem, tak, aczkolwiek współpracowaliśmy głównie z Palestyńczykami i Libijczykami. Załatwialiśmy też interesy z Baskami, ale oni nigdy nie byli tak ważni, jak ludzie z Bliskiego Wschodu.

– Frakcja Armii Czerwonej? Ludzie z Baader-Meinhof? – pytał Gillespie.

– Nigdy ich nie widziałem.

– Ludzie z Ameryki Południowej? – zapytał z nadzieją w głosie.

Pokręciłem głową.

– IRA dostawała braterskie pozdrowienia z Kuby i Nikaragui, ale żadnego wsparcia materialnego. Nie potrzebowaliśmy go. Dostawaliśmy wystarczającą ilość broni od Libijczyków i dość pieniędzy z Ameryki, więc po co mieliśmy się zadawać z wariatami z Nikaragui?

– I tak nieźle!

Gillespie był zachwycony moimi kontaktami z Bliskim Wschodem, aczkolwiek zepsułem nieco dobre wrażenie, gdy mu powiedziałem, że IRA przestała mi ufać przed czterema laty, co oznaczało, że znaczna część moich informacji była przeterminowana.

– Dlaczego stracili do pana zaufanie?

– To długa historia.

– Zajmiemy się nią, obiecuję. – Postukał w notes gumką przy ołówku.
– Skoro był pan nieaktywny przez cztery lata, dlaczego pan został? Czemu nie wrócił pan do domu?

– Zawsze miałem nadzieję, że mnie reaktywują.

Nigdy nie wyrzucili mnie definitywnie.

– Nasze szczęście.

Siedzieliśmy w pełnej przepychu bibliotece po przeciwnych stronach masywnego, dębowego stołu. To był wygodny pokój, w którym znajdował się kominek, szafka z alkoholami i masa dębowej sztukaterii, w której można było ukryć tysiące mikrofonów. Choć Gillespie posługiwał się notatnikiem, wiedziałem, że były tu urządzenia podsłuchowe; nie tylko w tym pomieszczeniu, ale także w mojej sypialni, bo przecież agencja będzie chciała przeanalizować moje wypowiedzi pod kątem nasilenia stresu. Gillespie poszukiwał skarbu równie rzadkiego, jak złoto na końcu tęczy i chciał mieć pewność, że nie dam mu zamiast tego trocin.

Może wróciłem w tym krytycznym momencie, bo przysłał mnie wróg? Może kłamałem, żeby skierować uwagę Amerykanów w jedną stronę, podczas gdy il Hayaween zaatakuję z drugiej? Mogłem sobie być bohaterem programu „Bez sznurków”, który wrócił z mrocznego świata, ale to nie oznaczało, że trzeba mi ufać.

Ja też nie zamierzałem im ufać. Miałem swoje tajemnice, z których największą było istnienie pięciu milionów dolarów na pokładzie przechrzonego jachtu. Te pięć milionów dolarów miało być moją emeryturą, zabezpieczeniem i nie zamierzałem informować kiedykolwiek rządu o tym, że w ogóle dyskutowano o takiej kwocie. Pieniądze nie były tu ważne.

Istotne były stingery, il Hayaween oraz plany Saddama Husajna przeprowadzenia akcji terrorystycznych na całym świecie.

– Wspominał pan, że il Hayaween mówił o zestrzeleniu odrzutowca pasażerskiego nad lotniskiem Heathrow pociskiem Czerwona Gwiazda?

Potaknąłem.

– To jest znacznie prostsze, niż próba przemycenia bomby na pokład.

– Ale dlaczego rosyjski pocisk? Czemu nie stingery?

– Bo stingery znajdują się w Ameryce. Domyślam się, że nigdy nie planowano wysyłki wszystkich stingerów do Irlandii, tylko chciano je wystrzelić w Stanach.

– To znaczy... – Gillespie wpatrywał się we mnie.

– Jeżeli zaatakujemy siły Saddama Husajna w Kuwejcie, wówczas on zestrzeli samoloty w Waszyngtonie, Miami, Nowym Jorku i gdzie tylko zdoła.

Gillespie zbladł na myśl o tym, że trzeba by strzec okolicy każdego większego portu lotniczego w Ameryce Północnej.

– Wierzy pan, że Provisional IRA brałaby udział w takiej akcji?

– Nie – odpowiedziałem stanowczo. – IRA potrzebuje amerykańskiego wsparcia. Duża część wpływów i szacunek, jakim organizacja jest darzona, wynikają z tego, że Amerykanie uznają Irlandczyków za nieszkodliwych, zamieszkujących idylliczną wysepkę krasnali, których wstrętni Anglicy traktują niesprawiedliwie. Gdyby IRA zabiła amerykańskich cywilów, zbrukałoby to tę bajkową perspektywę. Podejrzewam, że il Hayaween wykorzysta IRA. Palestyńczycy nie mogą udać się do Miami, żeby kupić pociski, ale Irlandczycy mogą to zrobić. Bóg raczy wiedzieć, co il Hayaween planuje zrobić, gdy już zapłaci za rakiety.

– Jaką ustalono formę płatności?

– Zwyczajnie, drogą przekazu elektronicznego. Nie zajmowałem się pieniędzmi, tylko żądaniem zapłaty.

Wiem jednak, że Libijczycy chętnie korzystają z banku BCCI...

– Wiemy o tych draniach – wtrącił Gillespie znacząco, a potem gestem przeprosił mnie za przerwanie mi w toku. – Proszę mówić dalej.

– Nie mam dużo więcej do powiedzenia. Przekazałem Shafiqowi, jaka jest żądana kwota, poinformował mnie, że ją przyjęto. Wtedy zadzwoniłem do Irlandii żeby powiedzieć, że wszystko zostało ustalone i że pieniądze do-
trą. Wpłacili już depozyt w wysokości pół miliona dolarów, tak więc poprosiłem Shafiq'a tylko o milion.

– Pamięta pan ten numer w Irlandii?

Podąłem numer, który znalazłem na kartoniku w kieszeni marynarki Gerry'ego, ale przestrzegłem Gillespiego, że niemal na pewno należał do kogoś, kto miał tylko przekazać wiadomość i nie miał pojęcia, co ona oznacza.

Stuart Callaghan, najwyraźniej zwolniony z roli mojego ochroniarza, gdy znajdowałem się w bezpiecznej rezydencji, rozpałił ogień w dużym kominku w bibliotece. Wezwany przez Gillespiego, wziął od niego nowe szczegóły dotyczące sprzedaży stingerów i bez wątpienia zadzwonił do Langley, aby zintensyfikowano poszukiwania pocisków. Gillespie nadal zamartwiał się moją historią.

– A ci dwaj Kubańczycy? To byli Amerykanie kubańskiego pochodzenia, czy Kubańczycy z Kuby?

– Nie mam pojęcia.

Gillespie delikatnie stukał ołówkiem w stół.

– Towarzysz Fidel pewnie nie może się doczekać, by pomóc bratu Saddamowi, prawda?

– Tak myślę. Nic nie wiem na ten temat.

– BCCI. – Zakreślił nazwę banku ołówkiem. – Mówi pan, że Libijczycy zwykle dokonują przelewów?

– Prawie zawsze. Taka gotówka jest zbyt ciężka, żeby nosić ją w walizce.

Uśmiechnął się lekko w odpowiedzi na mój dowcip.

– A więc powinien być jakiś ślad tej transakcji?

– Powinien.

– A ten półmilionowy depozyt. Skąd się wziął?

– Zdaje się, że z Bostonu, ale nie wiem na pewno.

Herlihy korzysta pewnie z tuzina banków.

– Szukanie pieniędzy – Gillespie powiedział cicho.

– Zawsze to samo. Trzeba szukać pieniędzy. – Spojrzał na mnie. – Zanim zrobimy przerwę, mam jeszcze jedno pytanie. Dlaczego korzystał pan z fałszywego paszportu, wjeżdżając do kraju?

– Skąd pan to wie?

– Wszystkie porty lotnicze były poinformowane, że mają pana wypatrywać. A ten wynajęty samochód?

Posłużył się pan francuskim nazwiskiem i kartą kredytową. Zdaje się, że ta karta należy do jakiegoś więźnia?

– To nawyk – odparłem. – Stary nawyk. Chyba chciałem po raz ostatni posłużyć się fałszywymi dokumentami. Taki mój kaprys.

– Nadal pan ma te dokumenty i kartę?

– Wyrzuciłem je. Mówiłem panu, że to był ostatni raz. Przecież nie będę już potrzebował fałszywych dokumentów, prawda?

– Zgadza się. – Gillespie udawał, że mi wierzy.

Zamknął notatnik i uważnie naciągnął gumkę na okładkę. – Zdaje się, że załatwiliśmy najpilniejsze sprawy. Teraz, Paul, powinien pan odpocząć. Wydaje się pan skonany. Może spotkamy się znowu po południu? Ktoś do mnie dołączy.

– Van Stryker?

Simon van Stryker mnie zwerbował do programu „Bez sznurków” i lubiłem go. Wiele lat czekałem na kolejne spotkanie z nim. Chciałem usłyszeć, jak mi gratuluje.

– Van Stryker jest teraz dość ważną osobą, ale w odpowiednim czasie spotka się z panem. Interesuje się panem. – Gillespie zamilkł i był uprzejmy spojrzeć na mnie z lekkim zakłopotaniem. – Poprosiliśmy jednego z psychiatrów pracujących dla agencji, żeby uczestniczył w kolejnej sesji. To jest normalna praktyka.

– Chcecie sprawdzić, czy nie zwariowałem? – spytałem beztrąsko.

– Coś w tym stylu – odparł równie lekko.

Tak naprawdę psychiatra miał pomóc wykryć moje kłamstwa.

– Nie ma sprawy! – rzuciłem.

– Świetnie. – Gillespie się uśmiechnął.

Też się uśmiechnąłem. Świetnie.

Osoba psychiatry trochę mnie zaskoczyła, bo jej wygląd sugerował, że powinna raczej robić na drutach skarpetki dla wnucząt, a nie monitorować sprawozdanie na temat terrorystów. Niewątpliwie była znacznie bardziej przenikliwa niż sugerowałaby to jej matczyna, pulchna aparycja. To była Afro-Amerykanka w średnim wieku, która uśmiechała się do mnie sympatycznie, strzepnęła śnieg ze swoich kaloszy i usiadła w oknie wykuszowym przy końcu długiego stołu w bibliotece.

– Potworna pogoda – zauważyła swobodnie. – Potworna. Czy mogę mówić do pana po imieniu, Paul?

Ja jestem Carole, Carole Adamson.

– W porządku.

– Nie przejmuj się mną. Mam tylko słuchać.

Miała na sobie gruby wełniany sweter i drewniane korale. Uśmiechała się miło. Przerazała mnie, ponieważ byłem gotów uwierzyć, że psychiatrzy byli w posiadaniu tajemnej wiedzy i że każde moje kłamstewko czy wybieg nie ujdą jej bystrym i uważnym oczom. Nie widziałem jej, o ile nie odwróciłem krzesła, ale byłem świadom, że jestem przez nią obserwowany.

Gillespie rozpoczął sesję od informacji, że agenci FBI rozpoczęli poszukiwanie stingerów i kubańskich handlarzy. Tymczasem, jak powiedział, chciałby zgłębić historię moich związków z terrorystami.

– Cofnijmy się do samego początku. Kto wprowadził pana do IRA?

– Niejaki Joey Grogan.

– To było w Ameryce? Czy w Irlandii?

– W Bostonie – odpowiedziałem i poczułem lekkie rozdrażnienie. Przyjechałem tu rozmawiać o il Hayaweenie, stingerach i obozach treningowych Palestyńczyków, a Gillespie chciał się grzebać w tych starociach. – Dlaczego nie zajrzy pan do kartoteki? – zapytałem.

– Program „Bez powiązań” nie ma kartotek – odparł tonem, który sugerował, że powinienem przecież o tym wiedzieć. – Wszystko, co o panu wiemy, możemy przeczytać w kartotekach policyjnych, panie Shanahan.

Jeśli chodzi o agencję, to nigdy pan nie istniał. Musimy więc zacząć od początku. Gdzie mieszka pan Grogan?

– Nie żyje.

Biedny Joey zmarł na rozedmę płuc w 1986 roku, a jego żona Peggy natychmiast uciekła na kemping z szesnastoma tysiącami dolarów zebranych w bostońskich barach przez Przyjaciół Wolnej Irlandii. Organizacja zbierała fundusze na wsparcie dla wdów i sierot po żołnierzach IRA, co nie było konieczne, zważywszy na hojność brytyjskiego systemu ubezpieczeń społecznych, ale wszyscy podejrzewali, że te pieniądze i tak wykorzystywano na zakup broni. W praktyce duża część gotówki nigdy nie opuszczała bostońskich barów, a ta odrobina, która docierała do Irlandii, ze stukrotnie większym prawdopodobieństwem trafiała do kasy pubu niż do rąk wdowy po żołnierzu.

– Został pan zwerbowany do IRA przed spotkaniem z nami? – dociekał Gillespie. – Zanim pan poznał van Strykera?

– Wspierałem ich, ale w szeregi organizacji wstąpiłem dopiero po wyjeździe do Irlandii.

– Potwierdza pan jednak, że wspierał pan ich przez długi czas? Czy z powodów ideologicznych?

– Słucham?

– Provisional IRA to organizacja marksistowska, prawda? – mówił bardzo sztywno.

Zaśmiałem się.

– Niech pan da spokój! Bądźmy realistami!

– Czy to prawda?

Miał bladoniebieskie oczy, które nie były tak przyjazne, jak sugerowałby jego sposób bycia. Pokręciłem przecząco głową.

– IRA twierdzi, że ma marksistowskie poglądy, jeśli ma socjalistycznych popleczników, takich jak pułkownik Kaddafi i jest zrzeszeniem przykładnych katolików, gdy kontaktuje się z Irlandczykami mieszkającymi w Bostonie. Większość z nich nie rozpoznałaby marksisty, gdyby ten zgwałcił ich tępym sierpem i młotem. Dwie albo trzy osoby z Rady Wojskowej

prawdopodobnie należą do partii, ale IRA jako taka jest staromodnym patriotycznym ruchem wyzwolenia, a w zasadzie bezwzględna organizacja przestępcza, w zależności od tego, jak blisko jest się z nią związanym.

– To dlaczego pan do niej wstąpił?

– Irlandczycy to moi pobratymcy! Słyszałem o Wolfe Tonie i Patricku Pearsie na długo przed tym, zanim ktokolwiek z rodziny poinformował mnie o Jerzym Waszyngtonie. Bo wyssałem opowieści o głodzie z mlekiem matki. W południowym Bostonie nie ma chyba rodziny, która nie miałaby przodków, którzy trafili pod miecz Cromwella, nie uczestniczyli w masakrze z 1898, nie umarli z głodu lub nie dostali łomotu od Czarnobrunatnych. Te historie to nasze symbole plemienne.

Gillespie chciał usłyszeć o moim dzieciństwie, ale nie było w nim żadnych mrocznych sekretów. Byłem szczęśliwym dzieckiem, spędzającym czas w naszym domu w Bostonie, ustroniu ojca na Cape Cod i w jego różnych firmach. To był Green Harp Bar w Charlestown i przystań w Weymouth. Prawdziwą fortunę zbił na burdelach w Scollay Square.

– Burdelach? – Gillespie zapytał zbolalym głosem.

– Zburzyli je – poinformowałem. – Żeby zbudować nowy ratusz. Niektórzy ludzie nie zauważyli różnicy.

– A pańska matka? Jaki był jej stosunek do interesów ojca?

– Mama wielbiła Dziewicę Maryję. Wierzyła, że każda matka przychodzi na świat po to, by cierpieć i nie chciała żyć inaczej. Znosiła mojego ojca i ubóstwiała troje swoich dzieci.

– Przysparzał jej pan sporo trosk. – Gillespie uśmiechnął się, żeby mi pokazać, że nie chciał mnie urazić. – Pofatygowaliśmy się i przejrzelismy pańską kartotekę policyjną.

– Mówiłem już, że według mamy kobiety rodzą się po to, by cierpieć. Tak mówili jej ksiądz i zakonnice. I tego właśnie chciała.

W mojej kartotece nie było gorszych grzechów niż w papierach innych nastolatków. Po raz pierwszy trafiłem do sądu po tym, jak zmlóciłem gościa za to, że obraził moją siostrę, a dwa lata później odsiedziałem cztery miesiące za przetrzymywanie kradzionych dóbr.

– Pański ojciec zmarł, gdy był pan w więzieniu? – upewnił się Gillespie.

– Tak.

– Jak umarł?

– Był w pomieszczeniu na zapleczu Southie Bar, gdy jacyś dranie postanowili puścić lokal z dymem.

Zbiry najpierw ojca zastrzeliły.

– Dlaczego?

– Podobno był to przekręt ubezpieczeniowy.

– Wierzy pan w to?

– Może nie smakowało im jego piwo? – Uśmiechnąłem się.

Gillespie przyglądał mi się z namysłem.

– Na pewno to pana zdenerwowało.

– Co?

– Śmierć ojca. Miał pan zaledwie dwadzieścia jeden lat. To o wiele za wcześnie, by tracić rodzica.

– Co pan próbuje udowodnić? – rzuciłem mu wyzwanie. – Myślałem, że miałem wam pomóc, a zamiast tego stara się pan wykazać, że jestem jakimś połamańcem życiowym, bo straciłem ojca? Nie potrzebuję pańskich porad, Gillespie, ani gównianej sesji zaprzyjaźniania się. Miałem szczęśliwe dzieciństwo, uważałem, że Boston to świetne miejsce dla dzieciaka i jest mi smutno w związku z tym, że oboje rodzice nie żyją, ale nie sse kciuka, nie jestem pederastą i nie łkam po nocach, więc czy moglibyśmy, do cholery, kontynuować?

Carole Adamson próbowała mnie uspokoić.

– Ważne jest, abyśmy poznali twoją przeszłość, Paul. Twoje życie jest kontekstem dla udzielanych przez ciebie odpowiedzi.

– Co się stało z zabójcami pańskiego ojca? – Gillespie zupełnie się nie przejął moim protestem.

– Niech pan sobie wyobrazi, że drani nigdy nie odnaleziono.

– Wydawało mi się, że dwóch podejrzanych o ten czyn znaleziono w rzece Charles. Uduszonych.

– Doprawdy? – spytałem niewinnym głosem.

– A trzeciego znaleziono z głową w klozecie w barze w Roxbury. Utopił się. Policja jest przekonana, że razem ze swoim bratem był pan w tym ba-

rze tego samego wieczoru, ale nie udało się znaleźć świadków, którzy mogliby to potwierdzić.

– Zdaje się, że siedziałem w więzieniu?

– Zwolniono pana warunkowo z powodów osobistych przed pogrzebem. Brat dostał urlop w Korpusie Piechoty Morskiej.

Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce na znak, że nic na ten temat nie wiem. Gillespie przewrócił kartkę w notatniku.

– Pański brat zginął w Wietnamie?

– Hue. I nie, jego śmierć nie sprawiła, że rozgniewałem się na Amerykę.

Gillespie zignorował tę luźną uwagę.

– Jak pan zarabiał na życie po śmierci ojca?

– Przejąłem po nim interesy.

– W tym burdele?

– Przecież panu mówiłem, że je zburzono. Zatrzymałem tylko przystań w Weymouth i Green Harp Bar w Charlestown. Resztę sprzedałem.

Miałem dwadzieścia jeden lat, byłem bajecznie bogaty i paradowałem niczym kogucik po bostońskim deptaku, ale pieniądze stopniały niczym lód na chodniku w czasie lata. Pozwalałem kumplom korzystać z przystani za darmo, urządziłem popijawy dla przyjaciół w Green Harp i poleciałem do Irlandii grać bogatego Amerykanina przed podziwiającymi mnie Irlandczykami. Uszczęśliwiłem też bukmacherów. Jednego dnia przepuściłem sto tysięcy dolarów w Fairyhouse, w większej części na konia zwanego Sally-So-Fair, klaczy, na którą stawiano na początku sto do jednego, a która skończyła jako karma dla psów. Przysięgałem, że ten koń nie może przegrać, opierając swój sąd głównie na tym, że poprzednią noc spędziłem z dwiema jasnowłosymi dziewczynkami o imieniu Sally, z których każda była lepszą zawodniczką od tej klaczy.

Musiałem sprzedać przystań i połowę udziałów w barze, żeby spłacić długi. Obiecałem mamie, że już będę grzeczny, ale o wiele łatwiej było złożyć tę obietnicę, niż jej dotrzymać. Połowa udziałów w Green Harp dawała mi dochód, ale wydawałem pieniądze na dziewczynki, alkohol i konie. Matka chciała, żebym poślubił jakąś katolicką dziewczynę, ale to mi pachniało mlekiem, pieluchami i przyzwoitością; wiedziałem, że to nie dla mnie. Potrzebowałem nutki niebezpieczeństwa i Joey Grogan wciągnął mnie do organizacji.

To był człowiek z pasją, upojony irlandzkimi mitami i mający obsesję na punkcie wyzwolenia domu przodków. Po raz pierwszy spotkałem go w barze Green Harp, gdy opróżniał puszkę Przyjaciół Wolnej Irlandii ustawioną obok puszek fundacji parafialnej, fundacji pomagającej chorym ze stwardnieniem rozsianym, fundacji zbierającej datki na letnie obozy dla dzieciaków, fundacji Wspólna Droga i puszek innych organizacji charytatywnych, pod warunkiem że nie były to organizacje protestanckie. Joey z dezaprobatą odsunął wszystkie te puszki na bok i poinformował mnie, że warto wspierać tylko jeden cel, którym była zjednoczona Irlandia. Patrzyłem rozbawiony, jak rozbijał pozostałe pudełka i dosypywał ich skromną zawartość do własnej kupki. Później zwerbował mnie do pomocy w organizacji przewozu broni do Ulsteru. To była niewielka dostawa, głównie starej krótkiej broni palnej, którą kupiliśmy na rogatekach Bostonu, ale nadawała się, jak twierdził Joey, do tego, żeby załatwić Brytoli.

Wysłaliśmy towar w kontenerze z rajstopami jadącymi do hrabstwa Cork.

– Z rajstopami? – upewniał się Gillespie z niedowierzaniem.

Pięć lat później wysyłaliśmy z Joeyem poważny towar: armalitty, ingyramy, a nawet parę karabinów maszynowych M60 wycofanych z arsenału Gwardii Narodowej w Massachusetts, ale wtedy już Bliski Wschód wyprzedził Amerykę w roli głównego dostawcy broni dla IRA. Przeszliśmy do niższej ligi. To Libia grała pierwsze skrzypce.

– Który to był rok? – zainteresował się Gillespie.

– M60 wysłaliśmy w siedemdziesiątym szóstym.

To miało im przypomnieć o innym siedemdziesiątym szóstym.

– W tym roku zmarła pańska matka?

– Niech spoczywa w pokoju. Miała raka.

Zapadła krótka chwila milczenia. Drewno zasyczało z wściekłością w kominku, wyrzucając iskrę, która tliła się przez sekundę i dymiła na specjalnej macie z włókna kokosowego zabezpieczającej parkiet.

– Czy właśnie śmierć matki – zapytał Gillespie łagodnie – dała panu swobodę w zajęciu się narkotykami?

– Nigdy nie handlowałem narkotykami – warknąłem.

Mój raport nabrał charakteru wrogości, ponieważ nie lubiłem tej części swojej przeszłości. Wydawała mi się nie mieć ze mną związku. Zawsze czułem się źle w konfesjonale, bo nie znośm rozmyślać o swoich uczyn-

kach. Byłem impulsywny, hojny i głupi, ale nie refleksyjny. Prawda była taka, że szmuglowałem narkotyki, żeby zarobić szybko kilka dolarów, w zasadzie całkiem sporo, podobnie jak zabiłem Liama i Gerry'ego, żeby zdobyć jeszcze większą kasę, lecz to nie znaczyło, że muszę to analizować. Nie cierpiałem tego zamykania moich krajan do autoanalizy i egocentryzmu. Ojciec nauczył mnie żyć na najwyższym biegu i nie martwić się tym, co widać we wstecznym lusterku, a zanosilo się na to, że sesje z Gillespiem będą polegały na długim i nieprzyjemnym przyglądaniu się sobie w zwierciadle; nie podobało mi się to.

Gillespie przewrócił kartkę w notatniku.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym aresztowano pana na łodzi „Fishing Irish” w pobliżu Boca Inlet na Florydzie. Na pokładzie znajdowało się pół tony marihuany. Straż przybrzeżna śledziła pana od wysp Turks i Caicos.

– Oskarżono mnie? – postawiłem mu się.

– Oczywiście, że nie.

Bo zamiast stawić się na rozprawie, zapadłem się pod ziemię, uratowany przez dorszowego arystokratę* Simona van Strykera i jego program „Bez sznurków”.

Moje czyny stały się legalne.

Simon van Stryker był supergwiazdą amerykańskiej białej elity pochodzenia anglosaskiego. Urodził się jako człowiek o niezliczonych przywilejach, miał nienaganne maniery i łagodne usposobienie, które sugerowało jednak, że potrafi być bezwzględny jak głodny grzechotnik. Był słusznego wzrostu, elegancki, pięknie się wysławiał; miał też bladozielone oczy, zimne jak wody u wybrzeży Nowej Szkocji. Rozgryzłem go, gdy tylko go ujrzałem. On też z miejsca przejrzał mnie. Ja byłem zamożnym Irlandczykiem z domem na Cape Cod, a on wywodził się z dorszowej arystokracji. Jego grupa nigdy nie lubiła mojej, bo nie wywodziliśmy się z tego kontynentu i byliśmy płodnymi imigrantami-papistami, o których źle się mówiło i którzy zbrukali swoją obecnością doskonałą dziewiętnastowieczną protestancką Amerykę. Mimoto van Stryker mnie zwerbował, stał się moim mistrzem i przyjacielem.

Uratował mnie od Bóg jeden wie ilu lat więzienia federalnego gdzieś na bagnach Everglades, pośród aligatorów, grzechotników, węży koralowych i roznoszących AIDS gwałcicieli czekających pod prysznicem.

* Nazywa się tak rodziny ze stanu Massachusetts, które wzbogaciły się na handlu dorszem; ogólnie mówi się tak o arystokracji, która powstała dzięki sukcesom komercyjnym [przyj. tłum.].

Zabrał mnie do domu w Georgii, zupełnie nieprzypominającego domu, w którym teraz Gillespie rozkładał moje sekrety na czynniki pierwsze. Tam, w otoczeniu kwitnących kamelii i azalii van Stryker i jego ludzie sondowali mnie, analizowali i przygotowywali.

– Jesteś patriotą? – chcieli wiedzieć, ale nie musieli nawet o to pytać, bo gdy tylko usłyszę pieśń „America the Beautiful”, oczy z miejsca zachodzą mi łzami.

Shanahanowie zawsze byli podatni na emocje. Jesteśmy przecież Irlandczykami, płaksami zachodniego świata; to oczywiste, że jestem patriotą, przecież Ameryka to mój kraj. Moja miłość do niej osadzała się niczym skały na dnie, ciemne i nieruchome; i twarde – nieważne, jak silny wieje wiatr i jak wzburzone jest morze, oceaniczne dno jest spokojne i niezmiennie, jak najodleglejsze zakątki wszechświata. Patriotyzm był według mnie czymś wrodzonym, co się ma we krwi i nosi w sobie aż do śmierci. Pokażcie mi amerykańską flagę, a się rozplączę, zagrajcie „Gwiaździsty sztandar”, a będę szlochał.

Co zatem czuję do Irlandii?

To było proste. Irlandia to czterdzieści odcieni zieleni, uśmiechnięte oczy, koniczyna i pałki, i droga wychodząca na spotkanie, parada w dniu Św. Patryka, kiedy to cały południowy Boston upija się cudownie.

Irlandia to taniec giga, dobra rozmowa, gorące serca i braterstwo.

A Anglia?

Z Anglii wywodzą się nudziarze o lodowatych sercach, dyrektorzy banków i republikanie, golfiści i członkowie kościoła episkopalnego.

Czy zabicie takiej zimnej ryby można wybaczyć?

– W życiu nie zabiłem żadnego z tych drani! – zaprotestowałem.

A co z moją pracą dla Przyjaciół Wolnej Irlandii z Bostonu? Czy nie zbierałem dla nich pieniędzy?

Jasne, że tak, ale co z tego, że te pieniądze służyły zakupowi broni i bomb? Celem było wyrzucenie Anglików z Irlandii. Czy Anglicy nie wyrzynali Irlandczyków od wieków?

Czy kiedykolwiek widziałem dziecko rozerwane przez bombę? To było pytanie Simona van Strykera.

Zbyłem je wzruszeniem ramion, ale Simon van Stryker miał zdjęcia takiego dziecka. Dziewczynka miała trzy latka i czekała na przystanku au-

tobusowym w Belfaście na matkę. Matka też zginęła; bomba oderwała jej nogi.

To była sprawka IRA. Dla nowej Irlandii.

Były też zdjęcia kobiety wysmarowanej smołą i wytarzonej w piórach. Krasnale obcięły jej włosy, zanim zaczęły z niej szydzić, smarować rozgrzaną smołą i obtaczać w piórach. To wszystko dlatego, że jej mąż, który uczynił trzy kobiety wdowami i jedenaścioro dzieci sierotami, odsiadywał w więzieniu dożywocie, a ona ukoła samotność, idąc do łóżka z innym mężczyzną. Kobieta miała dziewiętnaście lat. Jej kochanek był katolikiem. Dostał taki wycisk, że wylądował na wózku inwalidzkim. To była IRA.

Był też człowiek z przestrzelonymi kolanami. Za cyngiel pociągnął szesnastolatek. Ten mężczyzna już nigdy nie będzie chodził. Był katolikiem i oskarżono go o przekazanie informacji Ulster Defence Association, jednej z protestanckich grup paramilitarnych. W rzeczywistości człowiek ten nigdy nie rozmawiał z tą organizacją. To była pomyłka i Provisional IRA przeprosiła za nią. Często przeproszała, ponieważ to pomagało przekonać Boston i Nowy Jork, że IRA to zrzeszenie ludzi honoru.

Był też inny człowiek, także katolik, któremu przestrzelono kolana. Był właścicielem sklepu żelaznego, sprzedawał gwoździe i żywicę epoksydową, ale nie chciał płacić IRA pieniędzy za ochronę, więc pewnej nocy przyszli do niego z naładowaną bronią, wyprowadzili go na podwórko za domem i strzelili mu w nogi, podczas gdy jego żona krzyczała w kuchni. Zastrzelili psa, żeby przestał szczekać i zagrozili, że zastrzelą również żonę, jeżeli się nie uciszy. Spalili człowiekowi jego sklep.

Simon van Stryker kazał mi patrzeć na zdjęcia.

Mówił: „Patrz. Patrz”. Pamiętam, jak na plamy trawy między krzewami magnolii opadały płatki kwiatów, tworząc zaspę jak ze śniegu; płatki brązowiały i zwijały się przy brzegach.

Simon van Stryker mówił mi w tymże domu w Georgii, że terroryzm jest środkiem, nie celem. Można kochać grzesznika, ale należy nienawidzić grzechu.

Terroryzm jest z natury przypadkowy. Musi ranić niewinnych. Musi zabić dziecko, by wstrząsnąć dorosłym.

Terroryzm musi krzywdzić bezbronnych, jeśli chce przyciągnąć uwagę świata. Terroryzm, van Stryker powtarzał do znudzenia, to zło. Można go owinać flagą najdelikatniejszej zieleni, ale to nie sprawi, że będzie dobry.

– Nie mają wyboru! – próbowałem się z nim spierać.

– Wybrali zło – odparł na to.

Terrorysta decyduje się sięgnąć po kule i bomby, ponieważ wie, że jeżeli z nich zrezygnuje, zostanie sprowadzony do poziomu polityków, którzy muszą zmagać się z przyziemnymi problemami edukacji, zdrowia i bezrobocia. Terrorysty, nie znając odpowiedzi na te problemy, posługują się transcendentalnymi pojęciami. Twierdzą, że ich kule sprowadzą nowe milenium, a ich bomby uczynią świat idealnym. Van Stryker powiedział mi jednak, że w końcu jest to przecież tylko terror, i jeżeli pragnę znaleźć *credo*, którego będę się mógł trzymać przez lata, to powinienem pamiętać, że bez względu na to, jakie wartości reprezentuje sprawa, staje się zła, jeżeli wybiera terrorizm jako środek dążenia do celu.

– Jakie lata? – zapytałem.

– Te, które spędziłbyś w więzieniu za przewóz narkotyków. Uratowałem cię przed tym, a więc oddasz je mnie. I Ameryce.

Wyjaśnił mi, że jednostka CIA do walki z terroryzmem wykorzystuje zwyczajowe metody szpiegowskie względem przeróżnych grup terrorystycznych i buntowników grożących interesom Ameryki, ale ta zwykła broń rzadko kiedy bywa skuteczna. Terrorysty są zbyt ostrożni, by mówić o swoich planach przez telefon, który może być na podsłuchu i są zbyt doświadczeni, aby dzielić się informacjami z kręgiem ludzi, którzy mogli dać się nakłonić do zdrady. Komórki terrorystyczne są skonstruowane tak, że idealnie się opierają działaniom wywiadu. Można zniszczyć jedną komórkę, ale nie uda się tknąć pozostałych. Sekrety terrorystów są skrywane za murem plotek i fosą dezinformacji.

Niektórzy terrorysty nawet nie biorą na siebie odpowiedzialności za potworności, których się dopuścili i wola, aby Zachód nigdy się nie dowiedział, kto był autorem wyrządzonej krzywdy.

– Celem działań jest Zachód – poinformował mnie van Stryker. – To my, ludzie Zachodu, jesteśmy posiadaczami, więc trzeba nas atakować, krzywdzić, okaleczać, bombardować i upokarzać. Posiadamy jedną organizację terrorystyczną, której inne ufają i jeżeli udałoby nam się wprowadzić do niej właściwego człowieka, wówczas być może zdołałby się zapuścić głęboko w mroczne ostępy i pewnego dnia, w odpowiednim czasie, przywieźć nam wieści z tej podróży.

– To miałbym być ja.

– Zgadza się.

– Mam zdradzić Irlandczyków?

– Których Irlandczyków? – zapytał pogardliwie. – IRA twierdzi, że nie-nawidzi rządu w Dublinie równie mocno, jak Londynu. Irlandzki elektorat nie głosuje na IRA i większość ludzi niczego nie pragnie tak bardzo, jak tego, by ta grupa znikła! Moim wrogiem jest nie tylko IRA. Moimi wrogami są jej przyjaciele: Libijczycy, Palestyńczycy.

– Jak do nich dotrzeć?

– Niech się o to IRA postara. Wyposażymy cię w umiejętności, które im podpowiedzą, że świetnie się nadajesz na kuriera. Aktywiści IRA nie mogą podróżować po Europie tak, by nie obserwowała ich policja z różnych krajów, ale Garda i brytyjskie oddziały specjalne nie zainteresują się Amerykaninem dostarczającym jachty.

Spacerowaliśmy mokrymi ścieżkami między połyskującymi liśćmi magnolii.

– A jeśli IRA nie zrobi tego, czego oczekujecie? – zainteresowałem się.

– Będzie to oznaczało stratę twojego czasu i mnóstwa rządowych pieniędzy.

– Co będę z tego miał? – spytałem zawadiacko.

– Jesteś wolny, Paul. Nie siedzisz w więzieniu na Florydzie. Nauczysz się fachu, dostaniesz kapitał na założenie własnej firmy i bilet do Irlandii.

– A kiedy ze mną skończycie?

– Kiedy rybak wraca do domu?

– Gdy zapełni ładownię.

– Przywieź mi dobrą zdobycz w odpowiednim czasie.

Zatrzymaliśmy się na skraju ogrodu nad głęboką doliną, przez którą pociąg towarowy jechał na północ.

– Dlaczego ja? – byłem ciekaw.

Van Stryker się zaśmiał.

– Bo jesteś łotrem, Paul, paskudnym typem, draniem i łobuzem. Mógłbym wybierać spośród dowolnej grupy magistrów, porządnych ludzi, stypendystów Rhodesa, ale jak często trafiam na łotra, który szmuglował broń do Irlandii i ukatrupił zabójców swojego ojca? Nie zaprzeczaj. – Van Stryker posłał mi dziwny, niemal czuły uśmiech. – Gdy ktoś jada kolację z diabłem, Paul, roztropnie jest jeść bardzo długą łyżką.

Jesteś moją łyżką.

– A jeśli nigdy nie wrócę?

Van Stryker wzruszył ramionami.

– Nie twierdziłem, że nie ponosimy ryzyka. Może zostaniesz tutaj i nic nie zrobisz? Może zdradzisz program? Może, co jest bardzo prawdopodobne, nigdy się nie odezwiesz. Mogę ci jedynie zaproponować nowe życie. Od ciebie zależy, co z nim zrobisz.

Nie tylko ciebie wysyłam w mrok i jeśli choć jedno z was wróci do domu, warto podjąć tę próbę.

Wróciłem zatem do domu, żeby wyjawić swoje sekrety. Wszystkie, z wyjątkiem jednego.

Przez kilka pierwszych dni Gillespie konstruował rusztowanie z moich lat spędzonych za granicą. Chciał poznać nazwiska, miejsca, fakty, daty. Gdy już ustalił chronologię i wyrobił sobie ogólne pojęcie o tym, jakie mogę skrywać tajemnice, sprowadził ekspertów. Docierali do rezydencji śmigłowcem, żeby wyssać mój mózg. Byli to znawcy grup terrorystycznych z Bliskiego Wschodu.

Gillespie nie ściągnął nikogo do wysłuchania moich opowieści o IRA i tymi latami zajął się osobiście.

Opowiedziałem mu, jak pojechałem do Dublina, a potem, na żądanie Brendana Flynna, do Belfastu, gdzie zająłem się kompleksowymi przegładami łodzi i dostarczaniem jachtów, i byłem świetną przykrywką do szmuglowania przez Morze Irlandzkie broni, materiałów wybuchowych i zbrojnych bandytów. Opisałem, jak podłożyłem dwie bomby w Belfaście, nie dlatego, że IRA potrzebowała kolejnego człowieka, który się w tym specjalizuje, ale dlatego, że chciała sprawdzić, czy można mi ufać.

– Czy zginął ktoś w czasie wybuchu? – zapytała Carole Adamson.

– Nie. Zadzwoniliśmy z ostrzeżeniami.

– My? – zainteresował się Gillespie.

– Oddziałem dowodził niejaki Seamus Geoghegan.

Sprowadzili go z Derry.

– Wiemy o panu Geogheganie – oznajmił Gillespie.

Powiedział mi, że Seamus przebywał w Bostonie, gdzie opierał się próbom Brytyjczyków pragnących ściągnąć go do Brytanii. Seamus bronił się, twierdząc, że jest uchodźcą politycznym uprawnionym przez amery-

kańską konstytucję do ochrony, Brytyjczycy zaś tłumaczyli mu, że był zwykłym mordercą. Amerykańscy anglofile utrzymywali, że był nielegalnym imigrantem, a anglofobi oznajmiali, że był bohaterem. Z całej tej kłótnianiny tylko prawnicy mogli wyjść bogatsi. Gillespie zapytał mnie o Seamusa, ale nie mogłem dodać nic, co nie byłoby ogólnie znane.

– Jak się pan czuł w związku z podłożeniem bomb? – zapytał Gillespie.

Na zewnątrz padał delikatny śnieg, przykrywając tonące już w zapach krzewy kolejną warstwą połyskliwej bieli.

– Robiłem to, co nakazał mi van Stryker. Infiltrowałem IRA – odpowiedziałem bezczelnie.

– Podobało się to panu? – sondował Gillespie.

– Upiłem się po fakcie. Po każdym razie.

– Podobało się to panu? – naciskał.

– Byłem podekscytowany – przyznałem. – Gdy podkłada się bombę, podejmuje się ryzyko. Człowiek nie chce, by ta ekscytacja przeminęła, więc po robocie idzie do baru i pije. Przechwala się. I słucha, jak chełpią się inni.

To była prawda, ale równie dobrze mogłem powiedzieć, że się upijaliśmy, bo nie chcieliśmy myśleć o tym, co właśnie zrobiliśmy. Wiedzieliśmy, że jeszcze nigdy nie osiągnęliśmy niczego, podkładając bombę i zapewne nie osiągniemy. Jedynymi wyznawcami terroryzmu byli fanatycy kierujący ruchem oraz ich najmłodszy i najgłupszy rekruci. Wszyscy pozostali byli uwięzieni w swoich rolach. Pamiętam chwilę, w której Seamus Geoghegan trząsał się jak liść, lecz nie ze strachu, ale z poczucia beznadziejności. „Okropność”, powiedział mi tego dnia, „ale gdybyśmy urodzili się w Liverpoolu, Paulie, walczylibyśmy za pierdolonych Brytoli, prawda?” W tej walce nie było nic ideologicznego, nic konstruktywnego; to był tylko plemienny rytuał, krzyk, nawyk, protest. Była to też ekscytacja, pełne braterstwo, dobry humor, whisky i brawura. Cel uzasadniał naszą przemoc i ratował nasze sumienia tym pokrętnym usprawiedliwieniem.

– Masz wyrzuty sumienia w związku z tym, co zrobiłeś? – zapytała Carole Adamson.

– Przecież robiłem to dla Ameryki, prawda? – umknąłem przed jej dociekliwością.

I dla Ameryki tryumfowałem, gdy w 1980 IRA poprosiła mnie, żebym został ich łącznikiem z innymi grupami terrorystycznymi. Widzieli we mnie człowieka, który mógł podróżować po świecie, nie budząc podejrzliwości. Zaproponowano mi nawet, żebym przeniósł się do Europy, gdzie moja osoba będzie zwracała jeszcze mniej uwagi. Przeniosłem swoją firmę do Nieuwpoort, gdzie zatrudniłem Hanne w roli sekretarki pracującej na część etatu, uratowałem kota z uliczki naprzeciwko domu i zacząłem pływać po mrocznych wodach, by przynieść korzyść van Strykerowi.

– Jakie interesy załatwiał pan z tymi innymi grupami terrorystycznymi? – Gillespie zapytał swoim łagodnym, monotonnym głosem.

Rozłożyłem ręce, sugerując, że odpowiadać na to pytanie mógłbym całą wieczność, ale zaproponowałem mu skróconą wersję.

– Baskom zależało na naszym doświadczeniu w podkładaniu bomb, w szczególności na elektronicznych zegarach, a Palestyńczycy z radością dostarczali nam broń. Byłem swego rodzaju zaopatrzeniowcem.

– Cała broń była pochodzenia komunistycznego?

Przytaknąłem.

– Większa część pochodziła z Rosji, a materiały wybuchowe z Czechosłowacji. Kreml nie chciał, żeby jego zaangażowanie było zbyt oczywiste, więc wykorzystywał w roli pośrednika Muammara Kadhafiego.

– Jak daleko sięgało zaangażowanie Kadhafiego? Był tylko pośrednikiem?

Pokręciłem głową.

– Jest ojcem chrzestnym IRA.

– Ojcem chrzestnym?

– Daje im wszystko, czego zapragną. Nie dlatego, że obchodzi go Irlandia. Prawdopodobnie nawet nie wie, gdzie leży. Robi to dlatego, że nienawidzi Brytanii.

Jego nienawiść nasiliła się po tym, jak Margaret Thatcher wyraziła zgodę na to, żeby amerykańskie bombowce wykorzystywały brytyjskie bazy podczas ataku na Trypolis. Po nalotach nic nie było zbyt dobre, by ofiarować to Provisional IRA. Organizacja zrzeszała ulubieńców Allacha, wojowników Proroka i była instrumentem zemsty Kadhafiego.

– Daje nie tylko broń? – dociekał Gillespie.

– Broń, radę, trening, schronienie.

– Szkolenie w posługiwaniu się bronią?

– Ludzie z IRA tego nie potrzebują. Wiem jednak, że wysłali do Trypolisu co najmniej dwóch gości, którzy uczyli się technik prowadzenia przesłuchań. Do tego czasu, jeśli uważali, że ktoś jest zdrajcą, po prostu spuszczali biedakowi koszmarny łomot i najczęściej zabijali go, zanim cokolwiek z niego wydusili.

Dzisiaj jednak stosują metody Libijczyków. Są one znacznie bardziej bolesne i o wiele pewniejsze. – Przerwałem, gdy wielki kawał zbitego śniegu zsunął się z dachu i spadł na chodnik pod oknem.

– Organizował pan te szkolenia? – spytał Gillespie.

– Tak.

– Jak się nazywali uczniowie?

– Nie podawano mi ich nazwisk. Mieli pseudonimy: John i Michael.

Później Gillespie pokazał mi zdjęcia ludzi z IRA, ale nie znalazłem wśród nich żadnego z dwójki, którą eskortowałem do Trypolisu.

Pierwsi eksperci przyjechali z Langley. Był wśród nich mały, podekscytowany człowieczek w okularach z grubymi szklami. Wiedział niesamowicie dużo o tym, jak nielegalnych imigrantów przemycano na południe Francji i chciał się dowiedzieć, czy grupy terrorystyczne wykorzystują te same szlaki. Pomogłem mu, jak umiałem. Drugi mężczyzna, chudy jak patyk, starał się prześledzić finansowe powiązania między Libią i różnymi grupami, a trzeci przyjechał wypytać mnie o wschodniemiecki obóz szkoleniowy w Tantow, który dwukrotnie odwiedziłem.

Każdego dnia przybywało albumów ze zdjęciami i miały nudne godziny przeglądania sztywnych kart z fotografiami twarzy bez wyrazu.

Ciemnowłosa kobieta przyjechała rozmawiać o Libii i jej wsparciu dla terroryzmu. Pokazała mi zdjęcie Shafiqą. Opowiedziałem jej o tym, jak bardzo lubił brylantynę i pragnął Francuzek, o jego szarych eleganckich garniturach, upodobaniu do cukiereczków cachou i gauloise'ów. Chciała poznać sposoby, jakimi Shafiq się ze mną kontaktował, miejsca, w których się spotykaliśmy, jak też szyfr, jakiego używaliśmy w czasie rozmów telefonicznych. Mówiłem o Centrum Oporu wobec Imperializmu, Rasizmu, Zacoiania i Faszyzmu, następnie podałem nazwę burdelu w Marsylii, który Shafiq traktował jak swoje prywatne terytorium.

Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim jakiś zachodni agent wlecze Shafiqą z burdelu do czekającego przed frontowymi schodami sa-

mochodu. Przy tylnych drzwiach auta nie będzie zamków, żeby nie doszło do fatalnej w skutkach szarpaniny w ostatniej chwili; drzwi będą natomiast obwiązane sznurami do skoków bungee. Wóz pomknie przed siebie. Być może Shafiqa uwiedzie jakaś drobnokoścista Francuzka o włosach blond, która wyciągnie z niego wszystko, zanim go rzuci na pastwę mściwego Kadafiego.

– Poznał pan Kadafiego? – zapytała kobieta.

Była atrakcyjna. Miała inteligentną twarz i bystry umysł. To ona mi powiedziała o żonie Shafiqa i jego trzech córkach żyjących w mieszkanku w Trypolisie.

Nigdy nie poznałem imienia tej kobiety, jak też innych ekspertów, którzy przylecieli z kwatery głównej CIA w Langley.

– Poznałem go – odpowiedziałem i opisałem jego pełną goryczy wściekłość po nalocie Amerykanów na Trypolis. – Był szczególnie zły na Brytyjczyków, bo Thatcher pozwoliła bombowcom startować z brytyjskich baz lotniczych.

– A więc negocjował pan warunki dostaw broni, którą wysłał dla IRA w ramach rewanżu?

– Nie musiałem niczego negocjować. Musiałem powstrzymać go przed wysłaniem całego arsenału.

Chętnie by wysłał wszystko, co miał.

– Co pan wie o jego planach zemsty na Amerykanach?

– Podejrzewam, że to on stał za zamachem na jumbo jeta nad Lockerbie – podsunąłem. – Ale nie rozmawiał ze mną na te tematy. Mówiliśmy tylko o IRA.

– Porozmawiajmy teraz o il Hayaweenie – zażądała kobieta z CIA. – Boże, jak bardzo bym chciała przybić jego skórę do wrót mojej stodoły – powiedziała mściwie.

Posłusznie opisałem jego twarz, stroje, świetną angielszczyznę, okulary, zegarek blancpain, okaleczoną prawą dłoń i upodobanie do amerykańskich papierosów. Większość tych szczegółów wyjawilem Gillespiemu podczas wcześniejszych sesji i kobieta przyszła na spotkanie przygotowana. Miała ze sobą zdjęcia różnych zegarków marki Blancpain, dzięki czemu mogłem zidentyfikować, który model kupiłem w Wiedniu. Chciała też potwierdzić niektóre legendy na jego temat, ale nie wiedziałem nic o jego grzechach.

Znałem wyłącznie pogłoski, jak na przykład historię o masakrze izraelskich uczniów.

– Wierzy pan w to? – spytała kobieta.

– Wydaje mi się, że tak.

Gillespie, który uczestniczył w tych sesjach, wzdrygnął się.

– Jak człowiek może żyć ze świadomością takich uczynków?

– Może nie ma wyobraźni? – zasugerowała Carole Adamson siedząca na swoim miejscu pod oknem.

Pokręciłem głową.

– Najlepsi zabójcy mają wyobraźnię. Trzeba ją mieć, aby móc być tak przebiegłym, jak il Hayaween.

To dzięki temu jest tak skuteczny. Uważa też, że wykonuje pracę za Pana Boga.

– Czy ludzie z IRA też tak o sobie myślą? – spytał Gillespie bez nuty ironii.

Zaśmiałem się.

– Jest taka stara przypowieść, Gillespie, o samolocie lecącym nad Belfastem. Pilot włącza mikrofon i wita pasażerów na lotnisku Aldergrove. Mówi, że temperatura powietrza wynosi trzynaście stopni Celsjusza, z północy nadciąga słaby deszcz, ale jeśli chcą zsynchronizować zegarki z czasem lokalnym, powinni je cofnąć o trzysta lat. – Mój dowcip upadł ciężko, jak ciężarna tyczkarka. Gillespie i agentka CIA zmarszczyli brwi, a Carole Adamson pokręciła głową, by pokazać, że nic z tego nie zrozumiała. – Trzysta lat temu – wyjaśniłem – Europę rozrywały wojny na tle religijnym.

Protestantyzm kontra katolicyzm. Spróbujcie sobie wyobrazić małą wyspę trzysta lat temu, na której mieszkańcy wyciskają z siebie gówno w technikolorze w imię walki komunizmu z wolnym rynkiem.

– Uważa pan, że konflikt w Irlandii ma podłoże religijne? – zapytał Gillespie.

Naprawdę starał się zrozumieć. Terroryzm, jak by nie było, stanowił bardzo dziwne zjawisko dla większości Amerykanów. Był chorobą, którą do pierwszego świata sprowadziły szalone istoty ze slumsów starego świata i obozów dla uchodźców z trzeciego świata.

Gillespie pragnął, abym wyjaśnił mu podłoże tej choroby. Pokręciłem głową.

– Religia w Irlandii określa tylko, po której stronie ktoś się znajduje. Konflikt dotyczy ludzi, którzy nie sprawują kontroli nad własnym życiem, którzy mieszkają w budynkach komunalnych, nie mają pracy, jedzą marnie, umierają z powodu palenia papierosów i patrzą jak ich dzieci czeka taka sama beznadzieja. Dlatego chcą komuś dowalić, a najchętniej każdemu.

– A zatem twierdzi pan, że jest to problem o podłożu ekonomicznym?
– zapytała poważnie bystra, ciemnowłosa kobieta.

– Nie, natomiast zła sytuacja ekonomiczna jest dla nich pożywką. Kampania IRA w latach pięćdziesiątych nie powiodła się, ponieważ ludzie mieli zatrudnienie, nikt nie odczuwał, że żyje w biedzie. Ludzie byli zajęci spłacaniem kredytów za samochody i telewizory. Dzisiaj w Belfaście nie ma pracy, nie ma przyszłości, nadziei. Została tylko przyjemność zemsty. Co innego mogą zrobić biedne dranie? Wiedzą, że południe ich nie lubi, a Brytole chcieliby urządzić im piekło i że tak naprawdę nikt nie chciałby mieć z nimi do czynienia.

Odpowiadają w jedyny znany sobie sposób: kulami i bombami, czerpiąc przyjemność ze świadomości, że sprowadzają innych ludzi do takiego samego poziomu niedoli.

Zapadła dłuższa chwila milczenia. Za oknami padał śnieg.

– Nie mają sumienia? – Gillespie zapytał w końcu.

– Co mądrzejsi odurzają je alkoholem, a głupi ufają tym mądrym.

Odpowiedziałem gładko, ale myślałem o Seamusie Geogheganie i o tym, jak go swego czasu zapytałem, czy miewa wyrzuty sumienia. Zastanawiał się długo, aż wreszcie potrząsnął głową. „Gówno mnie to obchodzi”, oznajmił. Chodziło mu o to, że lepiej jest nie zastanawiać się nad tym, bo takie myślenie może człowieka tylko unieszczęśliwić.

– Myślę sobie, że sumienie jest na Zachodzie trochę przeceniane – stwierdziła kobieta z zadumą.

Gillespie szykował się do odpowiedzi, gdy nagle rozległ się przeraźliwy dzwonek telefonu. Nie wiedziałem, że w pokoju znajduje się aparat i podskoczyłem jak winowajca. Nawet Gillespie wydawał się zdumiony ostrym dzwonkiem. Podniósł się i podszedł pospiesznie do wnęki w ścianie, gdzie z wahaniem chwycił słuchawkę. Powiedział kilka słów, odwiesił słuchawkę i powoli wrócił do stołu z zaskoczonym wyrazem twarzy.

– Mamy wojnę – rzekł, nie zwracając się do nikogo konkretnie. – Zaczęła się w nocy. Prowadzimy wojnę.

Nad królestwem Nabuchodonozora latały samoloty Amerykanów i ich sprzymierzeńców. Pociski samosterujące Tomahawk syczały nad Krainą Dwóch Rzek, gdzie swego czasu istniał bujny Eden i kwitł Babilon, kwiat wszystkich miast.

– Dobry Boże – wymamrotał Gillespie w reakcji na wiadomość i zaproponował przerwanie mojego przesłuchania, żebyśmy mogli obejrzeć telewizję w jadalni.

Wiadomości wydawały się niemożliwie optymistyczne. Opowiadały o nadzwyczaj precyzyjnym bombardowaniu, niewielkich stratach samolotów i rosnących nadziejach sprzymierzeńców.

Nie wspomniano ani słowem o reakcji Iraku, a zwłaszcza o atakach terrorystycznych. Spodziewałem się po części usłyszeć o cywilnych samolotach spadających z nieba i bombach rozrywających centra zachodnich miast, na ekranie jednak co chwila pojawiała się migotanie pocisków przelatujących nad Bagdadem, przerywane ostrymi błyskami eksplozji bomb na horyzoncie. Pokazywano zdjęcia samolotów myśliwsko-bombowych startujących z rykiem w Arabii Saudyjskiej; ich koła chowały się, gdy dopalacze pchały samoloty na północ, w kierunku wroga.

Siedziałem najdalej od ekranu. Patrzyłem, jak samoloty sił sprzymierzonych atakowały Irak, ale wspominałem izraelskie samoloty myśliwsko-bombowe nad Hasbaya. Zwykle bomby lub rakiety spadały na miasto, zanim Palestyńczycy zdążyli się zorientować, że wróg przelatuje nad nimi. Widać było krótki błysk na niebie, ruch skrzydeł i potworny huk, i samoloty znikwały na niebie, a wystrzelone przez nie na próżno race, które miały je osłaniać przed pociskami przeciwlotniczymi, dryfowały powoli ku ziemi. Chwilę później z dymu i pyłu wyłaniało się kilka oszołomionych osób, którym udawało się przeżyć.

Wiedziałem, że prędzej czy później Gillespie zażyczy sobie, żebym opowiedział mu o Hasbaya. Wolałbym, żeby mi tego oszczędził. Podejrzywałem wręcz, że będzie chciał poddać ten temat po lunchu, on jednak, pytając grzecznie ciemnowłosą kobietę, czy może poczekać kilka minut z dalszym przesłuchiowaniem mnie, zapytał po raz kolejny o pięćdziesiąt trzy stingery.

Jego problem polegał na tym, że ani FBI, ani CIA nie mogły znaleźć żadnego istotnego faktu potwierdzającego moje spotkanie w Miami i sprzedaż pocisków.

Gillespie przyniósł fotografie magazynów niedaleko toru wyścigowego Hialeah, ale nawet to, że zidentyfikowałem budynek, w którym widziałem

te stingery, nic nie dało. W magazynie nie znaleziono niczego, a w jego dokumentach nie wspomniano Kubańczyków o imionach Alvarez lub Carlos. Gdy Gillespie prowadził mnie z powrotem na sesję w bibliotece, powiedział mi, że numer telefonu w Irlandii był numerem sklepu w Enniskillen, którego właścicielem była sześćdziesięcioośmioletnia stara panna zajmująca się świętymi figurkami, a Brendan Flynn zapytany przez irlandzką policję o spotkanie w Miami z wściekłością odparł, że był na konferencji poświęconej przyszłości Irlandii, która odbywała się na Uniwersytecie w Utrechcie. Dwóch szanowanych profesorów prawa międzynarodowego i pastor Holenderskiego Kościoła Reformowanego podpisali oświadczenia złożone pod przysięgą i potwierdzające alibi Brendana. Musiałem się roześmiać. Ten Brendan miał klasę.

– Tacy ludzie by nie skłamali – zganił mnie Gillespie.

– Te dranie kłamią bez zająknięcia. Daj pan spokój, Gillespie. Akademicy i ludzie kościoła? Uwielbiają terrorystów! Strasznie ich kręci, kiedy mogą udawać, że terroryści odwalają robotę za Pana Boga. Zwłaszcza Holendrzy! Byłem na tych cholernych konferencjach w Holandii. Holendrzy są nudni, więc uwielbiają stawać po stronie niegodziwców. Jeśli jest się terrorystą, w Utrechcie od razu się znajdzie z pół tuzina pastorów i sześciu akademików, którzy będą ci chcieli lizać dupsko. To alibi nie jest nic warte.

– A Michael Herlihy? Ma dwóch bostońskich prawników, którzy chętnie poświadczą, że tego dnia zbierał zeznania.

– Wierzy pan amerykańskim prawnikom? A Marty Doyle? Przesłuchiwał go pan?

– Twierdzi, że przez cały dzień woził Michaela Herlihy'ego. Po całym Bostonie.

– Kłamie! Zawiózł mnie do magazynu, a potem mnie i Brendana Flynna na lotnisko w Miami. Zatrzymajcie drania i dajcie mu wycisk. Wszystko wam wyśpiewa.

Gillespie westchnął.

– To jest Ameryka. Musimy się stosować do procedur. – Przez kilka sekund przyglądał mi się z cichą dezaprobatą. – Muszę też panu powiedzieć, że brytyjskie i irlandzkie władze nie słyszały nic o stingerach.

Nic a nic.

– Widziałem jeden z pocisków.

– Tak pan twierdzi. – Było widać wyraźnie, że mi nie wierzył. – Będziemy szukać dalej – oświadczył, ale bez entuzjazmu, następnie zwrócił się do ciemnowłosej kobiety, która cierpliwie przeczekwała dyskusję o stingerach i alibi. – Chciała pani porozmawiać z panem Shanahanem na pewien temat?

– Hasbaya – rzuciła kategorycznie.

Spojrzałem na nią. Ogień trzaskał i syczał.

– Słucham?

– Hasbaya.

To jasne, że chcieli wiedzieć o Hasbaya, ale spinałem się na samą myśl o tym miejscu. Byłem świadom tego, że obserwowała mnie Carole Adamson.

– Bywałem tam – powiedziałem tak lekko, jak tylko mogłem.

– Ile razy?

– Kilka.

– Dwa? Dziesięć? Dwadzieścia? – Kobieta zmarszczyła brwi, słysząc moje uogólnienie.

– Osiem razy. Po raz pierwszy w osiemdziesiątym drugim, a po raz ostatni w osiemdziesiątym szóstym roku.

– Brał pan udział w szkoleniach?

W Hasbaya znajdował się najślawniejszy palestyński obóz szkoleniowy, poddyplomowa szkoła zabijania. Nie był to jedyny obóz szkoleniowy terrorystów na świecie, nawet nie największy. W dawnych czasach, zanim runął ich ustrój, Sowieci prowadzili z pół tuzina takich placówek, ale Hasbaya była gwiazdą na ciemnym firmamencie zła.

– Szkolił się pan tam? – spytała kobieta z nadzieją w głosie.

– Nie. Tylko wprowadzałem tam uczniów.

Wyjaśniłem, że w szkoleniach w Hasbaya, jak też innych palestyńskich obozach szkoleniowych, nie mógł uczestniczyć nikt, za kogo nie poświadczylby ktoś z zaufanych ludzi. Byłem osobą, która sprawdzała, czy ludzie, których przywoziłem do obozu, rzeczywiście byli tymi, za których się podawali, a nie amerykańskimi lub izraelskimi agentami.

– Wprowadził pan tam osiem osób z IRA? – zapytała kobieta.

– Czterech mężczyzn z IRA, jedną kobietę i trzech Basków. IRA są zdania, że ich ludzie nie potrzebują szkoleń prowadzonych z zewnątrz, ale od czasu do czasu wysyłają tam kogoś.

– Ile potrzebował pan czasu, aby kogoś wprowadzić? – dopytywała się kobieta. – Całego dnia?

– Pięciu minut. Prowadziłem delikwenta do gabinetu komendanta, mówiłem „dzień dobry” i to wszystko.

– I wyjeżdżał pan?

– Na ogół. Czasem proponowali mi, żebym został kilka dni.

– Proszę opowiedzieć o obozie.

Opisałem go. Hasbaya została wzniesiona na terenie starej winiarni na wzgórzach w dolinie rzeki Beka w Libanie. Większa część obszaru była terenem ćwiczeń, które miały na celu uczynić z palestyńskich uchodźców żołnierzy oddziałów szturmowych. Na samej górze obozu znajdował się ten bardziej tajny fragment obszaru, na którym terroryści szlifowali umiejętność szykowania zasadzki, ataku i zniszczenia. Tamtejsze *credo* głosiło, że śmierć jest najsilniejszym środkiem odstraszającym i tak długo, jak świat się jej obawia, zabijanie jest najlepszym przyjacielem terrorysty. Jeżeli śmierć ma być przydatna, musi zostać oswojona, dlatego też zabijanie było tam częścią programu nauczania.

Każdy adept jechał do obozu ze świadomością że ginęli tam mężczyźni i kobiety, jak też że okazanie wrażliwości na widok tej jatki równało się z odsłonięciem swojej bezużyteczności dla sprawy.

– Wyjašnjmy to – przerwał mi Gillespie. – Twierdzi pan, że adepci szkolący się tam ginęli?

– Czasami. – Zamilkłem i myślałem o Roisin, ale gdy podjąłem temat, mówiłem o innej Amerykance, która udała się do Hasbaya pełna wigoru kogoś, kto wierzy, że może zmienić świat. – Była tam Kimberley Sissons. Pochodziła z Connecticut. Zdaje się, że jej ojciec był prawnikiem korporacyjnym. Miała dyplom z Harvardu.

– Zabili ją? – zapytała kobieta z Langley.

– Tak.

– Z jakiego powodu? – Gillespie domagał się jak zwykle szczegółów.

– Nie potrzebowali powodu. – Znowu się zawahałem, bo nie wiedziałem, jak wyjaśnić niewy tłumaczalne. – Służył pan w wojsku? – zapytałem Gillespiego.

– W marynarce.

– Słyszałem, że w wojsku zdarza się, że daje się rekrutowi żywego królika i mówi mu się, że to jest jego obiad. Jeśli rekrut nie ma dość ikry, żeby zabić królika, chodzi głodny. Zdaje się, że tak właśnie traktowano dziewczyny w Hasbaya.

Gillespie i kobieta przyglądali mi się przez kilka chwil.

– Dziewczyny?

To pytanie zadała mi ciemnowłosa kobieta.

– Zabijano głównie dziewczyny z Zachodu. Nie zawsze, ale często.

– Czy wynikało to z religijnych uprzedzeń? – wtrąciła Carole Adamson.

– To miało raczej związek z tym, że dziewczyny z Zachodu kłóciły się.

– Kłóciły? – Gillespie wreszcie poczuł się zaszokowany.

– Posłuchajcie mnie – próbowałem wytłumaczyć. – Palestyńczycy wywodzą się z kultury, w świetle której rola kobiety sprowadza się do bycia posłuszną mężczyźnie. A przyjeżdżały tam Amerykanki z klasy średniej, pełne buntowniczego zapału, którym zaraził je jakiś profesor o marksistowskich poglądach z Uniwersytetu Stanforda. Tarcia były nieuniknione. Te dziewczyny były feministkami skorymi do spierania się, wierzącymi w możliwość dogadania się kultur.

Miały trudności ze zrozumieniem, że ich miejsce w rewolucji znajdowało się między zawszonym materacem i niemytym Palestyńczykiem. – Staralem się mówić beznamiętnym głosem, ale nie mogłem opanować drżenia rąk ukrytych pod stołem. Ciemnowłosa kobieta zamilkła i tylko mi się przyglądała.

– Strzelano do nich? – zapytał Gillespie. – Tylko za to, że się kłóciły?

– Nie zawsze strzelano. Kimberley Sissons została uduszona miedzianym drutem.

– Tylko za to, że się spierały, broniąc swoich praw? – Carole Adamson była wstrząśnięta.

– Już mówiłem, że to była demonstracja.

– A kto urządzał taki pokaz? – dopytywał się Gillespie.

– Drugiemu adeptowi nakazywano zabić. Jeśli się zawahał lub nie wykonał rozkazu, ginął jako następny.

W ten sposób zmuszano adeptów do rewizji swego stosunku względem śmierci. – Przerwałem, czując, że nie oddałem w pełni atmosfery Hasbaya: panującego tam gorączkowego podniecenia, entuzjazmu względem samego zabijania i triumfu towarzyszącego opanowaniu zagrożeń. – Może usiłowali zniszczyć sumienie? – zasugerowałem.

– Czy zabił pan kogoś w Hasbaya? – spytał Gillespie.

– Już mówiłem, że nie byłem adeptem. Tylko dowoziłem tam ludzi.

– To nie jest odpowiedź na pytanie – odezwała się Carole Adamson z nietypową dla niej szorstkością.

– Tak. Zabiłem tam człowieka – przyznałem.

– Dlaczego? Dostał pan rozkaz?

Pokręciłem głową.

– Walczyliśmy.

– Kto to był?

– Niejaki Axel. Po prostu Axel. Nie znałem jego innego imienia. To on zaczął bójkę, nie ja.

– Kiedy to było? – dociekał Gillespie.

– W czasie mojej ostatniej wizyty.

– W osiemdziesiątym szóstym?

– Tak.

– Dowiózł pan tam kogoś?

– Tak.

– A on zaczął bójkę. Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Bóg raczy wiedzieć.

– Jak go pan zabił?

– Łopata – odpowiedziałem. – Uderzyłem nią jak siekierą.

Powiedziałem prawdę, ale tylko niewielką jej część.

Reszta opowieści była moim koszmarem i nie zamierzałem się nią dzielić z notującym Gillespiem” ani stawiającą diagnozę Carole Adamson, ani z ciemnowłosą kobietą z encyklopedyczną wiedzą na temat Palestyńczyków i Libijczyków.

Gillespie przeglądał wcześniejsze strony w swoim notatniku, gdzie zapisał ogólnie moją historię i chronologię zdarzeń.

– Osiemdziesiąty szósty – odezwał się – to rok, w którym IRA przestała panu ufać.

– Tak.

– Czy to miało związek z wydarzeniami w Hasbaya?

Znowu się zawahałem. Za oknem padał śnieg, migoczące miliony odbijających światło płatków.

– Tak – przyznałem, świadom, że w końcu i tak będę musiał wyjawić część historii. – Dostarczyłem do Hasbaya Amerykankę, która oskarżyła mnie o to, że jestem agentem CIA.

– Jak się nazywała? – Gillespie notował.

– Roisin Donovan – starałem się mówić swobodnie.

– Zdaje się, że jej imię pisało się: R-O-I-S-I-N.

– Mówi pan, że była Amerykanką? – Gillespie zmarszczył brwi.

– Taką jak ja. Z irlandzkimi korzeniami. Ale pochodziła z Baltimore.

– Niech pan o niej opowie.

Udałem, że wiem niewiele.

– Szczerze mówiąc, nie wiedziałem o niej dużo. Przeniosła się do Irlandii Północnej i była bardzo aktywną działaczką w kobiecej sekcji Provisional IRA.

Czułem, jak serce mi waliło. Byłem pewien, że Carole Adamson dostrzeże mój dyskomfort. Byłem potwornie świadom wszystkiego, co się działo w pokoju.

Słyszałem każdy trzask marnego ognia, skrzypienie swojego krzesła i skrobanie ołówka Gillespiego o papier w jego notatniku; rejestrowałem sceptyczne spojrzenie ciemnowłosej kobiety.

– Dlaczego pana o to oskarżyła? – zainteresował się Gillespie. – Proszę opisać okoliczności zdarzenia.

Odetchnąłem głęboko.

– Zabrałem ją do Hasbaya. Dotarliśmy do obozu i zaprowadziłem ją do kwatery Malouka. Malouk był komendantem. Weszła tam, porozmawiała z nim, a dziesięć minut później Malouk poprosił, żebym został w obozie. Nie chciałem tego zrobić, bo musiałem dostarczyć łódź w następnym tygodniu. Z komendantem jednak nie należało się spierać, więc się zgodziłem. W nocy mnie aresztowali.

– Bo Roisin Donovan pana oskarżyła?

– Tak.

– Co mu powiedziała?

– Powiedziała, że CIA próbuje infiltrować europejskie grupy terrorystyczne i w celu utrzymania tożsamości agentów w tajemnicy, nie wykorzystuje kontroli w terenie ani listów, ani żadnych innych form komunikacji. Takich szpiegów nazywa się „niewidzialnymi”, ponieważ nie sposób ich wytropić. Mają złożyć raport w Waszyngtonie dopiero po zakończeniu misji. – Przerwałem, wyglądając przez okno. Na skraju ciemnego lasu w oddali stał jeleń. Węszył, opuścił głowę i zniknął, błyskając białym ogonem. – Potem oświadczyła, że jestem właśnie takim niewidzialnym agentem – dookończyłem z goryczą.

– Mówi pan, że wiedziała o programie van Strykera? – zapytał Gillespie.

– Wiedziała o pomysłe niewykorzystywania żadnych form komunikacji w terenie.

– Wspomniała o van Strykerze?

– Nie.

– Podała inne nazwiska?

– Nie.

– A więc to wygląda na niedorzeczne oskarżenie. Gillespie zauważył z pogardą.

Wzruszyłem ramionami, jakby sugerując, że miał rację, aczkolwiek prawda była mniej piękna. Często dyskutowaliśmy z Roisin o możliwości infiltracji IRA przez CIA. Zgodziliśmy się, że motywem wprowadzenia amerykańskiego agenta byłaby chęć wyświadczenia przysługi brytyjskim sprzymierzeńcom, jak też możliwość podsłuchiwania plotek, o których szeptali europejscy terroryści. Wyszuliśmy pomysł tego, jak mogłoby to

wyglądać i w jaki sposób taki agent mógłby uniknąć demaskacji. To nie Roisin nazwała tych agentów „niewidzialnymi”, tylko ja. Podsunąłem jej tę myśl, jakby była zwykłą spekulacją, w rzeczywistości natomiast igrałem z ogniem. Podobnie jak zdradzający żonę mąż, który czuje dreszczyk emocji, gdy wspomni przy niej imię kochanki, tak też ja nie mogłem się oprzeć przedstawianiu programu van Strykera jako swojej fantazji. Potrafiłem sobie wyobrazić, jakie psychologiczne bzdury Gillespie i Adamson mogliby wysnuć na podstawie takiego wyznania, więc przezornie nic na ten temat nie powiedziałem. Gillespie przewrócił kartkę w notesie.

– Władze z Hasbaya dały wiarę jej oskarżeniom?

– Nie wiedzieli, czyjej wierzyć, czy nie, ale zaniepokoiło ich to jak diabli.

– Co zrobili?

– Wysłali do Irlandii zapytanie, czy podejrzewał mnie ktoś jeszcze i wiadomość zwrotna mnie uratowała.

Zdaje się, że Seamus Geoghegan schronił się w mieszkaniu Roisin i w dniu, w którym wyjechała do Libanu, aresztowali go Brytole. Podobno ktoś im przekazał informację, a to mogła być tylko Roisin.

Wyglądało na to, że to ona zdradziła, nie ja i oskarżając mnie, starała się zrzucić winę na kogoś innego, żeby wszystkich oszukać. – Zrobiłem smutną minę. – Niemniej i tak skierowała na mnie podejrzliwość, która wystarczyła do tego, żeby mnie wykluczono z gry.

– Co się stało z panną Donovan? – zapytał Gillespie.

– Zastrzelono ją – odparłem ponuro.

Zapadło milczenie. Carole Adamson sporządziła notatkę, którą teraz przesunęła po stole. Gillespie odwinął kawałek papieru. Płonące polano z trzaskiem pękło, wyrzucając z siebie pióropusz iskier. Gillespie zmiażdżył kartkę w kulkę i cisnął ją w ogień. Nie trafił, kulka odbiła się od półki nad kominkiem i potoczyła na matę z włókna kokosowego.

– Ile czasu spędził pan w jej towarzystwie? W drodze do Hasbaya.

– Trzy dni. Spotkaliśmy się w Atenach, poleciliśmy do Damaszku, a potem pojechaliśmy do Libanu.

– Na pewno pan z nią rozmawiał.

– Jasne.

– Czy w ciągu tych trzech dni byliście kochankami? – dopytywał się.

- Nie! – Staralem się, by moja odpowiedź była pełna pogardy.
- O czym rozmawialiście w czasie podróży?
- Nie rozmawialiśmy dużo. Nie była zbyt towarzyska.
- Na pewno o czymś dyskutowaliście!
- O widokach, irlandzkim piwie, upale. Gawędziliśmy luźno. To wszystko.
- Podobała się panu? – Gillespie nie odpuszczał.
- Czy mi się podobała? Nie wiem. – Czułem się koszmarne niezręcznie. – Do diabła z nią! Przecież nie ona jest ważna!

Znowu zapadło milczenie. Za oknem ściemniało się.

Był środek zimy i dni były krótkie. Ciemnowłosa kobieta zerknęła na zegarek.

– Powinam już jechać, Peterze – odezwała się do Gillespiego. – Nie znoszę jeździć po ciemku.

– Oczywiście.

Urok został zdjęty. Rozluźniłem się. Ludzie wokół stołu poruszali się, przeciągali, prowadzili luźną konwersację. Kobieta podziękowała mi za mój czas, oznajmiła, że byłem pomocny i wyszła razem z Carole Adamson do holu po płaszcz. Gillespie stwierdził, że musi się udać do toalety.

Zostawili mnie samego w bibliotece. Rozmyślałem o Hasbaya, o Roisin. Seamus powiedział mi kiedyś, że sumienie powinno się rozpuszczać w alkoholu. „Wypiję za to”, rzuciłem wówczas. Sięgnąłem teraz po butelkę ryżowej whisky z szafki z alkoholami i podszedłem do okna w bibliotece. Patrzyłem na śnieg, piłem i znowu obserwowałem śnieg. Przypomniałem sobie o kulce papieru leżącej na macie. Carole Adamson napisała na niej coś dla Gillespiego, więc podniosłem zmiętą kartkę i przeczytałem słowa: „On kłamie! Kłamie! „. Nic dziwnego, Chryste Panie. Nic dziwnego.

Rosin miała pod jednym względem szczęście – umarła szybko.

Usłyszałem później, że sam Brendan Flynn prosił o łaskę. Twierdził, że Roisin nie miała ani czasu, ani możliwości zdradzić Palestyńczyków; zdradziła tylko Irlandczyków, dlatego też to oni mieli prawo wybrać sposób uśmiercenia jej i Flynn zażyczył sobie, aby to się stało szybko. Zawsze się zastanawiałem, czy poprosił o to dlatego, że sam też był jednym z jej kochanków. Roisin zaprowadzono pod suche zbocze poza obozem i tam ją zastrzelono. Dostała jedną kulkę w głowę. Jej krew trysnęła fontanną na

tle białego od upału nieba i spadła na żółte siarkowe skały. Pamiętam wyraz oburzenia i sprzeciwu na jej twarzy, malujący się w chwili śmierci. Jej skóra była bardzo czerwona, poparzona przez ostre słońce. Miała bardzo jasną karnację, którą łatwo można było poparzyć.

Dostałem rozkaz pochowania jej na wzgórzu, przy którym zginęła. Niemiec, niejaki Axel Springer, zaproponował, że ze mną zostanie, aczkolwiek bynajmniej mi nie pomagał, gdy kopałem szpadlem płytki grób. Zamiast tego gadał. Opowiadał, że studiuje w Heidelbergu teologię, ale jego prawdziwą religią jest Frakcja Czerwonej Armii. Zastanawiałem się, dlaczego zgłosił się na ochotnika, żeby mi pomóc i zacząłem co nieco pojmować dopiero wtedy, gdy nie pozwolił mi wtoczyć ciała Roisin do wydłubanego w kamieniu grobu.

– Chcę na nią popatrzeć – oznajmił swoim angielskim z ciężkim akcentem. – Była taka śliczna.

– Była piękna – poprawiłem go.

Roisin nigdy nie była śliczna. Była na to zbyt gwałtowna, zbyt zgorzała i za bardzo gardziła słabością, aby można było ją tak nazwać.

– Chodzi o seks – rzucił Axel.

– Nie rozumiem.

– To przez to takie dziewczyny zajmują się terroryzmem.

– Żartujesz chyba.

– Nigdy nie żartuję – odparł z całą powagą. – Amerykańskie feministki przeprowadziły badania na temat korelacji między erotyzmem i terroryzmem. Dostrzegają bezpośredni związek między pożądaniem i działalnością terrorystyczną. To się wiąże z mechanizmami rozluźniania się i zahamowań, tak w sytuacjach społecznych, jak w łóżku. Mogę ci podsunąć listę lektur na ten temat, jeśli chcesz. – Uśmiechnął się i podsunął mi paczkę papierosów. W owym czasie paliłem, więc wyjąłem papierosa z paczki, nachyliłem się do zapalniczki i z wdzięcznością wciągnąłem dający mi pocieszenie dym. – Naturalnie władze obozu – ciągnął Axel – dostrzegają ten związek z seksualnością. To dlatego zachęcają takie dziewczyny, jak ona, do przyjazdu. Nie są dobrymi uczennicami, ale przydają się do czegoś.

– Przydają się?

– Przecież to oczywiste! – Axel wydmuchnął kłęb dymu, który podryfował w głąb doliny. – Arabowie pragną białych dziewczyn. To jest ich ze-

msta za okres kolonializmu. Ta by im się nie spodobała. – Ruchem głowy wskazał Roisin.

– Dlaczego?

– Jest za chuda! Tylko spójrz! – Pochylił się i rozerwał jej cienką koszulę. – Widzisz? To same sutki! – Machnął rękaw kierunku jej piersi, które były bardzo białe i bardzo małe. – Sutki! – powtórzył, ale nie mógł odebrać od nich wzroku i wtedy właśnie pojąłem, dlaczego został, rzekomo aby mi pomóc przy chowaniu jej.

– Zakryj ją – rzuciłem. – Nie powinniśmy grzebać jej póżnagiej.

Axel spojrzał na mnie spod przymkniętych powiek.

– Jak masz na imię?

– Paul.

– Paul. Wydaje mi się, że masz jakieś amerykańskie, burżuazyjne zahamowania. Nie powinieneś się nimi przejmować. To niezdrowe.

– Kazałem ci ją zakryć! – warknąłem.

– Dobra! Dobra!

Lecz zamiast przykryć jej ciało rozerwaną koszulą pieścił jej drobne piersi prawą dłonią. W tym momencie uderzyłem go krawędzią szpadla. Walnąłem tak mocno, że stal weszła w czaszkę na głębokość siedmiu centymetrów, ale cios nie zabił go od razu. Wydawał dziwne odgłosy, częściowo z bólu, a częściowo na znak protestu, gdy ścigałem go z ciała Roisin. Żył przez cały ten czas, jakiego potrzebowałem, żeby ją pochować i przykryć jej płytki grób stertą kamieni, żeby zwierzęta nie dobrały się do niej. Axel nie mógł mówić, lecz jego oczy obserwowały mnie. Wydawał dziwne jęki, gdy mu powiedziałem, że trafi do piekła i że przez resztę wieczności będzie znosił niewyobrażalne katusze.

Wreszcie umarł, ale go nie pogrzebałem. Zostawiłem go na pastwę skrzydlatych stworzeń, które krzyczały w nocy. Potem zaniósłem zakrwawiony szpadel do obozu, gdzie się przyznałem do swojego uczynku, ale Axelem nikt się tam nie przejmował, bo przecież śmierć to było w Hasbaya *credo*.

Za oknem padał śnieg i nadchodziła noc.

Wojna w Zatoce Perskiej była w toku, ale nadal nie było śladu odwetu w Ameryce. Żadne samoloty nie spadały z nieba, bomby nie rozrywały centrów miast.

Wyglądało na to, że moja historia o tym, że Saddam Husajn urządzi terrorystyczny odwet na Ameryce, była tylko fantazją. Gillespie wciąż wypytywał mnie o Kubańczyków z Miami oraz o półtora miliona dolarów, ale czułem, że nie wierzył w żadne moje słowo.

Mijały dni przykryte pierzyną śniegu. Przewracałem kartki w albumach ze zdjęciami i przywoływałem wspomnienia spotkań sprzed lat. Dni zaczęły mieć nudny rytm. Przy śniadaniu oglądałem w telewizji poranny serwis informacyjny, zawsze oczekując wieści o tym, jak wojska lądowe sił sprzymierzonych zaatakowały iracką armię, ale trwała wojna z powietrza. Pewnego ranka zobaczyłem kongresmana O'Shaughnessy'ego wyrażającego obawę, że kampania lądowa będzie nas kosztowała tysiące ofiar wśród żołnierzy. Lepiej będzie, twierdził Tommy Balas, jeżeli damy sobie jeszcze kilka miesięcy na bombardowania.

Miałem już wyłączyć telewizor, gdy powiedziano o zamachu bombowym w Londynie. Provisional IRA zaparkowała furgonetkę bez dachu przy Whitehall. W aucie była ukryta bateria moździerzy, z których wystrzelono bomby w kierunku Downing Street. Nowy premier i jego gabinet ledwie uszli z tego cało. Zdjęcia ukazywały spaloną furgonetkę porzuconą w ulewnym deszczu. Później tego samego ranka Gillespie, zgodnie z moimi oczekiwaniami, przepytiał mnie na okazję tego ataku, ale mogłem wyrazić tylko silne podejrzenie, że tę spektakularną akcję zaplanowano przeciwko Margaret Thatcher, której IRA nie znosiła, natomiast opóźniono ją, aby mogła być częścią irackiej zemsty o światowym zasięgu. To opóźnienie mogło oznaczać dla IRA stratę okazji do zabicia Thatcher, natomiast bez wątpienia uradowało pułkownika Kadafiego i Saddama Husajna.

W Londynie wybuchły jeszcze dwie bomby. Były to losowe akcje na stacjach kolejowych. Zginął jeden z pasażerów. Bomby zostawiono w koszach na śmieci i wybuchły w godzinach szczytu. To były prymitywne ataki, znacznie odbiegające od wyrafinowanej akcji przy Downing Street i podsunąłem Gillespiemu, że Provisional IRA uciekała się do takich prostych rozwiązań z chęci przekonania Saddama Husajna, że faktycznie z nim współpracuje. Żaden z tych ataków nie przybliżył zjednoczenia Irlandii nawet o jeden dzień, natomiast bez wątpienia utrzymał pozycję IRA w oczach najhojniejszego jej sponsora – Libii.

W ciągu kolejnych dni po atakach IRA, zapewne w reakcji na pytania płynące z Londynu, Gillespie intensywnie mnie wypytywał o moją znajomość czynnych jednostek IRA, ale nie wiedziałem nic, co mogłoby mu pomóc. Jedynymi ludźmi z dowództwa IRA, których znałem, byli Brendan Flynn i Seamus Geoghegan.

Reszta albo już nie żyła, albo nigdy ich nie poznałem.

Gillespie myślał, że ich kryję, ale się mylił. Ukrywałem złote monety, nie ludzi.

Wiedziałem, że moje przesłuchanie zbliża się do końca i gdy Gillespie zapytał mnie o przyszłość, zaproponował mi możliwość skorzystania z Federalnego Programu Ochrony Świadków.

– Damy panu nowe nazwisko, nowy numer ubezpieczenia społecznego, nową pracę i dom oddalony od pańskich dawnych rejonów.

– Zostanę woźnym w szkole w Północnej Dakocie?

Nie, dziękuję. Wracam na swój przyładek.

Zmarszczył brwi.

– Czy to rozsądne?

– Pewnie nie, ale to mój dom.

Nadal wydawał się strapiony.

– Narobił pan sobie wrogów. Oni będą wiedzieli, gdzie pana znaleźć.

– Nie chcę się ukrywać.

Uśmiechnął się lekko.

– Musi pan ryzykować, co? Nie potrafi pan znieść myśli o zwykłym, nudnym życiu?

– Po prostu lubię Cape Cod, to wszystko.

– Niech tak będzie – przystał na to niechętnie.

Następnego wieczoru przybył wreszcie Simon van Stryker, żeby mi udzielić swojego błogosławieństwa.

Nie uprzedzono mnie, że przyjedzie, aczkolwiek po Gillespiem było widać, że przez cały dzień na coś czeka i gdy zebraliśmy się w bibliotece przed kolacją, zauważyłem tacę z kubelkiem z lodem, kryształowe kieliszki, staromodny syfon na wodę sodową, dwa rodzaje szkockiej i pół butelki sherry.

– Będziemy coś świętować? – zapytałem.

– W pewnym sensie – odparł Gillespie i odwrócił się w stronę okna, gdy przez podwójne szyby usłyszeliśmy warkot śmigłowca.

Ostry promień światła omiółł ciemniejący śnieg i przygasł, gdy śmigłowiec opuszczał się, wzniecając wokół siebie mgłę z roztańczonych białych kryształków. Wreszcie w tej połyskliwej chmurze ujrzeliśmy maszynę, która usiadła na pokrytym śniegiem trawniku.

Reflektory lądowania zgasły. Nie odzywaliśmy się.

Drewno w kominku płonęło, sypiąc iskry. Carole Adamson zmarszczyła brwi nad swoją sherry, a Gillespie dyskretnie przyglądał włosy. Chwilę później ciężkie drzwi wejściowe otworzyły się na oścież i z holu słychać było przyciszone głosy.

– To on – oświadczył Gillespie całkiem niepotrzebnie.

– Kto? – zapytałem.

Drzwi biblioteki otworzyły się i stanął w nich wysoki, uśmiechnięty mężczyzna w nienagannym stroju wieczorowym; nagle trudno było sobie wyobrazić Simona van Strykera ubranego inaczej. Włosy miał bardziej posiwiałe niż pamiętałem i domyśliłem się, że już był po sześćdziesiątce, ale wyglądał zdrowo, miał ożywioną twarz i nadal smukłą sylwetkę. Przeszedł przez pokój.

– Paul Shanahan! Dotrzymałeś słowa! Świetna robota! – Podał mi rękę, którą uścisnąłem niezdarnie.

Van Stryker przywitał się z Carole Adamson.

– Nie miałem okazji pogratulować pani artykułu w „New England Journal of Medicine”. Mam dwie kwestie do przedyskutowania w związku z nim, ale to chyba może poczekać. Peter! – podał rękę Gillespiemu. – To zadanie zajęło ci mnóstwo czasu, ale dobrze się spisałeś.

Uśmiechał się do nas, wypełniając pomieszczenie wibracją przenikliwej inteligencji. Wysunął ręce nad ogień, wzdrygnął się i zgodził się napić whisky.

– Tylko odrobinę, Peter. Czeka mnie jeszcze wieczorem dość sztywna kolacja w Białym Domu. Spóźnię się, ale to będzie lepsze, niż nie pokazać się w ogóle. – Stał przed kominkiem i rozglądał się po wysokiej bibliotece z rzędami lektury nie do zmożenia. – W tym pokoju swoje historie opowiadali nam niezwykli ludzie, Paul. Lubię sobie wyobrazać, że jest to swego rodzaju konfesjonał Ameryki.

– Czy dostanę rozgrzeszenie?

Van Stryker wybuchnął śmiechem i podziękował za whisky, którą podał mu Gillespie. Wziął łyk i odstawił szklankę na półkę nad kominem; domyśliłem się, że już jej nie tknie.

– Napij się czegoś. – Wskazał na trunki.

Za oknem cały czas burczał silnik śmigłowca. Van Stryker najwyraźniej nie zamierzał być tu długo, ale było mi miło, że zdobył się na wysiłek, aby przyjechać do tej dość osobliwej rezydencji pośród przysypanych śniegiem gór. Miałem prawo go zobaczyć. Był moim mentorem przez czternaście lat.

– Co się stało z tymi stingerami, Shanahan? – zapytał.

– Nie wiem.

– Może nigdy nie istniały?

Wzruszyłem ramionami.

– Może. Ale jedną z wyrzutni sam trzymałem w rękach.

Spojrzał na mnie swoimi wyblakłymi, mądrymi oczami.

– Powiedziałaś nam wszystko?

– Co najmniej trzy razy.

– To dobrze, Paul – odparł i zmarszczył brwi, wpatrując się w matę z włókna kokosowego. – Jeżeli tych stingerów nie było, Shanahan, albo był tylko jeden, dlaczego wysłali cię do Miami?

– Nie wiem.

– Wiemy, że tam byłeś. Znaleźliśmy twoje ślady w komputerze na lotnisku. – Wciąż wpatrywał się w podłogę. – A więc, po co? – zapytał cicho.

– Może ta operacja nie wypaliła? – podsunąłem; nie dodałem, że mogła się nie powieść, bo jakiś bystry drań zwinął kasę. – Tak jest w przypadku większości działań – dodałem zamiast tego.

Van Stryker przeniósł wzrok na mnie i wiedziałem, że się zastanawiał, czy to przypadkiem nie ja byłem taką nieudaną operacją.

– Co się stało z resztą zemsty Saddama Husajna? – spytał. – Też nic z tego nie wyszło?

– Może.

– Zadziałała tylko Provisional IRA – zauważył z goryczą. – Spośród wszystkich sprzymierzeńców Saddama Husajna tylko oni rozlali krew.

Zginał jeden cywil na londyńskiej stacji metra Victoria. Czy to jest najlepsze, na co stać il Hayaweena?

Wszyscy zdawali się czekać na moją odpowiedź.

Wzruszyłem ramionami.

– Il Hayaween powiedział mi, że Syryjczycy i Irańczycy nie popierali kampanii terrorystycznej Iraku – odparłem, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Rzeczywiście – van Stryker potwierdził niecierpliwie. – Ale tylko jedna ofiara śmiertelna? I to miałyby być wszystko, na co stać Saddama Husajna?

– Niemal im się udało zabić brytyjskiego premiera – rzuciłem.

Van Stryker pokręcił głową.

– Z naszej analizy wynika, że Provisional IRA planowała ten atak od wielu miesięcy. Opóźnili go, żeby zadowolić swoich arabskich panów. Nie! Musi być coś jeszcze! – Był najwyraźniej zły. – Czy naprawdę powiedziałeś nam wszystko, Paul?

– Oczywiście.

Wyrażenie tego kłamstwa wywołało we mnie poczucie winy, które złagodziłem, tłumacząc sobie, że zataiłem wyłącznie cenę pocisków i metodę, w jaką Libijczycy próbowali za nie zapłacić. Złoto było moje.

Niemniej nadal czułem się winny, ale był to wpływ obecności van Strykera. Ten człowiek budził u innych lojalność. Upewniłem sam siebie, że złoto było równie nieszkodliwe, jak czek czy przelew bankowy. Istotne było to, za co to złoto było zapłata.

– Może – podsunąłem – Kubańczycy próbowali złupić IRA?

– Dość niebezpieczna gra – odpowiedział van Stryker, śmiejąc się ponuro.

– Nie, jeżeli jest się dość daleko. Nigdy dotąd nie przeprowadzili tu żadnej akcji.

– I lepiej, żeby tego nie robili! – oświadczył, zerknął na zegarek i spojrział na Gillespiego. – Jak oceniasz Shanahana, Peterze?

– Jego informacje okazały się dość pomocne – odparł Gillespie, aczkolwiek bez entuzjazmu. – Mam wrażenie, że nie powiedział nam wszystkiego, co wie o IRA, ale nie był to nasz nadrzędny cel. Nie rozwiązaliśmy zagadki stingerów i być może nie rozwiążemy, ale to, co powiedział o grupach palestyńskich i Libii okazało się dość cenne.

– Czy chodzi o to, że Izraelczycy są z nas zadowoleni? – Van Stryker patrzył na mnie, ale nadal zwracał się do Gillespiego. – Uważasz, że życie pana Shanahana nie zostało zmarnowane?

– Ani trochę – przyznał zdecydowanie Gillespie.

– Doktor Adamson. Jak pani ocenia Paula Francisa Shanahana?

– Nie jestem pewna, czy mogę wydać opinię. Nie pozwolił nam na to, abyśmy go przejrzeni. Chronił się, ponieważ jest niezadowolony z tego przesłuchania i dlatego traktował je w kategoriach rywalizacji.

– Kto wygrał? – lekkim tonem zapytał van Stryker.

– Straciłam bramkę – Carole Adamson przestała nagle być matczyną i ciepłą, a stała się surowa. – Ukrył swoje prawdziwe ja za maską nonszalancką.

– To znaczy, że potrafi oszukiwać? – Van Stryker nadal był spokojny.
– Czy nie z tego powodu go wybraliśmy?

– Tylko kogo oszukuje? Według mnie za tą oślizgłą maską ukrywa nie tylko swoją osobowość. Wszystko, o czym pan Shanahan myśli, że leży w jego najlepszym interesie, będzie przed nami skrywał.

– Paul? – Zaciekawiony van Stryker odwrócił się w moją stronę.

– Niczego nie ukryłem – odpowiedziałem z cudownie sfalszowaną niewinnością.

– Wjechałeś do Ameryki na fałszywych dokumentach, prawda? – zadając to pytanie van Stryker nie wydawał się zaniepokojony.

– W imię starych czasów – rzuciłem wesoło. – Już nigdy więcej tego nie zrobię. Obiecuję.

Carole Adamson spojrzała na mnie obojętnie.

– Nie przejmowałabym się jego papierami. Zadałabym mu kilka trudnych pytań na temat panny Roisin Donovan. To mogłoby uchylić rąbek tej maski.

Van Stryker wyciągnął dłonie w stronę ognia.

– Wiemy, że kłamałeś na jej temat, Paul. Mieszkała z tobą w Belfaście, a mimo to twierdzisz, że jej nie znałeś?

– Nie mam prawa do odrobiny prywatności?

– Nie w konfesjonale Ameryki. – Uśmiechnął się, zerknął na mnie i przeniósł spojrzenie z powrotem na ogień. – Byliście kochankami?

– Tak.

– Miała wielu innych kochanków. Wiedziałaś o tym?

Byłem ciekaw, jak dużo wiedzieli o Roisin, ale nie chciałem pytać. Nie chciałem o niej rozmawiać.

– Wiem, że miała innych kochanków – przyznałem niechętnie.

– To cię boli?

Nie zamierzałem odpowiadać na to pytanie ani na żadne inne z tego rodzaju. Wysłali mnie w mrok po informacje, a nie po surowy materiał pod psychoanalizę. Nie odezwałem się. Van Stryker nadal grzał ręce nad ogniem.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział beztrąsko na własne pytanie. – Ona nie żyje, a ty jesteś z nami.

Zawsze spadasz na cztery łapy, Paul. Jesteś draniem i łotrem, ale udaje ci się przeżyć. – Uśmiechnął się.

– Przyjechałem tu, by ci podziękować.

– Podziękować?

Jego łagodna uprzejmość zaskoczyła mnie.

– Jesteś moją pierwszą marionetką bez sznurków, która wróciła do domu. Przywiozłeś informacje i dziękuję ci za nie. Jesteśmy ci winni pieniądze.

– Podniósł rękę, aby uciszyć mój okrzyk zdumienia. – Wiem, że mówiliśmy, że nie będziemy ci płacili i oficjalnie nie jesteśmy ci nic winni, ale zadbam o to, żeby agencja wygospodarowała jakieś fundusze. W dowód wdzięczności. To trochę potrwa, może nawet kilka miesięcy. Naturalnie, możemy mieć do ciebie więcej pytań. W rzeczy samej, jestem pewien, że będziemy mieli. Pytania to jedyna rzecz, która nigdy się nie kończy. Peter wie, gdzie cię znaleźć? Tak?

– Wracam na przylądek – oznajmiłem zdecydowanie.

– Zazdroszczę ci. Mamy z Nancy letni dom nad cieśniną Vineyard, ale nasze pobyty tam zawsze są za krótkie. W życiu tak dużo się dzieje. Trochę też żeglujemy, jak tylko się da.

– Macie własną łódź? – zapytałem.

– Nautor Swan – odpowiedział swobodnie. – Ma osiemnaście i pół metra i zwie się „Nancy”. Trzymamy ją w Edgartown. Teraz, naturalnie, jest wyciągnięta z wody i stoi na naszym podwórku.

Pomyślałem sobie, że to musiał być jacht marki Nautor Swan, Nancy niewątpliwie była piękna, ich dzieci były ludźmi sukcesu, a letni dom na Martha's Vineyard był rezydencją nad wodą. To była dorszowa arystokracja.

Van Stryker wyjął wizytówkę z kieszeni na piersi.

– Jeżeli wyciągniesz coś ze swojej podświadomości, czym będziesz się chciał podzielić, zawsze się ze mną skontaktujesz pod tym numerem. – Podał mi wizytówkę. – Dziękuję ci, Paul, za to, że tak ryzykowałeś.

Wziąłem wizytówkę. Czułem się niezręcznie, bo przecież nakłamałem. To nie były ważne kłamstwa, ale i tak uważałem, że nie zasługiwałem na hojność van Strykera i jego podziękowanie. Potem powiedziałem sobie, że jak najbardziej zasługiwałem. Byłem w końcu biednym draniem, który zapuścił się w dolinę Beki i w boczne uliczki Trypolis. Byłem bohaterem i zasługiwałem na podziękowania, fanfary i brzuch łajby wypełniony złotem. Zasługiwałem na to wszystko.

– Naprawdę już muszę lecieć!

Van Stryker posłał Gillespiemu i Adamson uprzejmy uśmiech na pożegnanie, uścisnął mi po raz kolejny dłoń i wyszedł. Gillespie odetchnął z ulgą. Za oknem reflektory śmigłowca oślepiały nas, gdy maszyna pomknęła z łoskotem w ciemność.

Pozwolili mi wyjechać następnego ranka. Gillespie dał mi pięć tysięcy dolarów gotówką i bilet lotniczy do Bostonu. Była niedziela i gdzieś z doliny dochodził dźwięk kościelnego dzwonu bijącego jakby na alarm.

Był zimny, spokojny poranek. Świeża warstwa śniegu lśniła w zimowym słońcu. Narzuciłem swój żółty sztormiak i wyszedłem na jasny, nowy dzień. Znowu byłem wolnym człowiekiem. I wracałem do domu.

Wiedziałem, jak bardzo Michael Herlihy będzie chciał poznać prawdę o zaginionym złocie; będzie tego pragnął tak bardzo, że gotów wydobyć ją ze mnie siłą.

Był jednak z zawodu prawnikiem i to ostrożnym, toteż nigdy w życiu nie zrobił czegokolwiek bez większego namysłu i odpowiednich środków ostrożności, uznałem zatem, że jeśli pojawię się w Bostonie niezapowiedziany i go zaskoczę, będę miał szansę zniknąć, zanim będzie mógł zareagować. Może się nawet nie zorientuje, że byłem w Massachusetts.

Równocześnie zdawałem sobie sprawę, że nie będę mógł w nieskończoność unikać konfrontacji z Michaeliem, bo jeśli mam spędzić resztę życia na Cape Cod i marnować każdy dzień na krążenie po wodach wokół przylądka, to będę musiał albo pognębić Michaela i jego pacholków, albo ich przekupić. Trzeba też postarać się o to, aby pozbyć się Sary Sing Tenyson ze swojego domu, a to oznaczało, że będę musiał wyrwać ogon z dupska tej napuszonej małpy, która ożeniła się z moją siostrą.

Napuszoną małpą był Patrick McPhee, człowiek o wybuchowym temperamencie, z wielkim brzuszyskiem i gębą jak łopata. Był przy tym pijakiem, nieudacznikiem, tyranem i chamem. Swego czasu wszyscy przestrzegali Maureen przed poślubieniem go, ale moja siostra widziała w nim tylko wysokiego, przystojnego, młodego baseballistę, który opowiadał z dumą o swojej świetlanej przyszłości w ważnej lidze.

Maureen najpierw upierała się przy ślubie, a potem sprawiła, że stał się wręcz nieunikniony, bo zaszła w ciążę. Ojciec się na nią wściekł, dał jej jednak hojny posag i poprowadził do ołtarza w kościele św. Odkupiciela. Maureen miała na sobie obszywaną koronką, cudowną białą suknię, a już po kilku dniach pierwsze siniaki, które wymownie świadczyły o jej problemach.

„Uderzyłam się o drzwi, gdy wносиłam zakupy”, powiedziała naszej matce. Miesiąc później potknęła się o krawężnik, potem przewróciła się, wysiadając z autobusu i tak na okrągło.

Patrick cały czas grał w niższej lidze i tam poległ.

Jego ramię, którym z taką wprawą fundował Maureen siniaki, było tak naprawdę sflaczałe jak ciasto. Wrócił do domu w Bostonie, gdzie pił, tył i żył dawną chwałą z pieniędzy Maureen.

Posag dawno już został wydany, a widocznym rezultatem miłości Maureen był walący się dom i pięciu ponurych synalków, którzy, Boże dopomóż im, wdali się w ojca. Chryste, myślałem, gdy taksówka wiozła mnie zimowymi, zlanymi deszczem ulicami, ależ my jesteśmy pochrzanioną rodziną.

Drzwi otworzyła mi Maureen. Przez chwilę tylko mi się przyglądała.

– Mój mały braciszek – powiedziała wreszcie.

Przytyła. Obok prawego oka miała siniaka sugerującego, że nie zdążyła uniknąć ciosu. – Czy mogę wejść?

– Przyjechałeś z tak daleka, czemu więc nie miałbyś zrobić ostatniego kroku? – Otworzyła drzwi z siatką i odsunęła się, żebym mógł wejść do kuchni. – Pamiętasz Terence’a?

Terence był jej najmłodszym dzieckiem i miał teraz dwanaście lub trzynaście lat. Siedział przy stole w kuchni i napychał sobie gębę galaretką z masłem orzechowym. Koszulka z napisem „Pustynna Burza” opinała mu się na brzuchu.

– Przywitaj się z wujkiem Paulem – pouczyła go matka, ale dzieciak miał wypchane usta i nie był w stanie wybełkotać ani słowa.

Podniósł rękę ospale w geście pozdrowienia. W rogu kuchni stał włączony telewizor. Drugi, ustawiony na inny program, ryczał równie głośno w dużym pokoju obok.

Terence zsunął się z krzesła i otworzył drzwi lodówki. Gapił się speszony w jej dobrze zaopatrzone wnętrze, aż wreszcie stwierdził:

– Nie ma lemoniady.

– Kupię, kochanie – zapewniła Maureen.

– Dlaczego sam po nią nie pójdziesz? – zapytałem Terence’a spokojnym głosem.

– Daj mu spokój! – zainterweniowała Maureen, najwyraźniej mająca praktykę w bronienu dzieci przed złością dorosłych mężczyzn. – Idź na górę, synku. I weź coś do przegryzienia.

– Gdzie pozostałe urocze smyki? – spytałem, gdy Terence wytoczył się z pokoju, a Maureen wyłączyła obydwa telewizory.

– Pewnie u Roscoe grają w bilard. Jego lordowska mość jest w Parafii, rzecz jasna, bo gdzieżby indziej? – Maureen usiadła przy stole i zapaliła papierosa. Pety wysypywały się z popielniczki, a palce mojej siostry były żółte. Przyglądała mi się bacznie przez chwilę. – Dobrze wyglądasz. Gdzieś ty się, na Boga, podziewał?

– Przez te siedem lat? – Rzuciłem worek marynarski obok drzwi i nałamałem sobie do szklanki wody z kranu. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia.

– Głównie w Belgii. Bywałem też to tu, to tam. Przyjechałem do Patrycka.

– Chodzi o tę dziewczynę?

Potaknąłem.

– O Sarę Sing Tennyson.

Wzruszyła ramionami.

– Mówiłam jaśnie panu, żeby nie wynajmował jej domu, ale cienko przedliśmy w ostatnich latach.

Zresztą, kiedy nie? Chcesz papierosa?

– Rzuciłem.

– To dobrze. Też próbowałam i przytyłam ponad trzynaście kilo, więc zaczęłam znowu palić. Te trzynaście kilo zostało. Masz kłopoty?

– Nie.

– Wali nimi, jak dymem z ogniska. Wiesz, że o ciebie pytali?

– Kto?

– Herlihy i jego kumple. Są na ciebie wściekli, Paul.

Powiesz mi, dlaczego?

– Nie.

– Po co ja w ogóle pytam?

Podniosła się, przeszła przez pokój i sięgnęła do wysokiej szafki po jedną piątą butelki dzinu i tyle samo whisky Jameson. Zauważyłem, jaka się zrobiła gruba w talii i kostkach. Mój Boże, miała dopiero czterdzieści dwa lub trzy lata, a wyglądała o dwadzieścia lat starzej.

Wyjątkiem były jej włosy, gęste i błyszczące jak zawsze.

– Nalej sobie. – Usiadła i pchnęła whisky w moją stronę.

– Patrick będzie się musiał pozbyć tej Tennyson – oznajmiłem.

Maureen wybuchnęła śmiechem.

– Akurat! Przecież go znasz. Boi się każdej kobiety z wyjątkiem własnej żony. Powie ci, że z nią pogada, ale tego nie robi.

– Ile od niej bierze?

– Pięćset miesięcznie, a i tak korzysta z domu, gdy jej tam nie ma. Bóg jeden wie, dlaczego ona mu na to pozwala.

– Pięćset dolarów?

Byłem zdumiony. Dom był wart pięćset dolarów miesięcznie. Latem mógłbym go wynajmować za pięćset dolarów tygodniowo, niemniej Sara

Sing Tennyson chyba zwariowała, skoro płaciła tyle za możliwość korzystania z domu od czasu do czasu.

– Bynajmniej nie widzę tych pieniędzy – dodała Maureen posepnie. – Jego eminencja zgarnia wszystko dla siebie.

– Pracuje?

– Nic godnego uwagi. Robi to i owo.

Wzruszyła ramionami i zrozumiałem, że nic się nie zmieniło. Patrick był przez jakiś czas alfonsem, potem pracował w Roxbury jako siłacz dla kolesia egzekwującego długi, ale przez większość czasu żył z tego niewielkiego dochodu, jaki generowała spuścizna Maureen i z pieniędzy, jakie czerpał z nielegalnego wynajęcia mojego domu.

Nalałem sobie porządną porcję whisky szwagra i uśmiechnąłem się na widok wydrukowanego na etykiecie ostrzeżenia o zagrożeniu dla zdrowia.

– Kiedy zaczęli umieszczać to gówno na butelkach?

– Mniej więcej w tym samym czasie, co przestały działać telefony. – Posłała mi cień uśmiechu; przez ułamek sekundy zobaczyłem dawną Maureen. – Długo cię nie było, Paul. Nawet mówisz jak obcokrajowiec.

– Wróciłem.

– Do Bostonu?

– Na Cape Cod. Kiedy tam byłaś ostatnio?

– Pewnie ze cztery lata temu. Jego ekscelencja nie pochwała tego, że bym tam jeździła. Zabiera tam swoich kumpli z Parafii, gdy nie ma dziewczyny, ale nie mnie.

Zaciągnęła się papierosem. Dałem Maureen klucze od domu, żeby mogła tam sobie znikać, ale nigdy nie było moją intencją, żeby mój dom stał się bawialnią Patricka.

– Co on tam robi?

Wzruszyła ramionami.

– Udają ważnych gości. Trwonią kasę na grze w karty, piją piwo, a jesienią strzelają do kaczek.

– To się skończy – oświadczyłem. – Wprowadzam się tam. Widziałaś się może niedawno z Johnnym Riordanem?

Pokręciła głową.

– Od trzech lat nie. Gdy był tu ostatnio, Patrick się z nim prawie po-
bił. Nie doszło do rękoczynów, ale nieźle się na siebie darli. Johnny nie
odwiedza nas od tej pory.

– O co się pokłócili?

Maureen westchnęła.

– O to, co zawsze. Patrick wrócił właśnie z Irlandii, więc nalatywał na
Brytoli – wyjaśniła mimo wszystko.

– Mówił, że są gorsi od nazistów. Johnny nie potraktował go poważ-
nie.

– Patrick pojechał do Irlandii? – nie mogłem ukryć zdumienia.

– Podróż zorganizowali Przyjaciele Wolnej Irlandii. Pojechali wtedy oj-
ciec Shea ze św. Odkupiciela, Michael Herlihy i jakiś młody koleś z biura
kongresmana. Patrick puchł z dumy po powrocie. Był gotów walczyć z An-
glią w pojedynkę. Jest wielkim człowiekiem, bardzo zajęтым. Planuje woj-
nę z Anglią, gdy nie żłopie whisky albo nie trwoni forsy na wyścigach. –
Odpaliła kolejnego papierosa od poprzedniego. – Naprawdę wprowadzisz
się do domu?

– Tak.

– Razem z workiem kłopotów. – Przez kilka sekund milczała i dym z
jej papierosa unosił się gładką smugą, która nagle zawirowała chaotycznie
kilka centymetrów nad jej głową. – Chodzi o kobietę?

Zaprzeczyłem.

– Rozstałem się z dziewczyną. Uznała, że nigdy nie będę bogaty, więc
odeszła do Francuza.

– Mądrze zrobiła. A co się stało z tą, w której się durzyłeś w Irlandii?

– Zginęła.

– Biedactwo. – Zakreśliła ręką znak krzyża. – Bądź ostrożny, Paul.

– Zawsze jestem.

Skrzywiła się.

– Znowu narkotyki?

– Dawno z tym skończyłem.

– Cieszę się. To okrutna branża. Co zamierzasz porabiać?

– Nie wiem. Może kupię łódź rybacką. I będę łowił tuńczyki. Słyszałem, że japońscy nabywcy czekają przy nabrzeżu przylądka, żeby kupić świeże ryby. Płacą gotówką, dziesięć lub nawet piętnaście dolarów za pół kilo. Nie zadają pytań. Mógłbym nieźle zarabiać na łowieniu tuńczyków.

– No jasne, że mógłbyś.

Maureen dobrze знаła marzenia, które nigdy się nie spełniają. Była chyba ekspertem w tej dziedzinie.

Sięgnąłem po worek i podszedłem do drzwi.

– Mówisz, że Patrick jest w Parafii?

– Przez cały dzień. Szkoda, że nie spędza tam też nocy.

Wstała, podeszła do mnie i objęła mnie. Nic nie powiedziała, ale czułem, że w środku płacze, nie wiedziałem tylko, czy nad straconym życiem, czy z powodu ulgi związanej z moim powrotem.

Odsunąłem się delikatnie i bardzo lekko dotknąłem otoczonego żółtą obwódką siniaka przy prawym oku.

– Patrick ci to zrobił?

– Nie. Uderzyła mnie Matka Teresa. A jak myślisz, kto to mógł zrobić?

Pocałowałem ją.

– Uważaj na siebie – powiedziałem.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem w drzwiach kuchni Terence'a, który gapił się na nas z otwartą gębą. Pewnie nigdy nie widział, aby ktoś okazywał jego matce czułość i był w szoku kulturowym. Pokazałem mu środkowy palec.

– To moja siostra, gnojku.

– Gdzie moje trampki, mamó?

– Poszukam ich, kochanie. – Odsunęła się ode mnie.

– Mówiłaś też, że kupisz lemoniadę. A te chipsy są stare.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i oddaliłem się szybko.

Tę salę zawsze nazywaliśmy „Parafią”, choć to nie była sala parafialna; należała do jednego z licznych bostońskich bractw, które z radością pozwalały, by ich ceglany budynek służył za kościół, klub towarzyski i miejsce spotkań, w którym wspólnota Irlandczyków mogła wyrzucać z sie-

bie radości, smutki i polityczne oburzenie. W czasie strajków głodowych, gdy ludzie z IRA umierali w Long Kesh, Parafia była sceną gorączkowych spotkań, tak jak na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, gdy wskutek wprowadzenia ustawy o desegregacji rasowej w szkołach Boston stał się polem walki i ludzie z naszej dzielnicy przysięgali, że ani jeden czarny dzieciak nie przestąpi progu lokalnej szkoły. Ta bitwa dawno była już przegrana, ale inne konflikty trwały, a dowodem na to były entuzjastyczne slogany wymalowane zielonymi literami na bocznych ścianach Parafii. „Brytyjczycy won z Irlandii” i „Wspierajcie Provisional IRA”, krzyczały hasła otoczone z dwóch stron malunkami przedstawiającymi trójkolorowe flagi, harfy i karabiny szturmowe.

Drugą namiętnością Parafii był sport, a konkretniej koszykówka i drużyna Celtów. To tu mężczyźni przychodzili oglądać transmisje z meczów wyświetlane na dużych ekranach. Gdy grali Celtowie, nawet polityka starej Irlandii schodziła na drugi plan.

Jednakże kiedy w niedzielę otworzyłem drzwi Parafii, na ekranie nie pokazywano meczu koszykarskiego.

Tłumek oglądał serwis informacyjny. Wreszcie zaczęła się kampania lądowa w Zatoce Perskiej i na piaskach zachodniego Iraku rozgrywała się największa wojna Saddama Husajna.

– Skopimy im tyłki! – Jakiś mężczyzna, którego nigdy nie widziałem, powitał mnie żywo. – Skopimy im tyłki! Jak nic!

Przepchałem się do baru. Lokal był zatłoczony, głośny, wypełniony dymem i wonią piwa. Rozejrzałem się, ale nigdzie nie zobaczyłem Patricka, więc zawołałem Charliego Monaghana stojącego za barem. Charlie przerwał to, co robił, spojrzał na mnie, odwrócił wzrok, klepnął się w głowę, znowu na mnie spojrzał, uśmiechnął się szeroko i porzucił swoich klientów, żeby z wyciągniętą dłonią ruszyć w moją stronę.

– Matko Boska! Czy to ty, Paulie? – Przechylił się przez bar, żeby mnie objąć. – Myślałem, że to duch.

Naprawdę! Paulie, to ty, czy nie ty?

– To ja. Co u ciebie?

– Świetnie! Wszystko świetnie! Nie narzekam.

Słyszałeś wiadomości? Daliśmy niezły wycisk tym gnojom. Nie mówię o Iraku, tylko o koszykówce. Jak to uczcisz?

– Nalej mi guinnessa.

– Na koszt firmy, Paulie.

Resztę klientów oddał w ręce swoich pracowników, a sam przekazywał mi najważniejsze wiadomości: Larry Bird doszedł już do siebie po operacji pięty i skakał, jak to ujął Charlie Monaghan, jak jeleni na wiosnę.

– Gra jak bohater! Prawdziwy bohater! A w ubiegłym roku mówili, że już nigdy nie wejdzie na parkiet, skoro miał uraz nogi i trzydzieści trzy lata. Teraz inne drużyny muszą mu dawać dwóch kryjących. Wyobrażasz to sobie? Dwóch ludzi musi kryć Larry’ego Birda!

Jak za starych czasów, Paulie!

Charlie dorastał w Letterkenny, w hrabstwie Donegal, ale gdy się słuchało, jak mówił o Celtach, można było pomyśleć, że całe życie spędził w cieniu Boston Garden.

– Mówię ci, Paulie! – ciągnął. – Zostaniemy w tym roku mistrzami świata i to bez kłopotu!

Udało mi się zapanować nad jego słowotokiem na tyle długo, żeby zapytać, gdzie znajdzie Patricka.

– Patricka Ewinga? Teraz gra dla Knicksów, ale chyba o tym wiedziałeś.

– Nie tego. Chodzi mi o mojego szwagra.

– A! Padraiga? Tak się teraz nazywa. Zwykły Patrick to dla niego za mało. Albo Padraig, albo nic. – Charlie się zaśmiał i nic dziwnego, bo przecież posługiwanie się gaelicką formą swojego imienia było przejawem skrajnej pretensjonalności w przypadku takiego człowieka jak mój szwagier, który kiepsko władał własnym językiem, nie mówiąc już o języku irlandzkim. – Jest w małej salce – poinformował mnie Charlie.

– Ale jest zajęty, bardzo.

Salka znajdowała się na tyłach Parafii i załatwiano tam prywatne interesy.

– Czymże jest zajęty, na Boga?

Charlie otworzył nożem butelkę guinnessa, sięgnął po szklanke i pchnął ją przez bar. Następnie, z konspiracyjnym wyrazem twarzy, przytknął ubrudzone pianą ostrze noża do boku nosa.

– Jest u niego Tommy Balas.

– Kongresman? – Byłem zdumiony.

– A juści! Ten kretyn, który chciał dać Saddamowi Husajnowi cały rok na przygotowanie armii. Jest zbyt głupi, żeby odnieść sukces, ale za bogaty, żeby ponieść porażkę.

Swego czasu tak pogardliwie wyraził się o nim pewien dziennikarz z „Boston Globe” i od tej pory to stwierdzenie było z nim nierozzerwalnie związane, jak haczyk tkwiący w skrzelach dorsza. Jego obraźliwy przydomek został natomiast nieumyślnie ukuty przez samego Charliego, który mówił z uroczym, południowo-irlandzkim akcentem i każdy zlepek „th” wymawiał twardo jak „t”. Dlatego też kongresman Thomas O’Shaughnessy Trzeci został już na zawsze Tommym Balasem*. I Tommy Balas uczestniczył teraz w konferencji z moim szwagrem?

– Dobry Boże – powiedziałem.

Bez względu na to, do jakiego stopnia głupi był kongresman O’Shaughnessy i tak był o wiele za dobrym towarzystwem dla Patricka McPhee. Thomas O’Shaughnessy Trzeci był obrzydliwie bogatym Irlandczykiem, bostońskim arystokratą, którego rodzina należała do jednej z najbogatszych w Massachusetts.

Jego dziadek, Tommy O’Shaughnessy Senior, był imigrantem z hrabstwa Mayo, który zbił fortunę na produkcji cementu. Ojciec Tommy’ego co najmniej podwoił majątek rodzinny, ale bojąc się o sprawne funkcjonowanie firmy, gdyby jego syn przejął interesy, Tom O’Shaughnessy Junior wykupił Thomasowi Trzeciemu miejsce w Kongresie. Krążyły pogłoski, że zabezpieczenie jego stanowiska w okręgu wyborczym kosztowało rodzinę grubo ponad osiem milionów dolarów, ale przynajmniej udało się umieścić Tommy’ego Balasa tam, skąd nie mógłby bezpośrednio działać na szkodę prosperowania cementowego biznesu.

– Co też, na Boga, Tommy tu robi? – zapytałem Charliego.

– Knuje, oczywiście.

– Co takiego knuje?

Mój guinness był o wiele za zimny, ale to było coś, do czego będę się musiał znowu przyzwyczaić po powrocie do domu. Charlie przechylił się nad barem i ściszył głos.

– Znasz Seamusa Geoghegana?

– Oczywiście, że go znam. Jesteśmy starymi przyjaciółmi.

* Trzeci po angielsku: „third”, balas: „turd”; jeżeli słowo „third” wymówi się przez „t”, brzmi ono dokładnie tak, jak „turd” (przy-
p. tłum.)

– To wiesz, że jest w Bostonie? I że Brytole zabiegają o jego ekstradycję? Nie udało im się przy pierwszym podejściu, ale teraz próbują znowu w sądzie apelacyjnym. Potrzebujemy pieniędzy, żeby go bronić.

– My, to znaczy Przyjaciele Wolnej Irlandii? – domyśliłem się i przypomniałem sobie, że mój szwagier należał oficjalnie do tej grupy.

– Zgadza się, Paulie. Patrick jest w komisji Przyjaciół. Tak naprawdę kieruje nią Michael Herlihy, ale potrzebuje kogoś do prowadzenia rachunków i pilnowania porządku na liście członków. Patrick zgłosił się na ochotnika po wizycie w Irlandii. Słyszałeś o tym?

Jezu! Patrick wrócił z Belfastu tak nakręcony, że para szła mu z uszu. Dla Irlandii zrobi dzisiaj wszystko. – Charlie zachichotał i oparł łokcie na barze, gotów opowiedzieć dobrą historię. – We wrześniu wynajął nawet autobus i wywiózł nas wszystkich do Meadowlands w New Jersey. Dwie wojskowe orkiestry armii brytyjskiej występowały na Brendan Byrne Arena.

Patrick wpadł na genialny pomysł, żeby poprzebijać opony we wszystkich samochodach stojących na parkingu. Gdy dotarliśmy na miejsce, powiedział nam, że to akcja na rzecz wolnej Irlandii, ale gdy tylko pojawił się radiowóz, Pdraig popędził szybciej niż biegunka. – Zaśmiewał się Charlie. – Gdybyś posłuchał, jak on o tym opowiada, pomyślałbyś, że tego wieczoru wygrał bitwę za Ulster.

– A teraz prosi kongresmana O'Shaughnessy'ego o prawną pomoc dla Seamusa?

Charlie przytaknął i podniósł ostrzegawczo rękę, gdy zobaczył, że chcę odejść od baru.

– Mówił, żeby mu nie przeszkadzać.

– Do diabła z tym! Przecież jesteśmy rodziną, prawda? Myślisz, że nie chciałby mnie przywitać w domu? – Puściłem do Charliego oko, wziąłem swojego guinnessa i worek żeglarski, i ruszyłem w stronę salki.

W środku siedziało pięć osób. Dwóch ludzi nie znałem, ale pozostała trójka była mi dość dobrze znana.

Był tam Patrick we własnej osobie, Tommy Balas i ku mojemu zaskoczeniu, choć nie powinno mnie to wcale dziwić, bystry chłopak z Derry, Seamus Geoghegan.

– Kto do cholery... – zaczął się burzyć Patrick, gdy otworzyłem drzwi, ale wnet mnie rozpoznał i szczęka dosłownie opadła mu z wrażenia.

Rzuciłem worek koło drzwi.

– Patricku. Kongresmanie – przywitałem każdego z nich z osobna, a potem uśmiechnąłem się do Seamusa. – Cześć, stary draniu!

– Paulie! – Wstał, uśmiechał się szeroko i rozłożył ramiona. – Paulie!
– Obszedł stół i uściskał mnie energicznie.

– Uważaj na guinnessa, ty gorylu! – zaprotestowałem.

– Jesteś w groźnych opałach, wiesz o tym? – szepnął mi szybko do ucha, po czym odsunął się i mówił już głośniej. – Wyglądasz świetnie, naprawdę!

Wybornie!

– Nawzajem – odparłem i postawiłem na stole to, co zostało z mojego piwa. – Jak się miewasz, Patricku?

A może Padraigu?

– Mamy tu naradę – odezwał się pompatycznie.

– Nie pierdol – powiedziałem, naśladowując akcent z Belfastu. Tommy Balas wydawał się zmartwiony, ale był to typowy dla niego wyraz twarzy, ponieważ kongresman zawsze płynął przez życie, zanurzając w wodzie tylko jedno wiosło. – Pamięta mnie pan, kongresmanie? – spytałem go.

– Oczywiście – odpowiedział, ale nie użył mojego nazwiska, co sugerowało, że nie odróżniał mnie od Jerzego Waszyngtona. – Pozwolę sobie przedstawić Roberta Sticha – ciągnął z typową dla niego uprzejmością. Posługiwał się kurtuazją jako bronią przeciwko mądrości i to działało, ponieważ cieszył się, zwłaszcza wśród kobiet, reputacją uroczonego i dobrze wychowanego chłopca. – Robert jest jednym z moich pomocników – wyjaśnił.

Stich był przedstawicielem bostońskiej elity, młodym dorszowym arystokratą, który przywitał się ze mną oschle i mało przyjaźnie krótkim skinieniem głowy.

Wstrzymywał się z oceną mojej osoby do czasu, gdy będzie mógł stwierdzić, czy będę pomocny w jego sprawie, czy też mu przeszkodzę.

– A to jest mój prawnik, to znaczy, adwokat. – Seamus wskazał ruchem głowy mężczyznę w okularach, z burzą włosów i brodą, który wstał i podał mi rękę.

– Chuck Sterndale – prawnik przedstawił się z uśmiechem. – Miło mi poznać, kimkolwiek pan jest.

– Paul Shanahan – powiedziałem.

– Paulie był ze mną w Belfaście – Seamus oznajmił wszystkim wesoło. – Gdy po raz pierwszy uciekałem z Derry i te cholery wisiały mi przy dupie, Paulie zabrał mnie do swojego mieszkania. Świetnie się wtedy bawiliśmy, prawda?

– A tak. Mieliśmy niezły ubaw.

– W rzeczy samej.

– Jest pan Irlandczykiem, panie Shanahan? – zapytał Stitch ostrożnie.

– Z pochodzenia, ale urodziłem się niecałe półtora kilometra stąd. W przeciwieństwie do niektórych tu zebranych, mogę powiedzieć, że pojechałem do Ulsteru i zrobiłem coś dla sprawy. Wiem, że przecinanie opon w Meadowlands w New Jersey zapewnia nam wspaniałe postępy, ale to nie to samo, co pociągnięcie za cyngiel w Belfaście.

To ubodło Patricka, zgodnie z moim zamiarem.

– Co ty, kurwa, wiesz? – Miał usta pełne chipsów ziemniaczanych, które wpadły mu do szklanki z piwem, gdy do mnie ryknął. – Byłem w Belfaście trzy lata temu i walczyłem tam! Dostałem wpierdol od Brytoli!

Chcesz zobaczyć bliznę? – Podciągnął lewy rękaw, odsłaniając ledwie widoczną białą bliznę na tatuażu z napisem: „Erin Go Bragh”.

– Och, to straszne! – przedrzeźniałem go. – Co się stało, Patricku? Nie! Nie mów mi, że napadłeś na kolejną dziewczynę z Armii Zbawienia!

– Wal się!

Napchał sobie w usta kolejną garść chipsów, żeby mi pokazać, że nie ma mi nic więcej do powiedzenia. W popielniczce obok niego tlił się papieros. Tommy Balas podniósł rękę w pojednawczym geście.

– Mogę zaświadczyć prawdziwość historii pana McPhee. Pan Stitch towarzyszył mu owego dnia i potwierdzi, że spotkali się z niesprowokowaną brutalnością ze strony Brytyjczyków. To był niczym niesprowokowany akt.

– Co się stało, bidoku? – spytałem Patricka.

Patrick patrzył na mnie, jakby się zastanawiał, czy powinien zaspokoić moją ciekawość. Jego brak skromności przeważył.

– Byłem umówiony. Razem z panem Stitchem zostaliśmy zaproszeni na spotkanie z żołnierzami IRA. Z takimi bohaterami, jak Seamus. Chcieli skorzystać z okazji i podziękować nam za wsparcie. To są dobrzy ludzie.

Równe chłopaki. Powiedziano nam o opuszczonym domu w Ballymurphy. Pojechaliliśmy tam za dnia. Tylko ja i asystent kongresmana. Nie dasz wiary, co się stało!

– To był niczym niesprowokowany akt jawnej brutalności – wtrącił Tommy Balas poważnie.

Seamus puścił do mnie oko, a Robert Stitch, który wydawał się mniej dumny z całej tej historii, wbił wzrok w stół.

– Powiedz mi, co się stało – zachęciłem Patricka.

– Musiał być jakiś przeciek – oznajmił – bo nie czekaliśmy dłużej, jak pięć minut, kiedy brytyjski patrol wpadł do domu. Żołnierze IRA nawet nie mieli czasu do nas dołączyć. Brytole wiedzieli, że tam będziemy!

Zamknęli tylne wejście i zaatakowali od przodu. Zaatakowali! Czy to nie jest właściwe słowo, panie Stitch?

– Urządzili nalot – potwierdził ponuro Stitch.

– Nie pytali, kim jesteśmy – Patrick ciągnął z oburzeniem. – Po prostu zaatakowali!

– To był niczym niesprowokowany akt jawnej brutalności – zapewnił mnie Tommy Balas.

Stitch wyraźnie się skrzywił. Patrick skromnie pokręcił głową.

– Rzecz jasna opieraliśmy się. Broniliśmy się, nic więcej, ale mówię ci. Te dranie nie zapomną spotkania z Padraigiem Aloysiusem McPhee z Bostonu. Co to, to nie! Było ich jednak zbyt wielu.

– Czysta brutalność, niczym niesprowokowana – zwrócił się do mnie Tommy Balas, a Seamus wstrzymał oddech, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Co było potem? – spytałem. Miałem szeroko otwarte oczy, żeby zasugerować swoje zdumienie i troskę. – Zabrali was do Royal Victoria Hospital?

– Odmówiliśmy przyjęcia pomocy medycznej od wroga – odparł dumnie mój szwagier.

Stitch przyglądał się blatowi stołu jeszcze uważniej.

– Wróg na pewno was aresztował! – wykrzyknąłem. – Jezu drogi, Patricku, ależ spuściliście patrolowi brytyjskiemu niezły łomot! Dokąd was zabrali ci, którzy to przeżyli? Na posterunek policji w Castlereagh?

Do Silver City? Czy na komisariat przy Falls Road?

– Zrozumieli, że to pomyłka – oświadczył Patrick z wielką godnością.

– Przeprosili was?

– Zorientowali się, że jesteśmy Amerykanami – rzekł – i musieli nas wypuścić.

– Rzadko się to zdarza – stwierdziłem, udając, że jestem pod wielkim wrażeniem.

– Szokujące – Seamus zdołał się jakoś powstrzymać od śmiechu, gdy to mówił. – Kurewsko szokujące.

– Jawny akt skrajnej brutalności – dorzucił Tommy Balas.

Był olśniewająco przystojnym młodzieńcem o poważnej, nieskazitelnie zadbanej twarzy ze sztuczną opalenizną. Jego ojciec kupił mu niedawno blond żonę, co zapoczątkowało spekulacje, że kongresman został wyposażony i przeszkolony na poczet kampanii prezydenckiej.

– I niczym niesprowokowany! – dodał.

– Więc możesz sobie wsadzić gdzieś te swoje kpiny, dupku – Patrick zwrócił się do mnie tryumfalnie.

– Przepraszam, Patricku. Naprawdę. Nie miałem pojęcia, że tak dzielnie walczyłeś. A teraz powiedz, dlaczego wynająłeś komuś mój dom?

– Czy to ma jakiś związek ze sprawą? – przerwał Robert Stitch.

– Zamknij się pan – uciszyłem go i stanąłem za krzesłem Patricka. – Na pięć lat. Za pięćset dolców miesięcznie. To daje trzydzieści tysięcy. Zechcesz mi wypisać czek?

– Pogadamy o tym później, Paulie.

– Pogadamy o tym teraz, ty fiucie. Ile kasy masz przy sobie?

– Nie teraz, Paulie! – Usiłował wstać, ale położyłem mu ręce na barkach i przytrzymałem go.

– Od jak dawna ta dziwka tam mieszka, Patricku?

Od trzech lat? Zgarnąłeś już osiemnaście tysięcy! Masz je pod ręką?

– Paulie, proszę!

Dźwignął się, ale palnąłem go w bok głowy.

Krzyknął cicho i szybko usiadł. Sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni jego marynarki i znalazłem rulon dwudziestodolarówek. Było tego dwa, może trzy tysiące dolarów.

– Wezmę to jako część spłaty długu, Padraigu, ale wrócę po resztę. W międzyczasie powiedz panie Sarze Sting Tennyson, że się pomyliłeś i że ma się wynosić z mojego domu. Rozumiemy się, Padraigu?

– Nie możesz zabrać tych pieniędzy! – zauważył Patrick nerwowo. – Nie są moje.

– Podobnie jak zapłata za wynajem wnoszona przez pannę Tennyson. – Wsunąłem plik banknotów do kieszeni.

– Ale to było dla naszej sprawy! – upierał się.

– To też. – Pochyliłem się, by kolejne słowa wyszeptać mu prosto do ucha. – Wróciłem do domu na dobre, Patricku, i jeżeli zobaczę jeszcze jednego siniaka na ciele Maureen, odetnę ci jaja i rzucę wronom na pożarcie, tak mi dopomóż Bóg.

Widziałem perełki potu na jego płaskiej jak łopata głowie. Wyprostowałem się i palnąłem go w głowę z prawej strony, tym razem tak mocno, że pisnął z bólu i prawie spadł z krzesła. Uśmiechnąłem się szeroko do Tommy'ego Balasa, który wyglądał na wyraźnie spłoszonego.

– Czysta, niczym niesprowokowana brutalność, kongresmanie. Tak to już jest z Irlandczykami. Seamusie, chodź ze mną do baru czegoś się napić. Zaplanujemy jakieś wypadki na ryby, co? Może złapiemy kilka strzępieli?

– Świetny pomysł, Paulie.

Podszedłem do drzwi. Robert Stitch siedział nieruchomo, obawiając się wybuchu agresji. Patrick trząsał się jak osika, a Tommy Balas wyglądał tak, jakby się właśnie zsiakał w spodnie od Brooks Brothers. Tylko Seamus i jego prawnik się uśmiechali.

– Niech pan broni Seamusa przed Brytolami – zwróciłem się do Chucka Sterndale'a.

– Dam z siebie wszystko, panie Shanahan. Ale część tych pieniędzy, które pan właśnie zabrał panu McPhee, mogłyby w tym pomóc.

– Pan Padraig jest mi winien jeszcze wiele tysięcy i wszystkie są wasze, w porządku? – Spojrzałem na Patricka. – Napiję się jeszcze z Charliem Monaghanem – zwróciłem się do niego – a potem złapię autobus na Cape

Cod. Jeśli chcesz pogadać o tym, co się stało, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Do zobaczenia za chwilę, Seamusie.

Podniosłem swój worek i poszedłem do baru, gdzie Charlie Monaghan, który doskonale wyczuwał kłopoty, podał mi guinnessa i przepraszająco wzruszył ramionami. Potem poszukał sobie jakiegoś zajęcia w magazynie. Grupka dzieciaków grała w rzutki, ale większość zebranych nadal wpatrywała się w wielki ekran i oglądała wiadomości. Zauważyłem Marty'ego Doyle'a, przydupasa Herlihy'ego, który woził mnie po Miami.

Przemykał szybko w dalszej części sali i domyśliłem się, że pędził poinformować swojego pana, że wróciłem do Bostonu. Pomachałem mu, ale mnie zignorował, jak zdrowy człowiek unikający spojrzenia kogoś zarażonego dżumą.

Seamus odczekał kilka minut, zanim do mnie dołączył. Kilku ludzi, którzy chcieli otrzeć się o sławę, zaproponowało mu drinka, ale Seamus kazał im spadać, usiadł obok mnie i oparł stopę o mosiężny podnózek.

Był tak samo wysoki jak ja, miał czarne włosy i przerażająco wyblakłe oczy. Z wyjątkiem tych oczu jego twarz wyglądała na dobrą, była koścista i surowa, odpowiednia dla buntownika.

– Co tu się, kurwa, dzieje, Paulie? – zapytał cicho.

– To była prywatna awantura z Patrickiem o mój dom na Cape Cod.

– Nie o to pytałem i dobrze o tym wiesz. Hej, ty! – zawołał do pracownika Charliego. – Zrób nam whisky na gorąco.

Mówił z wyraźnym północnoirlandzkim akcentem.

Patrzył, jak chłopak zalewa gorącą wodą cukier i goździki, następnie dodaje sporą porcję whisky. Nikt nie oczekiwał, że zapłaci za drinka. W Parafii żaden prawdziwy członek IRA nie musiał płacić za trunki.

Seamus przypalił papierosa i zza dymu spojrzał na mnie spod przymkniętych powiek.

– Albo oszalałeś, wracając tutaj, albo masz kuloodporne gacie. Twój szwagier nadawał przez telefon, że tu jesteś, a Marty Doyle drze się, że Michael Herlihy skróci cię na wysokości kolan, a ty sobie pijesz guinnessa, jakby nic na świecie cię nie obchodziło.

Chyba zdajesz sobie sprawę, że masz kłopoty, co, Paulie?

– Czyżbyś właśnie coś takiego usłyszał, Seamusie?

– Chyba nawet papież o tym pewnie słyszał! Jezu! W Watykanie już się za ciebie modlą.

Zaśmiałem się. Lubiłem Seamusa. Naprawdę go lubiłem. Był świetnym gościem.

– Wiesz, że minęło dobre dziesięć lat, odkąd się poznaliśmy? – odezwał się doń. – Dasz wiarę?

– Aż tak wiele? – Pokręcił głową z niedowierzaniem i rzucił mi nieufne spojrzenie. – Słyszę jednak różne historie na twój temat. Nie są dobre.

– Co takiego słyszysz?

– Że nawiałeś z pieniędzmi. Z dużą kasą.

– To tylko pięć milionów dolarów. W złocie. Nie przesadzajmy, Seamusie.

– Matko Boska! – prawie się zakrztusił swoją whisky na gorąco, a potem, ponieważ wyjawilem swój grzech z taką radością, uśmiechnął się szeroko. – Oszalałeś! Nigdy nie pozwolą, żeby ci to uszło na sucho.

– A kto twierdzi, że je zwinąłem? Łódź zatoneła.

– Jasne, Paulie. Brytole oddadzą nam sześć hrabstw w prezencie bożonarodzeniowym. A ja dostanę kardynalski kapelusz od papieża. Jak ci się wydaje, z kim ty rozmawiasz? Jezu, Paulie! Jeśli ta łajba zatoneła, to jesteś głupcem, że nie utopiłeś się razem z nią.

Wzruszyłem ramionami.

– To nie były ich pieniądze, Seamusie. Pochodziły z Libii albo Iraku. Nie miały z Belfastem nic wspólnego.

Nic.

– Słyszałem inną wersję. Coś o stingerach.

Potaknąłem niechętnie.

– Pięćdziesięciu trzech.

Seamus się skrzywił.

– Podobno wnieśli pół miliona jako depozyt. Podobno miałeś dostarczyć resztę!

– Herlihy powinien trzymać jęzor za zębami – stwierdziłem.

– To nie on mi o tym powiedział. Usłyszałem to od Irlandczyków. Zdaje się, że Brendan Flynn ma ochotę wypruć ci flaki.

– Niech się wali! – rzuciłem wściekle.

– To nie tak działa, Paulie, i dobrze o tym wiesz.

Nie możesz tak po prostu nawiać z forszą. – Seamus odwrócił się, żeby obserwować salę swoimi bladymi, nieufnymi oczami. – Chcesz, żebym z nimi pogadał?

Powiem im, że niedługo oddasz pieniądze. Powiem, że to było nieporozumienie i że nikt z nas nie chce kłopotów. Mam z nimi porozmawiać?

– Nie znasz nawet połowy faktów – odparłem ponuro.

– Mówisz o tych dwóch, którzy zniknęli? O Liamie i Gerrym? Brendan mi o nich powiedział. Nie żyją?

Zawahałem się, po czym przytaknąłem.

– Nie żyją.

Przez sekundę miałem ochotę wyznać Seamusowi, że zamordowałem ich z zimną krwią, ale jego to najwyraźniej nie obchodziło, bo pokręcił głową.

– Brendan się nimi nie przejmuje. Mieli się zajmować taksówkarzami i sklepami z mięsem. Należało do nich obicie kilku gąb i trzymanie biedaków w ryzach, ale nie, oni musieli pchać się do grubszej roboty, co?

Seamus twierdził, że Liam i Gerry, pomimo ich opowieści o zabitych żołnierzach i zawałonych budynkach, byli tylko szeregowymi posługaczami „ochroniarzy” z Provisional IRA. Ich wkład w walkę o nową Irlandię sprowadzał się do spuszczenia łomotu katolickim barmanom, właścicielom sklepów i taksówkarzom, którzy spóźniali się z cotygodniową daniną dla organizacji. Na razie główna aktywność IRA polegała na wymuszaniu pieniędzy. W podobny sposób uzbrojeni protestanccy bandyci postępowali w swojej części Ulsteru.

– Liam i Gerry nie byli zadowoleni z tego, że musieli pilnować interesów – wyjaśnił Seamus. – Postanowili zrobić nalot na kilka małych urzędów pocztowych w Ardoyne i Legoniel. Potwornie zbili gościa, który był mężem siostry PUNCHY’ego O’NEILLA.

Punchy się poskarżył i Brendan podał ich nazwiska Brytolom, tylko że udało im się dotrzeć do Wolnego Państwa, zanim ich aresztowano, więc Brendan musiał się nimi zająć. Do niczego się nie nadawali. Tylko zbierali kasę. Jezus, Brendan nie pogńiewa się o to, że już ich nie ma. Pewnie ci nawet za to podziękuje. Na Boga, Paulie, pozwól mi z nim pogadać. Pozwól mi to naprawić.

– Spróbuj – rzuciłem tylko po to, żeby go uszczęśliwić.

Kwestia pieniędzy nie podlegała żadnym dyskusjom. Żadnym.

– Co mam powiedzieć? – spytał Seamus. – Że niebawem dostarczysz pieniądze?

– Jasne – zgodziłem się, choć zupełnie nieszczerze.

– Pięć milionów, co? – Seamus się zaśmiał. – Pamiętam czasy, gdy nie mieliśmy przy sobie ani funciaka.

– Nigdy nie byliśmy aż tak splukani, ale to były dobre czasy.

– O, tak! Lepsze niż teraz.

– Nie podoba ci się tu?

– Jest całkiem nieźle. Boston jest w porządku.

Rzucił papierosa na podłogę i zgasił go czubkiem buta. Miał dziobatą twarz, ale to nigdy nie przeszkadzało dziewczynom uganiać się za nim. A Seamus, który zdawał się mieć w żyłach lodowatą wodę, a nie krew, gdy zajmował się bombami i bronią, denerwował się beznadziejnie w towarzystwie kobiet. Gdyby Roisin była sama w naszym domu w Belfaście, Seamus wolałby siedzieć na tylnych schodach, niż próbować toczyć z nią rozmowę bez mojej pomocy. Nie chodziło o to, że kobiety mu się nie podobały. On po prostu bał się ich piękna i siły.

– Boston jest w porządku – powtórzył cierpkim tonem. – To taki gatunek fasoli. Jak można tak nazwać miasto?

– Co jest z nim nie tak?

– Nic. Ludzie są tu mili, ale nie czuję się tu jak w domu, wiesz? Piwo jest kurewsko zimne, latem jest tu goręcej niż w piekle, a oni ciągle oglądają w telewizji ten cholerny netball! Grają w to faceci! Przecież to gra dla bab, powtarzam im.

– To jest koszykówka – powiedziałem, jakby nie wiedział. – W Bostonie to religia.

Zaśmiał się i pokręcił głową.

– Tęsknię za Derry, Paulie. Naprawdę. Wiem, że to nie jest jakieś wspaniałe miejsce, w zasadzie nie jest nic warte, ale tęsknię za nim.

– A ja za Belfastem – odparłem.

To była prawda. Uwielbiałem to miasto. Było brudne, ohydne, zniszczone, ale ja nigdy nie byłem szczęśliwszy niż wtedy, gdy tam mieszkałem.

Na pierwszy rzut oka to miasto było ponure, zniszczone przez wybuchy bomb i dewastację, lecz jego ulice pękały od dobrych żartów i ogrzewała je aura przyjacielskości.

Seamus się skrzywił.

– Czasem mi się wydaje, że gdyby puścili mnie do domu na jeden krótki dzień, z czystej wdzięczności ucałowałbym w tyłek któregoś z Apprentice Boys*.

Zaśmiał się krótko i z goryczą. – Powiedziałem to któremuś z tutejszych gości, a on nawet nie wiedział, kim są ci pieprzeni Apprentice Boys! Nie słyszał nawet o Orange Institution*!

– Nie miej im tego za złe. Kochają Irlandię, ale nie chcą wiedzieć, jakie to wszystko jest skomplikowane. Nie można ich o to winić, Seamusie. Mają serca tam, gdzie trzeba.

Seamus nie słuchał mojego tłumaczenia.

– Pewien gość miał tu przemówienie. Kiedy? Z sześć miesięcy temu? Opowiadał, że pieprzone Brytole wybudowały komorę gazową w Long Kesh i że systematycznie mordują całą populację katolików! Kurwa mać! Nie lubię Brytoli, ale nie są aż tak źli. W każdym razie, jeszcze nie. Nic nie powiedziałem, no bo niby po co, kurwa?

– Nic by to nie dało.

Zaśmiał się.

– A ten twój szwagier? Dostał wpierdziel w Ballymurphy! Chłopaki nadal robią takie numery? – Pokręcił głową rozbawiony. – Ale dupek z tego Patricka!

Wiem, że to twoja rodzina, Paulie, ale dupek z niego.

– Wiem. To łajza.

– Rodzina to kolejna rzecz. Mój tata zmarł w ubiegłym roku. Nie mogłem przy nim być. To nie jest w porządku, kiedy syn nie może stanąć nad grobem ojca.

Mama też się źle czuje. Ma jakieś problemy z klatką piersiową, z odychaniem. Brat mi o tym pisał, ale co mogę zrobić?

* Apprentice Boys of Derry; bractwo protestanckie założone w 1814 roku, z siedzibą główną w Derry, w Irlandii Północnej. Celem stowarzyszenia jest upamiętnianie oblężenia Derry z 1689 roku, kiedy to katolickie siły dowodzone przez Jamesa II króla Anglii, Irlandii i Szkocji oblegały mury protestanckiej twierdzy. Bractwo organizuje parady, w czasie których jeszcze do niedawna dochodziło do zamieszek wywoływanych przez młodzieżówki nacjonalistów (przyp. tłum.).

* Kolejne bractwo protestanckie działające na terenach Irlandii Północnej i Szkocji, założone pod koniec XVII w. Opowiada się za związkami Irlandii Północnej z Wielką Brytanią (przyp. tłum.).

A więc Seamus rzeczywiście miał brata. Kathleen Donovan nie okłamała mnie. Nagle przyszła mi do głowy myśl, że na cholere komuś pięć milionów dolarów, skoro nie ma się z kim nimi dzielić?

– Wracaj do Irlandii – podsunąłem Seamusowi. – Twoja mama będzie mogła przyjechać do Donegali spotkać się tam z tobą.

– Owszem. Ale pieprzona Garda wsadzi mnie do więzienia w Portlaoise, zanim zdążę spluć. Chcą mnie zgarnąć za drobną robotę w Dundalk. – Uśmiechnął się przepraszająco.

Wiedziałem, że nie należało go pytać, co to była za robota. Najprawdopodobniej był to napad na bank.

Seamus był poszukiwanym człowiekiem, ale nikomu nie zależało bardziej na złapaniu go niż Irlandii Północnej, bo tam miała miejsce jego sławna i krwawa ucieczka z Long Kesh. W czasie buntu Provisional IRA straciła dwóch ludzi, ale uznano, że warto ponieść taki koszt dla propagandowego znaczenia uwolnienia Seamusa. Teraz, gdy był nielegalnym imigrantem w Ameryce i przestępcą poszukiwanym przez Brytanię i Irlandię, informacje o jego walce o uzyskanie azylu politycznego w Ameryce trafiały do gazet po obu stronach Atlantyku.

– Mówią, kurwa, że jestem symbolem – odezwał się do mnie ponuro. – Twierdzą, że zostanę Marszałkiem Wielkim podczas parady w dniu świętego Patryka w przyszłym roku. Chcą mi dać medal dla walczących o wolność. Wspominają nawet o jakimś filmie o mnie!

Dasz wiarę? Jakiś aktorzyzna-dupek z Hollywood twierdzi, że chce nakręcić o mnie film! Ja nie chcę trafić do kina, Paul. Chcę wrócić do domu!

– Spotkaj się z chirurgiem plastycznym – podsunąłem.

– Zastanawiałem się nad tym – przyznał cicho. – Mówię ci! Za kasę, którą bulą za to, żeby nie siedział w kiciu, mógłbym już wyglądać jak Marilyn Monroe.

Miałbym nawet jej cycki. – Zarumienił się, gdy powiedział to słowo i przez chwilę myślałem, że się przeżegna, ale on tylko pokręcił smutno głową. – Cholera, Paul. Ja tylko chcę wrócić do domu. Nie chcę już więcej kłopotów. Walczyć mogą młodszy, no nie?

Odłożyłem parę funciaków i jest taki kawałek ziemi w pobliżu Dunaanagh, który by mi wystarczył. Kilka krów, kawałek pola i mały domek. To by mi wystarczyło. – Przerwał; jego wzrok powędrował gdzieś da-

leko; przypalił papierosa. – Któregoś dnia myślałem o Roisin. – Zaczerwienił się intensywnie i zastanawiałem się, jak bardzo go poniżyła.

– Często o niej myślę – wyznałem mu.

– Kilka tygodni temu dostałem list od jej siostry.

Przyszedł do biura Chucka, mojego prawnika.

– Odpisałeś?

Zaprzeczył.

– Czego chciała?

– Chciała wiedzieć, co się stało z Roisin. Chryste!

Co miałem napisać?

– Prawdę? – zasugerowałem, choć w moich ustach to słowo smakowało jak popiół.

– A skąd, do cholery, mam wiedzieć, czy Roisin miała siostrę? – zapytał mnie. – Chuck stwierdził, że nie powinienem odpisywać, na wypadek, gdyby to była pułapka Brytoli. Mogli chcieć wyciągnąć jakieś informacje. Więc wyrzucił list.

– Też dobrze – oznajmiłem.

– Zresztą, co miałbym powiedzieć jej siostrze? – Seamus spytał z oburzeniem. – Że Roisin zastrzeliły pieprzone Arabusy?

– No tak.

– Cholerni maniacy! Tym są! Szubienica to dla nich za łagodna metoda. – Seamus wpatrywał się w zielone koniczyny wycięte z papieru, zdobiące lustro w barze. – Nigdy mnie nie zdradziła, Paulie. Nikt mnie nie zdradził. Brytole twierdzili, że mieli informacje od niej, ale to nieprawda. Chcieli tylko namieszać i zdaje się, że im się udało, bo dostała kulkę. – Zmarszczył brwi. – Ta dziewczyna to był rzadki przypadek. Miała cięty język, zgodzisz się. Nigdy nie słyszałem, żeby kobieta tak mówiła. – Nagle zamarł w bezruchu i obserwował w lustrze odległy kąt sali. – Myślisz, że tych dwóch przyszło po ciebie?

Daleko w holu pojawiło się dwóch mężczyzn w kurtkach w szkocką kratę zapiętych pod samą szyję.

Byli młodzi, barczyści i przekonani o własnej twardości. Żaden z nich nie starał się ukryć zainteresowania mną.

Podejrzewałem, że wezwał ich Patrick, w nadziei, że uda im się odebrać pieniądze, które wyciągnąłem z jego kieszeni.

– Szukają mnie, zgadza się – odezwałem się do Seamusa.

– Dlaczego?

– To sprawa osobista. Patrick chce odzyskać pieniądze, które mu zabrałem, a nie chce o to sam poprosić.

– Jesteś pewien, że to nie polityczna sprawa?

Pokręciłem głową.

– Nie było czasu na wydanie rozkazów.

– A Michael Herlihy? On ma tu władzę, prawda?

– Nie w przypadku takich kwestii, Seamusie.

Rozkaz zabicia mnie musiałby wyjść z Belfastu lub Dublina. Na Boga, myślisz, że Brendan kazałby mnie posiekać, zanim by się dowiedział, gdzie jest złoto? Chodzi o sprawę między mną i Padraigiem.

Uśmiechnął się szeroko.

– No to jestem po twojej stronie, Paulie. Dwóch na dwóch, co nie? – Dopił resztę swojej whisky na gorąco.

– Biedne dupki. Wykończymy ich?

– Tylko nastraszymy.

– Idź pierwszy. Będę dwadzieścia kroków za tobą.

Pięknie odegrał scenkę pożegnania ze mną i uściśnął mi rękę. Wziąłem swój worek i założyłem sztormiak.

Rozległy się wiwaty, gdy skończyły się wiadomości i rozpoczęła relacja z meczu koszykówki. Dwaj mężczyźni patrzyli, jak zmierzam do bocznego wyjścia, zobaczyli, że Seamus zamawia kolejnego drinka i ruszyli za mną w zimowe popołudnie. Trzeba było się zabawić.

Z dawnych czasów boczne drzwi Parafii wychodziły na uliczkę przebiegającą między salą i włoską piekarnią. Piekarnię jednak dawno już zburzono i został po niej pusty plac wykorzystywany przez ludzi z Parafii do ukrywania kradzionych samochodów i ciężarówek, towarów, które zniknęły ze składów celnych na lotnisku Logan. Plac był zasłonięty od strony ulicy wysokim ogrodzeniem służącym za słup ogłoszeniowy w tej okolicy. Po jego zewnętrznej stronie wisiało mnóstwo plakatów reklamujących: spotkania informacyjne poświęcone technikom brytyjskiej propagandy

stosowanym w Stanach Zjednoczonych, przesłuchania dla amerykańskich dzieci do irlandzkiej orkiestry dętej i zespołu tamburmajorów, naukę gaelickiego; było też ogłoszenie o przygotowaniach do parady w dniu św.

Patryka oraz apele o składanie datków w celu wspomnienia upamiętnienia dziesiątej rocznicy strajków głodowych i siedemdziesiątej piątej rocznicy Powstania Wielkanocnego w Dublinie.

Dzięki temu ogrodzeniu plac za nim był ustronnym miejscem, pośrodku którego stał policyjny radiowóz z włączonym silnikiem, otwartymi przednimi drzwiami i błyskającym kogutem, który oświetlał jaskrawo kilka samochodów. Radiowóz był pusty; tylko na tylnym siedzeniu leżały dwie policyjne czapki. To wyjaśniało, dlaczego w Parafii pojawiło się dwóch młodych mężczyzn w kurtkach w szkocką kratę zapiętych pod samą szyję. Nie chodziło o to, że policyjne mundury przestraszyłyby kogoś z gości Parafii, która doskonale kontrolowała poczynania bostońskiej policji, niemniej pojawienie się dwóch policjantów z pewnością wywołałoby zamieszanie, a tych dwóch chciało mnie zwinąć bez szumu. Oprócz radiowozu na parkingu stały dwie ciężarówki, czerwony lincoln continental i czarny sportowy mercedes, który pewnie należał do Tommy'ego Balasa, bo miał specjalne tablice rejestracyjne.

Szedłem prosto i minąłem mercedesa, zmierzając do dziury w płocie, przez którą mogłem wyjść na East Broadway. Wiał zimny wiatr i lekko mżyło. Byłem zadowolony z tego, że miałem na sobie gruby żółty sztormiak. Usłyszałem, jak drzwi Parafii się otworzyły i poczułem rozgrzewające działanie adrenaliny.

– Shanahan! – ktoś krzyknął.

Odwróciłem się, ale szedłem dalej tyłem.

– Stój!

Dwaj młodzieńcy byli nerwowi, ale postanowili grać twardzieli. Szukali broni pod ciasno zapiętymi kurtkami.

Nadal usiłowali wydobyć pistolety, gdy z Parafii wyszedł Seamus. Policjanci zażenowani obecnością niepożądanego świadka, wyprostowali się. Ruszyłem w ich stronę, udając niewinnego.

– Szukaliście mnie, chłopcy?

– Nie zwracajcie na mnie uwagi. – Seamus schodził po schodach.

Policjanci próbowali się go pozbyć.

– Chcieliśmy zamienić słowo z panem Shanahanem. Na osobności.

– Na osobności? Ale Paulie i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi. Kumplujemy się od bardzo dawna. Nie mamy przed sobą tajemnic, prawda, Paulie?

– Możecie mówić przy Seamusie – potwierdziłem. O co chodzi? Żle zaparkowałem? A może zbieracie datki na policyjny sierociniec?

Znajdowałem się sześć kroków od nich, a Seamus trzy kroki za nimi. Pocili się, pomimo zimnego wiatru i nic dziwnego, bo Seamus miał swoją reputację wśród Irlandczyków.

– Czego ode mnie chcecie? – powtórzyłem pytanie.

Dostrzegłem w swoim głosie irlandzki zaśpiew. Podłapałem akcent, gdy mieszkałem w Ulsterze.

Wracał do mnie w chwilach stresu. Za mną policyjne światła przecinały mrok.

– Niczego. – Jeden z policjantów postanowił wycofać się z konfrontacji. Wyciągnął puste dłonie przed siebie. – To nic. Proszę o tym zapomnieć.

– Jestem rozczarowany, chłopcy.

Zbliżyłem się jeszcze o krok. Seamus ruchem głowy pokazał mi, że zajmie się tym po jego lewej. Zrobiłem kolejny krok, gdy nagle drzwi Parafii otworzyły się i na górnym stopniu stanął zdenerwowany Michael Herlihy.

– Przestańcie! W tej chwili! Słyszycie? John Doyle? O'Connor? Wycofać się, obaj!

Jego głos był zimny jak lód. Pewnie był gdzieś blisko, być może na tyłach Tully's Tavern, gdzie miał swoje południowobostońskie biuro, kiedy Marty Doyle powiedział mu o mojej obecności wśród żywych. Herlihy, na wieść o tym, że Patrick nasłał na mnie posłuszną Parafii policję, zląkł się, że to może skomplikować sprawę pięciu milionów dolarów. Chciał zobaczyć, jaki mam stosunek do zaginionego złota, zanim zacznie nade mną pracować, więc co sił w nogach przybiegł tu ze swojej nory, żeby uniknąć kłopotów.

– Cokolwiek tu robiliście – wrzeszczał do policjantów – macie w tej chwili przestać!

– A co robiliście? – spytałem zwolnionych z obowiązku policjantów.

– Nic, panie Shanahan, nic. Tylko wychodziliśmy!

To była pomyłka.

Chcieli mnie minąć i dojść do radiowozu, ale ich zatrzymałem.

– Nie słyszeliście, chłopcy, że obsługa Parafii odprowadza samochody gości na parking i przyprowadza je? Zgadza się, Seamusie?

– Owszem.

Gliniarze nie odważyli się ruszyć, bo Seamus emanował zdolnością do bezwzględnej brutalności, a stał pewnie tuż za nimi. Nie przytrzymał ich, ale żaden z nich nie ośmielił się nawet napiąć mięśni, gdy wsiadałem do ich radiowozu, zwolniłem ręczny hamulec i wrzuciłem wsteczny bieg. Uśmiechnąłem się do nich przez przednią szybę i wcisnąłem pedał gazu. Auto wystrzeliło do tyłu i walnęło w boczną ścianę sąsiedniego sklepu żelaznego.

– Przepraszam, chłopcy! – krzyknąłem. – Jestem przyzwyczajony do łodzi, a nie do samochodów!

Seamus się śmiał. Herlihy, który zrobił się jeszcze bledszy niż zwykle, patrzył na to wszystko, ale nie próbował mnie powstrzymać, a policjanci stali tam jak dzieciaki, które dostają wciry. Ruszyłem do przodu, usłyszałem brzęk tłuczonego szkła tylnych świateł i znowu wcisnąłem pedał gazu, tym razem celując w mercedesa Tommy'ego Balasa. Herlihy drgnął, gdy zobaczył, co robię, po czym zamknął oczy, kiedy uderzyłem radiowozem w bok sportowego auta. Rozległ się potworny hałas towarzyszący gniecieniu blachy.

– Bardzo dawno nie prowadziłem wozu! – krzyknąłem. – Ale przypominę sobie, nie martwcie się!

Z Parafii wyszło już z dwunastu ludzi, których zainteresował odgłos gniecionego metalu. Sztywny z wściekłości Herlihy odwrócił się i kazał im wracać do środka. Prawnik Seamusa zignorował ten rozkaz i śmiał się, Tommy Balas zaś i jego elitarny pomocnik zastanawiali się, czy świat zwaśnił. Patrick McPhee, który wiedział, że sprowokował to szaleństwo, prosząc policję o pomoc, uciekł w panice przed złością Michaela.

– No dobra! – wrzasnąłem. – Teraz sobie poradzę!

Znowu wrzuciłem wsteczny, wcisnąłem pedał gazu i walnąłem mocno w ceglana ścianę. Głowa mi się odbiła od kratki, która zabezpieczała przednie siedzenia przed ludźmi, których wieziono z tyłu. Wyłączyłem silnik i wysiadłem z auta. Zobaczyłem, że bagażnik był fikuśnie powyginany. Radiowóz miał wgnieciony zderzak, stracił przedni reflektor i sporą część nadkola, a drogi mercedes kongresmana miał zmaltretowane blachy nadwozia.

– Niech się pan przerwuci na amerykański wóz, kongresmanie! – zawołałem do niego. – Człowiek o pańskiej pozycji nie powinien jeździć europejskim samochodem, czyż nie?

Asystent Tommy'ego Balasa pospiesznie wprowadził go do środka Parafii, gdy dwóch policjantów przeszło obok mnie.

– Pierdol się, Shanahan – wymamrotał jeden z nich.

Zdjęli swoje kurtki w kratę, wsiedli do zrujnowanego radiowozu i z fałszującą syreną wyjechali z parkingu.

Seamus wiwatował. Michael Herlihy, który jeszcze bardziej niż zwykle przypominał Lenina bez brody, splunął w moją stronę.

– To nie było mądre, Paul – oświadczył.

– To nie miało być mądre, Michaelu. Zrobiłem to, żeby się trochę zabawić. Czy ty się nigdy nie bawisz? – Spojrzałem na Seamusa. – Zawsze był kujonem, Seamusie. Biegał do ołtarza, do tablicy. Był ulubieńcem zakonnic. Jego wyobrażeniem dobrej zabawy jest udział w bostońskim maratonie. A może zrezygnowałeś też i z tej drobnej przyjemności, Michaelu?

Herlihy lawirował między kałużami na parkingu, aż wreszcie stanął obok mnie.

– Gdzieś ty się podziewał przez ostatnie tygodnie, Shanahan? – Pokazał Seamusowi, że chce porozmawiać ze mną na osobności.

– Gadałem z CIA, Michaelu. – Uśmiechnąłem się pięknie.

– Co takiego?

– Przecież wiesz, że sypnąłem. Rozmawiali z tobą ci z FBI, czy z policji? – Nadal się uśmiechałem, patrząc w tę chudą twarz, z której odpłynęła krew. – Martwiłem się, że Arabowie nie planowali wysłać stingerów do Irlandii, tylko chcieli je wykorzystać tutaj.

Wiedziałem, że nie chciałbyś, aby to się stało. To byłoby bardzo niekorzystne dla wizerunku naszego ruchu, zgodzisz się? Więc udałem patriotę.

Zignorował mój bajer.

– Gdzie, na Boga, są pieniądze?

– To zabawne, że prawnicy zawsze zadają to pytanie.

– Gdzie one są Shanahan? – Był wściekły, syczał mi do ucha, a jego ciało było napięte jak struna.

Z żalem strzeliłem palcami, jakbym coś zgubił.

– Powinienem być ci powiedzieć, że łajba zatonała. To była zgniła łódź, rupieć. Poszła na dno w pobliżu Sardynii. Próbowałem uratować tych dwóch chłopaków z Belfastu, ale spanikowali. Łajba poszła pod wodę jak kamień, z nimi na pokładzie. Z powodu dodatkowego balastu w postaci złota, nie mieli szans. Woda zabulgotała i na powierzchni została tylko kamizelka ratunkowa.

– Nie kłam! – powiedział Michael groźnie.

Wiedziałem, że nie uwierzy w tę historię nawet za tysiąc lat, ale i tak warto było spróbować.

– Bóg mi świadkiem, Michaelu. To było na południe od Sardynii. Nagle zerwał się szkwał z północy, morze było wzburzone i...

– Nie! – warknął, przerywając mi. Deszcz zachlapał mu szkła okularów, a jego głos przybierał na sile. – Posunąłeś się za daleko, Paul. Irlandia chce, żebyś odpowiedział na kilka pytań.

– Nie – odpowiedziałem. – To ty będziesz musiał odpowiedzieć na pytania, Michaelu. Te pieniądze nie pochodziły z Libii, tylko od Saddama Husajna, drania, który robi wszystko, co w jego mocy, żeby wyrzynać teraz amerykańskich chłopców. A więc teraz, Michaelu, zapomnisz o pieniądzach, zapomnisz o stingerach i zapomnisz o mnie.

– Zwariowałeś! – Podniesiony głos Michaela zrobił się piskliwy.

Seamus podszedł, by nas uspokoić.

– Zajmę się tym, Michaelu – powiedział łagodnie. – Paulie odnajdzie pieniądze, prawda, Paulie?

– Nie mieszaj się do tego! – Herlihy warknął i znowu spojrzał na mnie. – Ukatrupię cię, jak Boga kocham. Ukatrupię! – Michael rzadko kiedy okazywał emocje, bo był z natury jezuitą, twardym, żylastym skurczybykiem o bladej, szczupłej i świętoszkowatej fizjonomii, ale teraz, gdy deszcz zalewał mu okulary, stracił panowanie nad sobą. – Dostarcz mi pieniądze, Shanahan, wszystkie, albo pożałujesz, że się urodziłeś.

– Buu! – rzuciłem do niego.

– Do diabła z tobą! – Odwrócił się i ruszył przez posesję; zatrzymał się przy wejściu do Parafii, by dorzucić coś na pożegnanie. – W Bostonie jest konsulat brytyjski, Paul. Mam się tam udać i coś im opowiedzieć? O to ci chodzi? – Wskazał na mnie. – Wystarczy jeden telefon, tylko jeden, a będziesz miał Brytoli na karku. Skończysz jak Gallagher.

Brian Gallagher handlował bronią i został przez sąd w Bostonie oczyszczony z zarzutu nielegalnego eksportu broni do Irlandii. Dwa tygodnie później jego uniewinnione ciało znaleziono na porośniętym żurawinami bagnie niedaleko Waltham. Nie umarł szybką śmiercią. Nikt nie wiedział, kto go zamordował i choć krążyły pogłoski, że byli to jego współnicy, których szukał na pieniądze, Michael Herlihy był przekonany, że to Brytole wysłali tajne siły specjalne, które skorygowały orzeczenie sądu.

– Nie będę nad tobą płakał, Paul – rzucił Herlihy na koniec, gdy już wchodził do środka.

– Brytole nie odważą się tu przyjść, prawda? – upewnił się Seamus.

– Nie. Michael zawsze widzi Brytyjczyków pod łóżkiem. Wydaje mu się, że jest na ich liście i dzięki temu czuje się jak bohater. W jego przypadku największym zagrożeniem jest to, że jego elektryczna szczoteczka do zębów będzie miała przebicie. Zapomnij o nim. To palant.

– Tyle że niebezpieczny. – Seamus podniósł mój worek marynarski i rzucił go w moją stronę. – Uważaj na siebie, Paulie. Nie martw się o Michaela czy Belfast.

Oczyszczę cię. Powiem, że to było nieporozumienie i że dostarczysz pieniądze.

– Jesteś wspaniały, Seamusie.

– Pierdolić Brytoli, co?

– Na wieki – dokończyłem nasze powiedzonko i odszedłem.

Żywiłem zbożną nadzieję, że Brytole nie mieli swojej ekipy w Nowej Anglii, bo grałem już na trzy fronty i nie potrzebowałem czwartego.

Te zmartwienia mogły jednak poczekać. Zamiast tego, w deszczu i z pieniędzmi Patricka w kieszeni, poszedłem na przystanek autobusowy i pojechałem do domu. Na Cape Cod.

Było ciemno, gdy wysiadłem z taksówki. Mogłem zadzwonić z Hyanis do Johnny'ego Riordana i na pewno by po mnie przyjechał na dworzec autobusowy, ale nie mogłem mieć pewności, że w domu nie będzie na mnie czekała jakaś ohydna niespodzianka, więc złapałem taksówkę i kazałem się wysadzić przy sklepie ogólnospożywczym obok gruntowej drogi prowadzącej przez wydmy. Kupiłem mleko, puszkę mielonki, chleb i margarynę, i ruszyłem drogą wijącą się przez sosnowy las, która wiodła do mojego domu na słonych bagnach.

Zatrzymałem się na wydmie i obserwowałem bagna oraz dom przez dłuższą chwilę, wszystko jednak wyglądało niewinnie pod płynącymi wysoko chmurami, więc wreszcie ruszyłem wysypanym tłuczonymi muszlami podjazdem, znalazłem klucze od domu i odkryłem, że ta będąca w połowie Chinką osoba przeciwnej płci zwana Sarą Sing Tennyson zmieniła cholerne zamki.

– Do diabła!

Podszedłem do kuchennego okna, poszukałem porządnego kamienia i wybiłem szybkę. Nie rozległ się alarm. Nikt nie krzyknął ostrzegawczo, więc domyśliłem się, że panny Sary Sing Tennyson nie było w domu.

Sięgnąłem do środka, znalazłem klamkę i szarpnąłem okno. Ani drgnęło. Suka założyła zamki. Chwyciłem kamień i wybiłem całe okno – szyby, dziewiętnastowieczne słupki i tak dalej. Gdy już usunąłem ostre odłamki z ramy, przecisnąłem się do środka na wysokości ociekacza do naczyń, skąd zsunąłem się na podłogę. Przynajmniej byłem w domu. Tłukłem się po kuchni, aż znalazłem niedawno zainstalowany włącznik światła i przystąpiłem do odzyskiwania swojego domu.

W ciągu minionych kilku tygodni narobiłem sobie więcej wrogów, niż miał ich Saddam Husajn, więc przede wszystkim musiałem móc się bronić. Poszedłem do pustego garażu i stwierdziłem, że większość moich narzędzi nadal się znajduje pod ławką. Zabrałem łom do salonu, w którym kapitan Alexander Starbuck zbudował kominek z czterech masywnych kamiennych płyt.

Podniosłem płytę z prawej strony i odsunąłem na bok, odsłaniając głęboką czarną jamę przed kominkiem. To była najlepsza z wielu kryjówek zrobionych w tym domu w okresie prohibicji. W czasie wysokich wiosennych przyprawów, zwłaszcza gdy wschodni wiatr trzymał wodę w Pleasant Bay, zdarzało się, że w kryjówce stała woda, ale te rzadkie sytuacje nie stanowiły zagrożenia dla whisky ukrytej w środku, jak też grubych warstw folii, którymi opatulilem długą drewnianą skrzynię, którą teraz wydobyłem z wilgotnego, piaszczystego dołu. Po raz ostatni widziałem tę skrzynię siedem lat temu, gdy na kilka godzin przed wyjazdem z domu zabezpieczyłem ją i ukryłem tutaj.

Zadzwoił telefon.

Zakląłem.

Rozległy się cztery dzwonki, a potem głośne kliknięcie w kuchni i nagle głos Sary Sing Tennyson oznajmił: „Przepraszam, nie mogę w tej chwili

podejść do telefonu. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału, to odzwonie najszybciej, jak będę mogła”. Kolejne kliknięcie, piskliwy sygnał. Wydawało mi się, że dzwoniący się rozłączył, ale usłyszałem męski głos.

– Gdzie ty się podziewasz, Saro? Próbowałem się dodzwonić do twojego mieszkania. Posłuchaj, dziecino, zadzwoń do mnie, dobrze? Proszę. Mówi William, w razie gdybyś zapomniała, kim jestem.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane nadąsanym tonem, co sugerowało, że William dostał niezłe cięgi od panny Tennyson. Uśmiechnąłem się ze współczuciem dla biednego Williama i zaśmiałem się, gdy pomyślałem o tym, jak FBI lub CIA próbują rozszyfrować wiadomość zadurzonego głupca. Byłem pewien, że w telefonie zainstalowano podsłuch. Van Stryker mógł mi dziękować, ale to nie znaczyło, że darzono mnie zaufaniem.

Przeniosłem swoją skrzynię na długi stół, na którym wały się tubki z farbą, szkicowniki, bloki i czasopisma. Zrobiłem sobie miejsce i nożyczkami Sary Tennyson rozciąłem plastikowe opakowanie. Otworzyłem wieko i w środku znalazłem zawartość w stanie, w jakim ją zostawiłem.

Na wierzchu leżał pistolet samopowtarzalny Colt 45 z czasu drugiej wojny światowej. W magazynku znajdowało się siedem nabojów, za to porządnych. Skrupulatnie wyczyściłem broń i strzeliłem kilka razy na pusto, żeby sprawdzić, czy wszystko działa, po czym załadowałem magazynek. Wrzuciłem pistolet do kieszeni sztormiaka i, czując się znacznie bezpieczniej, poszedłem otworzyć puszkę mielonki.

Zrobiłem sobie proste kanapki, ożywione musztardą Sary Sing Tennyson, ale zanim je zjadłem, napaliłem w kominku za pomocą podpałki i drewna Sary Sing Tennyson. Przez wybite okno w kuchni do domu wpadało zimno. Znalazłem karton i szarą taśmę należącą do mojej lokatorki i wykorzystałem je, by załatać dziurę w oknie. Sięgnąłem po kawę i młynek Sary i zaparzyłem sobie napój. Razem z kawą i kanapkami poszedłem do kominka.

Jedzenie smakowało mi jak rzadko kiedy. To było jak magiczna chwila na koniec wachty przy lodowatym kole sterowym, kęsającej mżawce i zimnym wietrze, kiedy to najpodlejsze jedzenie upichcone w kambuzie smakuje jak wykwintne potrawy na bankiecie. Zastanawiałem się, dlaczego w pięciogwiazdkowych restauracjach nie serwuje się kanapek z mielonką i musztardą.

Rozmyślałem też o tym, co się stało ze współczesną sztuką, bo gdy jadłem, przyglądałem się ze zdumieniem obrazom Sary Sing Tennyson. Na dwóch lub trzech płótnach dało się rozpoznać latarnię morską, kolejne

dwa lub trzy wydawały się być jakimś dalekim nawiązaniem do rzeczywistości, ale pozostałe przedstawiały ponury chaos. Wyglądało na to, że malarka nie używała pędzla, tylko rzucała farbę na płótno jak tynk, ale była chyba uznaną artystką, bo twierdziła, że utrzymuje się ze swojej sztuki. Najdziwniejszym jej dziełem była plama purpurowej, brązowej i białej farby; gdy obróciłem obraz na sztaludze, znalazłem pomocną etykietę informującą, że jest to „Zachód słońca, Nauset, październik 1990”. Pomyślałem, że jeżeli to jest zachód słońca, to znaczy, że środowisko jest w dużo gorszym stanie, niż rokowali najwięksi pesymiści. Wyłączyłem światło i podszedłem z kawą do dużego okna.

Wiatr chłostał ciemne szyby. Oprócz tego hałasu słyszałem jeszcze odległy ryk wody dobiegający z miejsca, gdzie oceaniczne fale atakowały plażę z barierą. Bliżej, w zimnym mroku, tysiące strumyków zimnej wody karmionych przez wody zatoki zalewały słone błota i wprawiały w ruch zosterę morską, wśród której rosły najbardziej mięsiste muszle świętego Jakuba. Były tam też ostrygi i najlepsze małże na świecie oraz homary, na myśl o których cieknie ślina. A gdy rodzina ma już dość homarów, można podać na obiad dorsza, świeże steki z miecznika, tasergale lub śledzie.

W dawnych czasach nasz dom był dziwny, bo na początku nie wisiała przed nim tusza jelenia. Jesienią były tu kaczki, śliwki z gatunku *Prunus maritima*, żurawiny i dzikie jagody. Dobrze się tu mieszkalo. I umierało, przypomniałem sobie. Zjadłem kanapki i wypilem kawę, powróciłem więc do swojej skrzyni.

Wyjąłem pozostałe magazynki do colta, a następnie drugą broń, mój ulubiony, półautomatyczny karabinek M1. To była prosta broń, również z okresu drugiej wojny, aczkolwiek świetnie wyważona i wspaniale się z niej strzelało.

Wyczyściłem i naładowałem M1, który podobnie jak colt został wykradzony w Bostonie z dostawy dla IRA.

Wyjąłem obydwie sztuki broni z przygotowanej do wysyłki partii, bo chciałem je zatrzymać dla siebie.

Teraz pomogą mi bronić złota Saddama Husajna. Myśl o złocie przypomniała mi, że rano muszę znaleźć automat telefoniczny i dowiedzieć się, czy Johnny miał jakieś wieści o „Rebel Lady”.

Tymczasem zabrałem pistolet i karabinek na górę.

Sara Sing Tennyson nie zainstalowała światła na piętrze, więc musiałem znaleźć świecę, żeby oświetlić sobie drogę do sypialni, gdzie zoba-

czyłem swój stary harpun wielorybiczny zawieszony z powrotem na ścianie. Harpun robił dość przygnębiające wrażenie – jego rdzewiejący grot ze stali, metr osiemdziesiąt długości, miał dziwne zadziory i był osadzony na drzewcu tyleż samo długim. Zabezpieczyłem nim drzwi, na wypadek, gdyby wróg próbował mnie zaskoczyć w nocy. Rozebrany, położyłem broń w zasięgu ręki, wsunąłem się pod patchworkową kołdrę Sary Sing Tennyson i zasnąłem.

Spałem jak zabity. Przespałem świt, poranek, przespałem nocny przyływ i przedpołudniowy odpływ.

Obudziłem się dopiero, gdy morze znowu wciskało się w kanały przecinające błota. Ostre zimowe światło padało na żółtą boazerię na ścianie i oświetlało sosnową komodę, na której Sara Sing Tennyson ustawiła dwie figurki Staffordshire terierów. Czulem woń oceanu i jej zapach na prześcieradłach i poszewce poduszki. Dawno już nie czulem takich zapachów w łóżku i, jak należało się spodziewać, od razu pomyślałem o Roisin.

Miałem po niej wiele kobiet, ale żadna nie była taka, jak ona. Niekiedy mówiłem sobie, że pewnie uromantyczyłem wspomnienie Roisin i uczyniłem z niego tarczę, broniącą mnie przed ponownym zaangażowaniem się, ale prawdę powiedziawszy, pragnąłem się z kimś związać. Chciałem być taki jak Johnny. Pragnąłem domu wypełnionego hałasem, w którym mieszkałyby dzieci, psy i panowałyby zamieszanie. Chciałem mieć żonę. Tęskniłem za tym, co w świecie uchodziło za normalność, a było rzadkim przywilejem, możliwym wyłącznie dzięki miłości.

Przewróciłem się na bok. Sara Sing Tennyson zawiesiła cztery grafiki na ścianie oddzielającej sypialnię od klatki schodowej. Przedstawiały jakieś odległe miasta. Widniały na nich kopuły, iglice, łuki. Gdzie je kupiła? Z kim? Jacy mężczyźni przychodzili do mojego domu, leżeli wśród tych prześcieradeł, golili się w mojej łazience i zabierali wieczorne drinki na molo, skąd patrzyli, obserwując wydłużające się cienie na bagnach? Czy zastraszonego William też tu spał i się budził, słysząc, jak fala przyływu wdierała się na błota?

Czulem zapach kobiety na rozgrzanej pościeli i byłem zazdrosny.

Przewróciłem się na plecy. Okno mansardowe w sypialni wychodziło na wschód i morze. Pewnego razu, gdy przyływ był wyjątkowo wysoki, widziałem zmarszczoną powierzchnię wody rozświetlaną przez wschodzące słońce, odbijającą się na suficie pokoju; zazwyczaj woda w czasie przyływu zatrzymuje się setki metrów stąd, pośród labiryntu kanałów wokół molo. Zawsze marzyłem o tym, by ustawić w najbliższym kanale puchówkę

typu *duck punt*, a w czasie przyływu, gdy fala obmywała Pochet Island, planowałem przycumować małego keta, na którym dziecko mogłoby pływać wokół wysp: Sampson, Hog, Sipson i Strong, aż do świeżo wyżłobionego przejścia w miejscu, w którym wielki Atlantyk przecinał plażę barierową, odcinając domy od brzegu Chatham. Było to miejsce dobre dla dorastających dzieciaków, prawdziwy boski plac zabaw. Tutaj dziecko mogło się wygłupiać i być bezpieczne. Mogło bawić się z psem na skraju fali pływowej, wygrzebywać z piasku małże, wdrapywać się na powalone drzewa, pływać kajakiem po zatoce ku pustym plażom nad oceanem. To było miejsce stworzone przez Boga w ten sposób, że telewizory kiepsko odbierały tu program, dzięki czemu dziecko mogło wzrastać z dala od tego najbardziej szkodliwego dla mózgu urządzenia.

Tylko że ja nie wychowam tu żadnych dzieci. Miałem czterdzieści lat, nigdy nie byłem żonaty, a Roisin, którą chciałem tu sprowadzić, bo byłaby zachwycona zatoką, plażami i morzem w oddali, nie żyła. Mój Boże, mam czterdzieści lat!, pomyślałem. W świecie terroryzmu byłem starcem. Większość dzieciaków zaczynała jako nastolatki i była wypalona krótko po dwudziestce. Chłopcy poznawali dziewczyny, które chciały mieć dzieci, a matki nie lubią, by ojcowie ich potomstwa odsiadali dożywocie w Long Kesh w Irlandii Północnej lub w więzieniu w Portlaoise i tak młode żony nakłaniały mężczyzn do porzucenia broni. Niektórzy, jak Seamus Geoghegan, utrzymywali się dłużej, ale tylko dlatego, że nigdy nie trafili pod pantofel.

Uśmiechnąłem się na myśl o Seamusie oglądającym mecz rozgrywany przez Celtów.

Nagle usłyszałem nad głową hałas. Zamarłem w bezruchu, a następnie powoli sięgnąłem prawą ręką po karabinek. Rozlegające się dudnienie było szybkie, nierówne i dotarło do mnie, że to tylko wiewiórka, która dostała się na dach ze swojej dziupli w którejś z sosen rosnących na północ od domu. Rozluźniłem się, oparłem łóżko broni na patchworkowej narzucie, kierując lufę ku sufitowi i przyglądałem się smukłym kształtom.

Byłem skory myśleć, że takie było moje przeznaczenie. Mój brat zginął w Wietnamie i ja również zginę z kulką w trzewiach albo w sercu, albo w mózgu. Umrę w chwili przyływu adrenaliny, strzelając do wroga, ale w końcu zastrzelony jak pies. Powiedziałem sobie jednak, że lepiej zginąć od kuli niż samotnie, pozbawiony miłości. Wybrałem swoją ścieżkę, aczkolwiek teraz, czując woń kobiety w łóżku, wątpiłem w to, by ten wybór był mądry bądź sprawiedliwy, bo przecież nie byłoby nic nudnego w wychowywaniu dzieci w tym dobrym miejscu.

Zmierzę się tu ze swoimi wrogami. Niczym zwierzę szukające schronienia wróciłem do domu, ale tylko po to, by grać o najwyższą stawkę z możliwych: o złoto i życie. Jeśli wygram, zostawią mnie tu w spokoju z pieniędzmi zaspokajającymi wszystkie potrzeby człowieka, dalekomorskim jachtem, kutrem rybackim... I z czym jeszcze? Z ketem, w którym nigdy nie będzie pływało żadne dziecko? Temu ckliwemu użalaniu się nad sobą będę mógł się oddawać w długie noce. Teraz, w skąpanym w świetle poranku, musiałem myśleć perspektywicznie i zastanowić się, gdzie czyhają zagrożenia.

Brendan Flynn był niebezpieczny. Ale on przebywał daleko i nie będzie chciał przeprowadzać operacji na amerykańskiej ziemi, ponieważ pierwszą zasadą w IRA było: „nie denerwować Amerykanów prawdą”. Z tego też powodu Brendan zostawi załatwienie sprawy Michaelowi.

Michael był zły, bo go ukąsiłem, a ukąszony Michael Herlihy był nieustępliwym wrogiem, aczkolwiek nie był głupcem. Wiedziałem, że trochę się wysili, by odzyskać złoto, ale jego starania będą dość subtelne i w końcu, jak przystało na prawnika, pójdzie na ugodę.

Może milion? To się wydawało godziwą stawką i z pewnością mogłem się postarać, by nie zabiegał o całe pięć milionów.

Brytole? Wątpiłem w to, że też byli zaangażowani w rozgrywkę. Michael Herlihy lubił sobie wyobrażać, że Brytyjczycy umieścili na amerykańskim brzegu ekipę zabójców, ale to było tylko jego myślenie życzeniowe.

Nie lubił myśleć o tym, że inni ludzie codziennie stoją w obliczu niebezpieczeństwa w slumsach Bogside lub za żywopłotami w południowej części hrabstwa Armagh, podczas gdy jemu żyło się łatwo w Nowym Świecie, dlatego też wymyślił sobie, że również i on w swoim biurze w centrum miasta lub ponurym apartamencie w pobliżu parku Boston Common był narażony na natarczywe pukanie do drzwi w środku nocy. Lecz nikt z jednostek antyterrorystycznych nie szukał na ulicach Bostonu Michaela Herlihy'ego. Mogłem więc zapomnieć o Brytolach.

Został mi najgroźniejszy z wrogów, il Hayaween.

Czy naprawdę przybędzie po mnie aż do Ameryki? To nie jest jego terytorium. Tutaj nie było palestyńskich slumsów, w których mogliby się ukrywać jego ludzie.

Ameryka była dla il Hayaweena obcym gruntem, błyszczącym niebem, które oślepiłoby archanioła Szatana. Nie ośmieliłem się go lekcewa-

żyć, aczkolwiek przybyłem do miejsca, w którym będzie musiał się na chwilę zatrzymać, bo o ile Palestyńczycy rozumieli Europę, to jednak czuli się nieswojo w Ameryce. Poza tym van Stryker zawsze pomoże mnie chronić, jeżeli pojawi się najmniejsza szansa na to, że il Hayaween będzie mnie szukał w Nowym Świecie. Przez chwilę poczułem się bezpieczny.

Wtem rozległ się dźwięk opon jadących po tłuczonych muszlach na podjeździe. Zerwałem z siebie pościel, zerwałem harpun z drzwi i odbezpieczając karabinek, zbiegłem po stromych schodach. Kucałem już przy wejściowych drzwiach, zanim zbliżający się samochód zdążył się zatrzymać. Serce przyspieszyło mi dwukrotnie w ciągu zaledwie piętnastu sekund.

Nasłuchiwałem. Opony miażdżące muszle zatrzymały się i usłyszałem zgrzyt zaciąganego ręcznego hamulca. Drzwi się otworzyły i w tym momencie szarpnąłem gwałtownie drzwi wejściowe i wymierzyłem broń prosto w klatkę piersiową intruza.

Czyli Kathleen Donovan.

Patrzyła na mnie i nagle zrozumiałem, że nikogo nie pragnąłem bardziej zobaczyć, bo nie załatwiłem z nią sprawy i jeśli kiedykolwiek miałem mieć czyste sumienie, to ona świetnie się nadawała do tego, bym zaczął proces oczyszczania. Dostrzegłem jej oczy szeroko otwarte na widok karabinku.

– Nie! – zawołała. – Nie!

– Przepraszam. – Zabezpieczyłem broń, odstawiłem ją i wyprostowałem się. – Przepraszam – powtórzyłem, bo nadal wydawała się przerażona; wtedy dotarło do mnie, że zbiegłem na dół nagi. – Wszystko w porządku – powiedziałem. – Obudziła mnie pani. Proszę wejść.

Ubiorę się. Zapraszam. Wrócę za minutkę.

Zmieszany pobiegłem na górę i modliłem się do Boga, żeby tym razem nie zmarnował okazji. Nie teraz, na Boga, nie teraz, kiedy wreszcie wróciłem i byłem tak przejmująco samotny.

Czekała przed domem. Nie przyjęła zaproszenia na kawę, nie zgodziła się nawet, by wejść do domu, ale poprosiła, żebyśmy przespacerowali się nad morze.

Była zdenerwowana, ale nie powinno mnie to zaskakiwać, bo pewnie wiedziała, że okłamałem ją w Nieuwpoort. Przyjazd do mojego azyłu na Cape Cod wymagał od niej prawdziwej odwagi.

– Skąd pani wiedziała, że tu będę? – spytałem.

– Nie wiedziałam. Miałam nadzieję. – Szła przede mną wąską ścieżką i patrzyła pod nogi. – Jeśli już pan musi wiedzieć – odwróciła się i spojrzała mi buntowniczo w twarz – to wynajęłam prywatnego detektywa, żeby dowiedział się o panu czegoś więcej. To on znalazł ten adres.

– I pani tak po prostu tu przyjechała?

– Bo chcę wiedzieć, dlaczego mnie pan okłamał odnośnie do Roisin. A może nadal pan utrzymuje, że jej nie znał?

– Znałem ją – przyznałem.

Szliśmy dalej w milczeniu. Piach na ścieżce był biały jak kości z powodu suchego, zimowego powietrza i ostrego słonecznego światła. W cieniu odległych wydm leżały niewielkie smugi śniegu, a resztki lodu połykiwały na krawędziach małych rozlewisk między wątlymi, bladymi trawami. Wiał słaby wiatr od północnego wschodu. Kathleen miała na sobie czarny płaszcz z czerwonymi mankietami i wysokim kołnierzem, który był postawiony i sięgał aż do wełnianej czapki z frędzlami.

– Nie żyje?

– Tak. Już od czterech lat.

Rozmawialiśmy bardzo sztywno.

– Jak to się stało?

Czułem, że się cały trzęsę i zdobyłem się tylko na wyrzucenie z siebie dwóch słów:

– Zastrzelono ją.

– W Irlandii?

– Nie.

– To gdzie?

Westchnąłem. Z moich ust wyleciała para, którą wiatr przegnał nad słone błota.

– Zginęła – odezwałem się – w palestyńskim obozie szkoleniowym zwanym Hasbaya. Pojechała tam uczyć się o bombach i zabijaniu. Tymczasem to oni ją zabili.

– Dlaczego? – spytała w ogromnym napięciu.

– Bo myśleli, że była agentką CIA.

– O Boże.

Przez chwilę myślałem, że Kathleen usiadzie na ścieżce i wyciągnę-
łem rękę, żeby ją podtrzymać, ale odtrąciła ją i odsunęła się. Szliśmy dalej
ścieżką, która wiała się pomiędzy kępami trzcin i traw, i doprowadziła nas
wreszcie do rozległej plaży opatrzonej barierą, na której rozbijały się
ogromne atlantyckie fale.

Kathleen zrobiła kilka kroków i odwróciła się.

Spojrzała na mnie wyzywająco tymi swoimi zielonymi oczami.

– Dlaczego nie powiedział mi pan o tym w Belgii?

– Ponieważ... – zacząłem, lecz urwałem. Prawda zabrzmiałaby głupio,
ale przecież obiecałem sobie, że powiem tej dziewczynie prawdę, więc od-
ważyłem się podać jej swoje kiepskie usprawiedliwienie. – Wiem, że to za-
brzmi głupio, ale pomyślałem, że może pani pracować dla Brytoli.

Zaśmiała się. Nie był to śmiech rozbawienia, tylko goryczy zaprawio-
nej szyderstwem.

– Najpierw Roisin jest w CIA, a potem ja pracuję dla Brytyjczyków?

Starłem się jej to jakoś wytłumaczyć.

– Ukrywanie się staje się stylem życia. Kłamstwo jest odpowiedzią na
każde pytanie. Przykro mi, naprawdę. Chciałem to pani powiedzieć, ale
zabrakło mi odwagi.

– Dlaczego więc teraz pan mi to mówi? – Znowu zaczęła iść.

– Bo już z tym skończyłem.

– Z czym? – zapytała drwiąco. – Z IRA?

– Byłem w IRA – powiedziałem ostrożnie – ale tylko dlatego, że popro-
sił mnie o to ten kraj.

Nie. To nie było prawdą. I tak bym wstąpił do organizacji, bo to byli
moi ziomkowie, przygoda. Ale czy bym tam pozostał? Czy mógłbym zostać
po tym, jak zobaczyłem dorosłego człowieka skurczonego do rozmiarów
dziecka przez bombę zrobioną z benzyny zmieszanej z płatkami mydlany-
mi, przez które ogień przyklejał się do ciała jak napalm?

– Pracowałem dla CIA – wyznałem.

Zerknęła na mnie po czym odwróciła wzrok. Wiedziałem, że mi nie
uwierzyła, aczkolwiek była zbyt uprzejma, by to powiedzieć.

– A Roisin? – zapytała. – Też pracowała zarówno dla CIA, jak i dla IRA?

– Nie była w CIA.

– To dlaczego ją zastrzelili?

Opowiedziałem jej o tym, jak ktoś zdradził Seamusa, co też zabrzmiało kulawo. Zacząłem już żałować, że Kathleen Donovan w ogóle przyjechała, żeby spotkać się ze mną w ten jasny poranek, lecz wróciłem do początku, do samego początku w zadymionym pubie w Dublinie, do którego Roisin weszła z kroplami deszczu lśniącymi w jej włosach. Skończyłem mówić, gdy doszedłem do układania kamieni na jej grobie. Pomiąłem Axela i tylko krótko rzuciłem coś o końcu naszego związku, resztę natomiast przedstawiłem zgodnie z prawdą.

– A więc nie ma porządnego grobu? Z attyką? – spytała, gdy dotarłem do końca opowieści.

– Zamówiłem za nią msze w Dublinie – poinformowałem zgodnie z prawdą.

Kathleen wzruszyła ramionami, jakby msze zdały się na nic. Przez długi czas szła w milczeniu, a potem zaczęła mówić o swojej starszej siostrze i o tym, że Roisin nawet w dzieciństwie była opętana wizją Irlandii.

– Po raz pierwszy pojechała tam jako czternastolatka, ale mówiła już wtedy po gaelicku i potrafiła wymienić nazwy wszystkich hrabstw i ulic od St. Stepehn's Green po Phoenix Park.

– Pamiętam, jak swego czasu oglądałem z nią wiadomości z Londynu. Na koniec zawsze podawali prognozę pogody. Powiedzieli, że tego dnia będzie słonecznie w Anglii, Szkocji i Walii, nad Irlandią zaś przejdą chmury i deszcz. Roisin się wściekła, bo uznała, że angielscy meteorolodzy są anty-irlandzcy.

Kathleen uśmiechnęła się w podziękowaniu za tę anegdotkę, a ja pomyślałem o tym, jak bardzo była podobna do Roisin. Odwróciłem wzrok, bo nie chciałem dać znać po sobie niczego; nie tego zimnego dnia, gdy w końcu wyjawiałem większą część swoich grzechów.

Szliśmy na południe. Po prawej od nas widziałem swój dom, a po lewej za wydrami kipiał ocean.

– Zawsze chciałem, żeby Roisin tu ze mną zamieszkała – wyznałem Kathleen. – Marzyłem o tym, że będziemy wychowywać dzieci, jeździć na zakupy w weekendy i żeglować po zatoce.

Kathleen spojrzała na mnie bacznie, zaskoczona i przez moment miałem wrażenie, że się rozplacze, ale zamiast tego uśmiechnęła się smutno.

– Roisin nie miała silnego instynktu macierzyńskiego. Zmieniła się w Irlandii?

Pokręciłem głową.

– Nie zmieniła się. Aż do dnia śmierci była Cathleen ni Houlihan.

Cathleen ni Houlihan była wielką waleczną bohaterką irlandzkich legend.

Kathleen znowu uśmiechnęła się z uznaniem.

– Gdy miała osiem lat, zaproponowała mi, że będzie mi oddawała swoje kieszonkowe aż do końca życia, zaznaczam, całe kieszonkowe, jeśli się z nią zamienię na imiona. Tak bardzo chciała być Kathleen.

Doszliśmy do pierwszego rzędu wydm i teraz przechodziliśmy przez nie w stronę morza.

– Chciała podpisać naszą umowę o wymianie imion krwią. Przygotowała nawet kuchenny nóż. – Kathleen roześmiała się na to wspomnienie i spojrzała na mnie oskarżycielsko. – Czy Roisin wstąpiła do IRA z pańskiego powodu?

– Bynajmniej, ale to ja ją wprowadziłem.

– Zabiła kogoś? – To było wrogie pytanie.

– Nie bezpośrednio. Przynajmniej o tym nie słyszałem. – Zrobiłem kilka kroków w milczeniu. Próbowałem ją powstrzymać przed przyłączeniem się do organizacji, ale bezskutecznie. Gdy wyjechałem z Belfastu, została tam sama. Wiem, że nikogo nie zastrzeliła, ale to dlatego, że nie potrafiła posługiwać się bronią. Zamykała oczy, zanim pociągnęła za cyngiel, przez co strzelała beznadziejnie. Jednak starała się, na ile tylko mogła. Opowiedziała mi, jak kiedyś poszła do baru, szukając jakiegoś mężczyzny. Udawała amerykańską dziennikarkę. Gdy go już znalazła, wyszła na zewnątrz i powiedziała naszym ludziom, gdzie go znajdują. Dzięki temu mogli podejść prosto do jego stolika, nie ściągając na siebie niepotrzebnego zainteresowania zadawaniem pytań. Była też sfrustrowana. Nie wierzyli jej w pełni, nie tak jak swoim ludziom. Wykorzystywali nas, gdy mogliśmy być przydatni, ale w Belfaście nigdy nam tak do końca nie ufano. Pewnie dlatego Roisin chciała przejść szkolenie w Hasbaya; chciała się przygotować do kampanii w Londynie.

Amerykanka nie wyróżnia się w tym mieście tak, jak w Belfaście czy Derry.

Kathleen szła nadal ze spuszczoną głową. Przeszliśmy przez piaszczystą drogę prowadzącą do domków letniskowych przy odległym końcu plaży i pokonaliśmy ostatnią linię wydm, zanim dotarliśmy do morza.

– Zdradził ją pan?

– Ja?

– Mówił pan, że pracował dla CIA. Na pewno pan o niej wspomniał, opowiadając o pozostałych. – Jej głos był wrogi, gdy z wściekłością wygłaszała oskarżenie.

– To nie odbywało się w ten sposób. – Wiedziałem, że nie wolno mi opisać programu „bez sznurków” van Strykera. – Nie doniosłem na nią. Kochałem ją.

– Chciał pan, żeby mieszkała z panem w Belgii?

– Bardziej, niż czegokolwiek innego na świecie.

– Przeszedłem obok piór i kości zdechłej mewy i opowiedziałem o zakończeniu naszej miłości. – Roisin uważała, że moja praca w Belgii będzie nudna. To było za daleko od walk z bronią w rękę. Nadal pracowałem dla IRA, ale nie mogłaby mi pomóc w tej pracy, a tak bardzo pragnęła być w samym sercu działań. Ja miałem funkcjonować na obrzeżach, tak więc odmówiła wyjazdu ze mną. Spotykaliśmy się, gdy tylko mogliśmy, albo gdy mnie udawało się ją do tego przekonać. Czasami leciałem do Dublina, kiedy indziej ona przyjeżdżała do mnie. Raz pomogła mi dostarczyć jacht z Hiszpanii do Szwecji. Wydawało mi się, że była taka szczęśliwa w czasie tej podróży.

Przerwałem, wspominając prawdziwe szczęście Roisin, dźwięk jej śmiechu, delikatność, która była w jej przypadku tak zaskakująca – mogła sobie na to pozwolić, gdy była daleko od nienawiści. Tyle tylko, że to ta nienawiść była siłą, która ją napędzała. Podróż sprawiała jej przyjemność, ale Roisin miała poczucie winy, że przebywa tak daleko od walk.

– Chciałem ją poślubić – wyznałem Kathleen – ale nie była tym zainteresowana.

Zatrzymałem się na grzbiecie wydmy i ujrzałem rozjuszony morze, które się kotłowało i toczyło morską pianę wzdłuż niekończącego się piaszczystego brzegu.

– Czy był jakiś inny mężczyzna? – spytała Kathleen z okrutną przenikliwością.

– Tak.

Wielkie fale rozbijały się bez końca o opustoszałą plażę.

– Kto? – dociekała Kathleen.

Przeczekala moje milczenie, więc w końcu kontynuowałem, choć nie chciałem.

– Pierwszy, o którym wiedziałem, pojawił się jeszcze przed moim wyjazdem z Belfastu. Nazywał się John Macroon. Był młodszy od Roisin. Dziki chłopak, w gorącej wodzie kąpany. Boże, ależ on był szurnięty. Zdobylby się na wszystko. Był też dobrym irlandzkim katolikiem, który bał się potwornie kobiet, ale wiedziałem, że Roisin przełamała jego obawy. Zorientowałem się po tym, jak mówiła. Nigdy nie ośmieliłem się jej o to zapytać, na wypadek, gdyby zechciała odpowiedzieć. Raz przyszła do mnie z posiniaczoną twarzą. Wiedziałem, że to on ją uderzył, ale nie powiedziała mi, skąd się wzięły jej siniaki. Nie chciałem wierzyć, że było ją stać na niewierność, więc udawałem, że wszystko było między nami dobrze. Macroon zginął, zastrzelony przez żołnierza. Wpadł w zasadzkę. Był w drodze do wiejskiego posterunku policji, gdzie miał podłożyć bombę. Żołnierze wiedzieli, że ma się tam pojawić i zastrzelili go. Bez ostrzeżenia, bez pytań, po prostu kropnęli. Tej nocy Roisin płakała tak, że jej łzy mogłyby zatopić Irlandię. Wtedy mi o nim powiedziała.

Przykucnałem u podnóża wydmy na skraju plaży. Na morzu nie było łodzi. Do oczu napłynęły mi łzy, za co obwiniałem wiatr pachnący solą i muszlami.

– Macroon traktował ją bardzo szorstko, ale ona stwierdziła, że nie chciała, żeby umierał nie poznawszy kobiety. Jezu! – rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

Chryste, jak bardzo chciałem nie pamiętać, a przecież pamiętałem tak dobrze. Pamiętałem swój ból i potrzebę poznania każdego cholernego szczegółu tego, co ja uważałem za zdradę, a Roisin za gest pocieszenia bohatera. Pamiętałem jej bezczelność, jej złość na mnie, jej nienawiść wobec mojej wrażliwości, choć później, gdy nocą zalewała się łzami, pragnęła mojego pocieszenia.

– Twierdzi pan, że Macroon był pierwszy? – zagadnęła Kathleen.

– Byli też inni – odpowiedziałem i zamilkłem na dłuższą chwilę, w czasie której z tuzin wielkich fal roztrzaskało się o pusty brzeg. – Przykro

mi, że nie powiedziałem pani nic z tych rzeczy w Belgii. Chyba powinienem był napisać do pani rodziny po tym, jak zginęła, ale Roisin nie była typem osoby, która kojarzy się z posiadaniem rodziny.

Kathleen znalazła małe okruchy muszli, które rzucała leniwie w kierunku plaży.

– Chyba wszyscy wiedzieliśmy, że nie żyje. Coś takiego da się wyczuć, prawda? Zwykle pamiętała, żeby przysłać kartkę na Boże Narodzenie albo na urodziny mamy, ale gdy nie odzywała się tak długo... – Wzruszyła ramionami. – Chcieliśmy jednak wiedzieć, mieć pewność. Mamie nie zostało już dużo czasu. Tata też jest słaby, więc obiecałam im, że się dowiem.

Nad naszymi głowami krzyknęła mewa. Kathleen odgarnęła z oczu kosmyk ciemnorudych włosów.

– Co pani powie rodzicom?

Milczała dość długo i znowu wzruszyła ramionami.

– Chyba ich okłamię. Powiem, że zginęła w wypadku samochodowym, dostała ostatnie namaszczenie i że została należycie i po katolicku pochowana. Mama i tata chyba nie chcą znać prawdy. Nie pochwalają terroryzmu. Ja zresztą też nie. – Ostatnie słowa wypowiedziała bardzo dobitnie i cisnęła przed siebie ostatni kawałek muszli, który upadł na piach. – Musiałam przemyśleć kwestię terroryzmu z powodu Roisin.

Jeszcze zanim wyjechała do Irlandii, wierzyła w skuteczność przemocy. Zbierała pieniądze na ten cel i wycinki z gazet na temat zabitych brytyjskich żołnierzy i irlandzkich policjantów. Mama tego nie znosiła. Uważała, że Roisin była chora, ale tata stwierdził tylko, że to jest irlandzka przypadłość i dobry powód, by mieszkać w Ameryce.

– A co, jeśli nie można mieszkać w Ameryce? – zapytałem. – Jeśli jest się katolikiem mieszkającym w protestanckim Ulsterze?

– To nie jest wytłumaczeniem dla morderstwa – Kathleen stwierdziła stanowczo. – Jeśli ludzie z IRA nie mogą założyć mundurów i stanąć do otwartej walki, nie są prawdziwymi mężczyznami. Są arogantami, którym wydaje się, że wiedzą coś lepiej od pozostałych Irlandczyków. Prawda jest jednak taka, że będą się smażyć w takim samym piekle, jak ci, którzy podłożyli bombę w samolocie linii Pan Am albo ludzie, którzy strzelali do zakonnic w El Salvador, albo terroryści, którzy zabili naszych żołnierzy piechoty morskiej w Libanie. – Odwróciła się i spojrzała na mnie wojowniczo. – Przypuszczam, że uważa mnie pan za bardzo naiwną osobę. A może głupią?

Wpatrywałem się w morze.

– Brytyjczycy robili Irlandczykom potworne rzeczy.

– Tak jak my Indianom. Uważa pan, że Cherokee lub Siuksowie powinni móc podkładać bomby w centrach handlowych lub urządzać zasadzki na amerykańskich wojskowych?

– Nie myślę tak.

– A więc co pan myśli?

Wiedziałem, że mój cel wesprze tylko odpowiedź o najwyższym stopniu szczerości, a moim celem nie było karmienie dumnej lojalności wobec własnej grupy, czy bycie bezczelnym, ale chęć zareagowania na prawdę Kathleen z równą uczciwością.

– Uważam – mówiłem powoli – że terroryzm jest zły, ale sądzę też, że jest kuszący, ponieważ kobiety i mężczyźni toczący tajną wojnę mają w sobie pewną wspaniałość. Tak naprawdę, a Bóg jeden wie, jak niechętnie to przyznaję, wszyscy wiemy, że Brytyjczycy zrobiliby niemal wszystko, żeby uwolnić się od Irlandii.

Wszyscy się jednak zgadzają, że doszłoby do potwornego rozlewu krwi, gdyby wyszli z Irlandii. Katolicy napadliby na protestantów albo protestanci na katolików. Właśnie ta groźba przemocy jest jedynym usprawiedliwieniem tego, że brytyjscy żołnierze pozostają w Irlandii i z tego względu każda bomba i kula wykorzystane przez IRA tylko umacniają to usprawiedliwienie.

Tak więc IRA, INLA, UVF i UDA to jedyni ludzie, przez których Brytyjczycy nadal tam są, bo tak naprawdę, to jak cholera nie chcieliby tam być. Nienawidzą tego miejsca! Lubią Wolne Państwo, ale nie lubią Ulsteru i nie znoszą tamtejszych protestantów! Kto na świecie lubiłby protestantów z Irlandii Północnej? Myśli pani, że Dublin miałby ochotę wchłonąć ten milion upojonych Bogiem, nieustępliwych maniaków? A kto będzie ich bronił, jeśli przestaną to robić Brytyjczycy? – Przerwałem, wpatrując się w szary horyzont. – Według mnie to wszystko nie ma nawet krzty sensu, bo żadna bomba nie przybliżyła wolnej Irlandii nawet o dzień, niemniej nadal nie wiem, jak szanujący się gość, dorastający w Ballymurphy, Turf Lodge lub Bogside, mógłby nie zajmować się bombami. To jest tragiczny, beznadziejny i przygnębiający bajzel. Oto, co myślę.

– A CIA chce się angażować w ten bajzel? – spytała, okazując swoje niedowierzanie w fakt, że pracowałem dla amerykańskiego rządu.

– Nie wiem. – Robiło mi się zimno. – Nigdy nie byłem agentem z prawdziwego zdarzenia. Nie składałem przysięgi ani nic w tym stylu. Nawet mi nie płacili, ale poprosili mnie, żebym się czegoś dowiedział, więc się dowiedziałem. Nie na temat IRA. To była tylko moja brama. – Kulawo to brzmiało, ale tylko tyle mogłem powiedzieć. – Dla mnie to była swego rodzaju gra, ale nie dla Roisin. Ona walczyła za sprawę. To dlatego chciała jechać do Hasbaya. Chciała się nauczyć zabijać bez mrugnięcia okiem. Chciała wywalczyć Irlandię w pojedynkę, a ja chciałem się dobrze bawić.

Z tego też powodu zabiłem Liama i Gerry'ego; bo stali mi na drodze do złota. Nie zginęli ze względu na Irlandię, Amerykę czy cokolwiek innego. Tylko dla mnie. Czuję się przez to płytki, ale nie wiedziałem, co uczynić, by się poczuć głębokim. Przypomniały mi się oczy Liama odbijające zielone światło i wzdrygnąłem się.

Kathleen przypatrywała mi się dłuższą chwilę.

– Roisin naprawdę pana zraniła, prawda?

Jakież blade było to morze i jakie zimne.

– Bardziej, niż wydawało mi się to możliwe – przyznałem. – Bardziej, niż wydawało się możliwe.

– Chętnie napiję się tej kawy – odezwała się cichym, wymuszonym głosem – jeśli zaproszenie jest nadal aktualne.

– Jak najbardziej – odpowiedziałem.

Oddalaliśmy się od morza. Nasze długie cienie odcinały się na tle białego zimowego piachu.

W drodze powrotnej nie rozmawialiśmy dużo. Bałem się jej dezaprobaty, a ona miała dużo do przemyślenia.

Prowadziliśmy grzecznościową rozmówkę o tym, jak dobrze jest mieszkać nad morzem, że było zimno, ale że zima okazała się jednak relatywnie łagodna. Gdy zbliżaliśmy się do domu, zapytałem, gdzie mieszka. Odpowiedziała, że w Maryland, niedaleko rodziców. Była higienistką stomatologiczną.

– Chwilowo nie pracuję.

– Nie sądziłem, że recesja może mieć wpływ na tę branżę.

– Ma, aczkolwiek to nie z tego powodu nie mam pracy. Byłam na tyle głupia, że wyszłam za męża za dentystę. Rozwodzimy się. To jest niezły bajzel – mówiła z rezygnacją w głosie. – Przynajmniej nie mieliśmy dzieci.

– Ach.

To nie była adekwatna wypowiedź, ale tylko na tyle mnie było stać. Denerwowałem się, bo tak bardzo chciałem, żeby Kathleen mnie polubiła. Nagle poczułem, jakby cała moja przyszłość zależała od jej akceptacji mojej osoby. Widziałem w niej spokojniejszą, delikatniejszą Roisin.

– David odszedł do jednej z pacjentek – ciągnęła i pokręciła głową. – Niekiedy zastanawiam się, dlaczego unieszczęśliwiamy się nawzajem. Chyba nie tak miało być, prawda?

Przyszło mi na myśl, jak marzyłem o wychowywaniu dzieci Roisin nad wodą.

– Nie. Nie tak miało być.

Pomyślałem też o Johnnym Riordanie, wiedząc, że spośród moich przyjaciół przynajmniej jeden jest szczęśliwym człowiekiem. Wtedy przypomniało mi się, że miałem zadzwonić do Johnny'ego, aczkolwiek nie z domowego telefonu i zastanawiałem się, czy Kathleen podwiezie mnie do budki telefonicznej przy małym kompleksie handlowym. Najpierw jednak musiałem zrobić dla niej kawę.

– Mam tylko kawę kofeinową – odezwałem się, gdy obchodziliśmy dom z boku. – I to nawet nie jest moja kawa. Należy do kogoś, kto mieszka w moim domu na dziko.

– To może nie będę piła tej kawy. – Zatrzymała się na rogu domu i posłała mi nerwowy uśmiech. – Może powinnam już jechać.

– W porządku. – Ukryłem swoje rozczarowanie. – Może mnie pani podwieźć do głównej drogi?

– Jasne – potaknęła.

– Wezmę tylko drobne na telefon – powiedziałem i pchnąłem drzwi od strony kuchni, które zostawiłem otwarte, ponieważ Sara Sing Tennyson nie była uprzejma zostawić dla mnie klucza po wymianie zamków.

I ujrzałem ją. Sara Sing Tennyson stała w mojej kuchni z plastikową butelką w prawej dłoni.

Zacząłem wykonywać obrót. W kieszeni sztormiaka miałem colta 45, ale była o wiele szybsza ode mnie.

Nacisnęła butelkę i moje ręce powędrowały ku piekającej mnie twarzy. Usłyszałem Kathleen krzyczącą ze strachu. Jakaś postać przebiegła przez kuchnię i powiedziała jej, żeby się nie martwiła, że nic mi się nie stało.

A potem coś uderzyło mnie mocno w głowę. Kolana się przede mną ugięły. Jakiś mężczyzna stęknął, gdy uderzył mnie ponownie i wokół mnie zapanowała ciemność.

CZEŚĆ TRZECIA

Odzyskałem przytomność w jadącym samochodzie. I tylko tyle mogłem stwierdzić – że pojazd się poruszał – ponieważ na głowę miałem zarzucony worek i leżałem zwinięty jak embrion na wykładzinie podłogowej w furgonetce. Oczy bolały mnie potwornie, twarz mnie piekła, a nozdrza wypełniała mi woń amoniaku. Spróbowałem się wyciągnąć, ale odkryłem, że byłem spętany. Z jakiegoś jednak powodu nie miałem w ustach knebla.

– Kto do diabła... – zacząłem, ale nie dokończyłem.

Krzyknąłem. Poczułem koszmarny ból w okolicy nerek. Był potworny; wywołująca łkanie, rozrywająca trzewia lanca przerażenia wbiła mi się w brzuch. Potrzeba było chyba kilku minut, żeby ból osłabł. Z trudem łapałem dech i lekko się zakrztusiłem smakującymi żółcią wymiocinami. Zaciśkałem oczy, bo otwarcie ich oznaczałoby zaproszenie dla piekącego bólu powodowanego przez amoniak. Przypomniałem sobie o Kathleen i przestraszyłem się, że mogła ucierpieć w czasie wizyty w moim domu, gdy ci dranie urządzili na mnie zasadzkę.

– Proszę... – odezwałem się pokornie, ale gdy tylko otworzyłem usta, znowu poczułem rozrywający ból w plecach, a mój krzyk przypominał skowyt rannego zwierzęcia.

Samochód, jeśli to był samochód, skręcił gwałtownie i oparłem się o parę nóg. Gdy gasnący ból pozwolił mi znowu myśleć w miarę jasno, uznałem, że jestem raczej z tyłu osobowego auta, a nie furgonetki i leżę na podłodze, wciśnięty między przednie i tylne siedzenie.

Dźwięki pracującej przekładni podpowiedziały mi, że wóz miał automatyczną skrzynię biegów. Wiedziałem, że jedna osoba siedziała za mną po prawej stronie, więc wychyliłem się lekko w lewo, żeby sprawdzić, czy ktoś był z drugiej strony, ale gdy tylko się poruszyłem, jakaś ręka uderzyła mnie mocno w głowę. Chcieli, bym pozostawał w bezruchu i żebym leżał cicho; ból, który mi do tej pory zadali, przekonał mnie do tego, aby respektować ich życzenia. Tak więc leżałem nieruchomo i cicho.

Bałem się przy tym okropnie, jeśli to określenie oddaje rozluźniające zwieracze przerażenie, które mną telepało. Kimkolwiek byli ci ludzie, byli ekspertami.

Złapali mnie umiejętnie i skutecznie, co wskazywało na długoletnią praktykę. Niczego nie podejrzewałem i wszedłem w ich zasadzkę jak dzieciak. Unieruchomili mnie w kilka sekund, a teraz wieźli mnie dokądś, a ja byłem bezradny. Jeśli tylko się poruszyłem, czułem ból.

Tresowali mnie jak psa, panowali nade mną i nie mogłem zrobić absolutnie nic, by to ukrócić. Nic a nic.

Jeśli ci ludzie postanowili mnie zabić, to zginę jak pies, bo byli dobrzy w tym, co robili.

Samochód zjechał z drogi. Poczulem, jak nim zabujało, kiedy przejechał nad progiem. Usłyszałem dźwięk opon zatrzymujących się na żwirze. Nie miałem pojęcia, jak długo jechaliśmy. Nie wiedziałem nawet, czy nadal jesteśmy na terenie przylądka.

Zdaje się, że auto wjechało na ogrodzony teren.

Słyszałem głośny warkot jego rury wydechowej. Wyłączono silnik i usłyszałem, że otwarto drzwi. Czworono.

W moją stronę sięgnęła czyjaś ręka, chwyciła pętające mnie liny i z wielką siłą wyciągnęła mnie z pojazdu na zimną, twardą podłogę.

Poczulem, że ktoś ukląkł przy mnie. Coś zimnego dotknęło kostki; wyobraziłem sobie ostrze noża i zakwiliłem ze strachu, ale nóż tylko przeciął pęta na nogach.

Ktoś mnie dźwignął na nogi. Zachwiałem się, ale zdołałem ustać. Nadgarstki nadal miałem związane, a na głowie miałem ciężki wór, ale poza tym nie byłem już skrepowany.

Pchnięto mnie do przodu. Potknąłem się i ruszyłem z trudem. Gdy wpadłem w zasadzkę, miałem na sobie buty i skarpety, ale zdjęto je ze mnie, podobnie jak sztormiak i teraz, o ile mogłem to stwierdzić, byłem ubrany tylko w dżinsy, bieliznę, koszulę i sweter. Zabrano mi broń, zabrano wszystko z wyjątkiem tego skromnego odzienia. Znowu mnie pchnięto i starałem się przyspieszyć, ale w rezultacie tylko uderzyłem czubkiem bosej stopy w kamienny stopień. Krzyknąłem, upadłem i pozbierałem się, zanim zdążyli mnie uderzyć. Wydawało się, że wszedłem do korytarza z mięsistym dywanem. Nagle zrobiło się ciepło.

Dotknęła mnie czyjaś dłoń. Usłyszałem, że otworzyły się drzwi. Ręka skierowała mnie w prawo i lekko pchnęła, bardzo delikatnie; wyczułem, że powinienem zachować ostrożność i rzeczywiście stwierdziłem, że moja stopa zawisała w powietrzu. Krzyknąłem, myśląc, że wpadnę w przeraźliwą otchłań, ale ręka mnie podtrzymała i dotarło do mnie, że oni po prostu wprowadzali mnie na drewniane schody.

Zszedłem nimi do czegoś, co było zapewne piwnicą.

Moi oprawcy stąpali ciężko po drewnianych stopniach, a dudnienie to odbijało się echem od betonowej podłogi. Na dole pchnięto mnie, bym zrobił kilka kroków przed siebie. Znowu ktoś mnie dotknął. Chcieli, żebym stał spokojnie.

Zastosowałem się do tego. Trząsałem się. W piwnicy było zimno. Nic nie słyszałem.

Nagle przecięto nożem pęta na nadgarstkach i sznur opadł na ziemię. Krzyknąłem, spodziewając się poczuć nóż w brzuchu, ale nic się nie wydarzyło. Potarłem nadgarstki i podniosłem ręce, by dotknąć worka na głowie.

Dostałem po nerkach pałką.

Wrzasnąłem i prawie się przewróciłem, ale czyjeś ręce mnie podtrzymały. Znowu zrobiło mi się niedobrze. Ból falował we mnie, cofał się, znowu falował; to były czerwone fale bólu, który mi przypominał, że życzyli sobie, abym stał nieruchomo.

Stałem więc.

Ręce chwyciły mój sweter i szarpnęły do góry. Bez zastanowienia cofnąłem się o krok i znowu poczułem smagnięcie bólu; ktoś uderzył mnie z wielkim znawstwem i ból przewędrował wzdłuż pleców. Przykucnąłem, by przed nim uciec, lecz ręce trzymające za sweter znowu szarpnęły.

Chcieli zdjąć sweter. Szlochając, nie mogąc się opierać, podniosłem ręce i zerwano ze mnie wełniany sweter. Worek na głowie był związany na szyi, więc pozostał na miejscu.

Czyjeś palce dotknęły mojego gardła. Były ciepłe, delikatne, muskały skórę. Lekkość tego dotyku przeraziła mnie, ale po chwili pojałem, że palce tylko rozpięły guziki mojej koszuli. Trząsałem się ze strachu, gdy przesuwaly się po klatce piersiowej i brzuchu, a potem wyciągnęły koszulę z dzinsów i zerwały ją ze mnie.

Krzyknąłem, gdy palce gładziły mnie po brzuchu.

Tyle tylko, że to nie był pieszczotliwy ruch. Ktoś rozpiął mi pasek przy spodniach, a potem zamek džinsów.

Ta osoba zerwała ze mnie spodnie, a potem majtki.

Posłusznie, chcąc pomóc i przypodobać się tym pozbawionym skrupułów oprawcom, aby przestali mnie krzywdzić, wyszedłem z ubrania.

Byłem nagi i marzłem. Byłem obolały i przerażony.

Czyjeś dłonie znowu dotknęły mojego gardła. Jęknąłem cicho i dotarło do mnie, że te ciepłe palce tylko rozwiązują worek, który miałem na głowie. Poczulem, że ta osoba zrobiła krok do tyłu. Ktoś zerwał wór z mojej głowy i natychmiast oślepiło mnie światło; nadal widziałem nieostro, a oczy piekły mnie od amoniaku.

Jednak mogłem wreszcie zobaczyć, gdzie się znajdowałem i kto mi towarzyszył.

Stała przede mną Sara Sing Tennyson. Trzymała moje ubranie. Obok niej stał wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna mający na głowie czarną kominiarkę, ulubioną część garderoby członków IRA, gdy fotografują ich dziennikarze. Dzianina zakrywała wszystko z wyjątkiem oczu i ust. Widziałem, że ten człowiek miał wąsy i błękitne oczy, ale poza tym jego twarz była zasłonięta. Mężczyzna miał na sobie czarne skórzane rękawiczki, czarny sweter, czarne buty i czarne spodnie.

Czułem, że za mną stoi co najmniej jedna osoba, ale nie odważyłem się odwrócić, żeby nikt mnie nie uderzył.

Piwnica miała kamienne ściany i nie było w niej nic z wyjątkiem zwiniętego szlauchu ogrodowego przymocowanego do kranu nad metalowym zlewem przykręconym do jednej ze ścian. Pomieszczenie było ogromne, co sugerowało, że budynek był duży, natomiast panująca tu pustka wskazywała na to, że dom był opuszczony. Drewniane schody znajdowały się na lewo ode mnie i wspinały się stromo ku zamkniętym drzwiom. Oświetlenie stanowiła pojedyncza żarówka i choć była słaba, zdołała mnie oślepić na kilka sekund po tym, jak ściągnięto mi z głowy worek. Podłoga była wykonana z surowego betonu i tylko na jej środku znajdował się odpływ, który w tych okolicznościach budził podobne obawy, co ogrodowy szlauch.

Sara Sing Tennyson przewiesiła sobie moje ubrania przez ramię. Trzymała też nożyczki. To były nożyce krawieckie z czarnymi uchwyty i trzydziestocentymetrowej długości ostrzami.

Nie odzywała się, ale gdy się upewniła, że nożyce przykuły moją uwagę, zaczęła ciąć odzież na kawałki.

Najpierw pocięła koszulę, potem sweter, następnie majtki, a na końcu dżinsy. Robiła to powoli, jakby dla podkreślenia dzieła zniszczenia i często na mnie zerkała, sprawdzając, że jestem świadom jej poczynań. Po kolei uczyniła z moich ubrań skrawki piętrzące się u jej stóp. Zgrzyt ostrzy ocierających się o siebie nawzajem tworzył złowrogi, metaliczny dźwięk, odbijający się echem w piwnicy. Te dźwięki, jak i ten głupi pokaz niszczenia moich ubrań miały na celu podkreślenie mojej bezbronności. Byłem nagi i nie miałem szans na ucieczkę bez pomocy moich oprawców. Uczynili ze mnie trzęsącego się, przerażonego, nagiego, zależnego od nich człowieczka. Każdy szczęk nożyc przypominał mi, że byłem całkowicie zdany na wątpliwą łaskę Sary Tennyson i jej kolegów. Jakby w celu jeszcze wyraźniejszego podkreślenia tejże zależności, gdy skończyła z moimi ubraniami i ostatni skrawek materiału upadł do jej stóp, rzuciła okiem na moje skulone przyrodzenie i rozwarła nożyce szeroko, tak że od stali odbiło się światło. Poczujęm, jak się skuliłem jeszcze bardziej.

Uśmiechnęła się, widząc, że upokorzyła mnie ostatecznie.

– Odpowiedz na kilka pytań – odezwał się nagle mężczyzna w kominiarce stojący obok Sary Sing Tennyson i jego głos był pierwszą wskazówką odnośnie do tego, kim mogli być moi porywacze; człowiek ten mówił z ostrym północnoirlandzkim akcentem, jakże ohydny w zestawieniu z uwodzicielską kadencją akcentu południowo-irlandzkiego. – Gdzie jest łódź?

Musiałem się jakoś wykręcić od odpowiedzi. Chryste Panie! Nie mogłem się tak po prostu poddać.

– Jaka łódź? – spytałem i od razu krzyknąłem, bo za mną nie stał jeden człowiek, tylko dwóch.

Obaj byli w kominiarkach i uderzyli mnie równocześnie. Upadłem i tym razem nikt nie próbował mnie podtrzymać. Mężczyzna, który zadał pytanie, kopnął mnie, a potem wszyscy trzej pracowali nade mną, wymierzając mi krótkie, ostre ciosy, które mnie przeszywały, wstrząsały mną i paraliżowały mnie bólem. Nie byłem w stanie kontrolować ani odbytu, ani pęcherza i gdy skończyli, byłem zapłakany i brudny.

Sara Sing Tennyson nie przyłączyła się do bicia, ale przyglądała się akcji z lekkim uśmieszkiem. Trzej mężczyźni mieli zasłonięte twarze, byli w rękawiczkach i ubrani na czarno. Byli ekspertami w zadawaniu bólu i upokarzaniu; podejrzewałem, że nie pobierali lekcji od mistrzów tortur, tylko psychiatrów. Przypomnieli mi się ci bezimienni ludzie, którzy jechali z Belfastu do Libii, by poznać nowoczesne techniki prowadzenia przesłu-

chania i wiedziałem, że nie będę miał wyboru i będę musiał powiedzieć im wszystko, co chcą wiedzieć. Oczywiście chciałem być dzielny.

Chciałem dorównać tym wszystkim ludziom, którzy twierdzili, że wytrzymali sesję w piwnicy komisariatu Castlereagh, aczkolwiek cały Belfast wiedział, że takie opowieści były tylko pompatycznymi przechwałkami.

Wszyscy pękali. Jedyna różnica polegała na tym, że jedni wyjawiali swoje tajemnice, znosząc koszmarny ból, a inni pozbywali się ich szybko, by uniknąć cierpień.

– Wstań – polecił mężczyzna.

W jego głosie nie było emocji, jedynie zrezygnowane tony sugerujące, że ten człowiek wykonywał tylko swoją rutynową pracę.

Podniosłem się z trudem. Łkałem i jęczałem, bo ból był teraz jakby moją drugą skórą. Jeden z mężczyzn podszedł do ściany i rozwinął szlauch. Odkręcił kran i skierował na mnie strumień. Ten lodowaty prysznic nie był częścią tortury, a służył jedynie oczyszczeniu mnie.

Gdy byłem już czysty, trząsałem się jak osika. Dzwoniłem zębami i cicho zawodziłem.

– Cisza! – odezwał się mężczyzna stojący obok Sary.

Zamilkłem. W piwnicy śmierdziało moczem i fekaliami.

– Wyłożę zasady tego przesłuchania – mężczyzna mówił spokojnym, rzeczowym głosem. – Powiesz nam to, co chcemy wiedzieć. Jeśli powiesz, przeżyjesz i to jest przyrzeczenie. Jeśli nam nie powiesz, umrzesz, ale sporo przy tym wycierpisz. Nikt z nas nie lubi zadawać bólu, aczkolwiek jest on skuteczny. A więc, gdzie jest łódź?

– Płynie jako ładunek na transportowcu. – Dzwoniłem zębami i z trudem dokończyłem zdanie.

– Płynie do Bostonu?

– Tak – zapewniłem gorliwie. – Zgadza się. Do Bostonu.

– Kiedy dopłynie?

Zawahałem się, zaniepokojony odgłosami wydawanymi przez tych dwóch stojących za mną, ale oni tylko przenieśli ciężar na drugą nogę.

– Nie podali mi daty, ale powiedzieli, że według nich podróż powinna potrwać z sześć tygodni! – Ostatnie słowa wykrzyczałem, bo nie chciałem, żeby mnie uderzono.

- Oni?
- Armator.
- Jak się nazywa?
- Exportación Layetano.
- Z Barcelony?
- Tak.

Tysiące strużek wody spływały z mojego rozdygotanego ciała w kierunku odpływu. Nie było krwi. Ci ludzie mnie bili, ale nie naruszali ciągłości skóry. Byli specjalistami.

– Zorganizowałeś transport łodzi? – Ten głos z Ulsteru był pozbawiony zainteresowania i neutralny, jakby należał do znudzonego dyrektora banku zadającego klientowi drobiazgowo pytania w celu stwierdzenia, czy udzielenie mu pożyczki będzie dla banku mądrą inwestycją.

- Zgadza się.
- Jak się nazywa łódź?
- Nazywała się „Corsaire”. Przechrzcilem ją na „Rebel Lady”.
- Opisz ją.

Wydukałem opis: trzynastoipółmetrowy słup z centralnym kokpitem, wklęsła burta, długi, ciężki kil, czerwona farba przeciwporostowa poniżej linii wodnej, powyżej – biały żelkot.

- Ile złota jest na pokładzie?
- Pięć milionów dolarów.

Nastąpiła sekunda wahania lub zaskoczenia? Być może, ale zaraz potem głos jak metronom podjął przesłuchanie.

- Opisz, jak złoto zostało ukryte na jachcie.

Opisałem więc fałszywą podłogę i to, jak należało podnieść deski w kabinie, żeby zauważyć odbarwioną warstwę z włókien szklanych, którą trzeba odłupać, aby dostać się do złota zmieszanego z piaskiem.

- Łódź ma jakieś papiery rejestracyjne?
- Tak.
- To gdzie są? – Nutka zniecierpliwienia zapowiadająca ból.

– U mnie w domu – skłamałem, bo przecież nie mogłem narazić Johnny’ego na kontakty z tymi draniami.

Krzyknąłem, bo coś walnęło mnie mocno i gwałtownie w obite nerki, a gdy upadałem, kolejne smagnięcie bólu poczułem w okolicy karku. Runąłem na mokry beton, łkając.

– Wstań.

Podniosłem się powoli. Malutka, czerwona, atawistyczna część mojego mózgu doradzała mi nagły kontratak, obrócenie się w stronę stojących za mną oprawców, wiedziałem jednak, że taka akcja byłaby skazana na niepowodzenie. Oni byli przygotowani, sprawniejsi ode mnie i lepsi, ja zaś byłem osłabiony, powolny, roztrzęsiony i potwornie bezbronny.

– Kłamstwa pociągają za sobą ból – mężczyzna oświadczył znużonym głosem. – Dokumenty łodzi ma Johnny Riordan, czy tak?

A więc wiedzieli od początku i tylko mnie testowali?

– Tak.

– Ile pieniędzy mu dałeś?

Prawie zapomniałem, że dawałem mu jakieś pieniądze i musiałem się szybko zastanowić, żeby uniknąć kolejnego ciosu.

– Około tysiąca dolarów.

– Dlaczego?

– Żeby wynajął żurawia, który zdejmie łódź z ciężarówki. I na wypadek, gdyby trzeba było przekupić robotników portowych.

– Kto jest importerem?

– Nie wiem. O tym decyduje Exportación Layetano.

– Z kim się tam kontaktowałeś?

– Z Roberto Lazarraga.

Przesłuchujący mnie trzymał czarny wór, który wcześniej miałem na głowie. Rzucił mi go, ale byłem zbyt słaby i roztrzęsiony, bo go złapać.

– Podnieś go.

Podniosłem.

– Załóż.

Wykonałem polecenie.

– Stój spokojnie. Ręce wzdłuż boków!

Zasłonięcie oczu i nagość czyniły mnie koszmarnie bezbronnym. Słyszałem, jak czworo oprawców kręciło się po piwnicy. Ktoś wspiał się po schodach, następnie zszedł. Coś drapało o podłogę, napełniając mnie przeraźliwym lękiem. Na kilka sekund zapanowała cisza, po czym ktoś znowu zatupał na drewnianych stopniach.

– Zdejmij kaptur – nakazał głos, a gdy to zrobiłem, drzwi na górze zatrasnęły się.

Zostałem sam. Zabrano moje pocięte ubranie, a owo drapanie było dźwiękiem wydawanym przez łóżko polowe rozstawiane pod ścianą. Leżały na nim trzy złożone koce, a w jego nogach stało cynkowe wiadro.

Ledwo zdążyłem zauważyć te luksusy, gdy światło zgasło.

Pokuśtykałem w stronę łóżka, owinałem się kocami i położyłem. Zwiąłem się. Byłem mokry, zmarznięty i się trząsałem.

Bóg jeden wie, ile czasu tam spędziłem. Nie byłem mięczakiem, ale nie mogłem walczyć z tymi ludźmi.

Ich milczenie i zdyscyplinowanie świadczyły o profesjonalizmie. Pewnego razu oglądałem przesłuchanie w Belfaście; razem z Seamusem Geogheganem dostąpiłem zaszczytu obserwowania pewnego biedaka, którego przesłuchiowano w sprawie wydania akcji podłożenia bomby. Przesłuchujący chcieli poznać, z kim ze służb specjalnych kontaktował się ten chłopak i w ramach swoich rozpaczliwych usiłowań zbili go tak, że był krwistym, opuchniętym przerażeniem. Prowadzący dochodzenie klócili się między sobą i podjudzali się nawzajem do zadawania ofierze jeszcze większych obrażeń; oskarżali się o to, że osiągają efekty przeciwne do zamierzonych i wreszcie zrezygnowali ze swoich prób. Skutkiem ich działań były zaprzeczenia wyrzucane przez zmaltretowanego dwudziestodwulatka wraz z krwawą spienioną śliną. Chłopak stracił oko, większość zębów i był zlanym krwią. Nigdy nie odzyskał w pełni wzroku i już nigdy nie będzie chodził, nie kuśtykając. IRA dowiedziała się później, że to jego siostra zadzwoniła do sił specjalnych. Do tego czasu zdołała wyjechać do Anglii i poślubić swojego ukochanego żołnierza, a jej okaleczony, kulejący brat nadal deklarował żalosne oddanie dla Provisional IRA i heroicznym bojownikom o wolność.

Moi oprawcy byli inni. Ten zespół został przeszkolony pod kątem zadawania bólu w wyważonych dawkach i nagradzania odpowiedzi wolnością od niego. Ci ludzie pracowali jak zdyscyplinowana jednostka, bez wa-

hania i bez potrzeby rozmowy. Jedyne słowa, jakie padały, były adresowane do mnie bądź były udzielanymi przeze mnie odpowiedziami. Nie było zbędnej krzątaniny ani hałasów, które odwracałyby moją uwagę od meritum sprawy – wydobycia informacji, której Gillespie nie zdołał ode mnie wyciągnąć: jakie były losy złota?

Fakt, że wiedzieli o istnieniu złota, podpowiedział mi, z kim miałem do czynienia. Byli przekonani, że ich anonimowość jest groźna w odbiorze i rzeczywiście była, aczkolwiek gdy tak leżałem w lodowatym mroku, zachowałem wystarczającą ilość przytomności, by rozumieć, iż jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli o złocie, byli ci, którzy je wysłali. CIA nic o nim nie wiedziała, Brytole też nie; wiedzieli tylko: IRA, Libijczycy i Irakijczycy.

Albo byłem w rękach bandytów il Hayaweena, albo w uścisku IRA; dowody wskazywały, że raczej byli to ci drudzy. Żadni palestyńscy czy libańscy terroryści nie odważyliby się wjechać do Stanów Zjednoczonych w czasie, gdy w Zatoce szalała wojna, natomiast mogła tu przyjechać dowolna liczba Irlandczyków. Zlekceważyłem Michaela Herlihy'ego, a teraz on przeprowadzał swój odwet. Nie doceniłem go i niewłaściwie oceniłem Sarę Sing Tennyson. Pewnie była panienką terrorystów, towarzyszącą działaczom ruchu. Wiedziałem, że znała mojego szwagra, który miał związki z Herlihym – te ślady prowadziły wprost do Provisional IRA. Czy umieszczono ją w moim domu, by podniosła alarm, gdy się pojawię? Poznała Johny'ego, co tłumaczyło ich wiedzę o jego zaangażowaniu. Boże, niech te dranie go oszczędzą! Co zrobili Kathleen? A może ona też była w to zamieszana? Nasłano ją na mnie, żeby wyciągnęła mnie z domu w czasie, gdy oni szykowali zasadzkę? Ta myśl była najgorsza, lecz czy rzeczywiście powinno mnie to zaskakiwać? Okłamałem ją w Belgii, więc czy miała wobec mnie jakiegokolwiek zobowiązania?

Przeszył mnie dreszcz. Podjąłem ryzyko, ogromne, warte pięć milionów dolarów i wpadłem w ręce wyszkolonych członków Provisional IRA. Postarał się o to pułkownik Kadafi; marzył o dniu, w którym jego podopieczni Irlandczycy zgnoją jakiegoś Anglika, Szkota lub Walijczyka w piwnicy w Belfaście i w ten sposób odpłaci się Amerykanom za naloty bombowe nad Trypolisem.

Trząsałem się pod cienkimi kocami. Gdy pozostawałem w bezruchu, udawało mi się nie czuć bólu. Jakiś cichy, dzielny głos kazał mi ściągnąć się z pryczy, wdrapać po drewnianych schodach i sprawdzić, czy przypadkiem drzwi na górze nie są otwarte, ale nie chciałem się ruszać ani zwracać na siebie uwagi.

Chciałem się tylko zwinąć pod kocem. Chciałem się trząść samotnie w ciemnym łonie piwnicy, wsłuchując się w przypominający bicie serca rytm morza.

Mój Boże, przecież faktycznie słyszałem morze! To nie był ryk wielkich oceanicznych fal, ale szum mniejszych fal uderzających o miękką plażę, co sugerowało, że przetrzymywano mnie w domu w Nantucket Sound lub w Cape Cod Bay. Może w Weymouth?

Miasto na południe od Bostonu zwane Irlandzką Riwierą świetnie się nadaje na kryjówkę grupy członków Provisional IRA prowadzących przesłuchanie.

Fakt, że ci ludzie należeli do Provisional IRA, był dla mnie korzystny. Nawet przez chwilę nie wierzyłem w pozornie szczere zapewnienie, że przeżyję, jeśli będę mówił prawdę. Każdy przesłuchujący budzi w ofierze taką nadzieję, lecz gdy ci ludzie poznają prawdę, pozwolą mi żyć wyłącznie dlatego, że nie ośmiela się mnie zabić. Myśleli, że byłem zwykłym recydywistą i złodziejem, a niebawem mieli odkryć, że byłem kimś znacznie groźniejszym: najprawdziwszym amerykańskim agentem.

A jeśli się myliłem, została mi jeszcze nadzieja, że tego typu zawodowcy nie zadają nikomu powolnej śmierci i pozbędą się mnie szybko.

Tak więc leżałem w tych ciemnościach, drżąc i usiłując przypomnieć sobie różne modlitwy.

Drzwi na górze schodów otworzyły się. Nie zapalono światła. Krzyknąłem, spodziewając się bólu. Nie przebudziłem się w pełni. Śniła mi się Roisin.

– Załóż kaptur! W tej chwili! – północnoirlandzki głos krzyknął z góry.
– Zakładaj! Zakładaj! Szybko! Szybko! – Na schodach rozległy się kroki. – Szybko! Szybko! Szybko!

Gorączkowo szukałem kaptura i znalazłem go na podłodze obok pryczy. Wciągnąłem na głowę.

– Wstań! Ruchy! Ruchy!

Cierpiąc katusze, wstałem z łóżka. Światło przesączało się przez splot czarnego materiału.

Na schodach rozległy się kolejne głośnie kroki.

Wydawało mi się, że wyczułem obecność wszystkich czworga oprawców, ale nie mogłem mieć pewności.

Zastanawiałem się, jak długo spałem. Chyba była noc, aczkolwiek moje odczucia były zupełnie bezużyteczne jako narzędzia odmierzania upływu godzin.

– Zrzuć koc – warknął głos.

Zrzuciłem go.

– Wystap. Stój! Zdejmij kaptur.

Zdjąłem kaptur, mrugając, bo oślepiało mnie światło.

– Ręce do boków!

Posłuchałem rozkazu i odsłoniłem swoją bezbronną nagość. Tak jak wcześniej, stała przede mną Sara Sing Tennyson; po jej lewej stronie stał przepytujący mnie człowiek w złowrogiej czerni. Domyśliłem się, że pozostali dwaj zajęli swoje miejsca za mną.

– Na co było przeznaczone te pięć milionów dolarów?

– Na zakup stingerów – odpowiedziałem zaspanym głosem.

– Ilu?

– Pięćdziesięciu trzech.

Znali odpowiedzi, ale nie wiedzieli, czyja wiedziałem, kim byli, dlatego zadawali mi tego typu pytania – chcieli mi uniemożliwić odkrycie ich tożsamości. Taka zabawa z lustrami i labiryntami. Rozwiązywanie węzłów z zamkniętymi oczami.

– Kto sprzedawał pociski?

– Kubańskie konsorcjum z Miami.

– Opisz Kubańczyków.

Nie miałem dużo do powiedzenia, ale dałem z siebie wszystko.

– Pociski miały trafić do Ulsteru?

– Tak.

– Transakcję zaplanowano w Ameryce, czy Irlandii?

Głos z akcentem z Ulsteru był bez wyrazu, co sugerowało, że to przesłuchanie będzie się ciągnęło i ciągnęło. Nie mogłem zrobić nic, by je przerwać. Było częścią dobrze zaplanowanej procedury. Zależało im na tym, żebym się poczuł złapany w pułapkę niepowstrzymanego procesu niepodlegającego niczyjej kontroli; jedynym sposobem na wyrwanie się zeń było danie machinie tego, czego chciała: prawdy.

– Zdaje się, że i tu, i tu.

– Wyjaśnij.

Zakładałem, że przepytujący mnie działał na znanym sobie gruncie i testował moje reakcje, aby uspić moją podejrzliwość, gdy niepostrzeżenie przejdzie do pytań, na które naprawdę chce poznać odpowiedzi. Opowiedziałem o Brendanie Flynnie, Michaelu Herliwym, a nawet o małym Martym Doyle’u. Opisałem udział Shafiqa w ustaleniach i to, jak kontrolę nad akcją przejął il Hayaween. Przyznałem, że celowo postąpiłem wbrew poleceniom il Hayaweena, zmieniając imię łodzi i wysyłając ją do Ameryki na transportowcu.

– Dlaczego złamałeś wytyczne?

– Chciałem szybko wrócić do Ameryki i poinformować swoich zwierzchników o transakcji sprzedaży pocisków.

– Zwierzchników? – Czyżby w głosie przepytującego pojawiła się nuta zdziwienia? – Wyjaśnij.

Postarałem się mówić monotonicznie i apatycznie.

– Van Strykera i jego ludzi.

– Kim jest van Stryker?

– Jest z CIA, z wydziału antyterrorystycznego. – Na koniec dodałem odrobinę rozpaczy do tonu wypowiedzi, jakbym miał świadomość, że wyjawiam coś, co jest głęboką tajemnicą i co jest niebezpieczne.

Zapadło milczenie i dało się słyszeć wyraźnie niepewność, gdy przesłuchujący znowu zaczął mówić.

– Jesteś z CIA?

Półsekundowe wahanie, jak gdybym nie chciał na to odpowiadać.

– Tak.

– Od kiedy?

– Od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego.

Widziałem dość dobrze reakcję Sary Sing Tennyson.

Do tej pory miała wyniosły i obojętny wyraz twarzy, ale teraz pojawiło się na niej autentyczne zmartwienie.

– Opisz swoją misję w CIA.

Dostrzegłem, że tego nie było w scenariuszu. Przesłuchujący mnie strzelał i zastanawiał się, do czego zaprowadzi moje nieoczekiwane wyznanie.

– Miałem inwigilować bliskowschodnie grupy terrorystyczne – odpowiedziałem monotonnym tonem, wypowiadając słowa, które przećwiczyłem sobie w ciemności piwnicy. – Miałem wykorzystać w tym celu referencje ze strony IRA.

– CIA rozkazała ci wstąpić do IRA?

– Tak.

– Jak tego dokonałeś?

– Już wcześniej zbierałem pieniądze dla Irlandii i wysyłałem broń z Bostonu, tak więc ludzie z IRA wiedzieli o mnie i ufali mi.

– Jak odkryła cię CIA?

– Zostałem aresztowany za handel narkotykami na Florydzie.

– CIA rozkazała ci szpiegować w IRA?

– Nie. Nie do tego byłem im potrzebny.

Cisza. W pobliżu rozległ się dźwięk cichego wybuchu i aż podskoczyłem, zanim dotarło do mnie, że w pomieszczeniu obok uruchomił się boiler.

– Dlaczego CIA nie interesuje się IRA?

– Na pewno się interesuje, ale ja miałem za zadanie skupić się na grupach bliskowschodnich, a moje stosunki z tymi grupami były uzależnione od tego, czy Provisional IRA ufała mi całkowicie. Dlatego nakazano mi, abym nie nadużywał tego zaufania i nie przekazywał informacji na temat tej organizacji.

Właśnie taką historię Roisin przedstawiła w Hasbaya, czym tak bardzo przeraziła Palestyńczyków.

Minęły cztery lata i wykorzystywałem tę opowieść, by się ratować.

– Złożyłeś już raport van Strykerowi? – zapytał przesłuchujący.

– Tak.

– Kiedy?

– Robiłem to przez cały ubiegły miesiąc. Przesłuchiowano mnie w górach Pocono.

– A więc van Stryker odbierze łódź w Bostonie?

Zawahałem się. Czyjaś stopa poruszyła się za mną niepokojąco.

– Nie!

– A czemu?

– To ja miałem ją odebrać.

– Planowałeś ukraść te pieniądze? – Przesłuchujący mnie wydawał się rozbawiony.

– Tak.

– Powiedziałaś cokolwiek o tej łodzi van Strykerowi?

– Nie. Powiedziałem mu, że pieniądze zostaną wysłane przelewem z Europy.

– A o jakiej kwocie wie van Stryker?

– Cała kwota miała wynosić półtora miliona, z czego pół już zapłacono.

– Czy Herlihy szuka łodzi?

– Oczywiście!

– Załóż worek.

Zostawili mnie, gdy trzymałem czarny wór, który wciągnąłem posłusznie na głowę. Usłyszałem, jak weszli na górę i zamknęły się za nimi drzwi. Ściągnąłem worek z głowy i poczułem nagły przyływ euforii.

Zmartwiłem ich! Wytrąciłem ich z równowagi! Wybiłem ich z rytmu do tego stopnia, że przez całą wizytę nie tknęli mnie nawet palcem. Prawda czyniła mnie wolnym. Zmieniłem scenariusz i ich rzeczywistość!

Odwróciłem się i zobaczyłem ustawioną przy łóżku papierową torbę. W środku był zimny cheeseburger w styropianowym pojemniku i chłodna kawa. Pochłonałem je łapczywie. Zostawili włączone światło, dzięki czemu zauważyłem, że piwnicę niedawno oczyszczono; na podłodze i ścianach były wolne od kurzu miejsca, które wskazywały na to, że stały tam różne pudła i meble – wyniesiono je, aby stworzyć przestrzeń na potrzeby tego przesłuchania.

Nagle zgasło światło. W piwnicy obok ucichł monotony warkot pracującego bojlera i zastąpił go szum morza. Położyłem się. Czekałem. Ośmieliłem się pomyśleć, że zwyciężyłem. Odważyłem się sądzić, że przeżyję. Ośmieliłem się mieć nadzieję.

Spędziłem w tej piwnicy wiele dni. Straciłem poczucie czasu. Próbo-
wałem kontrolować upływ dni, wydrapując znaki nad swoim łóżkiem, ale
wydawano mi posiłki nieregularnie i gwałtownie przerywano sen, nakazu-
jąc mi zniechęca zakładać worek na głowę, wstawać, stać spokojnie, od-
powiadać, tak więc nie miałem pewnego punktu odniesienia.

Na początku oddawałem mocz z krwią, ale z biegiem dni krew znik-
nęła, gdy przestano mnie bić. Przesłuchanie trwało nadal i głównie pytano
mnie o mój raport i o to, co na temat IRA przekazałem CIA. Pytali mnie
nawet o ludzi, o których nigdy nie wspomniałem Gillespiemu. Niczego
przed nimi nie ukrywałem, ponieważ za ich pytaniami zawsze czaiła się
groźba przemocy. Niemniej i tak wiedziałem, że wbiłem głęboki klin posze-
rzający jeszcze bardziej wewnętrzne rozdarcie Provisional IRA. Organizacja
ta, jak każda inna grupa terrorystyczna, pragnęła cieszyć się poważaniem
i zewnętrznym wsparciem. Jak wszystkie lewicujące ruchy partyzanckie
mogła liczyć na poparcie socjalistycznych akademików i liberalnych ka-
płanów, aczkolwiek chciała czegoś więcej. Provisional IRA zabiegała o po-
plecznictwo Ameryki i Bliskiego Wschodu.

Ameryka zapewniała poważanie, a Bliski Wschód dostarczał najbar-
dziej zabójcze zabawki. Dylemat polegał jednak na tym, że tych dwóch po-
pleczników nienawidziło siebie nawzajem, więc tym istotniejsze było, aby
potępiali siebie wzajemnie. Ludzie z Provisional IRA nigdy nie chępli się
kontaktami z Libią przed Amerykanami i raczej przedstawiali je jako spo-
radyczne, niechciane i nieważne, natomiast Libijczykom, którzy byli w tym
czasie głównymi sponsorami, opowiadali, że wsparcie od Amerykanów o
irlandzkich korzeniach pochodziło od głupców, którzy nie rozumieli impe-
ratywów rewolucji marksistowskiej, a których można było bezustannie do-
ić na rzecz wspomagania libijskich celów.

Moi porywacze, którzy początkowo zakładali, że byłem zdrajcą Provi-
sional IRA, dowiedzieli się, że byłem kimś znacznie groźniejszym – agen-
tem Stanów Zjednoczonych; zabicie mnie mogło się wiązać z ryzykiem
obudzenia wrogości Ameryki. Istniało ryzyko, że o mojej śmierci by napi-
sano w prasie, co mogłoby doprowadzić do niebezpiecznego spadku finan-
sowego wsparcia ze strony tego kraju. Traktowano mnie z ostrożnością.
Zrezygnowano z bicia mnie i z upływem dni przynoszono mi coraz lepsze
jedzenie, aczkolwiek nigdy nie dostałem metalowych sztuców lub porce-
lanowych naczyń, z których po rozbiciu można by było zrobić broń. Piłem
wodę z ogrodowego szlauchu lub napoje z kartonowych kubków. Dostałem
poduszkę i grubsze koce, a przesłuchujący mnie nawet pozwolili mi zadać
pytanie, za które nie zostałem nagrodzony bólem. Spytałem ich o to, co się
stało z dziewczyną, która mi towarzyszyła w chwili porwania.

– Nic. Zgodziła się nam pomóc, wyprowadzając cię z domu, żebyśmy mogli przygotować komitet powitalny.

– Trzyma z wami? – Nie zdołałem ukryć rozczarowania.

– Oczywiście. Czemu miałyby nie być po naszej stronie, zważywszy na to, kim była jej siostra. Opowiedz teraz o Roisin.

Opowiedziałem po raz kolejny tę nieszczęsną historię. Równocześnie myślałem o tym, jakiego głupca Kathleen ze mnie zrobiła. Prawie się zarumieniłem na wspomnienie o nadziejach, jakie ośmieliłem się snuć w myślach, gdy szliśmy z plaży do domu. Widziałem w niej następczynię Roisin, a Kathleen tymczasem uczestniczyła w akcji odwetowej Michaela Herlihy'ego. Chryste, ależ ja karygodnie zlekceważyłem tego prawnika od śmieci!

Mijały dni. Moja początkowa euforia związana ze zmianą reguł przesłuchania ustąpiła pola cichej rozpaczki. Oszczędzono mi bólu, ale nabrałem przekonania, że najłatwiejszym sposobem, w jaki Provisional IRA będzie mogła pozbyć się wstydu, było potajemne zabicie mnie. Z tego też względu szczytem moich nadziei było to, że dostanę kulkę w tył czaszki. Dawno już przestałem liczyć na to, że zdołam otworzyć drzwi od piwnicy. Zbadałem tę możliwość i odkryłem, że drzwi były zrobione z grubych desek, a moimi jedynymi narzędziami były wąż nogi łóżka polowego, które gięły się pod najmniejszym obciążeniem.

Czekałem. Miałem odrętwiały umysł. Próbowałem ćwiczyć, aczkolwiek nie dostrzegałem szansy na dalsze życie, więc porzuciłem wszelkie wysiłki i, powłócząc nogami, wróciłem do tej odrobiny ciepła, jaką zapewniały mi połówka i koce. Zacząłem się cieszyć z hałaśliwych odwiedzin moich porywaczy, bo rozmowa z nimi była lepsza od wpatrywania się w kamienne ściany lub w nieprzeniknioną ciemność, gdy wyłączono światło. Mogłem nawet rozmawiać z nimi, siedząc na pryczy, owinięty w koce. Zamaskowany przesłuchujący mnie pewnego dnia spędził ze mną kilka godzin; rozmawialiśmy o Belfaście, jego ulicach i ludziach, których obaj znaliśmy. Owego dnia poczułem się nawet związany z tym mężczyzną, bo obaj kochaliśmy to potępione, zrujnowane i spływające deszczem miasto.

Nadszedł wreszcie dzień, a przynajmniej długi okres, gdy nie spałem i wsłuchiwałem się na przemian w szum morza i bojlera, podczas którego nikt nie przyszedł ze mną rozmawiać. W domu panowała dziwna cisza. Światło w piwnicy było zgaszone.

Zsunąłem się z łóżka i przykucnąłem na podłodze. W tej ciszy było coś niezwykłego, coś niepokojącego.

Przywykłem do cichych odgłosów tego domu, do pisku drzwi, skrzywienia podłogi, uderzania metalowych sztućców o talerze, spuszczenia wody w toalecie. Teraz panowała przejmująca cisza i w niej, potwornie zaniepokojony, podszedłem do schodów, wspinając się na nie powoli. Byłem nagi i włosy na rękach i nogach stały mi dęba. Miałem gęsią skórę.

Dotarłem do ostatniego stopnia. Zatrzymałem się i nasłuchiwałem, ale nic nie słyszałem. Sięgnąłem w stronę klamki, nacisnąłem ją i ku mojemu zdumieniu drzwi otworzyły się lekko.

Do piwnicy wlało się światło. Było przytłumione, jak światło dnia wpadające przez zasłony.

Przekroczyłem próg i znalazłem się w długim, pięknie umeblowanym i wyłożonym mięsistym dywanem korytarzu. Na środku sufitu wisiał mosiężny żyrandol, a po mojej lewej stronie znajdowały się schody z balustradą. Na ścianie wisiał uroczy obraz olejny przedstawiający barkentyne. Naprzeciwko wisiał portret mężczyzny ubranego w koszulę frakową z postawionym kołnierzem. Na tapecie widniał chiński wzór rajskich ptaków między liśćmi. Obok drzwi wejściowych znajdował się wiatromierz, który się kręcił. Z eleganckim holem nie współgrał tylko stos pudeł i rowerów opartych o pralkę i suszarkę. Domyśliłem się, że te rzeczy wyniesiono z piwnicy, z której zrobiono moje puste więzienie.

Na prawo otwarte drzwi prowadziły do przestronnej kuchni wyłożonej białymi kafelkami. Ogromna lodówka szumiała w kącie, a na wieszaku wisiały miedziane garnki. Na blacie leżały dwa papierowe talerze i stał rondel z zimną kawą. Cofnąłem się do korytarza, wybrałem losowo pierwsze lepsze drzwi i wszedłem do bogato wyposażonego salonu. W pokoju wisiały delikatne akwarele, kanapy były głębokie i miękkie, a nieliczne stoliki lśniły wypolerowanym antycznym drewnem. Leżały na nich stare czasopisma. W pokoju były też mniej pasujące do wystroju pudełka po hamburgerach spiętrzone przy marmurowym kominku, co wskazywało na to, że moi porywacze niekiedy spożywali w tym wystawnym pokoju posiłki. Kotary z arasowej tkaniny spięte czerwonym aksamitem stanowiły obramowanie zasłoniętych okiennicami okien. Na eleganckim trójnogu przed jednym z okien znajdowała się staromodna luneta w mosiężnej oprawie. Przeszedłem po dywanie i otworzyłem okiennice.

– Chryste Panie! – krzyknąłem.

Oślepiło mnie zimowe słońce odbijające się od migotliwego morza. Ten dom, tak wytworny, bogaty i ogromny, został zbudowany na wzniesieniu praktycznie nad samym morzem. Małe fale uderzały zmęczone o pry-

watną plażę oddaloną o niespełna dwadzieścia kroków od okna. Po lewej stronie znajdował się zakryty brezentem basen, na wprost pomost z drewnianą balustradą, a po prawej ode mnie – hangar dla łodzi i prywatny dok. Przy doku stał zacumowany jacht, a na morzu kołysała się czerwona boja z cyfrą „9” wymalowaną na boku. Domyśliłem się, że przebywałem na terenie jednej z dużych posiadłości w pobliżu portu Hyannis lub Centerville, a może nieco dalej na zachód w jednym ze wspaniałych domów nadmorskich w Osterville.

Wtem porzuciłem wszelkie te spekulacje, ponieważ nagle zauważyłem, jaka nazwa była wymalowana na wklęsłej rufie jachtu zacumowanego w prywatnym doku.

Po raz ostatni widziałem ją w Barcelonie, umieszczoną bezpiecznie w kontenerze bez dachu. Wcześniej, na ospałym zimowym morzu, popełniłem w salonie na tej łodzi morderstwo. A teraz stała przede mną, niemrawa i potulna, skapana w zimowym słońcu.

To była „Rebel Lady”.

Pokuśtykałem na górę i otwierałem drzwiczki szafek, szukając jakichś ubrań. W głównej sypialni, w której zmięte prześcieradła świadczyły o tym, że spał tu co najmniej jeden z przesłuchujących mnie, znalazłem garderobę z letnimi ubraniami. Były tam spodnie w kratkę i z wyhaftowanymi wielorybami wypuszczającymi fontanny wody; były też spodnie w krzykliwe wzory golfowe i trzy pary spodni zadrukowanych zielonymi koniczynami; wreszcie, gdzieś w kącie, znalazłem proste, nieozdobione džinsy, które nawet na mnie pasowały. Założyłem koszulkę ozdobioną haftem przedstawiającym gracza polo, biały sweter z rzekomym logo angielskiego klubu krykietowego i parę niebieskobiałych butów żeglarskich. W garderobie wisiał też płaszcz przeciwdeszczowy. Chwyciłem go i zbiegłem na dół.

Zanim wypadłem z domu oglądać „Rebel Lady”, zauważyłem wiszący na kuchennej ścianie telefon.

Wahałem się sekundę, rozdarty między pragnieniem przeszukania łodzi i troską o Johnny’ego. Podniosłem słuchawkę i wybrałem numer. Raczej nie wierzyłem, że telefon będzie działał, w słuchawce rozległ się jednak sygnał. Johnny odebrał osobiście i poczułem, jak zalewa mnie wielka fala ulgi.

– Chryste – powiedziałem i osunąłem się po ścianie na kafelkową podłogę.

– Paulie? – zapytał niepewnie, z troską Johnny.

Płakałem z poczucia ulgi.

– Johnny? Nic ci nie jest?

– Oczywiście, że nie. Próbuje się z tobą skontaktować od dwóch tygodni!

– Od dwóch tygodni? – Rozejrzałem się po kuchni.

Mój umysł działał na zwolnionych obrotach, krztusił się i rwał. – Jaki mamy dzień?

Milczał.

– Czyś ty się upił, Paulie?

– Powiedz mi, proszę.

– Jest niedziela.

– Jezu Chryste. Kto wygrywa wojnę?

– Skończyła się ładnych parę dni temu. To było łatwe zwycięstwo. – Przerwał. – Co się z tobą działo, Paulie?

– Czy był u ciebie ktoś po dokumenty łodzi? – spytałem.

– No, ta dziewczyna, rzecz jasna. No wiesz. Śliczna Chinka. – Zachichotał. – Ty psie.

Podniosłem się i oparłem czoło o zimną szybę. Gapilem się na zacumowany jacht.

– Powiedziała ci, że jesteście kochankami? – Domyśliłem się, że to miał oznaczać ten chichot.

– Nie mogę cię winić. Jest naprawdę seksy. – Johnny wyczuł chyba, że coś jest nie tak, bo nagle zmienił ton głosu. – Chcesz mi powiedzieć, że jej nie przysłałeś?

– W pewnym sensie przysłałem.

Przecież teraz to i tak było bez znaczenia. Najważniejsze było to, że te dranie nie porwały Johnny'ego i nie wzięły go w obroty w jakiejś piwnicy.

– Nic ci nie jest, Paulie? – zatroszczył się Johnny.

– Niezupełnie.

– Gdzie jesteś, do diabła?

– W dużym domu. Domyślam się, że gdzieś na przylądku, może nad Nantucket Sound? Czy czerwona boja z numerem dziewięć coś oznacza?

– Z niczym mi się nie kojarzy.

– Zaczekaj chwilkę.

Zauważyłem stertę korespondencji reklamowej, którą ktoś wyjął ze skrzynki i rzucił byle jak na blat.

Sięgnąłem po pierwszą lepszą i przeczytałem, że była zaadresowana do „Mieszkańca”. Przeczytałem adres Johnny’emu. Gwizdnął.

– Masz zamożnych znajomych. Centerville, powiadasz? Boja numer dziewięć ostrzega pewnie przed Spindle Rock. Przyjadę po ciebie furgonetką. Będę za trzy kwadransy, dobrze?

Odłożyłem słuchawkę, wciągnąłem na siebie płaszcz i otworzyłem kuchenne drzwi. Zauważyłem, że czujka alarmowa, która powinna zareagować na otwarcie drzwi, była wyrwana. Otuliłem się szczelnie płaszczem i wyszedłem na rześki, mroźny wiatr. Trząsałem się, gdy kroczyłem ostrożnie po oblodzonej ścieżce prowadzącej do prywatnego doku, w którym pale pokrywała gruba, pofalowana warstwa lodu powstałego z cofającej się fali pływowej. Jakaś mewa krzyknęła na znak protestu, gdy się zbliżałem do doku i odleciała powoli nad połyskującym morzem. Zatrzymałem się przy hangarze, zdrapałem szron z szyby i zajrzałem do środka.

Zobaczyłem przepiękną wyścigową łódź motorową zawieszoną na linach nad zamarznąłą wodą. Nazwa łodzi była wyraźnie wymalowana na boku dużymi zielonymi literami: „Quick Colleen”. Przy rufie miała przymocowane dwa olbrzymie dwustukonne silniki, co czyniło ją śliczną, letnią zabawką z przesadzonym napędem. Stanowiła sprzęt idealnie pasujący do tego cudnego, epatującego bogactwem letniego domu, który moi porywacze wykorzystali na swoją tymczasową bazę. Podeszedłem do miejsca, w którym „Rebel Lady” szarpała się na linach.

Liny cumownicze, podobnie jak takielunek, były osnute lodem. Wiatr miotał „Rebel Lady” i bujał jej długim kadłubem. Wszedłem ostrożnie do kokpitu i stwierdziłem, że wejście do zejściówki było otwarte.

Wyciągnąłem sztorcklapę, otworzyłem główny luk i schroniłem się przed wiatrem.

Stwierdziłem, że złoto zniknęło. Tak naprawdę nie oczekiwałem innego scenariusza, ale szalony optymizm czaił się z tyłu mojej głowy od chwili, gdy ujrzałem „Rebel Lady” w tym wietrznym doku.

W salonie panował bałagan. Moi porywacze potraktowali fałszywą podłogę siekierami, rozrywając i przecinając szklane włókna, by dostać się do złota. I zabrali mój łup. Pięć milionów dolarów w złocie ulotniło się.

Znalazłem tylko jednego krugerranda pośród piachu i odłamków włókna szklanego. Podniosłem monetę, splunąłem na dłoń i wsunąłem znalezisko do kieszeni jako pamiątkę z nieudanej podróży. Wydawało mi się, że dostrzegłem drugą monetę połyskującą w stercie, ale gdy odsunąłem piach i odłamki, stwierdziłem, że był to tylko błyszczący łebek śruby mocującej kil.

Wróciłem do kokpitu. Moi porywacze świetnie się spisali. Zdobyli to, czego chcieli. Złotem zapłacą za stingery i nie miałem wątpliwości, że niektóre z nich pozostaną w Ameryce, żeby Saddam Husajn mógł je wykorzystać w ramach odwetu na Stanach Zjednoczonych. Właśnie ta żądza zemsty była prawdziwą motywacją dla operacji il Hayaweena. Brytyjczycy stracą kilka śmigłowców nad południową częścią Armagh, ale prawdziwym celem były wielkie odrzutowce pasażerskie startujące z amerykańskich lotnisk z niewinnymi pasażerami na pokładzie.

Wdrapałem się z powrotem na dok i szedłem powoli w kierunku domu.

Zatrzymałem się, bo usłyszałem dźwięk opon, pod którymi chrzęścił żwir na podjeździe. Dotarły też do mnie wesołe i donośne głosy.

– Wejdzmy tylnymi drzwiami!

Nie miałem się gdzie schować, więc stałem spokojnie.

Jako pierwsza zza rogu wyszła szczupła młoda kobieta w długim futrze. Biegła i jej oddech zamieniał się w obłoczki pary w zimnym powietrzu. Miała złote włosy, szerokie usta i błękitne oczy. Dostrzegła mnie i zatrzymała się nagle.

– Kochanie...

Nie zwracała się do mnie, tylko do kongresmana Thomasa O'Shaughnessy'ego Trzeciego, który wyszedł za nią zza domu. Stanął jak wryty i gapił się na mnie.

Pojawili się jeszcze dwaj mężczyźni. Jednym był elitarny asystent kongresmana, Robert Stitch, a drugim Michael Herlihy. Kongresman ciągle się we mnie wpatrywał, natomiast Stitch miał szybsze reakcje.

– Mam wezwać policję, kongresmanie?

– Nie robiłbym tego, kongresmanie. Naprawdę bym tego nie robił – poradziłem Tommy'emu Balasowi.

Kongresman nagle mnie poznał.

– Pan Shannon, czy tak?

– Shanahan – poprawiłem go. – Paul Shanahan.

– To moja żona, Duffy. – Tommy, który jak zawszenie do końca rozumiał sytuację, odwołał się do swojej wrodzonej kurtuazji.

Śliczna Duffy uśmiechnęła się do mnie.

– Witam.

– Pana Herlihy’ego już pan zna – O’Shaughnessy spytał, jakby to było sympatyczne spotkanie w klubie golfowym. – Pan Herlihy jest skarbnikiem w komisji prowadzącej moją kampanię wyborczą.

Zignorowałem Herlihy’ego.

–Ładny dom, kongresmanie. – Ruchem głowy wskazałem rezydencję.

– Dziękuję – odpowiedział wesoło. – Naprawdę dziękuję.

– Co pan tu do diabła robi? – Stitch przerwał tę wymianę grzeczności.

– Czy naprawdę musimy prowadzić tę rozmowę na dworze? – zapytała żalonym tonem pani O’Shaughnessy, która zdecydowanie marnowała się przy kongresmanie. – Zamarzam!

Herlihy podszedł do mnie, gdy Tommy Balas prowadził urokliwą Duffy do domu.

– Co ty tu robisz, Shanahan? – wysyczał swoje pytanie.

– Oto twoja łódź! – Wskazałem na „Rebel Lady”. – Chyba tego chciałeś, prawda?

– To? – Patrzył zdumiony na jacht.

– Tak, to, ty draniu! – Chwyciłem go za kołnierz płaszcza, przepchnąłem wzduż doku i cisnąłem do kokpitu. – Patrz! To tutaj były twoje cenne pieniądze!

Podmuch wiatru zakołysał łodzią. Niemrawa fala uniosła rozorany kadłub i Michael Herlihy natychmiast zbladł, przeklął i przechylił się przez burzę. Przy akompaniamencie jęków towarzyszących skurczom żołądka, oddał morzu swój drogi brunch.

– Boże – stęknął. – O mój Boże!

Nawet najmniejszy podmuch wiatru bujał kadłubem i natychmiast wywoływał u Herlihy’ego objawy.

– O Boże – powtórzył i wychylił się za burzę, by ponownie zwymiotować.

Zostawiłem go tak.

– Drań! – krzyknąłem i oddaliłem się.

Podszedł do mnie Stitch.

– Może mi pan podać jeden dobry powód, dla którego nie powinienem dzwonić na policję? – zapytał złośliwie.

– Owszem – odparłem. – Niech pan spróbuje wyjaśnić policji, dlaczego kongresman przez dwa tygodnie używał piwnicy w swoim domu jednostce specjalnej Provisional IRA.

– Co takiego? – Odsunął się ode mnie, niepewny, czy mówiłem prawdę, po czym uznał, że lepiej będzie szybko przejąć kontrolę nad sytuacją, na wypadek, gdybym chciał narozrabiać. – To nieprawda! Zajmowaliśmy się umową handlową w Meksyku. Nie było nas tutaj. – Wyczuwał potworny skandal i ćwiczył już wymówki, które pozwolą kongresmanowi wyjść z zamieszania bez szwanku.

– Spieprzaj pan! – rzuciłem do niego.

– Kto wyniósł na korytarz rzeczy z piwnicy? – dobiegł nas z wnętrza domu głos uroczej Duffy O'Shaughnessy.

Robert Stitch, obawiając się kolejnego numeru, wbiegł do domu przez otwarte kuchenne drzwi, a Michael Herlihy, z twarzą tak białą, jak skute lodem liny, zdołał wyczołgać się z kokpitu „Rebel Lady” na nabrzeże. Zatrzymałem się na rogu domu i patrzyłem, jak Michael oddalał się chwiejnym krokiem od morza.

Zataczał się. Zapomniałem, jak koszmarne była jego choroba morską.

– Herlihy! – krzyknąłem.

Spojrzał na mnie, ale nie odezwał się. Wyciągnąłem z kieszeni złotą monetę.

– To jest reszta twoich pieniędzy, skurwielu! – Rzuciłem mu ją.

Pozwolił, by upadła i potoczyła się po ścieżce.

– Dokąd się wybierasz? – zawołał za mną, gdy się odwróciłem i ruszyłem przed siebie.

– Do domu. I zostaw mnie w spokoju, słyszysz?

Szedłem długim żwirowym podjazdem w kierunku wysokiego ogrodzenia od strony drogi. Johnny przyjechał dwadzieścia minut później i odjechaliśmy.

Jakimś cudem żyłem.

– Kto się męczy w tym małym domu? – zapytał Johnny, gdy oddalaliśmy się od otoczonej wysokim żywopłotem rezydencji na plaży.

– Kongresman Thomas O’Shaughnessy Trzeci.

– Mieszka tu Tommy Balas? – Johnny wydawał się zdumiony, ale przecież musiał wiedzieć, że Tommy piastował swoje wysokie stanowisko wyłącznie dzięki niezmiernemu bogactwu.

– Nie zapominaj o rezydencji w Back Bay – dodałem – domu w Georgetown i górskim domu w Aspen.

– Chciałbym, żeby pewnego dnia ktoś mi powiedział – Johnny odparł na to z goryczą – dlaczego dranie, którzy ciągle podnoszą moje podatki, zawsze są tacy bogaci.

Nie odpowiedziałem. Spojrzał na mnie ze współczuciem.

– Co się tam stało?

– Wszystko schrzaniłem.

– To znaczy?

– Myślałem, że jestem mądrzejszy niż w rzeczywistości. – Miałem nadzieję, że wystarczy ta wymijająca odpowiedź, ale Johnny zasługiwał na coś więcej. – Chyba pokłóciłem się z IRA.

– Zaczniemy od tego, że w ogóle nie powinieneś mieć z nimi nic wspólnego.

– Walczą w imię dobrej sprawy – zauważyłem łagodnie.

– Jeśli jest dobra – sprzeciwił się kategorycznie – to dlaczego muszą mordować? Nikt nie wysadza ludzi w powietrze, by rozwiązać problem głodu na świecie.

Nikt nie zabija, by ratować dziecko chore na białaczkę, a przecież są to dobre cele.

– Nie będę się spierał.

– A złoto?

– Nie ma go.

Zaśmiał się. Według niego jedynymi gratyfikacjami, jakie warto posiadać, są te, które osiąga się dzięki ciężkiej pracy; reszta jest w najgorszym razie efektem nieuczciwości, a w najlepszym – zwodnicza. To Johnny i jemu podobni byli kręgosłupem Ameryki, dobrym sercem uczciwego kraju, w którym jakimś cudem udawało się wprowadzać ludzi takich jak Tommy Balas do Kongresu.

– Chcesz te pieniądze, które mi dałeś? – zapytał. – Nie wydałem ich.

– Zatrzymaj je – powiedziałem.

Chryste, będę musiał znaleźć sobie pracę. Będę musiał dołączyć do rzeszy pracującej od dziewiątej do siedemnastej. Będę musiał zrobić się taki, jak reszta świata, co stanowiło jedną z największych obaw w tajnym świecie, ponieważ przynależność do zorganizowanej grupy zabójców dawała człowiekowi poczucie wyjątkowości, bycia kimś ponad przyziemnymi troskami i ograniczającymi go zasadami utrudniającymi życie innym ludziom; teraz, po tych wszystkich latach arogancji, będę musiał zarabiać na chleb. Zastanawiałem się, ile pieniędzy van Stryker planował mi dać, aczkolwiek podejrzewałem, że to nie wystarczy na błogie lenistwo na wodach otaczających Cape Cod. Zastanawiałem się, jak wyglądała branża dostarczania jachtów w Stanach, ale przypuszczałem, że ograniczała się do przeprowadzania plastikowych motorówek szlakiem Intra-coastal Waterway przed i po zimie. Wątpiłem, by łatwo było mi wgryźć się w taką branżę, ale do czego innego mógłbym się nadać?

– Marzyłem, że za złoto kupię sobie kuter rybacki i będę łowił tuńczyki – wyznałem Johnny’emu. – Wątpię w to, czy teraz stać mnie będzie chociażby na puszkę tuńczyka.

Zachichotał.

– Nie chciałbyś takiej łodzi. Jest ich już zbyt wiele i wykorzystują samoloty do namierzania ławic. Gdy tuńczyki wtedy przepływają, scena przypomina bitwę pod Midway. Dziesięć lat temu można było co tydzień upolować harpunem dużą rybę, ale teraz ma się szczęście, jeśli w ciągu lata wypatrzy się jakąś w miarę przyzwoitej wielkości.

Umarło moje kolejne marzenie. Oparłem głowę o szybę z tyłu kabiny. Co ja będę robił? Czy doprawdy zmarnowałem te czternaście lat?

– Czy jest tu zapotrzebowanie na fachowe przeglądy łodzi? – spytałem.

– Nie słyszałem. – Johnny prowadził spokojnie. – Ale młody Ernie Marriott poznał dziewczynę z New Bedford, a to oznacza, że przyda mi się nowy człowiek w ekipie od czasu do czasu.

– Proponujesz mi pracę?

– Proponuję ci skostniałe z zimna ręce, mokre dupsko, ciężkie noce i szanse na kilka centów, o ile rząd pozwoli nam łowić ryby i znajdziemy chwilę przerwy w wypełnianiu formularzy.

– Stoi.

– Nie zrobisz u mnie kariery – ostrzegł mnie. – Z trudem zapewniam chleb rodzinie. Ale to lepsze od pracy w którymś z tych miejsc, no nie?

Machnął ręką w stronę pola do gry w crazygolfa, które, choć zabite deskami na zimę, emanowało jarmarcznością mającą przyciągać letnich klientów. Jechaliśmy na wschód drogą numer 18, południową arterią przylądka, będącą amfiladą tandetnych firm i tanich hoteli. To był dowód na to, że gdy ludzkość wkracza do rajów, anielską wspaniałość tłamsi krzykliwymi neonami i jazgotliwymi barami.

– Jeszcze kilka lat – burknął Johnny – i będzie tu jak na Florydzie. – Snuł te ponure wizje na odcinku kilku kilometrów, po czym spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Naprawdę powiedziałaś Sarze Tennyson, żeby odebrała twoją łódź?

Pokręciłem głową.

– Okłamała cię, ale to jest teraz chyba bez znaczenia.

– A więc nic między wami nie było?

– Między mną a tą modliszką? Chyba żartujesz.

Zaśmiał się.

– Przekonała mnie. Kim ona, do cholery, była?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem, Johnny. Prawdopodobnie panienką terrorystów. Niektóre dziewczyny czują podniecenie, gdy kręcą się przy zabójcach.

Czy dotyczyło to także Kathleen Donovan? Boże, jak bardzo bolało to, że mnie tak wystawiła.

– A więc nie jest artystką? – Johnny wydawał się rozczarowany.

– Nie w posługiwaniu się farbami – odparłem. – Zdaje się, że Provisional IRA umieścili ją u mnie w domu w roli wtyczki.

Jakże genialnie odegrała tę rolę! Udając zszokowaną i twardą w chwili, gdy wróciłem, przekonała mnie, że była niewinną osobą postronną. Chryste! A ja prosiłem Gillespiego, żeby ją ostrzegł przed zagrożeniem, podczas kiedy to ona nim była.

– Zwinęła złoto? – zainteresował się Johnny.

– Provisional IRA je zgarnęła. I tak miało być dla nich.

Pokręcił głową z dezaprobatą i, jak na niego przystało, znalazł coś dobrego w całej tej sytuacji.

– Przynajmniej doprowadziła ci do domu elektryczność.

– Ale dlaczego? – zadałem na głos pytanie, porażony nagle dostrzeżoną sprzecznością.

Sara Sing Tennyson mieszkała w moim domu od trzech lat. To nie miało sensu, jeśli była wyłącznie wtyczką, która miała poinformować o moim powrocie.

Kto byłby w stanie przewidzieć wojnę w Zatoce Perskiej z trzyletnim wyprzedzeniem?

– Co „dlaczego”? – spytał Johnny.

– Bóg jeden wie.

Nagle poczułem się zde gustowany sobą i wszystkim tym, co robiłem w ciągu minionych kilku tygodni. Jakież znaczenie miało to, czy ta dziewczyna mieszkała w moim domu od trzech miesięcy, czy od trzech lat?

Brałem udział w tej grze i przegrałem. To był koniec.

Tę noc spędziłem u Johnny’ego. Następnego dnia pojechałem do domu i zacząłem sprzątać. Zebrałem bohomazy Sary Sing Tennyson, ułożyłem w stos na łacie piachu w pobliżu pomostu, oblałem benzyną i rzuciłem na nie zapaloną zapałkę. Olejna farba świetnie się paliła, barwiąc przepięknie płomienie, a czarny dym unosił się cienkimi smugami nad mokradłami.

Zdjąłem płachtę malarską z dębowej podłogi, następnie wypiąskowałem i wypastowałem deski. Wyczyściłem kuchnię, odkurzyłem schody i przewietrzyłem sypialnię. Straciłem colta 45, gdy mnie porwano, ale pod łóżkiem znalazłem karabinek. Schowałem go, wstawiłem szybę w kuchennym oknie i założyłem nowe zamki w drzwiach. Gdy przyszedł rachunek telefoniczny zaadresowany do panny Sing Tennyson, wysłałem go do kan-

celarii Herlihy'ego, po czym odłączyłem telefon. Nie potrzebowałem go, jak też nie było mnie nań stać.

Żyłem oszczędnie. Tę niewielką ilość potrzebnych produktów mogłem nabyć w miejscowym sklepie. W dni, w które fale pływowe były niewielkie, wypływałem wraz z Johnnym na połowy dorszy i przyjaciel wypłacał mi gażę z pieniędzy, które wcześniej mu dałem na odebranie „Rebel Lady”. Wykorzystałem część własnej gotówki na kupienie taniej furgonetki i zastanawiałem się, czy powinienem dokupić do niej golden retrievera lub czarnego labradora. Byłem jednym z co najmniej stu ludzi, którzy ubiegali się o posadę mechanika w porcie Upper Cape, ale uznano, że skoro mam czterdzieści lat, to jestem za stary. Topniała reszta moich oszczędności i z bólem wspominałem fakt, że jeszcze rok wcześniej byłem właścicielem „Nordsee, Przeprowadzanie jachtów, naprawy i rzeczoznawstwo”, firmy, która zapewniała mi płynność finansową i zysk zaspokajający potrzeby moje, jak i nieopłakiwanej Sophie. A teraz, wskutek własnej chciwości, miałem ostatnie kilka dolarów. Nadal byłem właścicielem „Roisin” w Irlandii i postanowiłem, że gdy rynek ożywi się na wiosnę, wydam polecenie sprzedania jej i wykorzystam pieniądze na to, by spędzić jeszcze kilka miesięcy na przylądku.

Pewnego pogodnego marcowego poranka odwiedził mnie sierżant Ted Nickerson, ten, który uratował mnie po tym, jak Sara Sing Tennyson oblała mnie amoniakiem w ów wieczór, kiedy wróciłem do domu.

– Mam to miejsce na oku – wyjaśnił, wysiadając z radiowozu. – Wróciłeś już na dobre, Paul?

– Tak.

– CIA z tobą skończyła?

– Sam ich zapytaj, Ted. – Nie byłem w towarzyskim nastroju.

– Ale dobrze się czujesz?

– W porządku.

Nickerson doszedł do krawędzi podjazdu i patrzył na południe, na zatokę. Zauważył resztki ogniska, w którym spaliłem płótna Sary Tennyson.

– Pewnie mógłbym cię aresztować za rozpalenie tego ogniska. Złamałeś z tuzin rozporządzeń federalnych, że już nie wspomnę o prawie stanowym i zasadach obowiązujących w parku narodowym, jak też zarządzeniach miejskich. – Splunął, zde gustowany. – Człowiek teraz nie może się już nawet wysikać przy własnej łodzi, nie łamiąc przy tym prawa. – Wyciągnął papierosa z kieszeni i osłonił zapalniczkę wolną dłonią.

– Jakiś czas temu odebraliśmy telefon od pewnej młodej pani. Niejakiej Kathleen Donovan. Była raczej zdenerwowana. Twierdziła, że cię porwano. To prawda?

– Tak – potwierdziłem, aczkolwiek nie dodałem, że Kathleen też maczała w tym palce.

– Dostaliśmy rozkazy, żeby nie mieszać się do twoich spraw. Jeśli coś by się działo, mieliśmy kontaktować się z gościem w waszyngtońskim biurze FBI.

Tak też zrobiliśmy. Uznał, że poradzisz sobie sam.

Skoro tu jesteś, to chyba miał rację?

– Na to wygląda.

Domyśliłem się, że FBI działało dla CIA, a agencja nie chciała, by małomiasteczkowa policja zmagala się z międzynarodowymi terrorystami. Zwróciłem też uwagę na to, że ani CIA, ani FBI nie przejęli się nadmiernie moim zniknięciem. Nikt o mnie nie pytał, najwyraźniej nikt mnie nie szukał, gdy nie było mnie w domu i mogłem jedynie podejrzewać, że van Stryker lub Gillespie uznali, że zasługuję na wszelką niedolę, jaka mnie spotkała. Kiedyś byłem im potrzebny, ale teraz stałem się bezużyteczny i niepotrzebny.

– Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć o tej młodej pani – ciągnął Ted. – Zwłaszcza że wydawała się zdenerwowana. Bardzo chciała wiedzieć, czy nic ci się nie stało. – Wyciągnął z kieszeni skrawek kartki. – To jest jej numer telefonu. Mógłbym do niej zadzwonić, ale jeśli chciałbyś z nią porozmawiać osobiście, pozwolisz wydziałowi policji zaoszczędzić na rozmowie pozamiejscowej. – Nickerson podał mi kartkę.

Wziąłem ją od niego.

– Dziękuję, Ted.

– Sąsiadka przysługa. – Zawahał się. – Przypuszczam, że mi nie powiesz, o co tu chodzi?

– Może pewnego dnia.

– Może pewnego dnia Red Sox wygrają Serię A. – Wsiadł do samochodu i otworzył szybę. – Cholerne miasto chce, żeby uznać radiowozy za miejsce publiczne i dlatego nie będzie można w nich palić. Niech się pierdola!

Pomachał mi papierosem, wycofał auto i odjechał.

Wpatrywałem się w kartkę. Wyglądało mi to na moją ostatnią szansę. Naturalnie mogła to być kolejna pułapka zastawiona na głupca, podobnie jak poprzednia wizyta Kathleen, ale nie miałem przed sobą aż tak świetlanej przyszłości, żeby o nią dbać. Podjechałem więc furgonetką do głównej drogi i za ostatnie dwudziestopięciocentówki zadzwoniłem do Maryland.

Kathleen Donovan mieszkała w małym domu na obrzeżach wiejskiego miasteczka z jedną główną ulicą.

Dom był dwupiętrowy, miał szeroką werandę i wiatrochron z sosny wirginijskiej. Za domem ciągnęła się łąka ze stojącą pośrodku spróchniałą starą szopą, w której niegdyś suszono tytoń.

– To nie jest moja własność – powiedziała. – Wynajmuję dom.

– Ładnie tu – odparłem z największym przekonaniem, na jakie potrafiłem się zdobyć.

– Nie w czasie, gdy wieje od południa. Wtedy czuje się odór z farmy kurczaków, znajdującej się po drugiej stronie bagien. – Nagle wybuchnęła śmiechem, bo wiedziała, że skłamałem z grzeczności. – Chciałam się wyrwać z Baltimore.

– Żeby być bliżej swoich rodziców?

Pokręciła głową.

– Żeby od nich odpocząć. Spędzam u nich trzy lub cztery dni w tygodniu i dobrze jest od nich wyjechać. Wiosną jest tu naprawdę ładnie, gdy kwitną derenie.

– A latem?

– Gorąco. Za gorąco. – Mówiła zrezygnowanym tonem. – Sama nie wiem. Chyba nie odnowię umowy najmu. To był eksperyment. Zawsze chciałam mieszkać na wsi i pomyślałam, że po rozwodzie z Davidem moment będzie jak najodpowiedniejszy na zrealizowanie marzenia, ale wcale nie jest tak, jak to sobie wyobrażałam. Nie wzeszła żadna z wysianych przeze mnie marchewek. Żadna! Jelenie zjadły wszystkie sałaty, fasolę zaatakowały owady, podobnie jak pomidory.

– I dlatego Bóg wymyślił supermarkety.

Zaśmiała się. Spojrzała na mnie.

– Przepraszam.

– Dlaczego?

Staliśmy obok mojej furgonetki. Dopiero co przyjechałem. Oboje czuliśmy się niezręcznie. Domyśliłem się, że żałowała impulsywnej zgody na to, żebym ją odwiedził. Denerwowałem się, a w ciągu dziesięciogodzinnej podróży z Cape Cod miałem dość czasu, by spodziewać się, że ta wizyta zakończy się niepowodzeniem. Chciałem się zakochać w Kathleen, może nawet połowicznie zdołałem sam siebie przekonać, że już ją kochałem i że nie było tak tylko dlatego, że była podobna do swojej siostry. Nie byłem szczery, gdy mówiłem jej o powodach mojej wizyty. Poinformowałem ją, że miałem w Waszyngtonie jakieś sprawy do załatwienia i być może uda mi się do niej przy okazji zajrzeć. Po chwili wahania wyraziła zgodę.

Powtórzyłem pytanie o to, dlaczego mnie przeproszała.

– Bo pomogłam tym ludziom. Kim oni byli?

– Nie wiedziała pani, kim byli?

– Niezupełnie. – Odwróciła się. – To dlatego pan przyjechał, tak?

– Tak – skłamałem.

Przyjechałem, bo chciałem wskrzesić Roisin w ciele jej siostry.

– Przejdziemy się? – zaproponowała Kathleen.

– Chętnie.

– Gdy przejdzie się tą drogą osiem kilometrów, dochodzi się do Chesapeake Bay. – Wskazała na wschód. – Wyobrażałam sobie, że latem będę tam jeździła na rowerze i spędzała leniwe dni nad wodą.

– W towarzystwie miliona komarów?

Potaknęła.

– I kleszczy.

Zaprowadziła mnie do drogi i ruszyliśmy powoli w kierunku miasteczka. Krajobraz był bardzo płaski.

Podkreślał niebo i kojarzył mi się z Flandrią.

– Skontaktowała się ze mną ta dziewczyna, Sara Sing Tennyson – Kathleen zaczęła wyjaśniać. – Powiedziała, że ją pan wyrzucił z domu i że chciałyby się dostać do środka, żeby uratować swoje obrazy. Jeżeli zabrałabym pana na spacer, ona mogłaby bezpiecznie działać. – Lekko się zarumieniła. – Była bardzo przekonująca.

– Wyobrażam sobie. – Kopnąłem sosnową szyszkę.

– Jestem ciekaw, jak panią znalazła.

– To było łatwe. Pamięta pan, że wynajęłam prywatnego detektywa, żeby się czegoś o panu dowiedział?

Odwiedził dom w czasie, gdy ona tam była i pewnie z nią porozmawiał. Nie powiedziała mi, że zabierze ze sobą tych mężczyzn ani że planowali pana zabić. Nie mogłam w to uwierzyć! – W jej głosie brzmiał niewinny protest, gdy przypomniała sobie tamtą napaść. – Zadzwońłam na policję!

– Wiem. Dziękuję.

– Co się stało?

– Przetrzymywali mnie przez jakiś czas.

– Kto to był?

– Ktoś z Irlandii – odparłam.

– I co się stało?

Wzruszyłam ramionami.

– Szukali czegoś. Gdy im powiedziałem, gdzie to się znajduje, wypuścili mnie.

Popatrzyła na mnie.

– Podle się czułam. Nie czułam się źle, gdy zgodziłam się pomóc Sarze Tennyson, bo wydawało mi się, że jest uczciwa, a pan zachował się w Belgii jak świnia.

Z przyjemnością się na panu odegrałam. Leczna Cape Cod był pan zupełnie inny.

Zrobiłem kilka kroków w milczeniu. Krzewy przy drodze wyglądały na suche i martwe, łąki były wyblakłe.

– Chciałem wyjawić komuś prawdę – odezwałem się. – I postanowiłem pani zaufać.

Kiwnęła głową i zaśmiała się na myśl o tym, że ja jej zaufałem, podczas gdy ona mnie oszukała. Wcześniej było odwrotnie. Zagryzła wargę.

– Ale z nas głupcy.

– Pomyślałem, że po tylu latach życia w kłamstwie wyznanie prawdy będzie miłą odmianą – wyjaśniłem. – Jak rzucenie papierosów albo zerwanie z alkoholem.

– I coś się zmieniło? – zainteresowała się.

– Życie jest mniej skomplikowane.

– Myślałam, że podobnie będzie w małym miasteczku, ale życie nie jest tu mniej skomplikowane. Po prostu jest go tu mniej. – Wskazała na główną ulicę. – Dwa kościoły, ratusz, bank, sklep spożywczy, sklep ogólnospożywczy, kawiarnia i poczta. Kino zamknięto, stacja obsługi pojazdów przeniosła się na Route Five, ale benzynę można kupić w sklepie u Eda, jeśli kogoś naprawdę lubi i jego syn akurat nie patrzy.

– A co jest nie tak z jego synem?

– Pracuje w policji stanowej i nie znosi swojego ojca od czasu, gdy matka mu powiedziała o tym, jak ojciec zaszalał sobie z Mary Hammond, która roznosiła korespondencję, zanim suka Bobby'ego Evasa ugryzła ją w nogę i zaatakowało ją zakażenie. Nogę, rzecz jasna, nie sukę.

– Podoba się pani tutaj?

– Wręcz przeciwnie.

Zaśmialiśmy się.

– A pani jest zbyt uparta, żeby przyznać się do pomyłki, bo jest pani tak bardzo podobna do Roisin.

– Jestem do niej podobna? – zapytała. Zatrzymaliśmy się przy głównej ulicy i patrzyliśmy na siebie. – Naprawdę?

– Tak. Przynajmniej z wyglądu.

Zmarszczyła brwi.

– Czy to jest dla pana trudne?

Po chwili wahania wyjawilem prawdę.

– Tak.

– Proszę, nie. – Zmarszczyła brwi.

– Nie?

Miałem wrażenie, że świat balansował na krawędzi i wiedziałem, że nie padnie do mych stóp. Wzniosłem niewiarygodnie wysokie rusztowanie i miałem czelność myśleć, że Kathleen zechce wspiać się na nie razem ze mną.

– Mam chłopaka, Paul – powiedziała łagodnie. – Jest nauczycielem w szkole w Frederick.

– Nie o to mi chodziło – odparłem, ale przecież o to chodziło i ona o tym wiedziała; nagle poczułem się jak głupiec i bardzo chciałem wyjechać z tego cholernego miasteczka.

– To dobry człowiek – ciągnęła.

– Na pewno.

Czułem się tak, jakby moje rusztowanie rozpadało się i usuwało spode mnie.

– Chodźmy na kawę – zaproponowała.

Usiedliśmy w kawiarni. Opowiedziała mi o swojej podróży do Europy, o przygodach w Belfaście i Dublinie, ale nie słuchałem jej uważnie. Jednak dobrze udawałem – uśmiechałem się w odpowiednich momentach, czyniłem stosowne komentarze, ale w środku byłem pogrążony w smutku. Byłem sam. Roisin odeszła na wieki. Wydawało mi się, że zdołam wyrwać ją z przeszłości, z jej grobu w dolinie Beki, lecz nie było mi to dane.

– Mam nadzieję, że dowiedział się pan tego, na czym panu zależało – odezwała się do mnie, gdy wracaliśmy do furgonetki.

– Tak, dziękuję.

– Chyba nie spotka się pan już z Sarą Sing Tennyson.

– Raczej nie.

Położyła mi dłoń na ramieniu, gdy doszliśmy do auta.

– Przykro mi, Paul.

Mnie również, pomyślałem. Mnie również.

– Powodzenia z nauczycielem.

– Jasne. Dzięki. – Uśmiechnęła się. – Powodzenia w Waszyngtonie.

– Jasne. Jasne.

I wróciłem na Cape Cod.

Dotarłem do domu po pierwszej. Noc była ciemna, a księżyc chował się za przepływającymi wysoko chmurami. Byłem zbyt zmęczony, żeby otwierać garaż, więc zostawiłem furgonetkę przy rondzie na podjeździe i podszedłem do kuchennych drzwi. Byłem bardzo znużony i zde gustowany sobą. Zrobiłem z siebie głupca. Dobry Boże, naprawdę wierzyłem, że mógłbym zakochać się w duchu. Otworzyłem drzwi, wszedłem do kuchni i zamarłem w bezruchu. Czułem woń herbaty.

Nie była bardzo silna, aromat był delikatny, aczkolwiek wyczuwalny. Herbata. Ponieważ karabinek M1 był schowany w salonie, wyciągnąłem więc nóż do filetowania ryb, który był bardzo ostry i wolno zbliżałem się do drzwi prowadzących do salonu.

W domu było ciemno, choć oko wykol. Słyszałem wiatr i wieczny rytm odległych fal. Nadal czułem zapach herbaty. Czyżby Sara Sing Tenyson miała czelność tu wrócić? Wyobrażałem sobie, że kobiety piją więcej herbaty niż mężczyźni. Piją ją również Irlandczycy. Czyżby Herlihy przysłał kogoś, żeby mnie w końcu zabił? Doszedłem do drzwi do salonu. Przez sekundę rozważałem zapalenie światła, ale uznałem, że mrok będzie lepszym przyjacielem niż nagły, oślepiający błysk żarówki.

Nacisnąłem klamkę, przykucnąłem i pchnąłem drzwi. Wpadły w ciemność panującą w pokoju. Kucałem nisko, ściskając nóż w prawej dłoni. M1 był schowany cztery kroki ode mnie, przyklejony szarą taśmą pod blatem długiego stołu. Zastanawiałem się, ile czasu bym potrzebował, żeby zdobyć broń, gdy męski zaspany głos wymówił moje nazwisko.

– Shanahan?

Dobiegał z prawej strony. Serce mi podskoczyło z przerażenia, ale udało mi się nie poruszać i nie odzywać.

– Shanahan? – mężczyzna powtórzył i tym razem usłyszałem w jego głosie przestkach.

Podejrzewałem, że drzemał i teraz bał się tego, co ciemność sprowadziła do tego zimnego pomieszczenia.

– Zapalę światło, dobrze? – odezwał się.

Rozpoznałem głos człowieka z CIA, który mnie przesłuchiwał.

– Chryste! Gillespie, czy to pan?

– Tak, to ja.

Poczułem, jak napięcie ze mnie opada.

– Jezu! Musiał pan czekać po ciemku? Mogłem pana wypatroszyć.

– Szczerze powiedziawszy, zasnąłem. Nie chciałem włączyć światła, żeby pana nie przestraszyć i żeby pan nie pomyślał, że czeka tu na pana ktoś zły. To dlatego samochód stoi przy poczcie.

– Jak, u diabła, pan tu wszedł?

Nadal kucałem, ale opierałem się plecami o ościeżnicę.

– Stuart Callaghan otworzył zamek w drzwiach wejściowych. Jest dobry w te klocki.

Gillespie poruszał się ostrożnie w ciemnym pokoju.

Siedział na starej kanapie ustawionej przy oknie wykuszowym i kroczył w kierunku drzwi prowadzących na korytarz, przy których Sara Sing Tennyson umieściła włącznik światła.

– Co pan tu robi, u licha?

Schowałem nóż do pochwy.

– Musimy się dowiedzieć czegoś więcej o łodzi „Rebel Lady”. I pieniądzech na jej pokładzie – mówił głosem pełnym dezaprobaty, jakby oszukanie go było z mojej strony bardzo nie w porządku.

– A jak się dowiedzieliście o „Rebel Lady”? – zainteresowałem się.

– Nasza praca polega na zdobywaniu informacji – odparł zbolalym głosem.

Znalazł włącznik i światło wypełniło pomieszczenie.

Gillespie najwyraźniej zmarzł, bo miał na sobie żółty plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, jeden z tych wiszących przy wejściu.

– Skąd wiedzieliście, że tu będę? – dopytywałem się.

– Policja nam powiedziała, że jest pan w domu.

Niejaki Ted Nickerson.

– Przypuszczam, że nie jest pan sam?

– Nie. Callaghan jest na górze. Postanowiłem, że jeden z nas będzie czuwał, a drugi będzie spał. Nie mieliśmy spać równocześnie. – Ziewnął i podszedł do stołu, na którym zostawił telefon komórkowy. – Wydaje się pan skonany. Co się stało?

– Przejechałem dziesięć godzin w jedną stronę, a potem w drugą, bo dziewczyna dała mi kosza. Wydawało mi się, że jestem w niej zakochany.

– Aha. – Wyglądało na to, że moje wyznanie go zażenowało i nie wiedział, jak zareagować. – Dam znać, że pana znaleźliśmy – powiedział i wziął telefon do ręki.

Nadal opierałem się o drzwi, a Gillespie wybierał numer, gdy nagle zakasłał i spojrzał na mnie zdumiony.

A przynajmniej miałem wrażenie, że zakasłał.

Trudno to było stwierdzić, ponieważ równocześnie cały pokój wypełnił huk wystrzału i pękającego szkła, gdy kula przebiła szybę w oknie za Gillespiem. Człowiek z CIA wychylił się gwałtownie do przodu i dotarło do

mnie, że rzekomy kaszel był dźwiękiem powietrza wypychanego z jego płuc przez uderzenie pocisku.

Zachwiał się, ale zdołał ustać na nogach. Szyba, przez którą przeleciała kula, odchyliła jej tor lotu i spowolniła ją. Gillespie mrugał oczami. Nabierałem powietrza, by kazać mu rzucić się na ziemię, kiedy druga kula, tym razem nie napotykając przeszkody w postaci szyby, uderzyła go w plecy. Gillespie szarpnął się w przód.

Krwistoczerwona fontanna trysnęła przez środek pokoju i mężczyzna runął na podłogę. Słyszałem, jak powietrze uciekało z jego płuc, gdy przesunął się po wypastowanej podłodze. Jego telefon komórkowy wpadł do kuchni i zatrzymał się przy koszu na śmieci.

Wycofałem się do ciemnej kuchni. Gillespie się nie ruszał. Widziałem tylko jego plecy, a w nich dwie dziury. Pierwsza kula trafiła go w lewy bark, a druga pewnie uszkodziła kręgosłup. Z rany sączyła się cieniutka strużka krwi; to było zaskakujące w zestawieniu z fontanną, która zaczerwieniła powietrze w salonie.

Widziałem też krew na podłodze i na krawędzi stołu, pod którym ukryłem swój karabinek.

Callaghan się chyba obudził? Po dwóch strzałach?

Ich huk nadal dźwięczał mi w uszach. Snajper znajdował się pewnie w krzakach za moim tarasem. Powinienem zostać tu, gdzie byłem, czy wybiec w mrok? A może należałoby chwycić broń spod stołu? To by jednak oznaczało wejście do pomieszczenia, w którym światło umożliwiło celowanie w Gillespiego. Znowu wyciągnąłem nóż z pochwy. To była marna broń w obliczu tej napaści, ale lepszej nie miałem pod ręką.

Przed domem rozległy się kroki. Nie obok kuchni, tylko przy oknie wykuszowym. Ktoś stał na tarasie.

Chryste! Ten drań zamierzał wejść do środka, żeby się upewnić, że wykonał swoją robotę. Cofnąłem się, by nie padało na mnie światło z salonu. Miałem wrażenie, że dostrzegłem cień za oknem usytuowanym najdalej ode mnie. Czarny cień. Il Hayaween? Boże, modliłem się, oby tylko nie był to il Hayaween. Może ten cień był tylko dziełem mojej wyobraźni? Wtem cień poruszył się, stęknął. Strzelec zaglądał przez okno i sprawdzał, czego dokonały jego kule. Ciało Gillespiego przesunęło się po podłodze i było częściowo zasłonięte przez masywny stół.

Ścisnąłem owiniętą sznurem rękojeść noża. Zabójca posługiwał się bronią o dużej prędkości, więc jakie miałem szanse w starciu z nim wewnątrz domu? Żadne.

Co mówiła Sara Sing Tennyson? Nigdy nie wkurzaj psychopaty, tylko szybko go obezwładnij. Potrzebowałem butelki z amoniakiem, a nie cholernego noża do filetowania ryb!

Cień zniknął. Może powinienem uciekać? Nie. Nie, kiedy zabójca nadal był na zewnątrz. Nakazałem sobie czekać.

Dłonie Gillespiego drapały cicho podłogę, gdy jego palce wykrzywiały się jak szpony. Nie były to oznaki życia, ale naturalny proces, w czasie którego ciało rozluźniało się po śmierci. Wiatr wpadający przez stłuczoną szybę poruszał brązowymi zasłonami.

Na stromych schodach prowadzących z sypialni na piętrze rozległy się szybkie i głośne kroki. Te schody skonstruowane w dziewiętnastym wieku były znacznie bardziej strome od tego, na co zezwalały dwudziestowieczne przepisy budowlane i pędzący po nich Callaghan potknął się i uderzył barkiem o ścianę na dole.

– Cholera! – zaklął, po czym krzyknął: – Panie Gillespie? Sir? Jest pan tam?

Siedziałem bez ruchu.

– Jezu Chryste!

Callaghan wszedł do salonu. Nie mógł mnie widzieć, ponieważ siedziałem we wnęce przy piecu. Wpatrywał się w Gillespiego.

– Jezu Chryste! – powtórzył, obrócił się, wyciągnął broń z kabury pod pachą.

Miał na sobie tylko koszulę i spodnie, a marynarkę, krawat i buty zostawił na górze, gdzie zapewne spał.

Obudził się tylko po to, by zobaczyć ten koszmar.

– Jezu!

Był w szoku. Ujrzał zbitą szybę i podbiegł do okna.

Zorientował się, że zagrożenie może się znajdować po drugiej stronie, więc popędził z powrotem na środek pokoju. Zmienił zdanie i wrócił do okna, gdzie, niczym policjant z filmu, przywarł do zasłony, dzięki czemu mógł wyglądać zza rogu w słony mrok. Stał tam i mamrotał do siebie. Wiedziałem, że będę musiał jakoś zaanonsować swoją obecność, ale nale-

żało to zrobić bardzo ostrożnie, bo w przeciwnym razie odwróci się i strzeli w moją stronę. Był zdenerwowany jak diabli.

Nabrałem powietrza w płuca i już miałem się odezwać, gdy odwrócił się gwałtownie z cichym krzykiem.

Usłyszałem wystrzał z karabinu; zabrzmiał potwornie głośno w otoczeniu murów. W tym samym momencie Callaghan też strzelił i zobaczyłem płomień wypadający z lufy jego broni, odcinający się jaskrawo od mroku za oknem.

Callaghan strzelił po raz drugi, ale to pociągnięcie za spust było wynikiem odruchowego skurczu jego palców. Osuwał się. Trafiono go. Widziałem, jak kula zrobiła w jego klatce piersiowej wyrwę jak lej po bombie. Życie uleciało z niego niemal równocześnie.

Wiedziałem, że strzelec był geniuszem, ponieważ rozwalił serce Callaghana jednym zabójczym strzałem.

Callaghan runął na podłogę. Druga kula przez niego wystrzelona uderzyła w sufit, gdzie z belki zwisał teraz odłamek drewna.

Zapadła cisza.

Zabójca był w domu. Po co tu przyszedł? Prawdopodobnie, by ocenić skutki swoich nocnych działań. Za sekundę lub dwie odwróci ciało Gillespiego i odkryje, że zabił niewłaściwą osobę. Bo na pewno polował na mnie.

Co wtedy zrobi? Ucieknie? Czy przeszuka dom?

Wiedziałem, że powinienem się ruszyć. Wynosić stąd!

Pędzić ku spowitym w ciemnościach bagnetom, gdzie ten snajper mnie nie wypatrzy. To wiązało się jednak z hałasem i zwróceniem na siebie uwagi. Chryste! Dlaczego nie schowałem karabinka w furgonetce? Spałem się, gotowy do działania, ale strach mnie paraliżował.

Jeśli dam temu człowiekowi pół sekundy na reakcję, zginę, ponieważ napastnik jest dobry, bardzo dobry.

Usłyszałem dziwne skrobanie dobiegające z dalszej części salonu. Nie było mnie widać i nie zamierzałem się ruszać, żeby zobaczyć, co było źródłem tych dźwięków. Czy snajper wyciągał ciało Callaghana?

Wtem rozległ się potworny łoskot, ktoś jęknął i zapadła cisza. Czekałem. Zimny wiatr szumiał za stłuczoną szybą. Czuję wypełniającą dom gorzką woń materiału wybuchowego.

– Kurwa – powiedział głos i stęknął.

Poruszyłem się. Bardzo powoli. Najpierw wstałem, potem zrobiłem pół kroku do przodu i dopiero wtedy zajrzałem do salonu.

Zobaczyłem go. Opierał się o ścianę. Osunął się.

Jego strzelba leżała kilkadziesiąt centymetrów od jego prawej ręki. Miał na sobie czarny sweter, czarne spodnie i czarną kominiarkę, która nie zasłaniała tylko oczu i ust. Sweter i spodnie zdawały się błyszczeć na wysokości brzucha. Pojąłem, że oddający przedśmiertny strzał Stewart Callaghan poważnie ranił zabójcę.

Dostrzegł mnie. Jego ręka drgnęła, jakby chciał chwycić strzelbę, ale ten ruch wywołał tylko spazm bólu. Zaklął, nie ze złością, lecz rezygnacją.

– O kurwa – powiedział znowu.

– Witaj, Seamusie.

Przeszedłem przez pokój i odsunąłem nogą jego broń, po czym pochyliłem się i wziąłem do ręki automatyczny pistolet Callaghana.

– Ależ tu jest burdel, Paulie. – Seamus zrobił ogromny wysiłek i ściągnął prawą ręką wełnianą kominiarkę z głowy. Jego czarne włosy były w nieładzie.

– Trafił mnie w brzuch.

– Polowałeś na mnie.

– Myślałem, że tamten był tobą.

Wskazał podbródkiem Gillespiego. Jeżeli ktoś patrzył z zewnątrz, a tu świeciło ostre światło, Gillespie był odwrócony do okna plecami i miał na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy, który znalazł przy wejściu, rzeczywiście można go było pomylić ze mną.

– Kto to, kurwa, jest? – zapytał Seamus.

– Ludzie prawa. Przyjechali zadać mi kilka pytań.

Przykucnąłem przy Seamusie i próbowałem ocenić stopień jego obrażeń. Nie byłem ekspertem, ale kiepsko to wyglądało. Kula, z tego co widziałem, trafiła go w dół brzucha na wysokości bioder, gdzie odbiła się pewnie od kości miednicznej i porozrywała mu trzewia.

Krwawił potężnie. Gdybym skorzystał z telefonu komórkowego, Seamus pewnie by przeżył, ale zrozumiał, dlaczego czegoś takiego nie zrobiłem. Ci, którzy mieczem wojują, muszą od miecza zginąć.

Podszedłem do Callaghana, ale nie odwracałem się do Seamusa plecami. Callaghan leżał na wznak. Usta miał wypełnione krwią, a zęby były obnażone w grymasie bólu.

– To był dobry strzał.

– Zawsze dobrze strzelałem. Pamiętam, jak kiedyś w spalonym domu w Strabane angielski żołnierz prawie mnie dopadł. Zaskoczył mnie. Wszedł tylnymi drzwiami, a ja obserwowałem frontowe. Załatwiłem go tak samo. Strzałem z boku biodra. – Mówił powoli. Od czasu do czasu łapał powietrze, gdy wstrząsał nim ból, ale nie gubił sensu. – Wtedy udało mi się uciec.

– Złapano cię tylko raz.

– I to było komiczne, Paulie. To był pieprzony wypadek, cholerny pech. Wyszedłem z domu jakieś pięć minut wcześniej, a ta smarkula wyskoczyła na czerwonym świetle, na rogu Ormeau Avenue. Wiesz, tam, gdzie jest telewizja. Nie wyhamowałem i wjechałem w nią. Od razu pojawił się policyjny land rover i ci dranie mnie rozpoznali.

Jechał wtedy na południe, do Dublina. Miał w kieszeni kradzione prawo jazdy. Rada Wojenna uznała, że będzie bezpieczniejszy w Dublinie, mimo że był poszukiwany w obu częściach Irlandii.

– Ci cholerni Brytole twierdzili, że mieli informacje – ciągnął z goryczą Seamus – ale to był tylko wypadek, nic więcej. I dlatego zginęła. Bo ci cholerni Brytole kłamali.

– I dlatego zginęła – zgodziłem się z nim, ale nie chciałem rozmawiać o śmierci Roisin. – Kto nakazał mnie zabić? – zapytałem.

– Michael Herlihy, rzecz jasna. Powiedział, że zwinąłeś kasę i trzeba cię ukarać. – Z wielkim trudem łapał powietrze. – Nie zrobiłbym tego, gdybym nie zyskał potwierdzenia, ale dostałem je.

– Od Brendana Flynna? – domyśliłem się.

– Ano. – Seamus próbował się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. – Przykro mi, że to musiałem być ja.

– Nie masz wiele do powiedzenia w tych sprawach.

– Przykucnąłem przed nim. – Boli cię?

– To tępy ból, Paulie. Nie jest tak źle. – Siedział w milczeniu i oparł głowę o ścianę. – Jaka, kurwa, szkoda, że to musiałeś być ty. Zawsze cię lubiłem.

– Ja ciebie też lubiłem. – Już użyliśmy czasu przeszłego.

– Pamiętam, jak Brendan Flynn mnie ostrzegał, że jesteś niebezpieczny, ale ja uznałem, że jesteś w porządku.

– Myślałem, że Brendan mi ufał.

– On by nie ufał nawet papieżowi. – Westchnął. – Dlaczego ukradłeś te pieniądze?

– Nie ukradłem. Chciałem, ale mi się nie udało.

– Twierdzą, że to zrobiłeś, ale pewnie sami je zwinęli. Jak zawsze. – Siedział w kałuży krwi. Osłabł tak bardzo, że nie mógł nawet podnieść prawej ręki. – Mam w kieszeni papierosy. Mógłbyś?

Trzymałem pistolet blisko jego twarzy, gdy szperałem pod jego swetrem. Znalazłem papierosy i zapalniczkę, wsunąłem mu papieros w usta i podałem ogień.

– Też kiedyś paliłeś, prawda? – zapytał.

– Rzuciłem.

– Nie tęsknisz za tym?

– Za fajkami? Jasne. – Odsunąłem się od niego. – W dniu, w którym pójdę do nieba, Seamusie, święty Piotr będzie czekał przy bramie z pełną paczką i pudełkiem zapalek.

– Myślisz, że trafisz do nieba? – Papieros drgał w jego ustach, gdy mówił.

– Wszyscy się tam spotkamy, Seamusie. Ja, ty, reszta chłopaków. Ale Brytoli tam nie będzie. Wzgórza będą tam szmaragdowozielone, strumienie roić się będą od łososi i wiecznie będzie świeciło słońce.

– Jak w Dunnamanagh, co?

To było marzenie, które miało się nigdy nie ziścić – mały dom pośród zielonych wzgórz w hrabstwie Derry.

Seamus mrugał szybko, może dlatego, że dym wpadał mu do oczu.

– W Lifford była nawet pewna dziewczyna.

– Dziewczyna?

– Zawsze pragnąłem jakąś mieć. Podobała mi się.

Jej ojciec powiedział, że mógłbym ją gdzieś zaprosić.

– Ale nigdy tego nie zrobiłeś?

– Nie miałem czasu, Paulie. Nie byłem taki jak ty.

Nie miałem smykałki do dziewczyn.

Chyba był świadom tego, że w jego życiu czegoś brakowało, ale nigdy nie potrafił tego nazwać; nie wiedział też, jak to naprawić. Zastanawiałem się, jakie demony zrodzone z lęków matki i złości księży ganiały go po długich mrocznych korytarzach samotnych nocy.

– Pamiętasz tego gościa, którego zastrzeliliśmy w Dynmurry? – zapytał.

– Jasne, że pamiętam.

Zaśmiał się.

– Jak on się, kurwa, bał. Ale się bał. Pamiętasz, gdzie się schował?

– Mówiłeś, że w zbiorniku na dachu.

– Jak tonący szczur.

Chłopak był oskarżony o gwałt. Miał dwadzieścia jeden lub dwa lata. Nie było dowodu, który można by przedstawić w sądzie, ale społeczność nie miała wątpliwości co do jego winy, dlatego do akcji wkroczyła Provisional IRA. Seamus mieszkał wtedy u mnie i zapytano go, czy chciałby czynić honory. Zawiozłem go na to osiedle. Był listopadowy niedzielny wieczór i ciemności rozjaśniała odrobina śniegu. Matka chłopaka wiedziała, po co przyjechaliśmy i błagała nas, żebyśmy odeszli. Ojciec wrzasnął na nią, żeby się uspokoiła.

Pozostałe dzieciaki płakały. Chłopak wbiegł na górę.

„Obserwuj okna”, polecił mi Seamus, a sam ruszył na strych. Spanikowany dzieciak schował się w zbiorniku, gdzie został zastrzelony.

Seamus znowu się roześmiał.

– Krew pewnie leciała z ich kranów przez wiele dni. – Milczał przez kilka sekund. – Dostał w głowę.

– Pamiętasz wszystkich?

– Każdego. Zupełnie, jakbym miał w głowie filmy.

– Zmarszczył brwi, zdawało mi się, że z bólu i znowu zachichotał. – Opowiadałem ci kiedyś o Dannym Noonanie i jego wielkiej bombie?

– Nie.

– Straszna głupota. – Wciąż się śmiał i miałem wrażenie, że śmiech powodował ból, ale ta opowieść gościła teraz w jego myślach, więc musiał ją z siebie wyrzucić. – To była chyba pierwsza lub druga bomba, jaką widziałem. Umieszczona w dużym kartonowym pudle. Zrobił ją Danny Noonan. Został właśnie szefem oddziału do spraw materiałów wybuchowych w południowym Derry i chciał jakoś zasłynąć. Chciał, żeby cały świat wiedział, że do działania przystąpił nowy człowiek, więc umieścił w tym cholernym pudle każdy kawałek materiału wybuchowego, jaki tylko znalazł.

Mówię ci, Paulie, ta bomba zerwałaby dach znad Afryki, taka była silna. Ale Danny’emu na tym zależało, rozumiesz? Chciał zrobić coś, co by trafiło do gazet. – Przerwał, aby zdusić jęk.

– Nie spiesz się – odezwałem się głupio, bo przecież w przypadku Seamusy czas biegł nieubłaganie szybko i się kurczył.

– Danny postanowił, że wysadzimy nadajnik BBC.

Wiesz, który? Ten pieprzony maszt pod Derry. Ma chyba z trzysta metrów wysokości! Danny stwierdził, że o czymś takim gazety na pewno napiszą, więc wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy. Kierowcą był Duży John MacAnally. Głupi był jak pień, ale prowadził dość dobrze. Pojechaliśmy i bez problemu dostaliśmy się na teren, gdzie ci wszyscy inżynierowie sikali po nogach ze strachu. Byliśmy tam: Danny, Duży John i ja, wszyscy w kominiarkach, dwóch z nas z bronią. Duży John trzymał tę pierdoloną bombę w pudełku. Danny kazał mu ją postawić pod masztem, dokładnie pod, ale Duży John się stropił i zapytał głównego inżyniera, ile czasu potrwa naprawa masztu. Człowiek mu powiedział, że z sześć miesięcy. Na to Duży John mówi:

„Czyli, że jak bomba wybuchnie, to nie obejrzę w sobotę «Kojaka»? „. Na co gość mu odpowiada, że owszem, nie będzie mógł przez pół roku oglądać „Kojaka” w soboty.

Seamus zamilkł, oddychał chrapliwie i nierówno przez kilka sekund. Papieros wypadł mu z ust, odbił się od uda i zgasł z sykiem w kałuży krwi. Myślałem już, że nie zdoła dokończyć swojej opowieści, ale zrobił wielki wysiłek i nabrał powietrza.

– Danny się wściekł. Rozkazał Dużemu Johnowi podłożyć bombę, a ten tego nie robił. Chciał się upewnić, gdzie mógłby ją podłożyć, żeby móc nadal oglądać „Kojaka”, więc inżynier podpowiedział mu, żeby podłożył ją pod podstację. Danny na niego nawrzeszczał, a ten mu na to, żeby się zamknął, bo on chce oglądać „Kojaka”! W końcu podłożył bombę pod pod-

stacją, jak mówił tamten gość i odciął dostawę prądu, dzięki czemu mógł w sobotę obejrzeć ten pieprzony serial.

Trzeba było widzieć ten wybuch! Jezu! Wypłoszyliśmy gawrony z drzew w promieniu trzech hrabstw. Słup dymu buchnął aż do księżyca. Zrównaliśmy z ziemią krzewy w promieniu prawie stu metrów, ale nigdy nie napisano o tym w gazetach. I do tego posłużyła wielka bomba Danny'ego Noonana. Do wysadzenia w powietrze podstacji ustawionej w krzakach. – Próbował się śmiać, ale za bardzo go to bolało. – A Duży John mógł obejrzeć swojego „Kojaka”.

– Dobra historia, Seamusie.

I dlatego ją opowiedział. Pochodził z narodu, w którym zgodnie z tradycją nadal opowiadało się historie i wciąż było to powodem do dumy.

– Jest ich tak wiele, Paulie. – Zamrugał kilka razy i spojrzał na mnie błagalnie. – Jest mi zimno, Paulie.

Chciałem mu powiedzieć, że już niedługo tej męki, ale nie zrobiłem tego. Szalejące za plażą barierową fale syczały i ryczały niczym bicie serca świata.

– Powiedzieli, że dadzą mi medal – po długim milczeniu odezwał się Seamus. – Podobno w stanie Massachusetts jest medal dla bojowników o wolność.

Przyznawano go już ludziom z IRA. Mieli mi go przypiąć na piersi na schodach Massachusetts State House.

– Powiedział ci to Michael Herlihy?

– Tak. Ale najpierw miałem cię zabić. Michael oświadczył, że zdradziłeś ruch i obiecał mi pieniądze za zabicie ciebie. Nie chciałem ich. Potem powiedział, że dadzą mi medal i napiszą o tym wszystkie gazety.

Mama by się cieszyła, Paulie, gdyby zobaczyła mnie z medalem. Zawsze mnie namawiała, żebym dokonał czegoś w życiu. Medal by się jej spodobał. A Brytole by się wkurzyli. – Znowu milczał przez chwilę. Zrobił się bardzo blady. Skrobał palcami i przez sekundę myślałem, że dotarł już do tego etapu umierania, ale okazało się, że próbował dosięgnąć swoich papierosów. Porzucił ten wysiłek. – Podaj mi drugą fajkę, Paulie.

Przypaliłem papierosa. Oparłem się nagłej, silnej pokusie zaciągnięcia się dymem.

– Proszę. – Wsunąłem mu go między wargi.

Zaciągnął się. Kiwnął głową w kierunku Gillespiego.

– Myślałem, że ten gość to ty. – Ta pomyłka wyraźnie go martwiła. Była swego rodzaju kompromitacją.

– Zmylił mnie ten żółty płaszcz.

– Jak długo na mnie czekałeś?

– Od pory herbaty. Herlihy kazał Marty’emu Doyle przywieźć mnie tutaj.

– A gdzie jest teraz Marty?

– Czeka przy sklepach. – Seamus uśmiechnął się słabo. – W furgonetce z kwiatami. Dasz wiarę? Zupełnie jak wtedy, gdy próbowaliśmy zdobyć pieprzony karawan, żeby podłożyć bombę przed Guildhall. W wozie było mnóstwo kwiatów i Malachy O’Brien dostał kataru siennego. Dasz wiarę? Kichał tak mocno, że nie mógł prowadzić! Musieliśmy zrezygnować z tej pieprzonej akcji! – Zaśmiał się cicho. – Ale to były czasy, Paulie.

– Prawda?

Seamus zaciągnął się głęboko.

– Pamiętasz te duże mieszkania przy Rossville Street? I William Street? Już nigdy ich nie zobaczę, zgadza się? A ten pub przy Lecky Road? – Pytało charakterystyczne miejsca w Derry, miasta, którego nie znałem. – Piliśmy też w tym dużym barze przy Creggan Road. Zimą było tam pioruńsko zimno. Właściciel był podłym draniem, sknerą i zdziercą. Pewnego razu Duży John MacAnally oznajmił, że ogrzeje to miejsce i rozpałił na podłodze ognisko z gazet. Niezły był z niego świr. Zastrzelili go.

– Brytole go załatwili?

Pokręcił głową.

– Jeden z naszych. Duży John był niepewny. Był szalonym kaznodzieją bez kobiety lub whisky. Znałeś ojca Brady’ego?

– Nie.

– Powiedział mi, że koniec będzie zły. – Oddychał z trudem. – Czy możesz tu sprowadzić księdza, Paulie?

– Nie mogę, Seamusie.

To, co się tutaj stało, należało zachować w tajemnicy, zakopać pod ziemią tak, jak Roisin, a to oznaczało, że nie może tu być księdza, pogoto-

wia ratunkowego ani miejscowej policji. Takie były zasady tajnego świata i Seamus o tym wiedział.

Potaknął, że rozumie moją odmowę.

– Po czyjej jesteś stronie, Paulie?

– Po twojej, Seamusie.

– Nie jesteś pieprzonym Brytolem, co?

– Nie.

– Roisin zawsze uważała, że to ty sypnałeś Dzikiego Johna Macroona.

– Chciałbym. – Macroon był chłopakiem, z którym Roisin spała przed naszym rozstaniem. – Ale nie zrobiłem tego. Nie musiałem, bo sam się starał, żeby go zabili.

– To prawda. – Seamus zaciągnął się papierosem. – Ona była przerażająco silną dziewczyną.

– Wiem.

– Czyja była ta piosenka, którą ciągle puszczała? O Sandy Row i rozrzucaniu pensów.

– Van Morrisona.

W czasie, gdy mieszkałem w Belfaście, miewało się niekiedy wrażenie, że album Van Morrisona „Astral Weeks” był tematem przewodnim w tym mieście.

Wszędzie go odtwarzano i sączył się przez ceglane ściany budynków. To były smutne hymny poranionego narodu.

– Wściekła się na mnie – Seamus odezwał się z nostalgią.

– Bo nie poszedłeś z nią do łóżka?

– A jakże. – Spojrzał na mnie zdumiony, że wiedziałem takie rzeczy. – Powinienem był to zrobić, prawda?

– Pewnie tak.

– To nie ona mnie zdradziła – oświadczył. – Brytole tak powiedzieli, żeby nas zwaśnić. – Sztuczka Brytyjczyków nadal go bolała. Znowu zamilkł. Ponad centymetrowej długości walec popiołu osypał się na jego sweter. – Zastrzelono ją?

– Tak – odpowiedziałem, wiedząc, że nie uda mi się uniknąć tematu.

– U Arabów?

Wyblakłe oczy Seamusa patrzyły na mnie znacząco.

– To byłeś ty, prawda?

– Ja, Seamusie? – Tysiące aktów skruchy i tak nie pozwoliły mi wypowiedzieć tych dwóch słów w przekonujący sposób. – Ja, Seamusie?

– To ty ją zastrzeliłeś.

Zawahałem się, niepewny, czy mogę zaufać człowiekowi stojącemu na progu wieczności. Potaknąłem.

– Tak. Nie wiedziała jednak, że to byłem ja. Miałem twarz obwiązaną chustą. Dali mi pistolet.

– I wtedy ją zabiłeś?

– Jednym strzałem w głowę. Szybko.

Zastanawiałem się, skąd Seamus wiedział i pomyślałem, że ten fakt jest wypisany w mojej duszy, żeby mógł go odczytać każdy potępieniec. Jak mogłem mieć nadzieję na szczęście z Kathleen po tym, co zrobiłem jej siostrze przy tym zielonym wzgórzu w Libanie?

– Ty biedny skurwielu – rzucił Seamus i nagle się spał; cały kręgosłup wygiął mu się w łuk wskutek fali potwornego bólu. – Jezu! – zawył.

– Boli?

– Kurewsko. – Płakał. – Jezu! – powtórzył i drugi papieros wypadł mu z ust.

Słyszałem mamrotanie Seamusa. Wydawało mi się, że odmawiał „Zdrowaś Mario”, ale zanim zdołałem rozszyfrować słowa, zaczął mówić nieskładnie. Wydobyłem niedopałek z fałdy rękawa swetra i zdusiłem go na podłodze. Myślałem, że Seamus umarł. Nagle otworzył oczy i odezwał się przeraźliwie wyraźnie:

– Trudno jest kogoś zabić.

– Zgadza się.

– Ale człowiek nie ma wyboru, prawda?

– Nie ma.

Gdybym nie zastrzelił Roisin, sam bym zginął. Czy to jednak mnie usprawiedliwia?

Seamus zamilkł. Odsunąłem się od niego, ale jego ręka drgnęła, jakby potrzebował mojej bliskości.

– Powiedz mi tylko, że wszystko będzie dobrze, Paulie.

– Jest dobrze.

– Powiedz to. – Ręka znowu mu drgnęła.

Przytrzymałem go za dłoń, żeby czuł pocieszający dotyk drugiego człowieka. Zaznał tak niewiele miłości, a jego talent do siania zniszczenia został wykorzystany przez gorszych ludzi.

– Powiedz – zażądał ponownie.

– Irlandia będzie jednością – mówiłem. – Zjednoczonym państwem Bożym. Będzie rządzona z Dublina.

Nie będzie już żadnych podziałów, żadnych łez i więcej śmierci.

– O Boże! Tak. – Oddychał i próbował znowu się odezwać; miałem wrażenie, że język mu drżał, ale siłą woli pokonał spazm śmierci i zacytował: – „Życie rodzi się ze śmierci”^{*}.

Nie mógł dokończyć. Czekałem i czekałem, a on nadal milczał. Pochyliłem się nad nim jeszcze bardziej i zbliżyłem twarz do jego twarzy. Nie oddychał. Zamknąłem mu oczy prawą ręką i dokończyłem za niego:

– „Z grobów patriotycznych mężczyzn i kobiet rodzą się żywe narody”.

Seamus Geoghegan, genialny chłopak z Derry, nie żył. Mój dom wyglądał koszmarnie. Leżały w nim ciała dwóch ludzi z CIA i snajpera IRA. Gdyby gazety kiedykolwiek dorwały się do tego trującego bigosu, wrzawa nigdy by nie ucichła. Potrzebowałem solidnej ekipy sprzątajacej.

Chwyciłem pistolet automatyczny Callaghana, pieniądze i paszport ze skrytki w belce i wyszedłem kuchennymi drzwiami. Wsiadłem do furgonetki. Silnik zapalił od razu. Wrzuciłem bieg, zakręciłem kierownicą i pojechałem drogą. Włączyłem światła, przeganiając spod kół przerażonego królika.

Skręciłem w lewo w główną drogę. Widziałem pomalowaną na biało furgonetkę zaparkowaną przed opustoszałym pasażem handlowym. Głównym sklepem był sezonowy outlet taniego sprzętu plażowego, takiego jak nadmuchiwane delfiny, plastikowe wiadra i parasole. Obok stała buda, w której kiedyś sprzedawano lody, a teraz, jak głosił szyld, mrożony jogurt. Zatrzymałem się przed budą i reflektory oświetlały napis na boku furgo-

^{*} Z mowy pogrzebowej wygłoszonej przez Patricka Pearse'a 1 sierpnia 1915 roku na pogrzebie Jeremiaha O'Donovana Rossy. Obaj należeli do Irish Republican Brotherhood (przyp. tłum.).

netki: „Kwiaciarnia *Koniczyna*. Kwiaty na każdą okazję. Śluby to nasza specjalność”. Zgasilem światła, zostawiłem włączony silnik i podbiegłem do furgonetki.

Szarpnąłem drzwi po stronie kierowcy, przestraszając Marty'ego, który najwyraźniej spał. Otworzył zamek.

– To ty, Seamusie? Jezu, chyba się zdrzemnąłem.

Otworzyłem drzwi i wyciągnąłem go z wozu. Krzyknął, spanikowany. Przeciągnąłem go w ciemne miejsce za furgonetką, która osłaniała nas od strony drogi. Wrzeszczał, gdy rzuciłem go na żwir, przycisnąłem kolanem jego brzuch i wcisnąłem mu lufę do gardła.

– Pomódl się, Marty.

– Jezu! To ty, Paulie?

– Nie, kardynał Bernard Law, durniu. Teraz tak nawracamy wiernych. A kto to może być, do diabła?

– Gdzie Seamus?

– Nie żyje.

– Matko Boska. – Próbował się przeżegnać.

– Posłuchaj, skurwielu. – Przycisnąłem mocno zimną lufę do jego jabłka Adama. – Jeśli przysporzysz mi kłopotów, pani Doyle odbierze pieniądze z polisy ubezpieczeniowej i przeniesie się do Century Village na Florydzie, a po tobie zostanie tylko oprawiona w ramki fotografia wisząca nad telewizorem. Czy tego właśnie chcesz, Marty?

– Nie, Paulie! Nie! Zrobię, co każesz.

– Wsiadaj na tył.

Dźwignąłem go, przepchnąłem przed sobą i cisnąłem przez tylne drzwi furgonetki. Było w niej mnóstwo pudeł z kwiatami poprzewiązanych zielonym drutem, za pomocą którego skrępowanie Marty'emu nadgarstki i kostki. Zakneblowałem go kawałkiem dzianiny odciętej od jego swetra. Przeszukałem mu kieszenie i znalazłem kilka drobnych.

– Czekaj tu Marty i nie podglądaj, bo poćwiczę strzelanie do celu.

Obok budy z jogurtem był telefon. Wyciągnąłem wizytówkę z kieszeni i wybrałem numer. Zaczynał się na 800, czyli był darmowy. Potrzebowałem drobnych Marty'ego, żeby zadzwonić do Johnny'ego. Wydawał się ostro wkurzony tym, że go ktoś obudził w środku nocy, ale szybko doszedł do siebie, kiedy mu powiedziałem, czego potrzebuję.

– Spotkamy się przy bąku – powiedział. – Za pół godziny.

– Przepraszam, Johnny.

– A kto by tam potrzebował snu?

Wróciłem do furgonetki. Marty bełkotał coś przez knebel, ale kazałem mu się zamknąć, zatrzasnąłem tylne drzwi i wróciłem do swojej furgonetki. Jechałem na południe drogą 28. Gdy dojechałem do Stage Harbor, zaczął padać śnieg z deszczem. Zaparkowałem przy szopie i wyłączyłem silnik. Czekałem.

Johnny przyjechał dziesięć minut później. Poszedłem za nim do miejsca, gdzie był zacumowany bąk.

– Daj kluczyk – poprosiłem.

– Zapomnij, Paulie. Płynę z tobą.

Nie sprzeczałem się. Tej nocy wszystko się działo źle i potrzebowałem pomocy. Powiosłowaliśmy w stronę trawlera Johnny'ego „Julie-Anne”, uruchomiliśmy silnik i wypłynęliśmy na morze.

Płynęliśmy na zachód, lawirując między łachami w Nantucket Sound dzięki bojom mrugającym do nas w szklisto-mokrej ciemności. Duży silnik Diesla mruczał pocieszająco. W sterówce było mi ciepło. Johnny sterował jedną ręką, a w drugiej trzymał kubek z kawą.

– O co chodzi? – zapytał.

Nie odpowiedziałem. Wpatrywałem się w przestrzeń oświetlaną przez światła nawigacyjne „Julie-Anne” i myślałem o tym, ile osób zginęło. Liam, Gerry, Gillespie, Callaghan, Seamus. Prawdopodobnie to dopiero początek.

– Powiedz mi przynajmniej, po czyjej jestem stronie – naciskał Johnny.

– Aniołów. Ale nie zbliżaj się przez kilka dni do mojego domu.

– Nie chodzi o narkotyki? – dopytywał się.

– Przysięgam na Boga, że nie chodzi o narkotyki.

Ktoś chciał mnie ukarać za to, że zabrałem złoto.

– Zdaje się, że IRA je odzyskała?

– Chyba miałem zginać, żeby być przykładem dla tych, którzy mogliby próbować ich ograbić. Po prostu nie zbliżaj się do domu, Johnny.

Płynęliśmy w milczeniu. Wiatr chłostał pokład i rozpryskiwał się w świetle czerwonych i zielonych reflektorów. Wyświetlacz rybackiej echosondy migotał w ciemnej sterówce. Po trzech godzinach od wypłynięcia ze Stage Harbor ujrzałem światła małego samolotu wynurzającego się z chmur i schodzącego w stronę Martha's Vineyard. Johnny włączył radar i na zielonym ekranie pojawił się znajomy kształt Cape Poge.

Wschodni horyzont delikatnie się rozjaśniał, zwiastując wschód słońca, gdy mijaliśmy Chappaquidick Point.

Woda była gładka. Jej powierzchnię marszczyły tylko krople deszczu, a rzadka mgła przyćmiewała blask światła w Edgartown. Johnny z beztrząsą sprawnością ustawił swój trawler przy moło.

– Zedrą ze mnie pewnie ze sto dolców tylko za to, że tu kogoś wysadzam, że już nie wspomnę o oddychaniu ich drogocennym powietrzem. To jest najbardziej zachłanne miasto Ameryki. Mam na ciebie zaczekać?

– Nie. Ale dzięki.

– Uważaj na siebie, Paulie.

– Nie jestem w tym najlepszy, ale się postaram.

Wyskoczyłem na brzeg i udałem się do miasta. Szukałem dużego domu, przed którym stał nautor swan zwany „Nancy”. Zwróciłem się po pomoc do van Strykera, ponieważ wszystko szło nie tak.

– Shanahan.

Simon van Stryker otworzył mi drzwi, skrzywił się na widok pogody i zaprosił mnie do środka. Miał na sobie sweter z Aran, sztruksowe spodnie i buty z filcowym ocieplaczem, ale prezentował się tak samo elegancko, jak ostatnio, gdy był odszykowany na kolację w Białym Domu.

– Ekipa już jedzie do twojego domu.

Ten numer zaczynający się na 800 był numerem z wizytówki, którą dostałem od niego w górach Pocono.

Telefon odebrał młody mężczyzna, który spokojnie wysłuchał informacji o trzech martwych ciałach i mojej rozpaczliwej prośby o pomoc. Czekałem chwilę, gdy dzwonił do van Strykera, który z kolei kazał mi się z nim spotkać w jego letnim domu.

Van Stryker otworzył drzwi szafki z półkami zastawionymi butelkami.

– Laphroaig?

– Poproszę.

Zdjął akcyzę z nowej butelki, nalał mi sporą porcję, po czym postawił szklanke i butelkę obok mnie.

– Opowiedz ze szczegółami, co się stało.

Przedstawiłem mu więc historię z minionej nocy. Opowiedziałem o swoim powrocie do domu, o śmierci Gillespiego i Callaghana, o tym, jak Seamus wykrwawił się na śmierć. Gdy mówiłem, van Stryker wyjmował zawartość worka żeglarskiego na kuchenny blat. Przywiózł jajka, szynkę, ser, mleko i pomidory.

– Nancy uznała, że będziemy głodni – wyjaśnił. – No i zanosi się na długą rozmowę. Mów dalej.

– Nie mam dużo więcej do dodania – odparłem kulawo. – Zostawiłem ciała na miejscu i zadzwoniłem po pomoc.

Znalazł miskę i trzepaczkę.

– Postąpiłeś bardzo mądrze, Paul.

Zaczął rozbijać jajka, a ja wyglądałem przez okno na skąpany w deszczu port i nudne wrzosowiska Chappaquiddick. Z zachmurzonego nieba sączył się świt, przez co woda w porcie miała kolor ciemnego metalu, z jakiego wyrabia się broń.

– Powiedz mi – polecił van Stryker – o co tu, twoim zdaniem, chodzi.

– O stingery – stwierdziłem kategorycznie. – I o ludzi na końcu pasa startowego. Ludzi ukrytych w lasach niedaleko lotniska Dulles w Waszyngtonie albo na łodziach w Zatoce Jamajskiej w okolicy lotniska JFK. O ludzi w furgonetkach w pobliżu lotniska Logan w Bostonie lub w magazynach niedaleko lotniska międzynarodowego w Miami. Chodzi o zestrzelone samoloty.

Il Hayaween uwielbia niszczyć jumbo jety. Chce, by martwe ciała pływały w bostońskim porcie i spadały na autostrady międzystanowe, jak też na inne drogi wokół lotnisk. Pragnie jednego dnia zemsty, jednego dnia rzezi, jednego dnia, w którym Ameryka zapłaci za upokorzenie Saddama Hussajna.

– Nie wierzysz w to, że stingery miały trafić do Irlandii?

– Tylko nieliczne. Tych kilka miało być pewnie nagrodą dla IRA za bycie stroną w transakcji. Palestyńczycy nie mogliby przyjechać do Ameryki i negocjować warunków, więc Flynn zrobił to za nich.

– A pieniądze na „Rebel Lady” – podsunął van Stryker – miały stanowić zapłatę?

Zarumieniłem się lekko, ale potaknałem.

– Tak.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam o „Rebel Lady”?

– Planowałem ukraść pieniądze. To miała być moja emerytura i ubezpieczenie, jak też przyszły dochód, wszystko w prezencie od Arabów. – Zamilkłem, pociągnąłem łyk dobrej whisky i spojrzałem na szczupłą, mądrą twarz van Strykera. – Jak się dowiedzieliście o „Rebel Lady”?

– Gillespie się dowiedział.

– Jak?

Zamieszał jajka.

– Założyliśmy podsłuch, rzecz jasna. Dobry, stary, nielegalny podsłuch. – Obdarzył mnie uśmiechem.

– O Boże. No, oczywiście. Założyliście podsłuch jeszcze zanim wyjechałem z Europy?

Nagle dotarło do mnie, że przecież to jasne, że van Stryker musiał podjąć takie środki ostrożności, co znaczyło, że gdy rozmawiałem z Johnnym Riordanem po raz pierwszy o odebraniu „Rebel Lady”, ukryte mikrofony nagrywały każde słowo, które wypowiedziałem.

– Nie.

– Nie?

– W twoim domu naturalnie jest podsłuch. Domyślam się, że mikrofony są na dole, a aktywowany głosem magnetofon znajduje się na poddaszu. Zwykle tak to robią, gdy dostaną się na teren.

– Oni?

– Wolimy wykorzystywać telefon do przesyłania sygnałów. – Van Stryker zignorował moje pytanie. – To jest jednak trudne, gdy nie działa się legalnie. Podejrzewam, że ludzie zajmujący się tobą użyli magnetofonu. Co oznacza, że musieli mieć dostęp do domu, żeby wymieniać taśmy.

– Sara Sing Tennyson! – rzuciłem i poczułem się jak ślepiec, który nagle odzyskał wzrok, a dokładniej jak głupiec, który otrzymał rozum. – Jezu Chryste!

– To ta pierwsza osoba jest sprawcą, choć tak naprawdę nie nazywa się Tennyson, tylko Ko. Sally Ko.

Jej ojciec jest Chińczykiem z Hongkongu, a matka pochodzi z Londynu. Panna Ko pracuje dla brytyjskiego wywiadu. Brytyjczycy oczywiście twierdzą, że jest attaché kulturalnym, ale tak mówią wszyscy szpiedzy.

Taka niewinna konwencja. Też ją stosujemy.

– O Boże – mamrotałem. – Chryste Panie!

Pomyślałem o tym, jakim byłem głupcem, jakim skończonym idiotą!

– Nawet nie zależało jej na mnie – domyśliłem się – tylko na Patricku i jego kumplach?

– Na twoim szwagrze? Jasne. Czasami wykorzystywał twój dom, gdy planowali dostawy broni, które Brytyjczycy przejmowali z zadowoleniem. Gillespie odkrył to, gdy jego ludzie udali się założyć własny podsłuch i znaleźli brytyjskie mikrofony.

Mój Boże, ależ byłem durniem. W jakim innym celu lokatorka zapłaciłaby za założenie telefonu i doprowadzenie elektryczności? Linia telefoniczna była pewnie przykrywką do założenia podsłuchu, a przewody elektryczne – do zainstalowania magnetofonu. Za każdym razem, gdy ten duppek mój szwagier planował kolejne dostawy broni do Irlandii, wywiad brytyjski przysłuchiwał się temu z satysfakcją. Podsłuchali przy okazji, jak rozmawiałem z Johnnym o złocie i ich monotonna akcja nagle nabrała charakteru tryumfu. I rzeczywiście było to nie lada zwycięstwo. Pięć milionów dolarów w złocie i uniemożliwienie nabycia pięćdziesięciu trzech stingerów, a wszystko to za cenę ukrytych mikrofonów i aktywowanego głosem magnetofonu.

– Dranie – rzuciłem. – Dranie.

Van Stryker wyjął z szafki dwa talerze.

– Mądrze zrobili, korzystając z domu kongresmana O'Shaughnessy'ego! – Zaśmiał się. – To był bardzo elegancki ruch, Paul. Powinienem im tego pogratulować.

– Elegancki jak cholera. Myślałem, że mnie zabiją!

– Gillespie na pewno ich ostrzegł, aby nie robili nic aż tak drastycznego.

Naturalnie to Gillespie mnie wystawił tym brytyjskim draniom. Złapali mnie pierwszego dnia, gdy przyjechałem do domu. Skąd mogliby wie-

dzieć, że tam będę, gdyby Gillespie im nie powiedział? To wyjaśniało także, dlaczego FBI powiedziało sierżantowi Nickersonowi, żeby się nie martwił, gdy Kathleen Donovan zareagowała nerwowo na moje porwanie. Gillespie wiedział bardzo dobrze, kto mnie uprowadził, jak też dlaczego i co mi prawdopodobnie zrobią.

– Dranie – powtórzyłem, pamiętając swoje upokorzenie.

Przypomniałem też sobie, jak wiele informacji na temat Belfastu przekazałem swojemu irlandzkiemu rozmówcy. Kim on był? Protestan-tem? Spojrzałem na van Strykera.

– Nasłaliście ich na mnie, prawda?

– Gillespie miał wrażenie, że nie rozmawiałeś z nim szczerze w trakcie składania raportu – przyznał van Stryker. – A twoja opowieść o stingerach w ogóle nie miała sensu. Mógłbym ci utrudnić życie jeszcze bardziej, ale wszyscy byliśmy zdania, że tak będzie znacznie szybciej. I rzeczywiście tak było. Nie kłamałeś w kwestii stingerów, ale nie wyjawiałeś też, że popsułeś plany il Hayaweena, kradnąc jego pieniądze.

– Ale Brytole – zauważyłem z goryczą.

– Lepsi od Libijczyków i na pewno od ludzi Brendana Flynnna. – Van Stryker był niewzruszony. – Bardzo cię zbili?

– Czulem się jak w czasie kanałowego leczenia zęba bez znieczulenia.

– Naprawdę mi przykro, jednak kiedy mam do czynienia z istotą taką jak il Hayaween, nie mogę ryzykować. Musiałem się dowiedzieć, co ukrywałeś i udało mi się to. Milion dolarów.

– Powiedziała wam to panna Ko? – zapytałem.

– Nie tylko nam o tym powiedziała, ale nawet podzieliła się tym milionem, a raczej to my pozwoliliśmy im zabrać pół miliona. Dzięki tobie, Paul, tajne służby Jej Królewskiej Mości są teraz bogatsze o pół miliona dolarów.

– Nie – oznajmiłem i rozkoszowałem się możliwością zburzenia jego spokoju. – Są bogatsze o okrągłą sumkę czterech i pół miliona dolarów. Panna Ko was okłamała. Na pokładzie łodzi było pięć milionów, van Stryker, w złocie. Wasi przekłęci sojusznicy was wycyckali.

– Pięć? – Był zdumiony, zszokowany, nie mógł uwierzyć. – Pięć?

– Pięć milionów – potwierdziłem. – W krugerrandach i kanadyjskich monetach. To było złoto ważące czterysta pięćdziesiąt kilogramów. Wiem

to, bo osobiście ukrywałem je na pokładzie. Łajba była ciężka jeszcze zanim załadowaliśmy na nią złoto, a potem pływała jak ciężarna krowa. Pięć milionów. Brytole was okłamali.

– Dobry Boże – powiedział i odwrócił się, by zająć się omletem.

Tak naprawdę w ogóle nie myślał o jajkach, tylko o pieniądzach. Dokonywał obliczeń, zastanawiał się, usiłował zrozumieć umysł wroga.

– Czy pięć milionów dolarów to nie za dużo za pięćdziesiąt trzy stinger? – zapytał, a potem dodał podejrzliwie: – O ile pociski w ogóle istniały?

– Widziałem jeden z nich.

– Tylko jeden? – Van Stryker zmniejszył ogień pod patelnią, co sugerowało, że nasz posiłek może poczekać w obliczu jego zdziwienia. – Nie podoba mi się ten jeden stinger. Wygląda mi to na wygodne wytłumaczenie. Opowiedz mi wszystko, Paul, i tym razem mów wyłącznie prawdę.

No to opowiedziałem. Wyjawiłem całą prawdę.

Mówiłem o Brendanie Flynnie, Michaelu Herliwym, Shafiqu, il Hayaweenie, Liamie, Gerrym, „Rebel Lady”, Sarze Sing Tennyson, Brytyjczykach prowadzących przesłuchanie, złocie i Seamusie Geogheganie.

Opisałem zabójstwo dokonane na Morzu Śródziemnym, powiedziałem o Teodorze, wyjawiłem wszystko.

Van Stryker słuchał w milczeniu i gdy nie miałem już nic do powiedzenia, nie odezwał się, tylko mi się przypatrywał i myślał. Nagle odezwał się telefon. Obaj się przestraszyliśmy. Van Stryker odebrał, rozmawiał z kimś cicho przez chwilę i odłożył słuchawkę.

– Twój dom jest bezpieczny. Moi ludzie tam są.

– Co zrobicie z ciałami?

– Wywieziemy Gillespiego i Callaghana daleko i upozorujemy wypadek samochodowy.

– A Seamus?

– Zniknie.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu. – Van Stryker wyłożył omlet na talerze. – Podejrzewam, że wina spadnie raczej na Brytyjczyków. A teraz jedz.

Postawił talerz przede mną, a ja pochłonałem jedzenie, jakbym nie miał nic w ustach od tygodni. Van Stryker jadł trochę ładniej, po czym wytarł patelnię papierowym ręcznikiem i odwiesił ją na wieszak.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi o tych pięciu milionach na początku, Paul.

Nie łąjał mnie. Chyba rozumiał ludzką zachłanność na tyle dobrze, by mnie nie potępiać. Podszedł do okna, przez które przyglądał się rybackiej łodzi wypływającej w morze, zostawiającej za sobą tren zmarszczonej wody, który snuł się za nią niczym smugi karmazynowego światła.

– To jest po prostu za dużo pieniędzy! – zakwestionował. – I nie podoba mi się ten pomysł singerów czekających na końcu pasa startowego. To wydaje mi się zbyt skomplikowane. Po pierwsze, gdzie il Hayaween znalazłby ludzi gotowych wystrzelić pociski? I dlaczego złoto? Dlaczego nie zwyczajny przelew?

Zastanowiłem się nad tym.

– Może Herlihy zażądał złota?

– I dlaczego wysłano dwóch żółtodziobów do pilnowania ciebie? Dlaczego nie dwóch lub trzech najlepszych ludzi? Czy Liam i Gerry byli najlepszymi, jakich IRA mogła znaleźć?

– Na pewno nie.

– To dlaczego oni? I po co angażowali ciebie? I dlaczego stingery? – Odwrócił się w moją stronę, gdy zadawał to pytanie, po czym powtórzył je z naciskiem, jakby odpowiedź leżała w typie wybranej broni. – Dlaczego stingery?

– Bo są najlepsze.

– Nie trzeba mieć najlepszych rakiet, żeby zestrzelić samolot pasażerski. To są wielkie cele, które suną po niebie majestatycznie i nie mają żadnej formy obrony na pokładzie. Nie są tak zwinne jak śmigłowce ani tak szybkie jak latające na małej wysokości samoloty myśliwsko-bombowe. Boeinga 747 można zestrzelić za pomocą byle jakiej rakiety Czerwona Gwiazda, a Palestyńczycy z pewnością mają ich setki. Dlaczego więc stingery? I dlaczego ty?

Wprowadził mnie w największe osłupienie.

– Jak to: dlaczego ja?

– Dlaczego potrzebowali ciebie?

– Żebym przeprowadził łódź, rzecz jasna – powiedziałem, jakby odpowiedź była oczywista dla najprostszego nawet umysłu.

Van Stryker pokręcił głową.

– Nie! – zaprotestował żarliwie. – O nie! Dlaczego sprowadzili do Ameryki łódź z pięcioma milionami dolarów w złocie, których nie potrzebują? Żeby kupić pięćdziesiąt trzy stingery, których nie chcą i które prawdopodobnie nigdy nie istniały? Na Boga, Paul, FBI szukało tych pocisków tygodniami i nie znalazło nawet pogłoski na temat ich istnienia. Zapomnij o pociskach i pomyśl o tym, dlaczego potrzebowali ciebie.

– Żebym przeprowadził łódź – powtórzyłem, ale tym razem już zupełnie innym tonem, wskazującym na docierające do mnie powoli olśnienie.

– Bo w tej łodzi coś ukryto – van Stryker ciągnął moją myśl. – Pokazali ci stingery i pieniądze, bo wiedzieli, że kupisz tę historię, bo kto jak kto, ale ty wiedziałeś najlepiej, jak bardzo IRA marzyła o stingerach.

Tylko że nie chodzi tu o stingery, Paul, i nigdy nie chodziło. Ważna jest łódź!

– Chryste! A gdzież ona jest?

Wzruszył ramionami.

– Cholerni Brytole powiedzieli, że jest pusta, bezużyteczna. Uwierzyliśmy im.

– Chryste Panie! Oddałem im tę łódź!

– Komu?

– Herlihy'emu.

– Który zniknął – podsumował van Stryker. – Co tam jest, Paul? Co takiego ukryli pod warstwą złota?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. – Cokolwiek to było, oddałem im to. – O Boże, Boże! – To nie był koniec; nawet nie było blisko do końca.

– Znajdziemy tę łódź. – Van Stryker chwycił telefon. – Przeszukamy całe cholerne wybrzeże i ją znajdziemy. Podaj mi jeszcze raz jej opis.

– Najpierw znajdziemy Herlihy'ego – podsunąłem. – Będzie wiedział, gdzie ukryto „Rebel Lady”.

– Mówiłem ci już, że zniknął.

– Mogę go znaleźć.

– Możesz?

Będę musiał. Przecież Saddam Husajn przysłał Ameryce prezent i ja go zgubiłem. Muszę go zatem znaleźć.

Herlihy'ego nadal nie było w domu. Agenci FBI włamali się do jego domu, by to sprawdzić. Nie było go też w biurze ani w Parafii, ani w pokoju na zapleczu w Tully's Tavern. Zniknął.

– Pieniądze nigdy nie były ważne! – van Stryker krzyczał do mnie. – Złoto było zasłoną, która miała cię oślepić! Ukryć prawdę! To dlatego Herlihy wysłał Geoghegana, żeby cię zabił i uchronił tę prawdę. Odzyskał w końcu łódź i pozostało jedno tylko zagrożenie: ty, który o niej opowiadałeś. To tutaj? – Wskazał na dół.

Krzyczał, ponieważ siedzieliśmy w śmigłowcu straży przybrzeżnej, który został ściągnięty do Martha's Vineyard na wezwanie van Strykera. Wsiadliśmy na pokład i przelecieliśmy szybko nad wodą Nantucket Sound i teraz wisieliśmy nad pasażem handlowym, przy którym zostawiłem Marty'ego Doyle'a.

– Tak! To tutaj!

Widziałem białą furgonetkę należącą do kwiaciarni.

Jeśli będziemy mieli odrobinę szczęścia, okaże się, że jeszcze żaden wścibski policjant nie znalazł Marty'ego.

Uznałem, że jeżeli ktokolwiek wie, gdzie ukrywa się Herlihy, to będzie to właśnie Marty Doyle.

– Łądujemy! – Van Stryker wydał polecenie gestem skierowanym do dowódcy załogi, który przekazał je pilotowi.

Siedzieliśmy w tej części śmigłowca, w której działają ratownicy. Jest to metalowa pusta przestrzeń znajdująca się poniżej kabiny pilota. Z jednej strony umieszczono wciągarkę i kosz ratowniczy, po drugiej zaś, na metalowej ławce, siedzieliśmy van Stryker i ja, opatuleni przed zimnem. Pilot zaprotestował i oznajmił, że rozporządzenia federalne nie zezwalają na lądowanie w niewyznaczonych do tego miejscach, chyba że jest to nagły przypadek.

– Powiedz mu, że to jest taki nagły przypadek! Groźny dla jego kariery!

Maszyna powoli obniżała lot. Z dachu budy z mrożonym jogurtem posypało się kilka gontów, a przejeżdżający motocyklista prawie wpadł do

lasu, gdy śmigłowiec przeciął mu drogę, przelatując między drutami elektrycznymi i telefonicznymi, by usiąść wśród tumanów kurzu na parkingu.

– Tylko szybko! – polecił van Stryker.

Podbiegłem do furgonetki, otworzyłem drzwi i znalazłem przerażonego, bliskiego zamarznięcia Marty'ego Doyle'a. Wyciągnąłem go, a ponieważ nogi miał nadal związane zielonym drutem, przeniosłem go jak dziecko do warczącego śmigłowca. Rzuciłem go na metalową podłogę i wdrapałem się do środka za nim.

– Startuj! – krzyknął van Stryker.

Gdy wznieśliśmy się w powietrze, zauważyłem pierwsze błękitne migotanie koguta radiowozu, który mknął na południe, by sprawdzić, dlaczego jakiś śmigłowiec zakłócił mroźny poranek na przyłądki. Policjanci się jednak spóźnili, ponieważ śmigłowiec mknął już nad Atlantyck. Przelecieliśmy nad moim domem, nad zamarzniętymi sadzawkami na bagnach i nad wydmami, przy których siedziałem z Kathleen Donovan. Sunęliśmy nad skłębionymi falami, które niezmordowanie atakowały zmarznięty piach.

Wyciągnąłem wełniany knebel z ust Marty'ego.

– Dzień dobry, Marty.

– Jest mi kurewsko zimno, Paulie! – Trząsał się.

Drzwi z obydwu stron śmigłowca były otwarte, a ranek był naprawdę mroźny. – Dokąd lecimy? – zapytał.

– Szukać Michaela Herlihy'ego – odparłem. – Gdzie on jest?

– Nie wiem, Paul. Naprawdę.

Uśmiechnąłem się do niego i przeciąłem druciane pęta.

– Załóż to. – Podałem mu uprząż.

Biedaczysko trząsał się z zimna, ale zdołał wsunąć ręce w uprząż, którą spałem mu na klatce piersiowej.

– Gdzie jest Herlihy? – zapytałem.

Marty spojrzał na mnie jak pies.

– Bóg mi świadkiem, Paul, klnę się na grób matki, przysięgam, że nie wiem.

Wypchnąłem go za drzwi.

Krzyknął i młócił rękami, aż zatrzymał się gwałtownie, gdy lina, którą przypiąłem do upręży, napięła się. Wisiał sześć metrów pod śmigłowcem i dziewięćdziesiąt metrów nad szarym morzem, które pieniało się, chłostane dziko przez lodowaty wiatr.

Wciągnąłem go z powrotem do śmigłowca.

– Chyba źle mnie usłyszałeś, Marty. Pytałem, gdzie jest Herlihy.

– W letnim domu kongresmana. Boże, tylko nie rób tego więcej! Błagam. Na miłość Boską, Paulie! Proszę!

Zamiast go wyrzucić, dałem mu kubek z kawą.

Większą część napoju wylał, bo śmigłowiec skręcił na zachód i pomknął nad Nantucket Sound w kierunku ostatnich mrocznych tajemnic „Rebel Lady”.

– Ograniczają mnie przepisy – van Stryker udzielał mi reprimendy. – Gdybym wiedział, że zamierzasz odstawić taki pokaz w śmigłowcu, powstrzymałbym cię. Jeżeli mamy przesłuchiwać Herlihy’ego, odbędzie się to zgodnie z przepisami. Jeśli mamy go aresztować, to potrzebujemy nakazu i trzeba mu będzie odczytać jego prawa. Jeżeli zażąda obecności prawnika w czasie rozmowy, musimy mu go zapewnić.

– Żadnych śladów, mówiłeś. Żadnych sznurków.

Nadal działałem na własną rękę, van Stryker. Napuściłeś na mnie Brytoli, żeby ominąć przepisy, więc teraz napuść mnie na Herlihy’ego.

Przez jego szczupłą twarz przemknął cień uśmiechu.

Podniósł rękę, naśladując gest błogosławieństwa.

– Żadnych siniaków, połamanych kości, zadrapań, śladów stosowania przemocy. Jesteś w stanie to zapewnić?

– Lepiej niż Brytyjczycy, wierz mi.

– To idź. – Machnął, żebym wysiadł z samochodu.

Polecieliśmy do bazy lotniczej w Otis, a potem wraz z porannym ruchem udaliśmy się do Centerville. Nie było jeszcze dziewiątej, gdy zaparkowaliśmy przed domem kongresmana O’Shaughessy’ego stojącym na plaży.

Otworzyłem drzwi auta.

– Wróć przed jedenastą.

– Trzeba trochę więcej czasu, żeby wycisnąć prawdę z faceta.

– Niekoniecznie. – Uśmiechnąłem się i wysiadłem.

Wiał zimny wiatr. Na ulicy panował klimat opustoszałego kurortu, pozbawionego radości poza sezonem. Prawie wszystkie domy były bungalowami bardzo bogatych ludzi, którzy obowiązkowo musieli mieć „domki” nad morzem, żeby uciec przed dusznym upałem Bostonu lub Nowego Jorku. To była znakomita kryjówka dla Michaela Herlihy’ego, bo któż by podejrzewał, że amerykański kongresman będzie ukrywał wroga narodu? Nawet tak ograniczony kongresman jak Tommy Balas wydawał się niezdolny do takiej głupoty.

Otworzyłem bramę. Dom wydawał się zamknięty i pusty. Podeszedłem od tyłu, łamiąc zmrożoną trawę pod stopami. W kuchni nie było nikogo i jak podejrzewałem, drzwi były zamknięte. Wiedziałem, że w domu jest alarm, który Brytole przechytrzyli; przypuszczałem też, że kongresman już go naprawił, więc o ile w domu kogoś nie było, alarm prawdopodobnie był włączony. I z tą nadzieją mocno uderzyłem osłoniętym rękawem sztormiaka łokciem w szybę. Nic. Uderzyłem jeszcze raz, ale tylko posiniaczyłem sobie łokieć. Strasznie twarde szyby się teraz produkuje.

Podniosłem wielki kamień z rzędu ułożonego wzdłuż rabaty kwiatowej i rozbiłem podwójną szybę.

Hałas był przeraźliwy, ale nie dołączył do niego pisk alarmowego dzwonka. Wsunąłem rękę do środka, znalazłem klamkę i wszedłem do domu. Ogrzewanie było włączone, a w zlewie leżał brudny talerz.

Nadal miałem przy sobie broń Callaghana. Wy, ciągnąłem pistolet z głębokiej kieszeni i wszedłem do głównego holu, w którym nie tkwiły już rupiecia z piwnicy. Stałem przy schodach i nasłuchiwałem. Nic nie było słychać. Salon był pusty, a okiennice wysokich okien były zamknięte. Zajrzałem przez kolejne na wpół otwarte drzwi do jadalni, w której stół pozwalał usadzić przy blacie dwadzieścioro gości. Na półkach mahoniowego kredensu lśniło srebro. Kolejne drzwi znajdowały się w drugim końcu jadalni. Były uchylone.

Otworzyłem je szerzej i stwierdziłem, że prowadziły do pomieszczenia wyposażonego w skórzane meble, ze ścianami zastawionymi książkami i jedną ścianą obwieszoną dyplomami i nagrodami. Zapewne w tym pokoju Tommy Balas udawał, że jest człowiekiem wykształconym i w tym samym pokoju Michael Herlihy w pełnym stroju uciął sobie drzemkę. Przyłożyłem mu lufę pod nos.

– Dzień dobry, Michaelu.

– Boże! Co?! Nie! – Ostatnią sylabę wyrzucił z siebie w odpowiedzi na to, jak uderzyłem go lufą w usta.

– Zachowuj się bardzo spokojnie, Michaelu – rzekłem. – I bądź cicho.

– Paul?

– Milcz, Michaelu.

Najwyraźniej czekał w tym wygodnym pokoju na wieści od Seamusa. Czynił to na skórzanym fotelu kongresmana, popijając jego whisky z kryształowej szklaneczki. A teraz obudził się jak w jakimś złym śnie.

Trząśł się.

– Seamus nie żyje, Michaelu.

– Ja nic nie wiem! Nic! – Próbował zerwać się z fotela, ale wycelowana broń przekonała go, żeby pozostał na miejscu.

Obmacałem jego wymięte ubranie i znalazłem w kieszeni mały pistolet automatyczny. Przełożyłem go do swojej kieszeni.

– Wysłałeś Seamusa, żeby mnie zabił.

– Nie bądź śmieszny, Paul.

– Powiedział mi to Marty Doyle.

Michael zeszywniał.

– Nie mam pojęcia o tych sprawach.

– Mówisz bardzo formalnie, Michaelu. Jak prawnik. Gdzie jest łódź?

– Jaka łódź?

– „Rebel Lady”.

– Nie wiem. Kongresman sprowadził holownik, który ją zabrał. Może sam go zapytasz? Jest w Waszyngtonie. – Przyciągnął do siebie telefon i krzyknął, gdy uderzyłem go lufą w jego kościsty nos.

– Żadnych telefonów! A więc, gdzie jest „Rebel Lady”?

– Już ci powiedziałem, Paul, że nie wiem.

– Zatem sprawdzimy, czy mówisz prawdę, dobrze?

Wyrwałem go z fotela. Podciąłem go, gdy rzucił się do przodu i rzuciłem twarzą do dołu na orientalny dywan. Zarzuciłem mu dywan na głowę tak, że nic nie widział.

– Jeśli się ruszysz – powiedziałem na tyle głośno, żeby mnie usłyszał
– to rozwalę ci ten pieprzony łeb!

Ciężkie aksamitne zasłony w pokoju były przewiązane jedwabnymi sznurami. Odciąłem sznury i związałem Michaelowi ręce z tyłu. Postawiłem go na nogach, sięgnąłem po solidny pogrzebacz z kolekcji ustawionej przy kominku i przepchnąłem Michaela do luksusowej jadalni.

– Wygodna kryjówka, Michaelu.

– Nie ukrywam się – zaprotestował. – To tutaj planuję kampanię wyborczą O’Shaughnessy’ego.

– Nie rób ze mnie głupca. Kongresman zawsze wygrywa wybory. Zapewniają mu to pieniądze tatusia.

Kongresman wygrałby nawet wtedy, gdyby był chorym na ospę pawianem, a jego kontrkandydat archaniołem Gabrielem. Nie musisz pracować nad jego kampanią.

Wystarczy, że będziesz nim kierował i ustawiał w stronę Waszyngtonu. Nie, Michaelu. Ty się tu ukrywasz. Powiedz mi, czy Arabowie przysłali ci więcej pieniędzy?

– Pożałujesz tych oszczerstw!

– Te pięć milionów było przeznaczone dla ciebie, prawda? I dla Brendana.

– Nie wiem, o czym ty mówisz i żądam, żebyś mnie rozwiązał! Domagam się tego! – Odwrócił się i wykrzyczał mi te słowa w twarz.

– Jak mawiamy my, nie prawnicy – uśmiechnąłem się do niego słodko – pierdol się!

Uderzyłem go pogrzebaczem i zmusiłem do tego, żeby pokuśtykał korytarzem do kuchni, a potem na zewnątrz przez wybitą szybę, na ścieżkę wykładaną kostką, prowadzącą do zamkniętego hangaru na łodzie.

Michael miał na sobie trzyczęściowy garnitur prawnika i zaczął się trząść z powodu ostrego wiatru.

– Proszę – zwrócił się do mnie.

– Gdzie jest „Rebel Lady”?

– Nie mam pojęcia, gdzie ta łódź się znajduje. Nie możemy porozmawiać w środku?

– A dlaczego nie tutaj, Michaelu?

Drzwi hangaru były zamykane na kłódkę i skobel, który dał się wyrwać pogrzebaczem pełniącym funkcję łomu. Otworzyłem drzwi kopnięciem i wepchnąłem Herlihy'ego do środka. Wolnym kawałkiem sznura przywiązałem go do słupa.

– Proszę, nie! – Nagle pojał z całą wyrazistością, co zamierzałem.

– Gdzie jest „Rebel Lady”? – powtórzyłem pytanie spokojnym tonem.

– Nie wiem, o czym mówisz!

– Wydaje mi się, że pan wie, panie radco. Wie pan bardzo dobrze. – Podszedłem do dalszej ściany, gdzie za pomocą dwóch paneli sterowania obsługiwało się liny, na których wisiała „Quick Colleen”. Wcisnąłem zielone guziki. Urządzenie szumiało cicho, gdy opuszczałem łódź z ostrym dziobem do zamarznętego doku. Lód pękał z trzaskiem pod ciężarem kadłuba i motorówka osiadła na wodzie, z dziobem skierowanym do środka hangaru. Herlihy rzucił się w przód, ale zatrzymały go więzy.

– Paul! Bądź rozsądny!

– Ależ ja jestem rozsądny. Jest ładny, spokojny dzień, fale nie przekraczają trzydziestu centymetrów wysokości. To będzie czysta przyjemność! Pamiętasz, jak wtedy, gdy byliśmy jeszcze nastolatkami, zabrałem cię na przejażdżkę łodzią?

– Paul, proszę... – Trząsł się.

– Gdzie jest „Rebel Lady”?

– Zatopiliśmy ją tam! – Wskazał ruchem głowy lodowate wody Nantucket Sound.

– Ciekawe, dlaczego ci nie wierzę. Sprawdzimy jednak, czy mówisz prawdę.

Wskoczyłem na przedni pokład „Quick Colleen”, odwiązałem przednią linę i zdjąłem pokrowiec z kokpitu. Kluczyki były w stacyjce. Wyrzuciłem pokrowiec do doku, odwiązałem drugą linę i wcisnąłem guziki pozwalające opuścić stukonne silniki do wody.

Akumulatory nadal miały moc. Silniki zanurzyły się w lodowatej wodzie, która pluskała lekko o niską, sportową rufę. Duży bak paliwa był pełen. Przygotowałem silniki, wcisnąłem ssanie i przekręciłem kluczyk.

Zimne silniki kilka razy zakasłały, po czym jeden po drugim odpaliły. Dodałem gazu i hangar wypełnił rozrywający bębenki w uszach ryk, po czym wrzuciłem jałowy bieg. W powietrzu wirowały spaliny.

– Zabawimy się – rzuciłem wesoło, gdy wyszedłem z łodzi.

– Nie!

Michael trzymał się kurczowo słupa. Uderzyłem go w dłonie i kopnięciem zmusiłem do ruszenia do przodu.

Wepchnąłem go na białe, skórzane siedzenie w „Quick Colleen”.

– Nie! – zaprotestował znowu; jego twarz była już teraz trupio blada. – Proszę, Paul!

– Gdzie jest „Rebel Lady”?

– Już mówiłem! Zatopiliśmy ją!

– No to pływamy po nią!

Wrzuciłem wsteczny i droga łódź rzuciła się w tył.

Skręciłem, przesunąłem bliźniacze dźwignie do przodu i pomknąłem w morze. Pokonawszy kilka metrów, jej kadłub ślizgał się po wodzie i zanim dopłynęliśmy do Spindle Rock, „Quick Colleen” cięła zimowe morze z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Przy tej prędkości nawet najmniejsza fala wstrząsała lekkim sportowym kadłubem. Łódź kołysała się i rzucała po wodzie niczym żywa bestia, zostawiając za sobą wysokie białe grzywy, które lśniły w porannym słońcu.

– Czyż nie jest przyjemnie?

Pokręciłem kierownicą i „Quick Colleen” skreśliła niczym myśliwiec odrzutowy. Sunęła bokiem, gdy potężne silniki starały się zrównoważyć działanie siły odśrodkowej. Znowu dałem całą naprzód i ruszyliśmy w kierunku Nantucket Sound.

– Pytałem, czy nie jest przyjemnie!

Herlihy zwymiotował na skórzane siedzenie. Torsje szarpały nim, ale zwracał wyłącznie żółć zmieszaną z wodą. Łódź podskakiwała na falach i waliła o nie jak obłąkany młot. W odległości około półtora kilometra od nas za łodzią rybacką ciągnął się długi ślad; ruszyłem prosto ku niemu i wpadałem na większe fale z pełną prędkością. Kadłub „Quick Colleen” uderzający o wodę dudnił tak, jakby to był koniec świata. Łódź wyskoczyła w powietrze, spadła do wody, wzbijając wokół białe fontanny, odbiła się od powierzchni, znowu się zatrzęsała; Michael czołgał się i ślizgał w swoich wymiocinach, gdy próbował rozpaczliwie utrzymać równowagę.

Wykonałem kolejny ostry skręt, ponownie przyspieszyłem i ruszyłem na ślad ciągnący się za rybacką łodzią. Michael patrzył na mnie z upiorną miną malującą się na jego bladej twarzy. Pokręcił głową, jakby dając mi do zrozumienia, że ma już dość tych mąk.

Zwolniłem i pozwoliłem, by „Quick Colleen” kołysała się łagodnie w zimnej wodzie.

– A więc, gdzie jest „Rebel Lady”?

– W Waszyngtonie.

– Gdzie?

– W składzie Virginia Shore Marine Depot. – Gdzie to jest?

Wychylił się za burtę, zwrócił trochę śluzu i jęknął.

Nawet najslabsze kołysanie łodzi było dla niego męką.

– Gdzie to jest? – powtórzyłem pytanie.

– Na północnym krańcu krajowego portu lotniczego w Waszyngtonie. Trzeba jechać z lotniska w stronę miasta i skrócić pierwszym zjazdem z autostrady Mount Vernon Memorial. A teraz, proszę, Paul. Zabierz mnie z powrotem. Proszę!

– Kto ją tam dostarczył?

– Wynająłem firmę z Cotuit.

Zwiększyłem lekko moc silników i Michael przewrócił się na zapaskudzone siedzenie. Jego twarz miała zielony odcień.

– Co na niej schowano, Michaelu?

– Nie wiem. Naprawdę! Prawdopodobnie nic.

Przewoziłeś pieniądze, to wszystko! Potem mieliśmy ją wstawić do tego składu.

– Wskazał go il Hayaween, czy tak?

– Tak!

– I przysłał ci więcej pieniędzy?

– Tak!

– Ile?

Nie chciał powiedzieć, ale jeszcze trochę przyspieszyłem i natychmiast pękł.

– Kolejne pięć milionów.

Osunął się na bok, nękany torsjami.

– Przekazem, zgadza się? Dokąd? Na Kajmany?

Potaknął.

– Tak.

– Masz podzielić się tymi pięcioma milionami z Brendanem, tak?

– Tak.

– I nie wie o tym nikt więcej?

Nagle dostrzegłem wszystko wyraźnie. To dlatego Brendan wysłał ze mną dwóch śmondaków. Nie ośmielił się prosić Rady Wojennej o wyznaczenie dobrych ludzi.

– Ta operacja nie została zatwierdzona przez Radę, zgadza się? – zapytałem oskarżycielsko.

Michael zerknął na mnie. To pytanie go przeraziło, ale był zanadto przestraszony, zbyt nieszczęśliwy i wykończony, by zdobyć się na kłamstwo. Tylko potaknął ruchem głowy.

To znaczyło, że działali na własną rękę. On i Brendan. Rada Provisional IRA nie zatwierdziła tych działań.

– Nigdy nie było żadnych stingerów, prawda? – spytałem.

– Ale miały być! – rzucił. – Wykupilibyśmy wszystkie stingery dostępne na rynku! Właśnie to zamierzaliśmy zrobić, Paul. Czy nie rozumiesz? Musieliśmy zarobić te pieniądze! Chciałem, żeby Boston znowu był ważniejszy od Trypolis. Chciałem ujrzeć Irlandię wolną! – Ostatnie słowo było rozpaczliwym krzykiem, ponieważ kolejny spazm jego przypadłości zgiął go w pół.

– Kim byli ci Kubańscy?

– Zorganizowali ich Arabowie. Musieliśmy cię przekonać, że stingery naprawdę istniały.

Chryste, pomyślałem. Carlos i Alvarez byli prawdopodobnie autentyczni – przyjechali prosto z Kuby, a w nozdrzach czuli jeszcze dym z cygar Fidela.

– Drań – powiedziałem do Herlihy'ego.

Dałem całą naprzód i „Quick Colleen” błyskawicznie zaczęła ślizgać się po wodzie. Wykonałem szereg szybkich skrętów, tańcząc nią po bezlitosnym morzu.

Herlihy krzyczał i szlochał. Nigdy nie zaznałem skrajnych cierpień wywoływanych przez chorobę morską, niemniej widziałem dość ofiar, by wiedzieć, że była ona w stanie pomóc wydusić prawdę nawet z najbardziej zatwardziałych grzeszników.

Znowu zwolniłem i pozwoliłem, by smukły kadłub osiadł na niskich falach. Od brzegu dzieliło nas około półtora kilometra. Michael krztusił się i jęczał; cierpiał katusze.

– Powiedz mi – zażądałem – co jest w tej łodzi, co jest warte dziesięć milionów dolarów wypłaconych przez Saddama Husajna?

– Nie wiem. Poprosili nas tylko, żebyśmy dostarczyli łódź do Waszyngtonu.

– A co mieliście zrobić ze mną?

– Nic. – Spojrzał na mnie; z sinych ust spływały mu strużki wymiocin. – Słowo!

Położyłem dłoń na dźwigniach przepustnic.

– Mieliśmy cię zabić! – oznajmił żałośnie, błagając, żebym nie dotykał tych dźwigni. – Ciebie i tych dwóch chłopaków.

– Nikt nie miał nigdy kojarzyć „Rebel Lady” z IRA. Czy tak?

– Tak!

Patrzył na mnie błagalnie. Jego wymięty garnitur był ochlapany wymiocinami i morską wodą.

– Ty i Brendan chcieliście pomóc Saddamowi Husajnowi w ataku na Amerykę?

– Nie wiedzieliśmy, o co chodzi!

– Ależ wiedzieliście, Michaelu. Mogliście nie wiedzieć, co znajduje się na pokładzie „Rebel Lady”, ale orientowaliście się bardzo dobrze, że to nie była kartka z pozdrowieniami dla prezydenta.

– To nam dało pieniądze – oświadczył – a ja je przeznaczę na naszą sprawę. Irlandia będzie wolna!

– Owszem – przyznałem. – I obiecuję ci to, ale do tego nie potrzeba twojej pomocy. Irlandia nie potrzebuje takich zdrajców, jak ty.

– Nie jestem zdrajcą.

– Jesteś kanalia, Michaelu. Prawniczą łajzą.

Przesunąłem mocno dźwignię, wykonałem dwa ostre jak diabli skrety i popędziłem w kierunku brzegu. Zastanawiałem się, co się znajdowało w mrocznym brzuchu „Rebel Lady”.

Waszyngton leży sto pięćdziesiąt kilometrów od ujścia rzeki Potomak. „Rebel Lady” prawdopodobnie pokonała większą część tej odległości pod żaglami po tym, jak załoga wypłynęła na południe z Cape Cod.

Pogoda była dobra, więc pewnie popłynęli do Sandy Hook, potem do Cape May, skąd przeprowadzili ją kanałem i rzeką do Chesapeake Bay. Gdy już płynęli rzeką Potomak, popłynęli na silniku w stronę stolicy i jeżeli pamiętali tradycję ustanowioną dla oddania czci Jerzemu Waszyngtonowi, uderzyli w dzwon, gdy mijali Mount Vernon.

Kiedy już znaleźli się w mieście, wpłynęli do kanału Virginia, przy którym, na południe od Pentagonu i na północ od lotniska, znajdował się skład Virginia Shore Marine Depot. Zimą ten rozpadający się warsztat skutniczy był przechowalnią motorówek i jachtów z położonymi masztami. To było przygnębiające miejsce; błotnisty, podupadły skład, ograniczony z jednej strony drogą ekspresową odchodzącą od mostu, a od frontu – słupami ustawionymi w zatoce, na których znajdowały się światła podejścia do lądowania głównego pasa krajowego lotniska w Waszyngtonie. Nad tym terenem ryczały wielkie odrzutowce.

– Oczywiście, nie jesteśmy tak dobrze znani, jak Sailing Marina na południe od lotniska – kierownik składu krzychał do mnie, gdy jakiś samolot pasażerski grzmiał nad nami – ale woda jest tu głębsza niż w Pentagon Lagoon.

Otoczyła nas woń paliwa lotniczego, która ciągnęła się za wielkim samolotem. Widziałem po drugiej stronie pomnik Waszyngtona, a za nim, po prawej, ostatnie promienie słońca odbijające się od kolumny Kapitolu.

Kapitol, podobnie jak Biały Dom, znajdował się w odległości trochę ponad trzech kilometrów od składu, Pentagon zaś był oddalony o półtora kilometra na północ. „Rebel Lady” była niczym bakcyl umieszczony w samym sercu republiki.

– O co tu chodzi? – zapytał kierownik, bo milczałem. – Dobrze mi zapłacili za przechowanie jej. Gotówką.

– Nie wątpię.

Gdy „Rebel Lady” dotarła na miejsce, wyciągnięto ją z wody i ustawiono na rusztowaniu pomiędzy szeregiem opatulonych plastikiem jachtów. Kadłub wspierały metalowe podpory, a ciężki kil opierał się na wielkich drewnianych blokach. Na polecenie Herlihy’ego na jachcie wymalowano nową nazwę, dzięki czemu była kolejną anonimową łajbą pośród setek innych przechowywanych w lodowate, zimowe miesiące w warsztatach skutniczych Waszyngtonu.

O zmierzchu w dniu, który rozpoczął się od przejażdżki „Quick Colleen” po Nantucket Sound, stałem w miejscu, w którym ukryto „Rebel Lady”. Łódź została już zabrana w celu wykrycia jej tajemnicy, ja jednak chciałem obejrzeć warsztat i na własne oczy ujrzeć lokalizację, którą Saddam Husajn wybrał dla przeprowadzenia zemsty na Ameryce.

– Wielka szkoda, co z nią zrobili – stwierdził kierownik. – Całe wnętrze zniszczone.

– To podłe – zgodziłem się z nim.

– Jedna rzecz jest zabawna. Na dachu kabiny miała tabliczkę producenta z Florydy, ale nie wykonano jej w Stanach.

– Zgadza się.

Prawdziwa „Rebel Lady”, zwana obecnie „Roisin”, czekała na mnie w Ardgroom. Uznałem, że nie podoba mi się jej imię. Chyba wrócę do oryginalnego. A może znajdę jakieś inne? „Łajdak” na przykład. Udam się po nią i przeprowadzę ją przez Atlantyk.

– Jeden z moich ludzi stwierdził, że wykonano ją we Francji – ciągnął kierownik – ale była o wiele cięższa od wszystkich francuskich łodzi, jakie widziałem.

– Wiem. Żeglowałem nią. Miałem wrażenie, że ta podróż przez Morze Śródziemnie odbyła się bardzo dawno temu. Nagle przypomniało mi się martwe spojrzenie Liama i jego oczy odbijające szmaragdowe światło lamp.

– Płynął pan nią? To o co tu chodzi? – dopytywał niecierpliwie.

– O przemyt. Kokainy – podsunąłem mu wyjaśnienie, które uzna za wiarygodne.

– Wpadłem na to. Towar był pewnie ukryty w tym wielkim kilu?

– Tak myślę.

– Na pewno! – rzucił radośnie. – Byłem tu, jak ją prześwietlali. Bardzo się ekscytowali, mówię panu!

Machnął ręką w kierunku pustego rusztowania, na którym stała „Rebel Lady”, gdzie jedynym śladem po jej obecności były drewniane bloki, podpory i ciężka aparatura rentgenowska, za pomocą której oglądano wnętrze kilu.

– Myśli pan, że pokażą nas dzisiaj w wiadomościach? – z nadzieją w głosie zapytał kierownik.

– Proszę mi wierzyć, że nie chce pan tego. Nie w związku z tą łodzią. Dziękuję, że pozwolił mi pan obejrzeć to miejsce.

– Bardzo proszę. – Starał się ukryć rozczarowanie.

– Jeżeli kiedykolwiek będzie pan potrzebował przechować łódź w stolicy, panie...? – zawiesił głos, zachęcając mnie do przedstawienia się, ale ja tylko pokręciłem głową i odszedłem.

Było już prawie ciemno. Światła podejścia do lądowania odbijały się w przepływającej obok wodzie.

Jakiś samolot zaryczał nam nad głowami, gdy wsiadałem na tylne siedzenie rządowego samochodu i zamykałem za sobą drzwi.

Wszystko było tu tak blisko. Jakież to było przemyślane. Teraz, przemieszczając się wraz z wieczornym ruchem, jechałem się dowiedzieć, o co dokładnie chodziło.

„Rebel Lady” przewieziono do jednego z wojskowych ośrodków w pobliżu Waszyngtonu, gdzie w wielkim, pustym hangarze stała zalana intensywnym światłem. W oszklonym boksie znalazłem van Strykera, skąd odziany na biało obserwował zespół ludzi pracujących przy podpartym kadłubie.

– Jest w ołowianym kilu – poinformował mnie, nie odrywając wzroku od łodzi i nie mówiąc, o co chodzi.

Potężny kil odczepiono już od łodzi. Jak większość ciężkich kilów, tak i ten był przymocowany do kadłuba z włókna szklanego za pomocą długich dwustronnych śrub z brązu krzemowego. Ludzie van Strykera poluzowali śruby i delikatnie opuścili kil na podłogę. Obok kilu, który był teraz zasłonięty przez mężczyzn i kobiety odzianych w ochronne stroje, stał jaszkrawożółty kontener wielkości małego samochodu, ozdobiony trójlistnym symbolem przemysłu atomowego.

– To była bomba? – spytałem przerażony, gdy zauważyłem znak.

– Nie. On nie dysponuje technologią pozwalającą skonstruować bombę. Jeszcze nie.

Van Stryker wydawał się zmęczony. Jego zadaniem było chronienie republiki przed atakami terrorystycznymi i zdawał sobie sprawę, jak bliska była realizacja takiego ataku. Myślał zapewne o przyszłych zagrożeniach, które były nieuniknione.

– Ktoś kiedyś zrobi bombę, Paul. Ktoś, komu się wydaje, że podkładając ją, zdoła zmienić świat na swoją korzyść. Jednak nie tym razem.

– A więc, co to jest?

– Niewielki kawałek Czarnobylu.

– Czarnobylu?

Van Stryker sączył kawę z brązowego plastikowego kubka.

– Według nas Irakijczycy wydrążyli ten kil i wypełnili go czterema tonami dwutlenku uranu. To jest paliwo nuklearne wykorzystywane w elektrowniach atomowych takich jak Three Mile Island czy Czarnobyl.

Pocięli pręty paliwowe i zmieszali je ze sproszkowanym aluminium i czymś, co wygląda jak azotan amonu.

To znaczy, że zrobili z tego uranu wielką bombę ogniową. Potem dodali detonator i mechanizm zegarowy. Naprawdę prosta konstrukcja i relatywnie tania.

– A co by była w stanie zrobić?

– Bomba rozgrzałaby się do ponad trzech tysięcy ośmiuset stopni Celsjusza i gdy zapaliłoby się paliwo nuklearne, powstałaby chmura radioaktywna, taka jak nad Czarnobyłem. – Van Stryker spojrzał na mnie nagle ze współczuciem. – Nie martw się, Paul. Moi eksperci twierdzą, że raczej nie byłeś wystawiony na działanie promieniowania. Ukrywając ten koszmar pod wodą i w ołowiu, zapewnili ci ochronę. Zabezpieczyłeś się jeszcze lepiej, kładąc od góry warstwę złota.

Patrzyłem na ubrane na białą postaci.

– Co ta bomba mogłaby zrobić z Waszyngtonem?

– Gdyby wiatr wiał od południa, to toksyczne ognisko sprawiłoby, że w Pentagonie nie można by było przebywać przez wiele lat. W Białym Domu również.

To by była wielka zemsta Bagdadu. – Van Stryker zamilkł na kilka minut. – Pomyśl o mieście zanieczyszczonym radioaktywnymi izotopami strontu i cezu.

Pomyśl o wadach płodów, raku. To dlatego chcieli, żeby łódź została wyciągnięta z wody; żeby mogło dojść do porządnej eksplozji. W wodzie wybuch zostałby zduszony i co najwyżej zanieczyszczeniu uległaby rzeka na odcinku kilku kilometrów. Na suchym lądzie i przy sprzyjającym wietrze zabójcza trucizna mogłaby pokryć obszar setek kilometrów kwadratowych.

– Wiesz, że to nie była sprawka IRA, prawda? – odezwałem się do van Strykera.

– Twoja IRA – odparł beznamiętnie – była jedyną organizacją, która okazała Saddamowi Husajnowi wsparcie za pomocą bomb. Nie szukaj wytłumaczenia dla terroryzmu. Nie próbuj mi wmawiać, że to są zbłąkani bohaterowie.

– Powiedziałem tylko...

– Słyszałem, co powiedziałaś, Paul. I rozumiem twoje rozdarcie. – Wpatrywał się w jaskrawe lampy, pracujących ludzi i żółty pojemnik. – Czy wiedziałaś, że kiedy Jerzy Waszyngton nie mógł zdobyć mundurów dla swoich ludzi, kazał im nakładać kawałki papieru na kapelusze? Mówił: „To są moi wojownicy, to są wasze cele”. Nie ukrywał ich, nie odsyłał ich do domu, żeby mogli się schronić za spódnicami kobiet. To był prawdziwy mężczyzna.

Nic nie mówiłem, tylko przypatrywałem się „Rebel Lady”. Z jej nadburcia zwisała lina i zastanawiałem się, czy ta łódź jeszcze kiedykolwiek będzie pływać. Wątpiłem w to i pomyślałem, jak bardzo nie w porządku względem łodzi było to, że swoją ostatnią podróż odbyła w takich okolicznościach. Zasługiwała na wysokie fale i pełne żagle, a nie ogromny balast, który ją spowalniał.

– Garda aresztowała Flynna dzisiaj po południu – poinformował mnie van Stryker.

– Załadacie ekstradycji?

– Nie. Im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej. Broń atomowa budzi w Amerykanach reakcje histeryczne, więc będę się bardzo starał utrzymać sprawę w tajemnicy. Niemniej Flynn poczuje, że nie można sobie drwić z Wujka Sama. Garda znajdzie jakieś zarzuty przeciwko niemu i kilka lat w więzieniu Portlaoise powinno nauczyć go szacunku do nas.

– A Herlihy?

Van Stryker pokręcił głową.

– W jego otoczeniu jest zbyt wielu prawników, którzy narobiliby szumu. Niemniej urząd skarbowy postara się uprzykrzyć mu życie.

– A co ze mną? – spytałem w końcu.

– W sumie stałeś po stronie aniołów. Odplacimy ci się, Paul. Powiedzmy, sto tysięcy dolarów? To pozwala zacząć od nowa.

– Owszem – odpowiedziałem z goryczą. – Ale to nie pięć milionów.

– Które Brytyjczycy nagle zgodzili się nam oddać – van Stryker rzekł ponuro. – Porozmawiałem ostro z tą panną Ko.

Nagle zadzwonił telefon i van Stryker nie dokończył opowieści o tym, jak potraktował perfidną Brytyjkę.

Odebrał telefon i zobaczyłem, że jedna z osób w ochronnym stroju, stojąca przy wypatroszonej „Rebel Lady”, mówiła do drugiego aparatu. Van Stryker mruknął coś kilka razy, podziękował i rozłączył się.

– Czwarty lipca – powiedział powoli. – Mechanizm zegarowy był ustawiony na południe w Dniu Niepodległości. W Waszyngtonie na pewno będą wtedy tłumy.

Może odbyłaby się nawet parada zwycięstwa w związku z kampanią Pustynna Burza? Na ulicach by świętowano.

Van Stryker był zły. I nic dziwnego, bo któż z tłumu Amerykanów świętujących Dzień Niepodległości zwróciłby uwagę na chmurę dymu nad rzeką? Czy ktoś by poczuł zabójcze izotopy opadające niepostrzeżenie na park National Mall i Pennsylvania Avenue?

– Prawie to umożliwiłem, prawda? – oznajmiłem, samooskarżając się.

– Tak? – van Stryker zapytał z lekkim niedowierzaniem. Znowu patrzył na okaleczoną łódź i żółty kontener.

– Nie mówiąc wam o „Rebel Lady”.

– Wiedzieliśmy, że na coś się zanosi. Przypuszczam, że w końcu byśmy wpadli na tę łódź.

Nadal mówił łagodnie i przypomniało mi się jego surowe stwierdzenie, że wszystko należy robić zgodnie z zasadami, chyba że ktoś nie był nimi objęty, a to z pewnością dotyczyło brytyjskiej grupy, która mnie porwała. Jak można walczyć z terroryzmem zgodnie z zasadami? Sprawiedliwy proces był słabą bronią w porównaniu z bombą ogniową z wiórkami mydła lub kałasznikowem w rękach rozgoryczonej młodzieży.

Przypomniało mi się, jak pewien człowiek w pubie w Lifford skarżył się, jak to stracił dwóch ludzi w zasadzce zastawionej przez SAS. „Kiedyś istniały jakieś zasady”, powiedział do mnie z goryczą, „a teraz ci Brytole walczą jak my”. Czy terror można zwalczać tylko terrorem? To było potworne pytanie, równie koszmarnie, jak widok jasno oświetlonego hangaru, w którym mały żuraw opuszczał paletę z czymś, co wyglądało jak sterty srebrnego proszku. Przesypywano go do kontenera.

– Toksyczny, nuklearny koktajl – wyjaśnił van Stryker.

– To jeszcze nie koniec, prawda? – spytałem. – Il Hayaween nie poprzestanie na tym niepowodzeniu.

– Stracił inicjatywę, Paul. Będziemy zastawiać na niego pułapki. Dzięki wojnie w Zatoce stracił kilka swoich dawnych kryjówek. To jest zwycięstwo, Paul. – Wskazał zniszczoną łódź. – To nie jest zwycięstwo ostateczne, bo nie da się pokonać terroryzmu. Można go ograniczyć, ale i tak czuję się z tym dobrze, a niebawem może będzie jeszcze lepiej? Zmusimy drani, którzy nam przysłali ten prezent, by przez jakiś czas tańczyli, jak im Wujek Sam każe. Kto wie? Może tym tanecznym krokiem wskoczą do własnego grobu?

– Przypuszczam – powiedziałem powoli – że powinienem wam podziękować za uratowanie mnie od przedwczesnej śmierci?

– Nie musisz mi za nic dziękować. – Van Stryker nie patrzył na mnie, gdy to mówił; obserwował ludzi, którzy rozwijali szlauchy, by splukać hangar. – Gdy cię wysyłałem w świat przed czternastoma laty, nie spodziewałem się, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. Wysłaliśmy też innych, nie pytaj kogo, i na razie tylko ty wróciłeś. Pozostała dwójka na pewno nie wróci, a trzecia osoba być może przeszła na stronę wroga. Nie miałeś prostego zadania do wykonania i przypuszczam, że nie czujesz się czysty, niemniej przysłużyłeś się swojemu krajowi. Uchroniłeś republikę przed złem i mam obowiązek podziękować ci za to, Paul. – Odwrócił się i podał mi rękę. – Jeśli chodzi o mnie, możesz odejść z czystym sumieniem.

To była jasna noc. Gwiazdy iskrzyły się na niebie nad krajem, który był bezpieczny. Podeszedłem do samochodu, wdychając zimne powietrze i zastanawiałem się, co teraz.

– Na lotnisko, sir? – zapytał kierowca.

– Tak, poproszę – odpowiedziałem.

Ruszyliśmy, zostawiając za sobą jaskrawo oświetlony teren ze stojącymi na nim śmigłowcami, pojazdami niskopodwoziowymi, uzbrojonymi

ludźmi, żółtymi lampami i znakami ostrzegawczymi. Strażnicy przy bramie pozwolili nam jechać i światła znikły, gdy jechaliśmy przez ciemny las w kierunku bezpiecznych miasteczek Ameryki. To były małe miasta zamieszkałe przez ludzi nienawidzących terrorystów.

Jechałem do swojego domu w małym mieście, aczkolwiek przypuszczałem, że tam nie zostanę. Nie miałem przed sobą spokoju, jeszcze nie, ponieważ duchy nadal mnie nachodziły, a ja nie potrafiłem odprawić egzorcyzmu. Il Hayaween też ze mnie nie zrezygnuje, bo przecież zrobiłem z niego głupca i będzie chciał mojej śmierci. Pomyślałem o oczach Roisin na chwilę przed tym, jak nacisnąłem na cyngiel. Dobry Boże, jakże nieprze-myślanie wybieramy swoje ścieżki. Światła Waszyngtonu rozjaśniały niebo przede mną. Myślałem o płomieniach szalejących w tym mieście, o śmierci opadającej niczym płatki śniegu na szerokie aleje. Zamknąłem oczy. Wiosną wybiorę się do Irlandii, wyprowadzę swoją łódź na morze i pozwolę, by mnie dokądś zabrała; nie wiedziałem, dokąd. To nie było ważne. Pragnąłem udać się gdzieś, gdzie łotr może znaleźć schronienie.

Projekt okładki i stron tytułowych
midea. pl

Redaktor merytoryczny
Zofia Majcherowicz

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redaktor techniczny
Elżbieta Bryś

Korekta
Teresa Kępa

Copyright © for the Polish edition and translation Bellona Spółka
Akcyjna, Warszawa 2012

SCOUNDREL © 1992

by Bernard Comwell.

All rights reserved

Zapraszamy na strony [www. bellona. pl](http://www.bellona.pl), [www. ksiegarnia. bellona. pl](http://www.ksiegarnia.bellona.pl)
Nasz adres:

Bellona Spółka Akcyjna

ul. Bema 87, 01-233 Warszawa

Dział wysyłki: tel. 22 457 03 02,

22 457 03 06, 22 457 03 78

Faks: 22 652 27 01

e-mail: biuro@bellona.pl

ISBN 978-83-11-12369-4